

A stylized illustration of a stadium at night. The sky is filled with various patterns of fireworks in shades of yellow, white, and blue. Two large stadium lights are visible on the left and right sides. In the center, an American flag is flying from a pole. The stadium seating is depicted in a dark blue color, and the field is visible at the bottom. The overall color palette is dominated by blues and yellows.

BEN FOUNTAIN

**DŁUGI MARSZ
W POŁOWIE
MECZU**



Ben Fountain

Długi marsz w połowie meczu

Przełożył Tomasz S. Gałązka



Wołowiec 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Billy Lynn's Long Halftime Walk*

Projekt okładki Dawid Ryski

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Copyright © 2012 by Ben Fountain. All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2017

Copyright © for the Polish translation by Tomasz S. Gałązka, 2017

Redakcja Wojciech Górnaś / redaktornia.com

Korekta Ewa Polańska / d2d.pl i Małgorzata Poździk / d2d.pl

Skład Alicja Listwan / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-487-9

Spis treści

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Zaczyna się

Szeregowy w piechocie

Problem jest zasadniczo z twoją głową, ale wiemy, jak to leczyć

Ludzkie reakcje

Dzięki któremu wielu łączy się w jedno

Tyran serc

Wszyscy tu jesteście Amerykanami

Niedoseks dla Jezusa

Jamie Lee Curtis zrobiła film do dupy

XXL

Masz tu wszystko

Billy i Mango idą się przejść

Zgwałceni przez anioły

Jeżeli w przyszłości powiesz mi, że to miłość, nie sprawię ci zawodu

Tymczasowa przytomność umysłu

Za obiad zabije wampira

Pieniądze sprawiają, że jesteśmy prawdziwi

Dumne pożegnanie

Podziękowania

Kolofon

Moim rodzicom

Zaczyna się

Żołnierzom z Bravo nie jest zimno. Święto Dziękczynienia wypadło w chłodny dzień, wiatr tnie jak bicz, na późne popołudnie zapowiadany jest śnieg z deszczem i marznący deszcz, ale Bravo przyjemnie się zaprawili danielsami z colą, bo limuzyna miała minibarek, a w dzień meczu korki są kosmiczne. Pięć drinków w czterdzieści minut to chyba trochę hardkor, ale Billy potrzebuje nieco odprężenia po scenie przy recepcji hotelowej, gdzie sztafeta nabuzowanych kofeiną wdzięcznych obywateli zrobiła mu desant w samo serce kaca. Szczególnie jeden z nich przypiął się do Billy'ego, taki blady, gąbczasty człekokształtny biszkopt, wetknięty w sztywne od krochmalu džinsy i wypasione kowbojki.

– Sam nigdy nie byłem w wojsku – zwierzał się, gestykulując kubłem kawy ze Starbucksa – ale dziadek był w Pearl Harbor, wszystko mi opowiadał... – I pojechało, nieskładna perora o wojnie, Bogu i ojczyźnie. Billy się wyłączył, dał słowom wirować po mózgu jak w bębnie pralki:

teroRysta
wolność
źli
dynastyrześnia
dynastyrześnia
dynastyrześnia
żołnierze
waleszni
wsparcie
poświęcenie
Bush
wartości
Bóg

Billy ma chujowe szczęście, więc na Texas Stadium będzie siedział przy przejściu i to na niego zwali się tego popołudnia większość takich rozmów. Boli go kark. Zeszłej nocy spało mu się zwyczajnie źle. Każdy kolejny daniels z colą tylko bardziej go muli,

ale sam widok tej wydłużonej limuzyny podjeżdżającej pod hotel, tego śnieżnobiałego hummera z sześciorgiem drzwi na każdą burtę i oknami przyciemnionymi dla intymności do czerni, wielkiego jak jacht, zbudził w nim stado nerwowych zachciewajek.

– No i tak mi ma być! – wrzeszczał sierżant Dime, szturmując barek, kiedy wszyscy wokół wyli z zachwytu nad burdelowymi luksusami, ale kiedy już nadzieje na rychłe ozdrowienie legły w gruzach, Billy zaliczył konkretnego, dyskretnego doła.

– Billy – mówi Dime – ty mi tu nie odlatuj.

– Gdzie tam, panie sierżancie – odpowiada z miejsca Billy – tak sobie tylko myślę o czirliderkach od Dallas Cowboys.

– Zuch chłopak. – Dime unosi szkło w toaście, po czym konwersacyjnym tonem zagaja właściwie do nikogo: – Major Mac to cieplak.

Holliday wyje:

– Szlag, Dime, on tu przecież siedzi!

No, w rzeczy samej, major McLaurin siedzi na tylnej kanapie i obserwuje Dime'a, rozemocjonowany jak filet z flądry na lodzie.

– Ni cholery nie słyszy, co tu mówię – śmieje się Dime, obraca do majora i hamuje wymowę do tempa dla debili: – PAAANIE MAJOOORZEEE MAKLOOOORIIIIIN! SIERRR-ŻAAAAANT HOOOLLIIDAY, TEEEN TUUTAJ, NAZYYYYYYWAAAA... PAAA-NAAA... GEEEEJEEEEEM.

– No kurwa – jęczy Holliday, ale w oczach majora pojawia się tylko figlarny błysk. Potem oficer wysuwa kułak, prezentując obrączkę ślubną. Wszyscy wyją.

W obitym pluszem przedziale dla pasażerów limuzyny jest ich dziesięciu: ośmiu żyjących żołnierzy z drużyny Bravo, ich opiekun z biura rzecznika – major Mac, oraz producent filmowy Albert Ratner, obecnie w kucznej pozycji operatora blackberry. Licząc poległego Grzyba i ciężko rannego Lake'a, zgarnęli w sumie dwie Srebrne Gwiazdy i osiem Brązowych. Żadnego z tych orderów nie dałoby się racjonalnie uzasadnić.

– O czym pan myślał w czasie bitwy? – zapytała w Tulsie śliczna reporterka z telewizji, a Billy spróbował jej wyjaśnić. Bóg świadkiem, że się starał, wciąż się stara, ale wymyka mu się to, wyślizguje, śmiga gdzieś spiralą, to coś, to TO, czort wie co, niewysłowione.

– Sam nie jestem pewien – powiedział wtedy. – Najwięcej było w tym takiego uczucia, jak kiedy za kółkiem dopada cię furia. Wszędzie wybuchy, strzelali do

naszych, więc sam zacząłem tłuc, szczerze, to w ogóle nie myślałem.

Do momentu, kiedy zaczęła się strzelanina, przede wszystkim bał się, że coś zjebie. Pod tym względem życie w wojsku to syf. Jak coś zjebiesz, to na ciebie wrzeszczą, zjebiesz coś jeszcze, będą wrzeszczeć więcej, ale nad tymi wszystkimi małymi, drobnymi, durnymi, zasadniczo gwarantowanymi jebaninami góruje nieodstępna perspektywa zjebania tak, że całe życie się spierdoli, zjebania tak dogłębnego i totalnego, że zgaśnie wszelka nadzieja na odkupienie win. Parę dni po bitwie Billy szedł zwirową ścieżką na żarcie – i masz, nagłe poczucie oswobodzenia czy też odpuszczenia: przepadło to koszarne brzemie, i to właściwie bez wysiłku, ot, tyle co normalnie odetchnąć. Takie uczucie, aaaach, jakby jeszcze była dla niego nadzieja, co nie? Jakby jednak nie był taki zupełnie jednorazowego użytku. Tamto nagranie z Fox News chodziło już po sieciach jako wiral, zaczęły się plotki, że Bravo jadą do domu, takie gadki pełne nadziei, że tylko w łeb sobie strzelić, żaden normalny żołnierz by w to nie uwierzył, a tu proszę – dwie godziny przed wyjazdem na cichacza do Bagdadu dowiedzieli się, że lecą za ocean, na Tournée Zwycięstwa.

Jeden kraj, dwa tygodnie, ośmiu amerykańskich bohaterów, choć technicznie rzecz biorąc, nie istnieje coś takiego jak drużyna Bravo. Są z kompanii Bravo, pierwsza drużyna drugiego plutonu, rzeczona drużyna składająca się z sekcji alpha i bravo, ale towarzyszący im dziennikarz z Fox News ochrzcił ich drużyną Bravo i tak pokazano ich światu. Teraz, pod koniec tournée, Billy czuje się wiotki, syty, półprzytomny, niedospany i przepicowany, zaczyna w nim wzbierać smutek i nostalgia za początkiem tego wszystkiego. W środku nocy zagonili ich do C-130, który wystartował z Bagdadu ciasną, stromą spiralą. Był z nimi Grzybu, w spowitej flagą trumnie z tyłu luku towarowego. Przez cały lot do Ramstein zawsze siedziało przy nim paru chłopaków z Bravo, ale teraz Billy wspomina innych typów, około dwudziestki cywili o różnych odcieniach skóry i wymowy, którzy też się załapali na ten lot. Nie szpiedzy, na to byli zbyt pulchni, uśmiechali się zbyt beztrosko wobec nieszczęść tego świata, a jak tylko samolot wzbił się w powietrze, rozkręcili ostry balet. Dobra whiskey, łomot muzyki z tuzina boomboxów, płonący las kubańskich cygar – w kadłubie zaraz zakłębił się dym jak nad kotłem czarownic. Szefowie kuchni, jak się okazało. Dla kogo gotowali? Nic, tylko uśmiechy. „Dla koalicji”. Z Francji, Rumunii, Szwecji, Niemiec, Iranu, Grecji, Hiszpanii. Billy nie potrafił doszukać się w ich narodowościach żadnej logiki czy sensu, ale wszyscy co do jednego byli przyjaźni i więcej niż szczodrzy, aż się palili, by obdzielić żołnierzy gorzałą i pojarą. Ewidentnie natłukli w Iraku górę kasy. Jeden ze Szwedów otworzył aktówkę z cielecej skórki i pokazał Billy’emu złoto, które

zgrupował w Bagdadzie – kilka funtów grubych i cieniutkich łańcuszków, monety, wszystko tak wysokiej próby, że mieniły się wręcz pomarańczowo, a nie złociście. Wśród kłębow dymu z cygar i beztróskiego śmiechu Billy podniósł jeden z łańcuszków, wając go w dłoni. Miał dziewiętnaście lat i zero pojęcia, że wojna to poza wszystkim innym również takie sprawy, i – z punktu widzenia Billy’ego i reszty Bravo – cholerna szkoda, że przez te minione dwa tygodnie nie udało się jej wygrać.

– Tak – mówi Albert do swojej komórki, którą specjalnie zamówił sobie z Japonii, bo ta wyprzedza resztę świata o dwa lata w wyścigu najlepszych telefonów. – Tak jej powiedz, możesz jej powiedzieć, że ten film widzów sponiewiera. Ale i wynagrodzi im to sponiewieranie. – Przez chwilę milczy. – Co mam ci powiedzieć, Carl? To film wojenny, nie wszyscy przeżyją.

A tymczasem Crack głośno czyta dział sportowy „Dallas Morning News”, prezentuje stawki bukmacherskie, żeby Holliday i A-bort mogli sobie poobstawiać. Przy okazji tego meczu można się założyć o ponad dwieście różnych rzeczy, na przykład czy wypadnie orzeł, czy reszka, od której piosenki Destiny’s Child zaczną występ w przerwie albo w której kwarcie sprawozdawca sportowy po raz pierwszy wspomni o prezydencie Bushu.

Crack mówi tak, jakby czytał przepis kulinarny:

– Pierwsze podanie Drew Hensona w meczu będzie: celne, minus dwieście, niecelne, plus sto pięćdziesiąt, przechwycone, plus tysiąc.

– Niecelne – mówi Holliday i skrobie w notesiku.

– Niecelne – zgadza się A-bort i robi ptaszka w swoim notesiku.

– A może w której kwarcie Beyoncé da mi wylizać patelnię – rzuca Sykes.

– Chuja ci da. – Holliday trzyma tempo.

– Może za milion lat – dodaje A-bort, też bez emocji. Sykes zarzeka się, że przyjąłby taki zakład, ale Albert właśnie zatrząskuje komórkę i ogłasza:

– Dobra, chłopaki, wygląda na to, że Hilary Swank jest tym oficjalnie zainteresowana.

Ej, halo, że co?

– Hilary Swank to dupa – zapluwa się Lodis. – Co ona ma z nami do gadania?

– A to – odpowiada Albert, podbija napięcie, wie, jaki efekt robi zaraz na Bravo – że chce zagrać jego. – I wskazuje Billy’ego. Bravo eksplodują wyciem i oklaskami.

– Ale chwila moment. – Billy śmieje się razem z resztą, choć jest też zaniepokojony, już widzi tu możliwość upokorzenia na skalę globalną. – Skoro to dziewczyna, to nie

bardzo wiem, jak...

– Tak naprawdę – przerywa mu Albert – widziałaby to raczej tak, że zagra i Billy’ego, i Dime’a. Obie postacie łączymy w jedną, główną rolę dla niej.

Znów wrzaski, tym razem pod adresem Dime’a, który jednak kiwa tylko głową, jakby dogłębnie usatysfakcjonowany.

– Ale ja wciąż nie rozumiem... – mówi pod nosem Billy.

– Nie jest tak, że nie dałaby rady tego zagrać tylko dlatego, że jest babką – mówi im Albert. – Meg Ryan miała pierwszoplanową rolę w tym filmie z helikopterem, tym z Denzelem, sprzed paru lat. Może też grać faceta, no cholera, przecież Hilary dostała Oscara za rolę faceta, nie? W sensie dziewczyny udającej faceta, ale na jedno wychodzi. Rzecz w tym, że ma nie tylko ładną buźkę.

Inni, z którymi rozmawia Albert: Oliver Stone, Brian Grazer, Mark Wahlberg, George Clooney. To historia heroiczna, choć nie bez elementów tragedii. Opowieść o bohaterstwie uszlachetnionym tragedią. Filmy o Iraku „słabo się spisywały” finansowo, co według Alberta stanowi pewien problem, ale to nie jest problem Bravo. Ta wojna może i jest ubabrana po uszy w moralnych dwuznacznościach, lecz triumf drużyny Bravo przekreśla je wszystkie. Ich historia to opowieść o ocaleniu, ma w sobie całą mocarną psychologię fabuły o „wyprawie na ratunek”. Ludzie głęboko przeżywają takie opowieści, tak mówił im Albert. Każdy się czymś martwi, każdy właściwie przez cały czas czuje się – choćby w minimalnym stopniu – skazany na zagładę, nawet ci najbogatsi ludzie sukcesu, ci najmocniej spośród nas wszystkich stojący na nogach żyją w wiecznym niepokoju, że zaraz wszystko się rypnie. Desperacja to po prostu część człowieczeństwa, kiedy więc nadchodzi pomoc, czy to będzie książę na białym koniu, czy, powiedzmy, komputerowo animowane orły, które opadają na buchające ogniem skały Mordoru, czy szarża jankeskiej kawalerii gdzieś zza horyzontu, uwalnia to w ludzkiej *psyche* potężne emocje. Dowartościowanie, odkupienie, życie wyrwane z paszczy śmierci, same mocne tematy. Potężne.

– To, czegoście tam dokonali – zapewniał ich Albert – to najpiękniejszy aspekt człowieczeństwa. Daje nam nadzieję, pozwala czuć, że i we własnym życiu możemy mieć na coś nadzieję. Na całym świecie nie znajdzie się człowiek, który nie zapłaciłby za bilet na taki film.

Albert jest już mocno po pięćdziesiątce, masywny szkielet obleczony w pulchne ciało, ze zmierzwioną chmurą przeważnie siwych włosów i gęstymi, sztywnymi żywopłotami bokobrodów. Nosi okulary w okrągłych czarnych oprawkach. Żuje gumę. Jego dłonie są duże i kościste, a z uszu sterczą ciemne kępy dzikiego włosia. Dziś ma

na sobie białą elegancką koszulę z rozpiętym kołnierzykiem, granatowy blezer z olśniewającą szkarłatą podszewką, czarny kaszmirowy płaszcz i takiż szalik, a do tego smukłe, zgrabne lakierki wyglądające tak, jakby wykonano je z elastycznych tabliczek czekolady. Ten melanz nonszalancji i wykwintu budzi w Billym nieustającą fascynację: widzi on tu człowieka tak światowego, że mógłby zeżreć całe Bravo na śniadanie, łącznie z kośćmi. Oto gość, który ma prywatne numery telefonów do takich szczyh jak Al Gore czy Tommy Lee Jones, a w filmach, które wyprodukował, grały kasowe gwiazdy: Ben Affleck, Cameron Diaz, Bill Murray, Owen Wilson, dwaj z czwórki Baldwinów itede. Niestety, wszyscy oni albo są już zaangażowani w inne projekty, albo nie interesuje ich produkcja z dużą obsadą, bez wyróżniającej się pierwszoplanowej roli.

– Zrobimy to na *Pluton* – mówi Albert w następnej rozmowie. – Grupa plus gwiazda, cholera, pewnie, że to wypali. Hilary jest bardzo zainteresowana.

Bravo przysłuchują się temu przez minutę. Hollywoodzka nawijka. To osobny plemienny dialekt, suto okraszony przeskokami tonacji: zjebka, młotkowanie, wytyki, ściema.

– W życiu. Prędzej bym puknął Matkę Teresę, niż zrobił film z tym typem.

Bravo się szczerzą.

– Aha, jasne. Jak lewatywa, kiedy masz jeszcze w pycie cewnik.

Bravo mają oczy jak spodki, rechoczą do obsmarkania.

– Tylko jedna bitwa?! Larry, weź daj spokój, *Helikopter w ogniu* to też tylko jedna bitwa. Słuchaj, ja wiem, to film wojenny, ale potrzebny mi reżyser, który podejdzie do tej historii z empatią, po ludzku.

Pauza.

– Do lewatyw nic nie mam, to ten cewnik mnie boli.

Znowu rżenie przez nosy. Gdyby nie pasy, Lodi spadłby z fotela.

– Larry, słuchaj, dwa dni i koniec gadania. Za dwa dni moje chłopaki wracają tam, potem dostęć będziesz miał radykalnie utrudniony. Chyba że waszych prawników jarają skoki ze spadochronem w strefę walk.

– Doooo-bra. – Crack podejmuje lekturę gazety, szeleści papierem. – Czy Drew Henson wykona niedokładne podanie: tak, minus sto dwadzieścia, nie, plus sto pięć.

– Tak – mówi Holliday.

– Nie – mówi A-bort.

– Czy Beyoncé pokaże mi cycki, kiedy już siądzie mi na twarzy – podsuwa Sykes i zaraz zaczyna śpiewać skrzekliwym falsetem czarnoskórej dziewczynki: – *Ja chcę wojaka, wojaka, chcę mieć chłopaka wojaka już...*

– Cisza – szczeka Dime – Albert ma rozmowę. – Reszta Bravo bierze to za sygnał, by wsiąść na Sykesa z wrzaskiem:

– Stul pysk, pojebie, Albert ma rozmowę!

– Ciszej tam, obesrańcu, Albert chce rozmawiać!

Tymczasem na sąsiednim pasie zrównał się z nimi SUV, a kobiety, autentyczne okazy płci żeńskiej, wychylają się z niego przez okna i wrzeszczą coś do ich hummera, studentki, może ciut po studiach, co do jednej pierwszorzędne przykłady tego cyncatego zbioru stuprocentowo amerykańskich uzdolnionych, które panoszą się każdego wieczora w przeróżnych *reality shows*.

– Ej! – wrzeszczą, a samochody pełzną naprzód. – Ej, otwórzcie okna! Ej, wy tam, jak wam tam, macie i pieniądze, i fantazję? Heeej, sialala, naprzód Cowboys! No, otwórzcie okna!

Jezus Maria, takie śliczne i takie w chuj nakręcone, wrzeszczą, miotają włosami, jakby wywijały wspaniałymi bitewnymi sztandarami, oto są dzikie dziewczyny z najskrytszych marzeń każdego Bravo. Sykes i A-bort kombinują z oknami po tej stronie limuzyny, zbierają od reszty zjeby za nieogarnięcie, aż wreszcie dociera do nich, że to, cholera, pozabezpieczane, żeby dzieci się nie wychylały, więc wszyscy drą się do przodu, aż w końcu kierowca robi pstryk guziczkiem, okna jadą w dół, i od razu widać, jak z dziewczyn schodzi para. A, żołnierze. „Marines”, myślą sobie pewnie, bo dla lasek to żadna różnica. Nie gwiazdy estrady, nie wysoko opłacani zawodowi sportowcy, nikt z filmów czy świata godnego uwagi tabloidów, tylko trepy, wożą się na koszt jakiegoś milionera, kolejna żenująca akcja wspierania naszych żołnierzy. Bravo się nie poddają, ale dziewczyny teraz są już tylko uprzejme.

– Jesteśmy sławni! – drze się A-bort. – Zrobią o nas film!

Laski uśmiechają się, kiwają głowami, rozglądają po autostradzie w przód i w tył, jakby szukały lepszych celów. Sykes wytyka za okno cały tułów i wrzeszczy – Ej, laska, pewnie, że jestem skuty, i do tego żonaty! Ale i tak cię będę kochał, nawet rano bez makijażu!

Tym przynajmniej dziewczyny rozbawił, przez chwilę wraca nadzieja, ale Billy widzi, że blask w ich oczach gaśnie.

Siada wygodniej, wyciąga komórkę. Laski pewnie od początku robiły sobie jaja. *Acz-ność!* – napisała mu w esemesie Kathryn, siostra. – *Ale broń zostaje w kaburze, młody.*

Następny jest od Pete'a, męża drugiej siostry Billy'ego, który robi na polach naftowych: *Puknij se czirliderke.*

No i jeszcze jeden, od pastora Ricka, co się przypiął i nie odpuszcza: *Tych bowiem, którzy Mnie szanują, szanuję i Ja.*

I tyle, ani jednego esa więcej, żadnych nieodebranych rozmów, nic. Kurwa, co jest, jakby nie miał żadnych znajomych? Przecież jest trochę jakby sławny, przynajmniej tak mu wszyscy powtarzają, więc czemu by nie. Na drodze trochę się odetkało, dzięki laski gdzieś przepadły, ale na horyzoncie wyłania się już stadion, wznosi się z połaci preriowych suburbiów niczym nabrzmiały, upstrzony brodawkami księżyc w trzeciej kwadrze. Ponoć mają dziś wystąpić w ogólnokrajowym programie telewizyjnym, szczegóły jeszcze nieznane, nikt nie wie, jaki dokładnie jest plan. Może dostaną tekst do wygłoszenia. Może będą wywiady. Krążą pogłoski, że chodzi o występ w połowie meczu, co budzi nadzieję na osobiste spotkanie z Destiny's Child, ale równie – albo i bardziej – prawdopodobne jest to, że zostaną skłonieni, namówieni, zagnani czy jeszcze inaczej zaszczuci do pokazania się w czymś kosmicznie żenującym i kiepskim. Już w lokalnych programach było słabo – w Omaha nagrali bardzo sztywnych Bravo „obcujących” z nowym wybiegiem dla małp w tamtejszym zoo, a w Phoenix zabrano ich do skateparku, gdzie Mango wyjechał się na tyłek w sam raz na wieczorne wiadomości. Kiedy prosty człowiek trafia do telewizji, zawsze czyha na niego upokorzenie, więc Billy poprzysiągł sobie, że jemu to się nie przydarzy, nie dziś, nie w programie ogólnokrajowym, nie, *sir*, bardzo dziękuję, z całym szacunkiem nie będę robił z siebie debila, *sir!*

Myśl o możliwych zdarzeniach wzbudza w jego trzewiach pisk, jakby ktoś go przekłuł szpilką i uciekało powietrze. Billy chce być w telewizji, ale i nie chce. Chciałby znaleźć się na ekranie, o ile nie dałby ciała i zwiększyłby szanse na zaruchanie, ale kiedy tak patrzy, a stadion za oknem pęcznieje do rozmiarów Gwiazdy Śmierci, zastanawia się, czy aby na pewno podoła dzisiejszym wyzwaniom. Przez te ostatnie dwa tygodnie miał wielkie problemy z pewnością siebie, czuł się jak rzucony na stanowczo za głęboką wodę. Jest zbyt młody. Za mało wie. Nie licząc prowincjonalnych wyścigów dragsterów, na których spikerkę robił kiedyś jego ojciec, nigdy nie był na zawodowej imprezie sportowej. Ba, jakimś cudem nigdy przedtem sławetnego Texas Stadium nawet nie widział na oczy, chyba że za redukującym

pośrednictwem telewizora, choć wychował się w Stovall, ledwie osiemdziesiąt mil na zachód stąd, więc ta pierwsza osobista wizyta wydaje się historycznym wydarzeniem, a w każdym razie się stara. Billy przez dłuższy czas wpatruje się w bryłę stadionu, naprawdę uważnie ją obserwuje, docenia rozmiar i brak humoru, brutalną i nieusuwalną brzydotę. Całe lata starannie upozowanych ujęć w telewizji wysyciły ten obiekt sugestiami tajemniczości i romantyczności, kapką dumy stanowej i narodowej, nutą życia wiecznego na farańską modłę (to oczywista konotacja przy wielkich budynkach użyteczności publicznej), wszystko to czyni ze stadionu wyobrazonego przez Billy'ego jakiś portal, bezpośredni punkt dojścia do swego rodzaju transcendencji dla mas, gotowej do użycia, tylko sięgnąć, przez co faktyczna obskurność tego obiektu powoduje paskudne zniechęcenie. Duży jest, bez dwóch zdań, ale wygląda jak niechlujna samoróbka w ogródku. Zadaszenie to szpetna mozaika płatów w niezgranych kolorach. Cały stadion zdaje się oklapnięty, podtatusiały, jakby z krainy obwisłych brzuchów i mięknących prostat, porażonych grawitacją cielsk wielorybów na piasku. Billy próbuje sobie wyobrazić, jak to mogło wyglądać za nowości, kiedy jeszcze obiecująco lśniło... jak dawno temu? Trzydzieści, czterdzieści lat? Z przeszłości nigdy nie był mocny, ale jest pewien utajony związek między tym, co Billy czuje teraz, gdy patrzy na stadion, a uczuciami, których doznaje, myśląc o rodzinie. Ta sama ociężałość, to samo otępienie i melancholia, taki mdląco słodkawy smrodek użalania się nad sobą, niemalże przyjemny – w takim sensie, że sugeruje coś istotnego. Jak gdyby smutek był prawdziwą rzeczywistością? Billy nigdy nawet nie zastanowił się nad tym tak głębiej, a jednak przyjął, że utrata to w życiu standardowy kurs. Coś nowego pojawia się na świecie – dziecko, czy może samochód albo dom, czy ktoś ujawni jakiś szczególny talent – i przy odrobinie szczęścia oraz ogromnych nakładach wysiłku i ducha da się to przez jakiś czas trzymać pod parą, ale w końcu, ostatecznie, i tak padnie. Jest to prawda tak brutalnie oczywista, że Billy nie potrafi pojąć, jakim cudem nie dostrzega jej więcej ludzi – stąd też jego pogarda dla zwyczajowego szoku i oburzenia mas, kiedy jakaś sytuacja idzie w diabły. Wojna to chujnia? No co pan nie powie. Jedenasty wrześnie? Kto się tego nie spodziewał? Oni nienawidzą naszych swobód? Helou, gościu, tak naprawdę to oni nienawidzą nas samych, aż do szpiku kości! Billy podejrzewa, że jego bracia Amerykanie w głębi serca wiedzą, co jest grane, ale coś w tym kraju zakleszczyło się na etapie dramatów nastolatków, rozbuchanego teatryku sponiewieranej niewinności i kojących kąpeli błotnych samousprawiedliwień i samoużalania.

– Kurwa – mówi ktoś pod nosem, chwilowy przerywnik ciszy: ich pierwszy spazm entuzjazmu na widok stadionu zaliczył już zgon, wszystkie słowa trafiły pod klucz.

Może to pogoda tak ich zdołowała, ta wczesnozimowa ponurość, może trema czy po prostu znużenie, brzemie świadomości, że dziś będą musieli wiele z siebie dać. Bravo generalnie słabo sobie radzą z ciszą, z reguły działają na ściemnie i pozerstwie, ale ten epizod introspekcji się kończy, kiedy widzą duży, starannie wypisany domowej roboty transparent umocowany do przydrożnego słupa energetycznego. SKOŃCZYĆ Z ANALNYMI GWAŁTAMI W IRAKU! – głosi napis, pod którym ktoś nagryzmolił jeszcze: „No jak rany”. Bravo wyją.

Szeregowy w piechocie

Są na miejscu dwie godziny przed rozpoczęciem meczu i wygląda na to, że nikt nie wie, co z nimi począć, więc tymczasem mają zaparkować na swoich miejscach, na linii czterdziestu jardów po stronie gospodarzy, rząd siódmy. Sykes i Lodis z miejsca zaczynają debatę o tym, po ile chodzą takie zajebiste miejsca, ile by się za nie zgarnęło na eBayu, czterysta dolców, sześćset, przebijają się coraz wyżej, cała analiza oparta wyłącznie na chciejstwie i niedoborze mózgu. Rozmowa między debilami, więc Billy stara się nie słuchać. Jego siedzenie jest zaraz przy przejściu, po lewej siedzi Mango, więc przez chwilę gadają sobie o poprzednim wieczorze i o tym, jak fajnie jest siedzieć tutaj, a nie smarkać piachem w wysuniętej bazie operacyjnej „Żmija”. Na lewo od Mango siedzi Hebert, znany jako A-bort, dalej Holliday, czyli Day, następnie Lodis vel Lodziarz, Lodówa albo po prostu Load, później Koch – wymawia się jak coke, koka, czyli woła się go Crack, a kiedy kucnie i spod gaci wychynie kawałek rowa, to nawet „zabójczy Crack”, potem jest sierżant Dime, wolne miejsce dla Alberta i wreszcie nieogarnięta zagadka, czyli major Mac. Wszyscy mówią, że jest zimno, ale Billy tego nie odczuwa. Według prognozy pogody późnym popołudniem kroi się marznący deszcz i śnieg z deszczem, a przez otwartą kopułę stadionu widzą, że chrzani się pogoda, chmury kłębią się jak gigantyczny druciak do szorowania garnków. Na wpuł puste trybuny – jeszcze wcześniej – buczą cicho, niczym froterka czy kołyszący się wahadłowo wentylator.

– Load! – szczeka sierżant Dime. – Ile na długość ma boisko do futbolu?

Lodis prycha, no, łatwizna. Przynajmniej dziesięć razy dziennie udowadnia, że pewność siebie to cecha autentycznego głąba.

– Setkie, sierżancie.

– Źle, debilu. Billy, jaką długość ma boisko do futbolu?

– Sto dwadzieścia jardów. – Billy stara się nie podkreślać sytuacji, ale Dime zaczyna oklaski i wiwaty, a reszta Bravo idzie jego śladem.

Łooo, Billy, dajesz. Coś mu nie gra z tym, że Dime wciąż tak go wyróżnia, tu przysługa, tam pochwała, i że robi to tak otwarcie, jakby prowokował resztę Bravo, żeby go skontrolowali. To jak jakaś kara, której Billy jeszcze nie rozkminił, ale nauczanie przez agresję to specjalność Dime’a.

– NIE! – drze teraz ryja na Sykesa, który błaga o pozwolenie na kilka niedużych zakładów. Raz dobił do limitu na kartach kredytowych pornołami i teraz sierżant założył mu kłódkę na portfel.

– Sierżancie, tylko pięć dych.

– Nie.

– Odkładałem...

– Nie.

– Wszystko wyślę żonie, co do centa...

– A żebyś kurwa wiedział, ale żadnych zakładów.

– Sierżancie, proszę...

– Sucks, był rozkaz mówić? – I z tymi słowy Dime przestępuje przez krzeselko przed sobą, sunie bokiem przez pusty rząd przed miejscami Bravo. – Panowie, jak jest? – rzuca, dochodząc do końca rzędu.

– Luzik, sierżancie – mówi Mango.

– Jak się jeszcze bardziej wyluzujesz, będziemy musieli cię w worki popakować, sprzedawać jako mango luzem. Lodis wciąż się upiera, że boisko do futbolu ma sto jardów długości.

– Bo ma! – drze się Lodis przez cały rząd. – No weź, kto liczy pola punktowe.

– Sierżancie – jocy Sykes – no proszę, ten jeden raz...

– Ryj! – warczy Dime, a pień jego karku obraca się, jakby sierżant zamierzał ukręcić sobie głowę własnym impetem. Potem jednak jego wzrok spoczywa na Billym, i oto proszę: Spojrzenie Władzy, nieruchomy płomień oczu Dime'a koncentruje się na mikrym *ego* szeregowca. Ostatnio często się to zdarza i Billy łapie od tego stresy: stężały spokój w szarych oczach Dime'a, któremu towarzyszy poczucie kłębiącej się na obrzeżach szalonej energii, jakby się wpadło w oko cyklonu.

– Billy.

– Panie sierżancie?

– Opinia w temacie tego układu z Hilary Swank.

– Sam nie wiem, panie sierżancie. To jakby trochę dziwne, że babka będzie grała faceta.

– Billy, coś ty, nie słyszałeś? Dzwonne to nowa norma. – Dime'a roznosi energia dnia meczu, ramiona chodzą jak wahadła, biodra gibią się w półunikach i zwodach. – Ale słyszałeś, co mówił Albert, może jednak zagra babkę. Przerobią cię na laskę, co ty na

to? I przez resztę życia ludzie będą gadali: „O, idzie Billy Lynn. Dał się przerobić na babę w tym filmie, co o nich zrobili”.

– Pana też chce zagrać, sierżancie. I co, zgodzi się pan?

Dime śmieje się, tak raczej wargowo.

– Wiesz, co ci powiem? Możliwe. Jeśli weźmie mnie sobie za chłopaka, tak na parę tygodni, może dam się przekonać.

Teraz rechoce już w najlepsze, z zabójczą niewinnością właściwą ludziom genialnym, a łatwo się nudzącym. Sierżant sztabowy David Dime to dwudziestoczteroletni OMC magister z Karoliny Północnej, prenumeratorem „Wall Street Journal”, „New York Timesa”, „Maxima”, „Wired”, „Harper’s”, „Fortune” i magazynu „DicE” – czyta to wszystko, a na dodatek jeszcze trzy–cztery książki tygodniowo, najczęściej używane podręczniki do historii i polityki, które przesyła mu z Chapel Hill siostra, nieprzytomnie seksowna laska. Krążą plotki, że na uniwersytecie dostał się ze stypendium za grę w golfa, ale zaprzecza. Że był topowym rozgrywającym w licealnej drużynie futbolowej – twierdzi, że tego nie pamięta, choć któregoś dnia na wysuniętej bazie operacyjnej „Żmija” pojawiła się piłka, a wtedy Dime dał się może ponieść chwili, nostalgia odblokowała dawno uspioną pamięć motoryczną, i cisnął ją, ciasno podkręconą, na ponad pięćdziesiąt metrów: śmignęła nad głową Daya gdzieś w park maszyn. W Afganistanie zainkasował Purpurowe Serce i Brązową Gwiazdę, a wśród pozostałych sierżantów z kompanii ma ksywkę „Liberał Jebany”, ale w Bravo nadzwyczajne było to – istny cud, który Billy uświadamiał sobie dopiero z czasem, etapami – że w drużynie znajdował się nie jeden, lecz dwaj ewidentnie pierwszorzędni żołnierze, obaj mający równo wywalone na bieżące prawidła wiary. Kiedy wiceprezydent Cheney przybył do bazy „Żmija”, by podbudować morale wojska, Dime i Grzybas wiwatowali z tak chorym zapamiętaniem, że nawet kapitan Tripp zauważył, jak potwornie darli z gościem łacha. Łohoho, tajest, Dick! Napierdalaj! Dajesz, Dick, dajesz! Łohoho, nakopieśmy szmaciarzom w dupy! Cały pluton chichrał się i prychał, mało się w gacie nie posikali, aż wreszcie kapitan puścił do Dime’a karteczkę, że „zaraz mi się tu kurwa uspokoić”, choć Cheney wyglądał na całkiem zadowolonego z przyjęcia, kiedy tak stał na podium w spodniach khaki z kolekcji L. L. Bean, z dłońmi w kieszeniach, z wiatrówką NASA zapiętą pod samą brodę, chwalił załogę bazy za ducha bojowego i serwował optymistyczne wieści o przebiegu wojny. „Nie ma cienia wątpliwości...”, mówił. „Najświeższe dane wywiadowcze...”, mówił. „Nasi dowódcy w terenie...”, mówił, a wszystko to tym typowym cheneyogłosem, który brzmiał jak modulowany sygnał wolnej linii, a sprawiał, że każde słowo wydawało się

zajebiecie roztropne. A cóż takiego wówczas powiedział? A, prawda. Jak twierdził, bojownicy ciągną już ostatkiem sił.

– Albert! – drze się Dime. – Billy myśli, że Hilary Swank jest dziwna.

– Chwila. Nie. – Billy obraca się, a tu już po schodach zstępuje Albert, uśmiechnięty, tak po kalifornijsku, na luzie, ale z lekkim zdziwieniem. – Powiedziałem tylko, że to dziwne, że chce zagrać faceta.

– Hilary jest OK – mówi łagodnie Albert. – Prawdę mówiąc, to jedna z najmilszych kobiet w całym Hollywood. Ale pomyśl tylko o tym, Billy – młody piechur jest ciągle w szoku, że Albert zwraca się do niego po imieniu. Chciałby mu wyjaśnić, Chłopie, nie trzeba, nie musisz zapamiętywać mojego imienia. – ...oto największe wyzwanie dla każdego aktora: zagrać postać odmiennej płci. Świetnie rozumiem, dlaczego ją to interesuje.

– On nie chce, żeby grała go laska – odzywa się Dime. – Boi się, że ludzie pomyślą, że sam jest pizda.

– Albert, nie słuchaj go wcale.

Albert zachichotał i przez chwilę myśli Billy'ego krążyły wokół Świętego Mikołaja, też rubasznego grubasa.

– Nie stresujcie się, chłopaki. Przed nami jeszcze daleka droga, zanim będziecie mieli się czym przejmować.

Albert wyznaczył sobie cel: sto tysięcy z góry za historię życia każdego z chłopaków z Bravo, plus wszelkiego rodzaju ezoteryka w typie opłat, procentów, punktów procentowych i innych niepojętych spraw, co do których po prostu muszą mu zaufać. Przez ostatnie dwa tygodnie pojawiał się i znikał na Tournée Zwycięstwa – spotkał się z Bravo w Waszyngtonie, gdzieś poleciał, potem spotkanie w Denver, znów odlot, Phoenix – i odlot, a teraz, na koniec objazdu, tu w Dallas. Dwa tygodnie temu mówił, że do Święta Dziękczynienia będą już mieli umowę, ale choć wygląda na to, że Albert nad wszystkim panuje, Billy wyczuwa, że sprawa nie jest już tak gorąca, że Albert musi (choć prawie tego nie widać) napocić się przy dokładaniu do pieca. Nikt inny z Bravo nic jednak nie mówi, więc może Billy jest w błędzie. Pewnie tak. Boże drogi, obym się mylił. Gdyby wyszedł z tego wszystkiego choć trochę bogatszy, wszystkie środki poszłyby na najbardziej godną ze spraw. Kiedy Billy został przydzielony do plutonu w Fort Hood, Dime i Grzybas docierali go bez jednej przerwy, jebali go jak sukę od bandziorów, oprychów, zwyroli, i to bynajmniej nie po przyjacielsku. Czemuś się na niego uwzięli, a że kroił się już wyjazd do Iraku, a tak w ogóle zgodnie z umową pozostało mu do odsłużenia jeszcze trzy i pół roku, gdyby się

od niego nie odpieprzyli, miałyby centralnie przejebane. No i pewnego dnia wpadli na niego, kiedy pompował na siłce, i znów się zaczęło, cała litania, jaki to z niego bandzior, szmata z gangu, syfiarz. Billy wyszedł więc za nimi na korytarz i zwrócił się do nich tak oficjalnie, jak tylko umiał.

– Panie sierżancie Dime, panie sierżancie Breem, nie jestem młodocianym przestępcą, szmaciarzem ani gangsterem, więc proszę mnie już tak nie nazywać. Jestem zwykłym chłopakiem, zasuwam jak głupi, żeby tylko pluton i kompania miały ze mnie pożytek.

– Nie, kurwa – powiedział Grzybas – jesteś jebany wszarz spod poprawczaka. Tylko zwykły chuj skasowałby komuś samochód.

„No kurwa – pomyślał sobie Billy – a o tym skąd wiedzą?”

– Zależy czyj to samochód – powiedział.

– Więc czyj?

– Narzeczonego mojej siostry. Byłego narzeczonego.

To ich zainteresowało.

– A jaka to fura? – spytał Dime.

– Saab – odpowiedział im. – Kabrio, pięć biegów, alufelgi w graficie, kupiony nówka trzy miesiące wcześniej.

Wtedy byli już gotowi go wysłuchać, więc Billy opowiedział im o Kathryn, swojej średniej siostrze, rodzinnej gwiazdce, dziewczynie wyjątkowo pięknej, łagodnej i mądrej, która załapała się na częściowe stypendium na Tekszański Uniwersytet Chrześcijański. Brzmi jak bajka, nie? Robi studia z zarządzania, wstępuje do bractwa, co semestr ma średnią powyżej cztery zero. Ideał. Zaręcza się z gościem trzy lata starszym od niej, koleś robi MBA, taki trochę spięty pizduś, zadufany w sobie, ale wszystko idzie dobrze, przeważnie, powiedzmy, choć Billy potajemnie całym sercem tego typu nienawidzi. Ale nadszedł taki deszczowy poranek w maju, Kathryn kończyła właśnie drugi rok, jechała do pracy – miała posadę w agencji ubezpieczeniowej Blinna jako recepcjonistka i agentka stażystka – i wszystko było pięknie do momentu, kiedy na Camp Bowie Boulevard centralnie trzasnął ją w bok mercedes, który wskutek akwaplanacji mógł już tylko kręcić bączki. Ten ogromny czarny obiekt zbliżający się do niej jak śmigło – to właśnie dźwięk zapamiętała najbardziej, *szuf, szuf, szuf*, kiedy wirował dokoła, jakby anioł śmierci trzepotał skrzydłami. Następny moment, który pamiętała, to było już wtedy, gdy leżała na plecach, a nad nią stali trzej szpakowaci Meksykanie, próbujący osłaniać ją przed deszczem płatem tektury. Kathryn zawsze

płacze, kiedy dochodzi w opowiadaniu do tej chwili. Po prostu nie potrafi o tym mówić tak, żeby nie załamał się jej głos, kiedy opisuje tych trzech stojących nad nią, przerażonych, z szeroko otwartymi oczami, ich przemoknięte ubrania, ich szepty hiszpański, to, jak delikatnie trzymali ten karton, niczym jakiś ofiarny dar.

Nigdy im nawet nie podziękowałam, opowiada Kathryn. Po prostu leżałam tak i patrzyłam na nich. Nie mogłam nic powiedzieć. Prawdę mówiąc, wszyscy lekarze powtarzali, że nie powinna była przeżyć tego wypadku. Złamanie miednicy, złamana noga, pęknięta śledziona, odma opłucnowa, rozległe krwotoki wewnętrzne, a do tego jeszcze szwy na twarzy i plecach zawile niczym robota koronczarki, sto siedemdziesiąt poniżej szyi, sześćdziesiąt trzy powyżej. Wszystko będzie dobrze, powiedział jej dzień później chirurg plastyczny. Może zejdzie na to parę lat, ale wyciągniemy cię z tego, cały czas mam takie przypadki. Ale pizduś nie dźwignął tematu. Trzy tygodnie po kraksie pojechał do Stovall i zerwał zaręczyny, na co łagodna Kathryn *jeb* mu w twarz pierścionkiem, walnęła go tak, jak walnęłoby się o ścianę ślimakiem czy pajakiem, jak który wlezie człowiekowi na dłoń. Billy jednak uznał, że powinien zareagować istotniejszym czynem. Siostra, honor rodziny, generalnie ludzka godność – wydawało mu się, że na szali jest wszystko to i dużo więcej. Jedzie więc do Fort Worth, namierza pizdusiowego saaba pod pizdusiowym apartamentem i przerabia rzeczony pojazd na szrot i części zamienne za pomocą łomu kupionego po drodze w dyskoncie budowlanym. Gdy wlaź na dach i szykował się do tego pierwszego, potężnego ciosu w przednią szybę, zstąpił nań uświęcający spokój. Billy miał zadanie do wykonania, tak właśnie w owej chwili czuł, a po burzliwej nastoletniości, naznaczonej licznymi starciami z tą czy inną władzą oraz wieloma spierdolinami własnej roboty, zawziął się, by tym razem załatwić sprawę porządnie. Tłukł więc równo, wybierając kolejne miejsca naprawdę starannie i rozważnie. Był to miły trud. Nawet wycie autoalarmu nie wytrąciło go ze skupienia. Już od dłuższego czasu narastało w nim poczucie, że musi się w końcu zdarzyć coś drastycznego, no i się zdarzyło.

Do ukończenia liceum brakowało mu dwóch tygodni. Po kilku spotkaniach i dużej dawce urzędowej jebaniny rada szkoły postanowiła, że Billy otrzyma świadectwo, ale pocztą. Ominie go zaszczyt „wyjścia”, czyli tradycyjnej parady czwartoklasistów przez scenę podczas rozdania świadectw.

– Nie wyjdiesz na scenę – oznajmił przewodniczący rady szkoły najmroczniejszym, najbardziej posępnym tonem nabożnego potępienia, a Billy myślał, że gardło pęknie mu od wstrzymywanego śmiechu. Jakby to go, kurwa, w ogóle obchodziło! Ooooo, nie wyjdę na scenę? Ooooo, jestem skończony! Prawnik, który wytargował ten układ z radą

szkoły, miał zdecydowanie więcej roboty z uratowaniem Billy'ego przed odsiadką. Chodziło nawet nie tyle o demolkę saaba, ile o to, że pogonił pizdusia przez cały parking. Z łomem w garści.

– Przecież bym go nie uderzył – wyznał Billy adwokatowi. – Chciałem po prostu patrzeć, jak typ ucieka. – Fakt, Billy śmiał się wówczas tak, że ledwie mógł utrzymać się na nogach, a co dopiero porządnie tamtego pogonić.

Prokurator zgodził się zmienić kwalifikację czynu z przestępstwa na wykroczenie, jeśli Billy wstąpi na ochotnika do wojska. Wydawało się, że koszary to tylko miejsce, w którym przyjdzie odkiwać swoje, takie samo jak każde inne, a na pewno lepsze od więzienia, gdzie Billy noc w noc byłby gwałcony przez byków o ksywkach typu Proboszcz czy Świniak. I tak to się stało, że w wieku osiemnastu lat wskoczył w kamasze, szeregowy w piechocie, na samym dole drabinki.

– A co tam u siostry? – spytał Grzybas, gdy Billy zakończył tę opowieść.

– Coraz lepiej – odparł Billy. – Mówią, że wyjdzie z tego jak nowa.

– I tak jesteś jebany oprych – powiedział Dime, ale potem już go tak nie dojeżdżali.

Problem jest zasadniczo z twoją głową, ale wiemy, jak to leczyć

Billy ma nadzieję, że niedługo Josh przyniesie mu advil. Pięć danielsów z colą tylko podsyciło kaca, a teraz, kiedy przestał pić, boli jeszcze bardziej. Dime i Albert stoją w przejściu, sierżant opowiada producentowi o wczorajszym pogrzebie Grzybasa, jak to nabożeństwo, które powinno być wyjątkowo uroczystym hołdem dla uduchowionego poległego, z czytaniem z Tao czy antywojennego wiersza Allena Ginsberga *Wichita Vortex Sutra*, z modlitwami odprawianymi przez jednego ze starszych miejscowego szczepu Kruków, przeobraziło się w cyrk urządony przez chrześcijańskich czubków, których grupka ustawiła się pod kościołem z transparentami typu BÓG WAS NIENAWIDZI 2 TES 1,8 czy AMERYKAŃSCY ŻOŁNIERZE IDĄ DO PIEKŁA, wyrzaskując rytmiczne hasła o aborcji, martwych niemowlętach i przekleństwie, które Bóg spuścił na Amerykę.

– Obłęd – mówi Albert. – Ohyda. Wierzyć się nie chce.

– Ej, Albert – woła Crack – przypilnuj, żeby było o tym w filmie.

Albert kręci głową.

– Przecież nikt by nie uwierzył.

Sterowiec reklamowy Goodyear mozolnie kręci kółka nad stadionem, kolebiąc się jak kliper w sztormie. Na telebimie puszczają hołd dla świętej pamięci wielkiego Boba Hayesa zwanego „Pociskiem”, a wzdłuż krawędzi górnej łoży wyświetlane są nazwiska i numery z koszulek „Pierścienia Honoru” drużyny Cowboys: Staubach. Meredith. Dorsett. Lilly. Bez dwóch zdań, to wielkie chwile, dziś na całym świecie nie dzieje się w sporcie nic ważniejszego, a Bravo są w samym spienionym środku tego wydarzenia. Za dwa dni wracają do Iraku, na pozostałe jedenaście miesięcy przedłużonej tury bojowej, ale na razie tkwią głęboko w bezpiecznym łonie wszystkiego, co amerykańskie: futbol, Święto Dziękczynienia, telewizja, chyba z osiemset różnych rodzajów policji i innych służb ochrony, a do tego trzysta milionów współobywateli trzyma za nich kciuki. Czy też, jak to ujął jeden roztrzęsiony dziadek w Cleveland, „Wy JESTEŚTA Ameryka”.

Billy zawsze dziękuje ludziom za takie wypowiedzi, choć nie ma pojęcia, o co im właściwie chodzi. Akurat teraz myśli sobie, że gdyby się wyrzygał, mógłby poczuć się

lepiej. Mówi do Mango, że idzie się odlać, na co Mango rozgląda się, czy aby Dime ich nie obcina, i szepcze:

– A nie chciałbyś walnąć browca?

No kurwa pewnie.

Idą w górę, po dwa stopnie naraz. Z rzadka ktoś pozdrawia ich okrzykiem, Billy macha w ich stronę, ale nie podnosi oczu. Ciężko pracuje. Normalnie jakby jego życie zależało od tej wspinaczki, od pokonania siły ssącej tej ogromnej pustki przestrzeni wnętrza stadionu, która próbuje ściągnąć go z powrotem niczym podstępny wir. W ciągu ostatnich dwóch tygodni okazało się, że wyprowadzają go z równowagi rzeczy olbrzymie: wieże ciśnień, drapacze chmur, mosty wiszące i inne takie. Wystarczył przejazd koło Monumentu Waszyngtona, żeby zmiękły mu kolana – to, jak ta budowla wyrывała przesywający skowyt z otaczającego ją bezdusznego nieba. Billy nie podnosi więc głowy, skupia się na marszu naprzód, a kiedy już docierają na zaplecze, czuje się lepiej. Znajdują kibel – tam sika, rzyganie sobie odpuszcza – po czym kupują po piwie w pizzerii Papa John's. Teoretycznie w mundurach nie powinni pić, ale co może im zrobić wojsko? *Wyślą nas do Iraku?* Chłopaki proszą jednak, żeby nalać im w kubki od coca-coli, a zanim Billy weźmie choć łyk, daje swój kubek do potrzymania Mango, a sam ciśnie pięćdziesiąt pompek na betonie zaplecza. Szlag go trafia, jak się zapuścił. Przez ostatnie dwa tygodnie nic, tylko samoloty, limuzyny i hotele, zero czasu na siłkę, nie było jak rzeźbić skilla. Co tu kryć, zrobili z Bravo pizdy przez te dwa tygodnie, tak że teraz wrócą na wojnę zasiedzali, zjebani, odpowiednio gorsi w walce.

Łupie mu w głowie, kiedy wstaje, ale ogólnie czuje się lepiej.

– Pompki, a browar na popitkę – komentuje Mango.

– Żebyś wiedział.

– Jak myślisz, chrzczą je tutaj?

– Facet, weź go tylko spróbuj.

– Mówią, że nie chrzczą, ale i tak czuć wodą. To nie to samo i już.

Billy kiwa głową.

– Ale i tak pijemy.

– I tak pijemy.

Stają pod murem i sączą piwo, chwilowo wystarcza im patrzeć na przewalającą się ciżbę. Tyle tu odmian, że można by to porównać do sceny migracji zwierzyny w filmie przyrodniczym: znajdzie się każdy typ sylwetki, wiek, rozmiar, barwa skóry, rozmaite oznaki zamożności lub jej braku, choć dominują dobrze odkarmieni Anglosasi. Od

kiedy znalazł się na linii frontu jako ich przedstawiciel, Billy bez przerwy łapie się na rozważaniach o tych ludziach. O czym oni myślą? Czego pragną? Czy w ogóle wiedzą, że żyją? Jak gdyby trzeba było długiego i intymnie bezpośredniego narażania się na śmierć, by do końca wypełnić sobą doczesną egzystencję.

– Jak myślisz, co tym tutaj chodzi po głowach?

Mango waha się przez chwilę, po czym rozchyła te swoje długie wargi w kojocim uśmiechu.

– Poważne sprawy. No wiesz, w sensie Bóg. Filozofia. Znaczenie życia. – Śmieją się obaj. – Nie no, łosiu, weź na nich popatrz. Myślą sobie o meczu, czy ich drużyna nadgoni z wynikiem, czy nie. Czy napada im na łby tam, gdzie siedzą. Co wybrać do zjedzenia. Ile jeszcze do wypłaty. Takie pierdoły.

Billy kiwa głową. To by się pewnie zgadzało. Nie wini tych ludzi za tak przyziemne dumania, a jednak, a jednak... wojna sprawia, że chciałby czegoś więcej niż tylko obwisłe żuchwy i tępe spojrzenia odpasionych przeżuwaczy. Ludu, mój ludu, bracia Amerykanie! Ujrzyjcie świat oczyma proroka! Praktycznie każdy ma na sobie takie czy inne gadżety Dallas Cowboys, kurtki i czapeczki z logo niebieskiej gwiazdy, luźne bluzy z kapturem lub bez, srebrzysto-niebieskie szaliki, długie kolczyki i innego rodzaju klubowe błyskotki, niektórzy mają nawet wymalowane na policzkach miniaturki kasków Cowboys. Billy zauważa, że wzrusza go to autentyczne pragnienie wykazania silnej więzi z klubem. Kobiety ubierają się na meczowo zdecydowanie lepiej niż mężczyźni, wielkie draby, którym klubowe bluzy wystają spod skrajów kurtek, a nogawki spodni wiszą jak worki aż do obcasów, co koszmarnie skraca ich wizualnie, tak że wyglądają jak banda wyrośniętych dwunastolatków.

Ludu, mój ludu. Żołnierze dopijają piwo w poczuciu dobrze wykonanej roboty, a gdy wracają na miejsca, Billy twardo wpatruje się w schodki w przejściu, nie zerka na tę całą beztreść, która próbuje wbić mu szpony w twarz. Ryje mu to mózg, ta potworna pustka, która tu zawisa, olbrzymie, niczym niewypełnione miejsce w centrum tworzy coś w rodzaju próżni, tak że cała grawitacja zdaje się skierowana, niczym w odwróconej muszli klozetowej, ku temu wielkiemu, szeroko rozwartemu otworowi u góry. Billy jest autentycznie spocony, kiedy siada na swoim miejscu. Niektórzy Bravo piszą esemesy, inni gapią się na boisko, jeszcze inni żują gumę albo plują tytoniem w kubeczki. Nagle Mango się zapomina i wrywa mu się iście sejsmiczne beknięcie, równie dobrze mógłby wrzasnąć: **Browar!**, a Dime zaraz obraca się ku niemu niczym rekin, co zwęszył krew.

– Gdzie jest major Mac? – pyta czujnie Billy. Prymitywny patent na odwrócenie uwagi, ale działa.

Dime rozgląda się w lewo, w prawo.

– Gdzie major Mac? – szczeka na resztę drużyny. Bravo zespołowo kręci głowami, zaraz wybuchają śmiechem. O ja cię! Major Mac zniknął!

– Billy! Mango! Znaleźć majora!

I znów w górę po schodach. Billy kuli się pod tą przerażającą przestrzenią. Stadion jest przeogromny. Wypaczony. Wypacza też ludzki umysł. Od razu prują do Papa John's, kupują sobie po piwie. Tym razem, kiedy Billy ciśnie pompki, wokół zbiera się mały tłumek: odliczają, a gdy kończy – biją brawo.

– Jeszcze raz! – woła któryś, ale Billy tylko unosi piwo w geście pozdrowienia i pije. Ruszają z Mango w drogę.

– Powinno pójść łatwo.

– Jasne, co to jest osiemdziesiąt tysięcy ludzi, nie?

– Gdybyś ty był majorem, dokąd byś poszedł? I kiedy?

– Facet, pewnie zabrali go z powrotem do fabryki na orbicie.

Śmieją się. Major Mac rzadko się odzywa, praktycznie nie je ani nie pije, nikt też nie widział, by się załatwiał, co zrodziło w Bravo domniemania, że to jakiś nowy typ człowieka, przyswajający pokarmy i wydalający odchody przez pory skóry. Dzięki tajnym kanałom informacji sierżant Dime dowiedział się, że major już pierwszego dnia na wojnie wpadł na minę, i to nie jeden, lecz dwa razy, co spowodowało poważny, ale jak na razie nie do końca określony uszczerbek słuchu. Od tamtego czasu wojo zapakowało go do biura rzecznika, tymczasowo, póki nie wymyślą, co z nim począć. Major jest jak spod dłuta, dołeczek w brodzie, plecy jak struna, w każdym calu modelowy żołnierz, co mogłoby tłumaczyć, jakim cudem utrzymał się tak długo, bo szczerze mówiąc, głuchy jest jak pień, nie wspominając już o napadach skrajnego oderwania od rzeczywistości. W sensie że nikogo nie ma w domu. Jak po udarze. Albo na towarze. Można nasikać na ognisko, gwizdnąć na psy, biwak skończony. Dime mówi, że major jest wypalony walką i prozakiem.

Poszukiwania majora to jedno z miliona bezsensownych zadań, dzięki którym wojsko jest wojskiem, ale Billy zdecydowanie woli robić to, niż siedzieć na dupie, a do tego fajnie jest łączyć z Mango, nie tylko przez szacun na dzielni za najlepszego kumpla – Latynosa, ale i przez to, że bije od niego spokój i towarzyski nastrój. Mango nie panikuje, wojna czy nie. Twardy jak skurczybyk, nigdy nie narzeka, na krzepkie

metr siedemdziesiąt dwa jest gotów narzucić konkretne kilogramy i tachać je bez narzekania, a do tego statystyki sportowe i fakty historyczne zapamiętuje jak komputer: potrafi na przykład wyrecytować nazwiska nie tylko prezydentów Stanów Zjednoczonych, ale i wiceprezydentów – co przeważnie zaraz ucina wszelkie gadki o nielegalnych imigrantach. Raz jeden zdarzyło się, że Billy widział, jak jego kumpel się rozsypał, i nie było to podczas bitwy ani przy żadnym ostrzale z moździerzy czy raket, pod kulami snajperów czy po wybuchu przydrożnej miny. Nawet nie wtedy, kiedy wydmuchnęło go z wieżyczki hummvee, kiedy dopytywał się: „Wystaje mi coś z głowy?”. Nie panikował, poza tym jednym dniem, kiedy samochód pułapka zmiótł punkt kontrolny Trzeciego plutonu i Bravo przydzielono do zabezpieczenia terenu. Z którejkolwiek strony patrzeć, fatalny dzień, ale dopiero kiedy się rozeszli, żeby odnaleźć odpowiednią liczbę pourywanych kończyn, Mango zwałił się na kolana, zasmarkany od łez.

Teraz jednak sobie spacerują – byłoby genialnie, gdyby zdołali tak wyjść z tej wojny, samą siłą woli. Billy sprawdza komórkę – ma esemesa od Kathryn, siostry z dziurą w policzku. *Gdzie jesteś*, napisała, więc odpowiada: *stadion*. Ona na to *mama się boi że marzniesz*, pisze zatem *młody to i gorący*, a ona odpowiada smajlikiem. Za każdym razem, kiedy obok przechodzi ładna dziewczyna, Billy i Mango pomrukują, choć wszyscy są tu tak zakutani, że za wiele do oglądania to nie ma.

– Pamiętasz te laski zeszłej nocy? Kosmos, nie?

– No, niewiarygodne – przytakuje Billy. – Każdy ci powie, że najlepsze kluby ze striptizem są w Dallas.

– Kurwa, fakt. Normalnie jakby mi przeciężyło bezpieczniki, ziom, skąd one wszystkie się biorą? Ten lokal, w którym byliśmy, nie ten ostatni, ale ten z dziewczynami w klatkach...

– Vegas Starz.

– Vegas Starz, no, aż chciałem pytać, laska, kurde, czemu ty tu pracujesz? Każda jedna z nich mogłaby być modelką, w sensie regularnie modelować, zamiast kurwić się i świecić dupą.

Mango wygląda na autentycznie zbulwersowanego, jakby był świadkiem trwającego właśnie dramatu, któremu mógłby jeszcze zapobiec.

– Bo ja wiem – mówi Billy – może łatwo znaleźć babki do tej roboty. Nadmiar szprych na rynku.

– Daj spokój, wcale tak nie jest.

Billy się śmieje, ale uderza go ogólna myśl o młodych, zwawych ciałach, o rynku na ludzkie mięso, o rzekomo nienaruszalnych prawach podaży i popytu. Być może, ściśle rzecz biorąc, społeczeństwo nie ma z ciebie pożytku, ale prawie zawsze jakoś tam cię wykorzysta.

– Może one tam są, bo chcą tam być – mówi, ale teraz to tylko gadanie. – Żeby poznać takich wzorowych młodych chłopaków jak my.

Mango się śmieje.

– Na bank. Nie, ziom, im nie chodzi o kasę. One naprawdę na nas leciały.

To właśnie powiedział im Sykes, wracając z „prywatnego tańca” na zapleczu. „Ona naprawdę na mnie leciała. Tu nie chodziło o kasę”. Wciąż w szoku po popołudniowej ceremonii pogrzebu Grzybasa, Bravo w hotelu wbili się w cywilne ciuchy i zaraz ruszyli w miasto, żeby się porządnie schlać, a w trakcie tego wieczoru prędzej czy później każdemu z nich trafił się lodzik. „Ona na mnie leciała” stało się głównym żartem wieczoru, ale dziś samo wspomnienie wystarczy, żeby przygnębić Billy’ego. Jak kac na kacu, otoczka syfu opasująca duszę niczym wstęga brudu w wannie, i Billy dochodzi do wniosku, że robienie loda, tak samo w sobie, to jednak chujnia. Znaczący, czasami jest fajnie. No dobra, z reguły jest rewelacyjnie, przynajmniej o tyle, o ile, ale ostatnio Billy czuje w swoim życiu potrzebę czegoś więcej. Nawet nie idzie o to, że w wieku dziewiętnastu lat wciąż, technicznie rzecz biorąc, jest prawiczkim, ale głęboko w piersi czuje coś jakby potworny głód, wrażenie pustki jak po liposukcji właśnie tam, gdzie powinna być najlepsza część jego duszy. Potrzeba mu kobiety. Nie, potrzebuje dziewczyny, kogoś, z kim mógłby zewrzeć się w jedno ciało i duszą, i przez całe te dwa tygodnie wyczekiwał, kiedy to się stanie, dziewczyna, zwarcie, przez dwa tygodnie kołędował po tym naszym pięknym kraju, więc można by sądzić, że po tylu milach i miastach, przy pozytywnych artykułach w prasie, wśród całej tej miłości i dobrej woli, tych uśmiechniętych, wiwatujących tłumów, znalazłby wreszcie kogoś.

Więc albo to Ameryka jest jakaś zjebana, albo on. Billy idzie przez parking z obolałym sercem i świadomością, że kończy mu się czas. Dziś wieczorem punkt dwudziesta druga meldują się w Fort Hood, jutro jest dzień PAKOWANIA BAJZLU, a dzień później rozpocznie się ich dwudziestosiedmiogodzinny lot, powrót do tury w strefie walk. Zdaniem Billy’ego to autentyczny cud, że którykolwiek z nich w ogóle jeszcze żyje. Owszem, stracili Grzybasa i Lake’a, jakiś statystyk mógłby powiedzieć „tylko dwóch”, ale biorąc pod uwagę, że każdy w Bravo rozminął się ze śmiercią raptem o parę centymetrów, równie dobrze mogło być tych ofiar sto procent.

Najbardziej dobija ta pieprzona przypadkowość, to, że różnica między życiem a śmiercią czy potwornym kalectwem sprowadza się czasem tylko do tego, że ktoś, idąc po żarcie, schylił się, by zawiązać sznurówkę, albo wybrał trzeci kibel w rzędzie, a nie czwarty, obrócił głowę w lewo, a nie w prawo. Przypadek. To strasznie ryje łeb. Billy odczuł ten autentycznie rozjebujący mózg potencjał już przy pierwszym wypadzie poza strefę chronioną, kiedy Grzybas poradził mu, żeby ustawił stopy jedna za drugą, a nie obok siebie, żeby w razie wybuchu improwizowanego ładunku nisko pod hummerem miał szansę ocalenia przynajmniej jednej z nich. Po paru tygodniach starannego ustawiania stóp, chowania dłoni pod kamizelką kuloodporną, wiecznego noszenia osłony na oczy i reszty tego szajsu podszedł do Grzybasa i zapytał:

– Jak z tym wszystkim nie oszaleć? – Grzybu pokiwał głową, jakby pytanie było z tych zdecydowanie roztropnych, po czym opowiedział mu, jak to kiedyś czytał o takim szamanie u Inuitów: ponoć wystarczyło mu spojrzeć na człowieka i już wiedział dokładnie co do dnia, kiedy ten umrze. Ale nie wyjawiał tej daty – uważał, że byłoby to nieuprzejme, jakby wtrącał się w nie swoje sprawy.

– To dopiero jazda, co nie? – chichotał Grzybu. – Patrzysz dziadkowi w oczy i wiesz, że on już wie.

– W życiu nie chciałbym spotkać takiego gościa – stwierdził Billy, ale Grzybas i tak zdążył powiedzieć to, o co chodziło. Jeśli ma cię trafić kula, to już została wystrzelona.

Billy uświadamia sobie, że Mango nie odzywa się już od pięciu minut, więc wie, że jego kumpel także myśli o wojnie. Kusi go, żeby poruszyć ten temat, ale co tak naprawdę można powiedzieć, jeśli nie chce się wygarnąć wszystkiego? Tak jakby dało się przerwać, kiedy już raz otworzyło się usta. Choć koniec końców i tak wszystko sprowadza się do jednego: jak, do diabła, mają przetrzymać jeszcze jedenaście miesięcy tego syfu.

– Póki co miałeś szczęście, nie?

To Kathryn, kiedy rozmawiała z Billym na podwórku za domem, przy piwie.

No chyba tak, odparł.

– Więc tak trzymaj.

Czasami wydaje się, że to faktycznie takie proste, wystarczy pamiętać, żeby mieć farta. Billy krąży wokół tego myślami, popatrując na otaczające stadionowe zaplecze fast foody: wszelkie Taco Belle, Subwaye, Pizza Hut, pizzeria Papa John's. Z każdego biją kłęby gorących mięsistych wyziewów i, bez wątpienia, geniuszu kuchni amerykańskiej dowodzi fakt, że w sumie wszędzie pachnie tak samo. Billy uświadamia

sobie, że Texas Stadium to jednak zasadniczo chujowe miejsce. Zimno tu, szorstko, przeciągi hulają, brudno, ogólnie tyle w nim uroku co w przemysłowym magazynie, gdzie robotele szczają po kątach. Mocz przeniknął tu wszystko, wszędzie czuć jego słabą woń.

– Jaka jazda – odzywa się Mango ściszym, zadziwionym głosem.

– Co takiego?

– Tysiące *gringos*, a majora ani jednego.

Billy parska.

– Przecież wiesz, że w życiu tego kutafona nie znajdziemy. Zresztą facet jest już dorosły, po cholere go w ogóle szukamy.

– On wie, gdzie jest.

– Chciałbyś.

Patrzą po sobie, śmieją się.

– Wracajmy – mówi Billy.

– Wracajmy – zgadza się Mango.

Najpierw robią przystanek w Sbarro, kupują parę trójkątów pizzy, po czym stoją i przeżuwają je nad papierowymi talerzami, na tę chwilę zadowoleni z tego, że nikt ich nie poznaje. Bycie Bravo oznacza wejście w status na poły celebrycki, ale czasem pochwały i uwielbienie mogą człowieka rozjechać. Na przykład na zorganizowanych wiecach czy podczas wizyt w centrach handlowych, czy wreszcie gdziekolwiek, byle były ekipy z radia i telewizji, mogą człowieka opaść rozmiłowane tłumy amerykańskich przeciętniaków, pragnących okazać wdzięczność, kiedy indziej zaś normalnie jakbyś był niewidzialny, ludzie patrzą przez ciebie jak przez szybę, nic do nich nie dociera. Billy i Mango stoją, żując wściekle gorącą pizzę, i wiedzą, że ich sława nie należy do nich. To tylko kolejny temat do żartów, ten ogromny unoszący się nad nimi hologram kontekstów i sugestii, który wodzi za nos wszystkich łącznie z samymi Bravo, ale Bravo mogą się z tego śmiać, mogą czuć pewną wyższość, bo wiedzą, że są wykorzystywani. Oczywiście, że ktoś na nich korzysta, bycie manipulowanym to żołnierskie powietrze, żywioł trepa, bo czymże innym jest fach mundurowego, jeśli nie służbą za pionka u tych na górze?

Ubierzcie się w to, mówią im, idźcie tam, zabijcie tamtych, a na koniec, oczywiście, jest ostateczność: zgięcie. Każdy w Bravo zrobił już doktorat z nauki i sztuki przymusu. Billy i Mango dojadają pizzę i ruszają dalej. Pełniejsze żołądki, więc krew krąży żywiej – gnani impulsem wchodzą do sklepu Cowboys Select, który spośród

wszystkich tutejszych lokali z klubowymi gadżetami i odzieżą reprezentuje absolutnie najwyższą półkę. U drzwi wita ich odurzająca woń najlepszych skór, jak też jaskrawo oświetlony automat teksańskiego totalizatora. Zamontowane w ścianach płaskie monitory wyświetlają montaż chwil chwały Cowboys z czasów, kiedy grał tam Troy Aikman. Billy i Mango już na wejściu są ciut zdemolowani, z fazą na ironiczne podejście do handlu detalicznego, i mija ledwie parę sekund, a śmieją się z tego sklepu w głos. Nie idzie nawet o rzędy stojaków z kosztowną odzieżą, o wykwintną biżuterię, oprawne i opatrzone certyfikatami pamiątki dla zamożnych zbieraczy, bynajmniej – nie da się nie podziwiać zawziętości, czystej marketingowej hucpy, z jaką umieszczono logo Cowboys na kompletach szachów, tosterach, wysokowydajnych kostkarkach do lodu, domowych barach tlenowych, kijach bilardowych z laserowymi celownikami. Facet, obadaj! Cała seria kuchennych akcesoriów Cowboys! Chłopaków z Bravo roznosi do tego stopnia, że klienci zaczynają schodzić im z drogi. Z punktu widzenia Billy'ego i Mango ten sklep to właściwie muzeum, tyle rzeczy do obejrzenia i nic, co człowiek z Bravo mógłby sobie kupić, i jest to tak upokarzające, że trochę im odbija. Frotowe szlafroki dla Niego i dla Niej, na ten przykład, czterysta dolarów. Oficjalne sweterki meczowe, sto pięćdziesiąt dziewięć dziewięćdziesiąt pięć. Pulowery z kaszmiru, bombki choinkowe z rżniętego kryształu, buty od Tony'ego Lamy z limitowanej serii. Poczucie zawstydzenia i zelżenia rośnie do tego stopnia, że w końcu chłopcy z Bravo zaczynają wyzywać się na sobie nawzajem.

– Facet, zoba, jaka wyrąbista kurtka pilotka. Jedyne sześćset siedemdziesiąt dziewięć papieru, łosiu.

– Co to, skóra?

– Co się, kurwa, pytasz, wiadomo, że skóra!

– Się pytam, łosiu, bo raczej wątpię. Na moje oko to skaj.

– Chuja tam skaj!

– Aha, jasne, debil. Kurwa, zabrać gościa z getta, ni chuja nie odróżni skaju od skóry...

I nagle wchodzą w zwarcie, barki szczipione ramionami zgiętymi jak zaciśnięte haki, zataczają się niezgrabnie jak w pijackiej burdzie, sapią, wyzywają się, szturchają czołami, zarykując się śmiechem tak, że ledwie trzymają się na nogach. Berety lecą gdzieś w kąt, kiedy zaczynają się targać za uszy. Boli, więc śmieją się jeszcze bardziej, do zadyszki, *kurwiiu, obesrańcu, piździkłaku, cwelu*, Mango punktuje Billy'ego szybkimi strzałami na podbródek, Billy wbija mu pięść pod pachę, i dawaj, wirują

wokół wychylonej w lewo osi, a na podłogę wali się koło garncarskie razem z wazonem.

– Czym możemy służyć! – wrzeszczy ktoś, wskakując im pod nogi i zaraz umykając. – Panowie! Ej, chłopaki, no ludzie, mogę wam w czymś pomóc? Halo, stop!

Billy i Mango wychodzą z klinczu, prostują się zarumienieni i roześmiani. Sprzedawca – może kierownik sklepu? – biały mężczyzna w średnim wieku, o rzadnych włosach – on też się śmieje, ale widać, że uważa tę sytuację za problem, dwóch ewidentnych świrów w jego sklepie. Wszyscy inni, personel, klienci – tych paru, którzy jeszcze nie uciekli – trzymają się w bezpiecznej odległości.

– To prawdziwa skóra, prawda? – pyta Billy, podnosząc rękaw jednej z wiszących rzędem pilotek. – Bo ten tu debil chce mi wmówić, że sztuczna.

– Ależ skąd, proszę pana – mówi kierownik – to najprawdziwsza skóra. – Chichocze, wie, że go nabierają, ale dokładnie tak samo jak każdy partner komika od zarania dziejów, którego rolą jest przywracanie porządku w chorym, śmiesznym świecie, rozpoczyna pedalski recytatyw zalet tej kurtki z jagnięcej skórki licowej barwionej aniliną, specjalnych procesów garbarskich i farbiarskich itede, nie wspominając już o najwyższej jakości kroju i szycia.

– Yhy, yhy, yhy. – Dwaj Bravo słuchają go z zaczarowanymi minami, niczym jaskiniowcy wpatrzeni w maszynę do popcornu.

– Widzisz, ćwoku – Billy lutuje Mango w ramię – mówiłem ci, że to skóra.

– Znalazł się znawca mody, normalnie. Zakład, że nawet gaci rano nie naciągnąłeś...

Trzepią się dłońmi, zaczynają łapać za kołnierze, ale zdławione „Halo!” kierownika sklepu ściąga im smycze.

– No to, eee... Dużo ich sprzedajecie? – pyta Billy, przesuwając palcami po jednej z kurtek.

– Co mecz pięć, może sześć. Kiedy wygrywamy, bywa, że i więcej.

– Jasny gwint. Macie, ludzie, niezłe obroty, co nie?

Kierownik się uśmiecha.

– Można to i tak ująć.

Chłopaki dziękują mu i wychodzą.

– Facet – mówi Mango, kiedy już są poza sklepem. – Sześćset siedemdziesiąt dziewięć dolarów – mówi. – Billy – mówi, i zaraz: – No kurwa. – I to już koniec

tematu.

Ludzkie reakcje

– Piętnaście milionów – mówi Albert, kiedy Billy i Mango wracają na swoje miejsca. – Piętnaście gotówką, a nie piętnaście procent od zysku, gwiazda może sobie tak zażyczyć, kiedy jest na topie. A Hilary ostatnimi czasy to top nad topy. Jej agent nie pozwoli jej nawet czytać, jeśli nie będzie miał gwarancji.

– Czego czytać? – pyta Sykes. Oczy Alberta obracają się z wolna ku niemu, a po nich cała głowa.

– Scenariusza, Kenneth.

– Ale mówiłeś, zdaje się, że scenariusza nie mamy.

– Bo nie mamy, ale mamy konspekt i scenarzystę. A skoro Hilary jest zainteresowana, możemy to poukładać tak, żeby naprawdę jej podpasowało.

– Uwielbiam, kiedy on tak nawija – odzywa się Dime.

– Słuchajcie, scenariusz to nie problem, wystarczy po prostu opowiedzieć waszą historię i mamy gotowy fascynujący scenariusz. Problem w tym, że ten scenariusz musi do niej dotrzeć.

– Ale mówiłeś, że ją znasz – wytyka Crack.

– Bo znam, cholera! Parę miesięcy temu, u Jane Fondy, schlaliśmy się razem w trzy dupy! Ale teraz mowa o interesach, ludzie, wszystko, co Hilary ma czytać, musi przejść przez jej agenta, a on nawet nie pozwoli jej dotknąć scenariusza, do którego nie będzie podpięta porządna oferta od studia. Wtedy ona ma pewność, że jeśli powie „tak”, to studio jest już pod ścianą. Nie mogą jej odmówić.

– Aha, dobra, a mamy nagrane studio? – dopytuje się Crack. Świta mu, że powinien to wiedzieć, ale wszystkie szczegóły tego interesu wydają się strasznie mgliste.

– Nie, Robert, nie mamy. Zainteresowania mamy od metra, ale nikt nie chce się zadeklarować, jeśli nie będzie w pakiecie gwiazdy.

– A Swank nie chce się zobowiązywać, póki nie zadeklaruje się któreś studio.

Albert się uśmiecha.

– Otóż to. – A Bravo wydają z siebie pełne uznania *ahaaaaa*. To paradoks tak idealny, tak doskonale kolisty i nowoczesny, że każdy może się z nim utożsamić.

– To tak troszkę zjebane – mówi Crack.

– Owszem – odpowiada Albert. – Totalnie zjebane.

– Więc jak można to obejść i zrobić film? – pyta A-bort.

– Pompuje się temat, aż zobaczą go wszyscy. Jak tsunami czy lawinę, cholera. Żeby ci goście się wystraszyli, że ktoś inny im go podkupi, więc albo sami się zdeklarują, albo się spocą.

– Ej, ludzie – oznajmia Dime – chyba właśnie rozkminiłem, na czym polega fucha Alberta.

Billy i Mango siedzą na końcu rzędu, potem Crack, Albert, Dime, Day, A-bort, Sykes i Lodis, dalej wolne miejsce dla majora. Billy zauważył, że Albert prawie nie odstępuje Dime'a. Nie to, żeby Bravo potrzebowali jakiegoś dodatkowego dowodu wspaniałości swego dowódcy, ale otrzymali go i tak w postaci Alberta i jego natychmiastowej fascynacji sierżantem. Billy doszedł do wniosku, że Albert kocha Dime'a, ale nie tak erotycznie. Dime go interesuje, Dime jako osoba i jako żołnierz, generalnie Dime jako byt i fenomen, który urwał się ze smyczy i pomknął w świat szeroki, a niespodziewający się. W panteonie uwagi Alberta Dime zajmuje pierwsze miejsce, potem długo, długo nic i dopiero Holliday, przy czym nawet to wydaje się zainteresowaniem ubocznym, warunkowym, dopełniającym, funkcją tego, że czarne *yin* Daya jest ściśle sprzężone z białoskórym *yang* Dime'a. Day łaskawie zgadza się nie zwracać uwagi na swój drugorzędny status, choćby teraz – Albert i Dime chylą się ku sobie, pochłonięci rozmową, a Day usadowił się na oparciu swego krzesła i obserwuje boisko niczym afrykański król na wysokim tronie, patrzący z góry na wszystkie swoje poddane foczki. Co do reszty Bravo, można by ich z powodzeniem zastąpić udziałami w jakiejś korporacji, z tą tylko różnicą, że chodzą, gadają i chleją piwo na umór.

– Dime jest majątek – wybełkotał zeszłej nocy Billy'emu Day, w rzadkim przystępie pijackiej, zawistnej szczerości. – A wy wszyscy... tylko towar.

Kim wobec tego był Grzybu? Czy on i Lake też byli tylko towarem? Ostatnimi czasy rozmowy wśród Bravo kręcą się w ogromnej części wokół forsy, *kasakasaka*, jak pchły na mózgu, jak chomik biegający w popiskującym kieracie, całe to gadanie zmierza donikąd, za to w fantastycznym tempie. Billy naprawdę chętnie zmieniłby temat na cokolwiek innego, ale nie będzie się przecież czepiał kumpli z Bravo. Mają na tym punkcie taką obsesję, jakby dzień wielkiej wypłaty wiązał się z czymś więcej niż tylko gołą siłą nabywczą, jakby iks dolarów zakiszone w banku dawało gwarancję, że z wojny wyjdzie się z całym łbem. Billy wyczuwa, skąd może się brać takie myślenie, dla niego jednak to równanie działa wręcz przeciwnie: dzień, w którym przyjdzie

przelew, kiedy okaże się, że czek z wytwórni ma pokrycie, to będzie właśnie ten dzień, kiedy on dostanie w czapę.

Kiedy już więc podłącza się do rozmów o filmie, czuje wyraźne wewnętrzne skłócenie. Bravo zasypują Alberta pytaniami. A co z Clooneyem? A Oliver Stone, o co temu chodzi? A ten facet, co mówił, że dałby radę wciągnąć Roberta Downeya juniora? Aż tu nagle nobliwy dżentelmen siedzący za Albertem pochyła się ku niemu i pyta, czy nie pracuje on czasem w branży filmowej.

Albert zamiera, z głową przechyloną w bok, jakby właśnie usłyszał śpiew jakiegoś rzadkiego, a przepięknego ptaka.

– A i owszem – odpowiada ze słodyczą. – Tak, jestem z branży filmowej.

– Reżyser? Scenarzysta?

– Producent – precyzuje Albert.

– Los Angeles?

– Los Angeles – potwierdza.

– Pan posłucha – ciągnie tamten – jestem adwokatem. Bronię w sprawach kryminalnych, tylko ludzi dobrze sytuowanych, i mam świetny pomysł na scenariusz, z typu thrillerów prawniczych. Chce pan posłuchać?

Albert odpowiada, że z największą przyjemnością, o ile adwokat zmieści się w maks dwadzieścia sekund. Tymczasem na boisko wybiegło już kilkudziesięciu zawodników Cowboys, zaczynają rozgrzewkę. To jeszcze nie faktyczna rozgrzewka, tłumaczy wszystkim Crack, który przez rok był w drużynie uniwersytetu stanowego południowo-wschodniej Alabamy, tylko przedrozgrzewkowe ćwiczenia na rozruszanie dla tych, którym przyda się bardziej rozluźnić mięśnie. Wkrótce uwagę Billy’ego przyciąga punter Cowboysów, przygarbiony typ z płaską twarzą i lekkim brzuszkiem, a do tego prawie zupełnie łysy – prędzej spodziewałbyś się zobaczyć takiego za ladą w dziale mięsnym w supermarkecie, ale ten gość potrafi kopem posłać piłkę cztery mile za piec. *Fuum*, soczyste plaśnięcie każdego wykopnięcia odbija się echem w trzewiach Billy’ego, a piłka pruje w górę po stromej trajektorii, wyżej, wyżej, naprzód i jeszcze wyżej, aż wzrok zawodzi, zawieszając się w punkcie, w którym piłka powinna wyrównać lot, a ona wciąż pnie się ku niebu, jakby gnana niewidzialnym silniczkiem raketowym, prosto w hipotetyczną kopułę stadionu. Billy próbuje wyznaczyć sobie absolutny pułap zasięgu, tę chwilę zawieszenia w równowadze, kiedy piłka szybuje, dynda, naprawdę na moment się zatrzymuje, jakby taksując ów upadek, który zaczyna się zaraz potem, kiedy tylko dziobek opadnie z ospałym wdziękiem, i jest

w tym pewna nuta kapitulacji, pełnego ulgi zaprzestania dalszych wysiłków, gdy lecący przedmiot godzi się wreszcie z pisaniem grawitacją losem. Po siedmiu czy ośmiu wykopach Billy czuje, że w jego wnętrzu doszło do czegoś w rodzaju sublimacji, rozrzedzenia czy złagodzenia autorefleksji. Czuje spokój. Oglądanie puntera przynosi jego umysłowi relaks. Te szczytowe momenty sprawiają mu wyjątkowo dojmującą przyjemność, dreszczyk w mózgu niczym serię miniaturowych błyskawic, kiedy piłka muska dolne skraje wieczności, gładzi miękkie podbrzusze odkorowanej rozkoszy tak długo, jak tylko utrzymuje się na szczycie trajektorii. Billy może sobie wyobrazić, że to tam właśnie żyje teraz Grzybas, że stał się obywatelem krainy zawieszenia w równowadze. To cokolwiek dziecinne i sentymentalne myślenie, ale czemu nie, jeśli Grzybu miałby gdziekolwiek trafić, to czemu nie właśnie tam? Bravo już dawno zostali zredukowani do produktu, jakkolwiek świetnie się sprzedającego, ale nawet długie ręce marketingu nie dosięgną już Grzybasa.

Oglądanie wykopów jest jak zen, na swój sposób wciąga tak samo jak patrzenie na złote rybki krążące wokół ozdobnej sadzawki. Billy z przyjemnością patrzyłby na puntera do wieczora, ale kibice z tyłu zaczynają klepać go po plecach, krzycząc: „Patrz! Patrz! Obadaj, co jest na telebimie!” – a tam na ekranie potężne sylwetki ośmiu Bravo, którzy zachowali zdolność bojową, dosłownie w nadludzkiej skali, a przy nich Albert, uśmiechnięty jak dumny tata noworodka. Tu i ówdzie rozbrzmiewają nieduże ogniska aplauzu. Bravo przybierają pozę męskiej nonszalancji. Przede wszystkim starają się nie patrzeć na siebie na telebimie, ale Sykes jest tak nabuzowany chwilą, że zaczyna pyszczyć, strzela gesty jak młodociany gangster. Wszyscy inni Bravo wsiadają na niego, żeby się, kurwa, przymknął, ale po chwili obraz na ekranie się zmienia: kreskówkowa animacja z falującymi flagami i wybuchającymi bombami na tle gwiazdzistego kosmosu, z którego otchłannej czerni nagle biją naprzód ogromne białe litery:

**DRUŻYNA AMERYKAŃSKICH PATRIOTÓW Z DUMĄ SKŁADA HOŁD
AMERYKAŃSKIM BOHATEROM**

i znikają, ustępując miejsca drugiej fali:

**DALLAS COWBOYS
WITAJĄ BOHATERUW ZNAD KANAŁU
AL-ANSKAR!!!!!!!
SIERŻ. SZT. DAVID DIME
SIERŻ. SZT. KELLUM HOLLIDAY
SPECJ. LODIS BECKWITH
SPECJ. BRIAN HEBERT**

SPECJ. ROBERT EARL KOCH
SPECJ. WILLIAM LYNN
SPECJ. MARCELLINO MONTOYA
SPECJ. KENNETH SYKES

Brawa powoli nabierają donośności i intensywności, jakby zasysały energię przez wentyl stadionu. Ludzie przechodzący po schodach zatrzymują się, obracają ku Bravo. Kibice za ich plecami podnoszą się z miejsc, dając impuls do spowolnionych oklasków na stojąco, przewalających się po trybunach w płynącej wstecz fali, jakby grawitacja przestała działać. Wkrótce telebim przełącza się na hiperkinetyczną reklamę pick-upów chevroleta, ale już za późno, ludzie ruszyli w stronę Bravo i nic ich nie powstrzyma, nie ma ucieczki. Billy wstaje i przyjmuje pozycję, którą wypracował sobie na takie okazje: plecy prosto, masa ciała w równowadze wokół środka ciężkości, uprzejmy, ale niewylewny wyraz na młodzieńczej twarzy. Doszedł do takiego stylu właściwie instynktownie, ten spięty, stoicki model amerykańskiej męskości wytyczyły już całe pokolenia aktorów w kinie i telewizji, dzięki czemu teraz Billy może wygodnie, bez namysłu obrać sposób działania. Mówi się parę słów, czasem uśmiecha. Pozwala się, by w oczach widać było nieco znużenia. Przy kobietach jest się nieodmiennie skromnym i szarmanckim, przy mężczyznach grunt to silny uścisk dłoni i spojrzenie w oczy. Billy wie, że kiedy tak robi, wygląda świetnie. Tak musi być, bo ludzie są zachwyceni, wręcz trochę im odbija. Serio! Napierają coraz bliżej, przepychają się, szarpiają, łapią go za ramiona i mówią zbyt głośno, czasem któryś nawet puści gazy, tak silny jest ten stres. Po bitych dwóch tygodniach występów publicznych Billy wciąż jest zadziwiony tym, jak reagują na nich ludzie, ich schrypniętymi, rozedrganymi głosami oraz gorączkowo składanymi słowami, tym bełkotem, który leje się z ust nawet pozornie ustatkowanych obywateli. *Cenimy*, mówią, a głosy drżą im niczym kochankom. Czasami są z tym zupełnie otwarci. *Kochamy was*. Jesteśmy tacy wdzięczni. Błogosławimy wam, wielbimy was. Modlimy się, trzymamy kciuki, oddajemy cześć-wielbimy-kochamy-i-szanujemy, i tak naprawdę jest, kiedy tak mówią, to wczuwają się w te potężne słowa, w te werbalne arabeski, które trzeszczą, iskrzą w uszach Billy'ego niczym owady wpadające w elektryczną lampę na insekty

terrRr

Jii-rak,

Iiiii-rak,

Sydym

wolności

dynastyrześnia,
dynastyrześnia,
dynastyrześnia

bohater

ofiara,
naaaajwYYYYszsza ofiara

Bush

Osama
wartości
dy-mo-kranc-ja

Nikt nie pluje, nikt nie wyzywa go od morderców dzieci. Wręcz przeciwnie, nigdzie nie znalazłoby się ludzi równie chętnych wesprzeć, milej usposobionych, ale dla Billy'ego te spotkania i tak są poryte, przerażające. W jego amerykańskich współbraciach jest pewna szorstkość, łapczywość, ekstatyczność, paląca, bo zrodzona z najgłębszej potrzeby. Tak to odczuwa: oni wszyscy czegoś od niego chcą, całe to stado niedozamożnych prawników, dentystów, mamus młodych piłkarzy i korporacyjnych wiceprezesów, wszyscy aż kłapią zębami, tak łakną kawałeczka mlekowatego żołnierzyka, który dostaje rocznie wszystkiego czternaście tysięcy osiemset dolarów żołdu. Dla tych dorosłych i zamożnych ludzi takie pieniądze to kwota na drobne wydatki, a jednak ledwie wejdą w jego bezpośrednie sąsiedztwo, jebś, popłynęli. Dygoczą. Oddychają w rwących się, smrodliwych sapnięciach. Oczy wychodzą im z orbit, drżą, rażone siłą tej chwili, bo oto wreszcie znaleźli się twarzą w twarz z ucieleśnieniem wojny, mają z nią prawdziwą styczność po miesiącach i latach czytania o wojnie, oglądania wojny w telewizji, słuchania pochwał i potępień wojny z ust radiowych ekspertów. Były to dla Ameryki ciężkie czasy – jak do tego doszło? Wszyscy tacy przerażeni, bez przerwy, i tak zawstyżeni tym przerażeniem w długie noce pełne zmartwień i zgrozy, dni pogłosek i zwątpień, lata dryfowania i kamieniejącego z wolna niepokoju. Człowiek słucha, czyta, ogląda, aż to, co trzeba zrobić, staje się *przecież, zupełnie, oczywiste* – trochę mantra, trochę mentalny tik stający się drugą naturą, kiedy wojna ciągnęła się w nieskończoność. *Czemu oni po prostu...* nie wyślą tam więcej wojska. Nie każą żołnierzom agresywniej walczyć. Nie rzucą tam czołgów i hajda, wszystkie lufy ognia, taranem bydlaków, nie brać jeńców. A tak swoją drogą, to przecież Irakijczycy powinni być nam wdzięczni, prawda? Ktoś powinien im to powiedzieć, może pan im to powie, dobrze? No, chyba że chcą

z powrotem tego swojego dyktatora. A jak nie, to bombami ich. Więcej bomb, większych bomb. Pokażmy tym tam gniew Boży, tłuczmy ich, aż zaczną słuchać, ale jeśli i to nie zadziała, to wyciągnie się atomówki, pojedziemy po całości, skasuje się ten kraj, potem sprowadzi świeże serca i umysły, taka radioterapia, usunięcie slumsów z duszy państwa.

Amerykanie w swym wyteżonym życiu duchowym codziennie toczą tę wojnę. Billy o tym wie, bo tu, na styku, czuje tę namiętność dzień w dzień. Często już w samym ich dotyku – gdy podają sobie dłonie, to jakby iskra przeskakiwała, taki strzał zmagazynowanej bojowej furii. Dla tak wielu spośród tych ludzi to jest Wielka Chwila: jego cierpienia stają się ich cierpieniami i *vice versa*, dochodzi do pewnego rodzaju mistycznego przeniesienia i już samo to wielu z nich przerasta, sądząc po tym, jak w tym zwarcu zaczynają się dławić. Jąkają się, łapią powietrze, bredzą, bełkoczą, aż w tym wszystkim ginie to, co chcieli powiedzieć, o ile w ogóle dysponowali odpowiednim słownictwem, więc trzymają się starych, bezpiecznych wariantów. Proszą o autografy. Chcą cykać fotki telefonami. Dziękują raz za razem, coraz gorliwiej, wiedzą, że kiedy dziękują żołnierzom, to dobrze, aż oczy im lśnią, tak bardzo wówczas kochają siebie samych i te namacalne dowody własnej dobroci. Jedna kobieta wybuchła płaczem, tak porażająca jest jej wdzięczność. Inna pyta, czy wygrywamy, na co Billy odpowiada, że ciężko nad tym pracują. Jakiś facet mamrocze:

– Pan i pańscy bracia w mundurach szykujecie drogę. – A Billy wie, że lepiej nie pytać, dokąd ta droga ma prowadzić. Kolejny wskazuje Srebrną Gwiazdę na piersi Billy’ego, prawie jej dotyka.

– Masz tu konkretną blaszkę – burczy, symulując szorstki afekt światowca.

– Dzięki – mówi na to Billy, choć to jakoś nigdy nie wydaje się właściwą odpowiedzią.

– Czytałem ten artykuł w „Time” – ciągnie tamten i zaraz rzeczywiście dotyka odznaczenia, a gest ten wydaje się niemal tak obleśny, jakby sięgnął niżej i pogładził Billy’ego po jajach. – Możesz być dumny, zasłużyłeś – mówi jeszcze, a Billy myśli sobie bez urazy: *A niby skąd wiesz?* Parę dni wcześniej był w lokalnej telewizji, gdzie głupiomądry, wiecznie trzaskający pyskiem prezenter wziął i wyskoczył wprost z pytaniem: Jakie to było uczucie? Być pod ogniem i samemu strzelać. Zabijać i samemu o włos unikać śmierci. Patrząc, jak tuż obok ciebie giną przyjaciele, towarzysze broni. Billy wykrztusił z siebie jakieś bezładne, mamrotliwe zlepkki, ale kiedy tak mówił, w jego głowie otworzyła się druga linia, odezwał się nieznajomy głos, szepcząc słowa bliższe prawdy, które Billy’emu za nic nie przeszłyby przez usta.

Było srogo. To była strasznie zjebana chujnia. Jak krew i gazy najgorszej aborcji świata, jakby Jezusek wysrany w małych, lepkich klockach.

Billy nie prosił się o bohaterski wyczyn, bynajmniej. Czyn sam do niego przyszedł, a Billy boi się – jak raka mózgu – możliwości, że skoro raz tak się stało, to zdarzy się i po raz drugi. Kiedy już jest prawie pewien, że nie da rady dłużej zachowywać się uprzejmie, ostatni wyraziciele poparcia zmywają się wreszcie i Bravo mogą zająć miejsca. Wtedy zjawia się Josh i na dzień dobry pyta: A gdzie major McLaurin?

Dime rzuca obojętnie:

– A, coś mówił, że musi wziąć leki.

– Jakie le... – zaczyna Josh, ale w porę trybi: – Ej, luuuudzieeeeeeee.

Wypisz wymaluj ideał amerykańskiej młodzieży korporacyjnej na szybkiej ścieżce awansu, oto Josh. Wysoki, wysportowany, przystojny jak model z katalogu odzieży, ma nos prosty i wąski jak igła kompasu, wspaniałą czuprynę lśniących czarnych włosów, której widok wywołuje podprogowe świerzbienie w pokrytych delikatną szczecina czerepach Bravo. Zdążyli już obgadać między sobą temat jego orientacji seksualnej – stanęło na tym, że gejem nie jest, ot, zwykły korporacyjny pizduś. „On jest jeden z tych metroseksualnych, jak to mówio” – stwierdził Sykes, na co wszyscy uznali, że sam jest gej, skoro zna takie słowa.

– Dobra – mówi Josh – pewnie w końcu przyjdzie. To co, chłopaki, może jakiś lunch?

– Miało być spotkanie z czirliderkami – odzywa się Crack.

– Aha – wtrąca A-bort – ale i coś byśmy zjedli.

– Okej, chwila.

Josh zaczyna konsultacje przez walkie-talkie. Chłopaki patrzą po sobie: „Kurwa, co?”. Dallas Cowboys słyną z organizacji, ale z Bravo lecą chyba na żywioł, bo plany poukładane są gdzieś między „średnio na jeża” a „megachujowo”. Podczas chwilowej przerwy w radiokonferencji Billy gestem przyzywa Josha bliżej, a ten – wiecznie czujny – zgrabnie kuca przy jego siedzeniu.

– Advil – mówi Billy. – Dałeś radę zorganizować coś na...

– O kurwa – wyrywa się Joshowi palącym szeptem, po czym mówi już normalnie. – Sorki sorki sorki sorki. Na bank ci znajdę.

– Dzięki.

– Facet, jeszcze cię kac męczy? – pyta Mango, ale Billy tylko kręci głową.

Jedna noc, ośmiu chłopa, cztery lokale ze striptizem, a wszystko to właściwie bez sensu, jeśli nie liczyć tego opłaconego lodu na sam koniec – kiedy o nim myśli, najchętniej strzeliłby sobie w łeb. Wspomnienie głowy tej dziewczyny, kołyszącej się nad jego kroczem... normalnie jak zabieg dentystyczny albo przetykanie kanalizy na siłę. Na bank niedobra karma. Billy ma debet na karmicznym koncie, tym aktualizowanym na bieżąco rejestrze dobrych i złych uczynków, który Grzybu opisywał mu jako ucieleśnienie, by tak rzec – mentalne wykrystalizowanie ogólnej kosmicznej tendencji ku ostatecznej sprawiedliwości. Billy rozgląda się po boisku, ale punter gdzieś zniknął. Omiata spojrzeniem górne rewiry stadionu, tam, gdzie dolatywały piłki, ale teraz jest tam tylko powietrze, a Billy bez bieżącego widoku tych trajektorii nie potrafi dostroić się znów do Grzybasa, jeśli ten unosi się gdzieś tam po drugiej stronie.

Grzybu, Grzybu, o Wszechmogący Grzybasie Zagłady, któryś przepowiedział własną śmierć na polu walki. Grzybas miał zamiar po zakończeniu tury wziąć przepustkę i wybrać się na zasilaną ayahuascą wyprawę po Peru, „na spotkanie z Wielkim Jaszczurem”, jak mówił, „chyba że szybciej wyprawią mnie tam szuszwale”. Chyba że. No popatrz pan. A tamtego dnia Grzybu od razu wiedział. Przecież to o to chodziło w tym ostatnim uścisku dłoni, nie? Grzybas obrócił się na fotelu właśnie w chwili, kiedy zaczął się gnój, Mango już lutował z pięćdziesiątki, kiedy Grzybu sięgnął do tyłu, uściśnął dłoń Billy’ego. „No to po mnie”, krzyknął w ten huk, co Billy zrozumiał wówczas jako „Co to płonie” – uszy zeszlifowały niesamowitość, żeby słowa miały sens. Kiedy potem wracał do tej chwili, wiedział już, o co szło, skąd się wzięły i słowa, i nuta oddalenia w spojrzeniu Grzybasa, jakby ten wyzierał ku Billy’emu z głębi studni.

Jeśli Billy myśli o tym dłużej niż kilka chwil, w jego głowie odzywa się syntezatorowe buczenie, niczym potężna, nabrzmiewająca nuta z organów, nie to smętne muczenie, które akompaniowało pogrzebowi Grzybasa, jakby jałówka zdychała, tylko grzmiąca nawałnica mocarnych akordów, głębinowe dudnienie fali tsunami, niewidzialnie sunącej nad dnem oceanu. Można się było posrać z wrażenia, ale Billy wcale z tym nie walczy: może ten potężny dźwięk to odgłos Boga telepiącego się po jego głowie, może jakaś gruntownie zakodowana postać którejś z prawd podstawowych, a może między jednym a drugim nie ma żadnej różnicy: to byście spróbowali zmieścić w tym waszym jebanym filmie, jeśli potraficie. „Przyjaźniliście się?” – zapytał go dziennikarz z „Armore Daily Star”. „Tak – odpowiedział Billy – byliśmy dobrymi przyjaciółmi”. „Często o nim myślisz?” „Tak – Billy na to – często o nim myślę”. W sensie, że codziennie. Co godzinę. Nie, co parę minut. Szczerze

mówiąc, mniej więcej raz na dziesięć sekund. Nie, to raczej tak, jakby miał na siatkówce nieusuwalny powidok, Grzybas żywy i czujny, a potem martwy, żywy, martwy, żywy, martwy, jego twarz wiecznie przeskakująca od jednego do drugiego stanu. Gdy zobaczył, jak szuszwale wloką Grzybasa w wysoką trawę, pomyślał: *O kurwa*, a może tylko *Kurwa*, na tym się skończyły jego duchowe rozważania, nim poderwał się z ziemi i ruszył do biegu. Jedna przedziwna sprawa: wciąż trzymało się go to uczucie, którego doznał, kiedy już wstał, że dokładnie wie, jak to się skończy, wizualizacja tak przejmująca, że wstrząs zbudził w nim coś w rodzaju podwójnej świadomości, której ślady pozostały aż do dziś. Jego wspomnienia z bitwy to zasadniczo plama rozpalonej czerwoności, ale owo wyprzedzające wyobrażenie pamięta ostro, wyraźnie. Zastanawia się, czy wszyscy żołnierze, którzy przeżyli coś tak ekstremalnego, mają okazję na chwilę wejrzeć w nader precyzyjnie wytyczoną przyszłość, teleskopowo przeniknąć czas i przestrzeń, dzięki czemu zdobywają motywację, by dokonać tego, czego dokonać im przyjdzie. Może tylko ci, co przeżyją. Może wszystkim wydaje się, że coś takiego widzą, ale ci, którzy wyjdą z akcji nogami do przodu, myślą się w tej kwestii. Tylko ci, którzy przetrwają, mogą się czuć sprytnymi jasnowidzami, choć teraz Billy uświadamia sobie, że Grzybu ujrzał przyszłość równie klarownie, a jednak z odwrotnym wynikiem.

Dajesz, Grzybu. Billy czuje się tak, jakby musiał myśleć o zbyt wielu rzeczach naraz: targi o film, wywiady, jak to jest nosić medal, a w tle tego wszystkiego jeszcze twarde jak skała jądro: pierwotne, a w ostatecznym rozrachunku i tak niezgłębione fakty dotyczące ich walki na brzegach kanału Al-Ansakar. W twoich myślach nie ma spokoju. Nie jesteś chory, ale też niezupełnie zdrow. W powietrzu czuć, jakby coś wisiało ci nad głową albo było niebezpiecznie niedorobione, jak gdyby twoje życie wybiegło zanadto naprzód, tak że przydałaby ci się chwila, żeby wróciło, wypełniło luki. I to wydaje się dobre, to pojęcie problemu czasu, mamy tu potencjalny punkt wyjścia, skąd dałoby się budować dalej, ale Josh wydaje komendę: „Lunch!” – więc wstają. Po trybunach rozbrzmiewają małe osypiska braw, więc Sykes, wiecznie młot, macha do ludzi, jakby to tylko jemu klaskali. Josh dzielnie prowadzi ich na schody, ale na górę idzie się długo i ciężko, maszerują w kolumieście jak te nieszczęsne skazane na zagładę kutafony pod koniec *Titanica*, walcząc przeciwko straszliwym otchłaniom morza i przestworzy. Jeśli choć na chwilę stracisz czujność, zostaniesz pochłonięty, i tak oto odkrywa się strategia: „Nie trać czujności”. Gdy docierają na zaplecze, Billy’emu poprawia się samopoczucie. Josh prowadzi ich w górę po spiralnym podejździe, gdzie siekący wiatr co raz tworzy wiry, które w małych napadach szалу ciskają wokół śmieciami i kurzem. Marszowi Bravo towarzyszy coś w rodzaju

koagulacji: ludzie się zatrzymują, wołają, rozdziawiają usta bądź się szczerzą, wszystko zależnie od orientacji politycznej i typu osobowości, a żołnierze przedzierają się przez nich, uprzejmi, ale niepowstrzymani, klin pracy nieustępliwie naprzód, aż w końcu ekipa z hiszpańskojęzycznego radia dopada Mango, żeby dał im wywiad, i cała ta czysta, piękna energia idzie w diabły. Ludzie zbierają się wokół. W powietrzu niemal skrapla się pożądanie. Oni chcą słów. Chcą styczności. Chcą zdjęć i autografów. Amerykanie są niewiarygodnie uprzejmi, dopóki daje się im to, czego pragną. Billy, przyparty plecami do barierki, znajduje się pod ostrzałem zamożnie wyglądających małżonków z Abilene, którzy przyholowali jeszcze dorosłego syna i synową. Młodzi ludzie chyba czują się dość niezręcznie w obliczu entuzjazmu rodziców, ale starych to wali.

– Nie mogłam oderwać wzroku od ekranu! – z ekscytacją opowiada Billy’emu pani starsza. – Zupełnie jak kiedy był dynastyrześnia, nie mogłam przestać patrzeć, kiedy te samoloty uderzały w wieżowce, po prostu nie mogłam i już, Bob musiał mnie odrywać. – Rzeczony Bob, mąż, wysoki, przygarbiony miły pan o łagodnych, błękitnych oczach, potakuje ze spokojem właściwym człowiekowi, który nauczył się już, na ile może spuszczać ze smyczy swą nabuzowaną żonę. – No i z wami było tak samo, kiedy na Fox News zaczęli puszczać to nagranie, to po prostu siadłam i całymi godzinami nie ruszałam się z miejsca. Taka byłam dumna, po prostu taka... – kobieta grzęźnie w bagnie samookreślenia – dumna – powtarza. – Jakby, dzięki Ci, Boże, wreszcie przyszła sprawiedliwa odpłata.

– To było jak na filmie – wtrąca jej synowa, wczuwając się w klimat.

– No, naprawdę. Musiałam sobie powtarzać: to nie kino, to prawdziwi amerykańscy żołnierze walczą o naszą wolność, to nie jest film. Och, Boże, jaka ja byłam wtedy szczęśliwa, choć w sumie to była raczej taka ulga, jakbyśmy wreszcie im odpłacili za dynastyrześnia. Ale... – urywa, w końcu musi wziąć wdech – to który ty jesteś?

Billy przedstawia się grzecznie i na tym kończy temat, a i ona nie drąży, jakby dotarło do niej, jak delikatne to pytanie. Zamiast tego wraz z synową zaczynają w duecie recytatyw patriotycznego sentymentu: w stu procentach stoją za Bushem wojną żołnierzami ponieważ obrona szszsz wśród państw szszsz zalkajdy szszsz szszsz szszszsz – i babka cały czas skłania się ku Billy’emu i poklepuje go po ramieniu, co wprawia go w płytki cielesny trans, dzięki czemu nie czuje specjalnego dyskomfortu, kiedy sklepienie jego czaszki się rozsuwa, a oswobodzony mózg wznosi w mroźne powietrze

terrRr,

wojnas tyryryzmem

brońma sowej zagłady

dumni, tacy dumni

i

módlmy sieeeeeeeeeee

my

modlimy się i

mamy nadzieję i

błogosławimy i

chwalmy

od którego wszystkie łaski

pyną

AAACZNOŚĆ BRAVO

PAKOWAĆ KLAMOTY!

Billy nie potrafi postrzegać swych amerykańskich współbraci inaczej niż jako dzieci – niezależnie od wieku i pozycji społecznej. Są śmiali, dumni, pewni siebie zupełnie jak inteligentne, lecz obdarzone zbyt wysoką samooceną dzieci i można im wyklądać do ochrypnięcia, a i tak nie oświeci się ich w kwestii stanu stuprocentowego grzechu, ku któremu dąży wojna. Lituje się więc nad nimi, gardzi nimi, kocha ich, nienawidzi ich, tych dzieci. Tych chłopców i dziewczynek. Tych niemowląt, szkrabów. Amerykanie to dzieci, które muszą opuścić kraj, by dorosnąć, i czasem przy okazji giną.

– A ta babka, co tam była – zaczyna Crack, kiedy ruszają dalej – ta blondyna z małymi dziećmiakami, co nie? Kiedy jej mąż robił nam zdjęcie, ona centralnie masowała mi tyłkiem dzidę.

– Pierdolisz.

– Powaga! Facet, stanął mi w chwilę, tak napierała dupą. Jeszcze pięć sekund i spuściłbym się w gacie, bez kitu.

– Kłamie – stwierdza Mango.

– Jak Boga kocham! Więc ja do niej, ej, daj może maila, poklikamy sobie, kiedy wrócę do Iraku, a ona zgrywa się, że nie wie, o co mi biega. Suka.

Mango powątpiewa, ale Billy myśli, że chyba jednak tak było – czasem babkom przy mundurowych mocno odpierdala. Cofa się o parę kroków, sprawdza komórkę. Pastor Rick przesłał mu kolejny werset z Biblii:

Wiedźcie, że Pan jest Bogiem:

On sam nas stworzył, my Jego własnością.

Typ jest niezmordowany, jak sprzedawca używanych samochodów w owczej skórce. Billy usuwa esemesa, zastanawiając się jednocześnie, czy jeżdżenie po kapłanie, nawet tak beznadziejnym, nie przynosi aby pecha.

– Nie jest ci zimno? – pyta przechodząca мимо kobieta, a Billy uśmiecha się i kręci głową, nie, psze pani. Bo i nie marznie, choć nie ma pretensji do kibiców za futrzane szuby, puchowe kurtki, rękawice w kształcie niedźwiedziich łap i maski ninja chroniące twarze. W futrach często widać także mężczyzn, proszę, co może moda. Nagle równa z nim krok major Mac.

– Panie majorze McLaurin!

Oficer spogląda na niego nieprzytomnie. Billy przypomina sobie, że z nim trzeba głośniej.

– MARTWILIŚMY SIĘ O PANA, PANIE MAJORZE! NIE WIEDZIELIŚMY, GDZIE PAN POSZEDŁ!

McLaurin przełącza się na marsową minę:

– Ogarnijcie się, żołnierzu, byłem właśnie tutaj. Oczy wam chyba pajęczyną zarosły.

Przyjęto do wiadomości, bez odbioru, skoro major uważa, że był właśnie tutaj, to prosty żołnierz nie ma już nic do gadania, *tak jest, PANIE MAJORZE!* Billy robi się nerwowy, niezgrabny, roznosi go jak szczeniaka setera, a major maszeruje naprzód, posępnie wpatrując się w czubki własnych butów. Spróbuj, baranie, mówi sobie Billy. No bo kiedy będziesz miał lepszą okazję niż teraz? Billy potrzebuje wiedzy, którą może mieć major Mac, wiedzy i wskazówek na takie tematy jak śmierć, strata, losy dusz, a już co najmniej przydałyby mu się jakieś sposoby na wystawianie się w tych sprawach tak, żeby ich bardzo realnej potęgi nie osrać po całości. Kiedy go pytają, czy się modli, czy jest wierzący, albo i dokładniej: zbawiony czy katolik, Billy zawsze odpowiada twierdząco, po części dlatego, że wtedy są zadowoleni, ale też przez to, że jego zdaniem właściwie taka jest prawda, nawet jeśli niezupełnie odpowiadałaby ona temu, co ludzie sobie wówczas myślą. Chciałby im wyjaśnić, że żyje tymi kwestiami, może nie w całej rozciągłości chrześcijańskiej wiary, tak od końca do końca, ale niewątpliwie czuje jej główne przesłanie. Tajemnicę, bojaźń, ogrom smutku i żalości. Ludu, mój ludu. Poczul, jak dusza Grzyba opuściła jego ciało w chwili śmierci, takie

olśniewające *jebut!*, jakby poszła linia wysokiego napięcia, zostawiając Billy'ego z przeciążonymi obwodami w głowie. Przez jakiś czas czuł się potem trochę niewyraźnie, jakby rąbnął go bokser wagi ciężkiej, taki, co wie, gdzie przyłożyć. Coś jak wstrząs mózgu, takie to było uczucie. Czasem Billy ma wrażenie, że wciąż jeszcze dzwoni mu w uszach.

Dusza to coś rzeczywistego, namacalnego, Billy jest tego teraz pewien. Przez te dwa tygodnie wędrował po swej pięknej ojczyźnie, wierząc szczerze, że prędzej czy później spotka kogoś, kto mu objaśni to, czego doświadczył, a przynajmniej rozłoży przeżycia Billy'ego na czynniki pierwsze i umieści we właściwym układzie odniesienia. Był pastor Rick, któremu Billy zwierzył się w chwili słabości, ale ten okazał się egotystycznym patafianem. Dime sam za bardzo w tym siedzi, a tak w ogóle Billy potrzebowałby kogoś, kto lepiej pasuje do profilu usatkwowanego dorosłego. Był czas, że brał tu pod uwagę Alberta jako człowieka o bogatym doświadczeniu, świetnie wykształconego, który zdawał się tak wiele wiedzieć na tak wiele tematów, a gadane miał tak, że nic, tylko chmury zawracać, ale ostatnio Billy traci nadzieję. Nie, żeby Albertowi brakowało współczucia – choć czasami potrafi tak na luzie spojrzeć na kogoś jak na następny kęs hamburgera – idzie raczej o ironię, z jaką obserwuje on wszystkie strony każdej kwestii, włącznie z własnym stanowiskiem. Albert, jak przystało na człowieka światowego, wie, do czego jest zdolny, ale właśnie ta zakorzeniona w nim światowość ogranicza go dokładnie w tych aspektach, na których Billy'emu najbardziej zależy.

I tak oto jako najlepszy kandydat pozostaje major Mac, major-sfinks, major-zombi, ta zjawa, która rzadko mówi, a nigdy nie szcza, facet, który przez czterdzieści procent czasu zdaje się obecny tylko w sześćdziesięciu procentach. Tak, ten major Mac. Dlatego też Billy, towarzysząc oficerowi w wędrowce przez zaplecze, odczuwa ogromną frustrację. Chce wiedzieć, co się stało tamtego dnia w Ramallah. Czy major stracił tam wtedy jakichś ludzi? Przyjaciół? Widział, jak umierają? Billy czuje straszliwą potrzebę nawiązania z kimś kontaktu, tak serce do serca, facet facetowi, wojak z wojakiem, łaknie owej szorstkiej a niezbędnej wiedzy, tymczasem zaś ledwie umie z oficerami gadać o duperelach, a co dopiero złamać szyfr wyobcowania majora Maca, żeby dotrzeć do tych tak osobistych i rzeczywistych treści. Jak niby ma przełamać lody? TE, MAJOR, OBADAJ, DAJĄ HEINEKENA Z KIJA! Billy czuje, że szansa wymyka mu się z rąk, kiedy Josh wiedzie ich w boczny korytarz do ruchomych schodów tylko dla upoważnionych. Dwóch bykowatych, a niepewnych siebie ochroniarzy w marynarkach i pod krawatami zerka na meczowe identyfikatory Bravo

i puszcza ich między poręcze. – Schody do nieba, facet! – drze się Sykes, kiedy jadą w górę, i rechocze, jakby dowcip wyjątkowo mu się udał. Stojąc z szacunkiem o stopień poniżej majora, Billy dochodzi do wniosku, że nie ma szans. Brak mu odwagi, brak też daru ściemy, a trzeba by jeszcze uwzględnić kalectwo majora i powiązane z nim odczucie, że nie wszystkie tematy kwalifikują się do omawiania rykiem. Śmierć, żałoba, los duszy – te sprawy domagają się wręcz, by rozprawiać o nich trzeźwo, z namysłem, w tych tematach do niczego się nie dojdzie, wrzeszcząc.

Więc Billy milczy, nie to, żeby major zauważał takie rzeczy. Ruchome schody dowożą ich w rejon nie wiedzieć czemu oznaczony jako „Poziom Niebieska Gwiazda”, a Josh prowadzi ich dalej, do windy z tabliczką „Tylko dla członków Klubu Stadionowego”. Przeciąga kartę przez gadżecik na ścianie i wszyscy pakują się do środka. Zanim ruszą w górę, dołączają do nich jeszcze dwie dobrze ubrane pary, w takim wieku, że mogłyby być rodzicami każdego z Bravo, ale majątek odmładza całą czwórkę co najmniej o dekadę. Nikt na nikogo nie patrzy, nikt nikogo nie zauważa. Drzwi się zamykają, nasilając stężenie kobiecych perfum, mdlące cytrusowe piżmo, jakby drzewkom pomarańczowym zdarzała się ruja. Winda właśnie rusza ze szcęką w górę, kiedy nagła konieczność skręca kichy Billy’ego, zapowiadając monstualny wyziew z tyłka, więc chłopak spina się co sił i trzyma to w sobie. Pośród Bravo przebiega niemal niedostrzegalny dreszczyk: jeszcze kilku sztywnieje, przestępuje z nogi na nogę, zaciska i rozwiera pięści. O Boże, Jezu, błagam, nie tutaj, nie teraz. Zaciskają zęby, patrzą prosto przed siebie. Jak to jest, że pobyt w ciasnym pomieszczeniu tak bez pudła pobudza jelitową aktywność frontowych żołnierzy?

W głosie Dime’a dźwięczy stal, tak mówią urodzeni, by dowodzić.

– Panowie. – Zawiesza głos. – Żeby żadnemu z was nie strzeliło do głowy.

Dzięki któremu wielu łączy się w jedno

Kiedy podbijają do suto zastawionego bufetu, Sykes uparcie twierdzi, że ten posiłek to „brunch”, jakby w ten sposób miał z siebie robić metroseksualnego ogiera z tęgą pytą, ale Dime w końcu mówi mu:

– Ryj, ćwoku, to jest lunch, a jeśli chcesz ściśle, to świąteczny obiad. – No i w rzeczy samej, mają przed sobą orgię wyzerki jak z obrazka, nie mniej niż dwadzieścia metrów bieżących tradycyjnych i nowomodnych dań na Dziękczynienie, a wszystko błyszczący jak reklama w kolorowej prasie. Billy zgarnia ze stosu czysty talerz i myśli, że chyba się zrzyga. Za dużo tego wszystkiego na jego kaca, wszystkie te kopce, plastry, połączenia, góry i doliny substancji jadalnych, przypominające skomplikowany system fortyfikacji polowych, i to ta rzeczy-w-istość, sama gęstość przedstawionych im molekuł sprawia, że żołądek jedzie. Billy stoi przez chwilę, kołyszając się nieco – puści czy nie? – w końcu jednak brzuch warczeniem oznajmia podstawową potrzebę.

– No, chłopaki, ładować – mówi im Dime. – A potem pogadamy, jak się żyje prostym ludziom.

Establishmentowe wonie sosu i pasty do mebli dowodzą, że to niewątpliwie meczowe lokum dla nadzianych. Za sam wjazd buli się dychę, do tego czterdzieści za posiłek (plus stanowy VAT i napiwek) – dla bohaterów gratis, mówi Josh, na co Bravo odpowiada: „prawidłowo” – choć wygląd to ten „klub” ma raczej nędzny, obszerna sala z niskim sufitem, na jednym końcu bar, na drugim przeszklona ściana z widokiem na boisko. Światła są w drażniącej nerwy gamie ostrych i delikatnych – lampki z góry emanują barwę zjełczałego masła, w którą wcina się brutalny, srebrzysty blask z tych wielkich okien, nieustanna szarpanina odcieni i głębi widzenia, przez co oczy gości nie są w stanie się akomodować. Dywan jest szary jak żużel na hałdzie, meble to wytarte pseudokasztelańskie nie wiadomo co, burgundowy plastik i politura w odcieniu byczej krwi, jak wystrój sieciówek Holiday Inn z lat siedemdziesiątych. Ewidentnie cięto tu koszty za wszelką cenę, aż do minimum niezbędnego, by się klienci nie zbuntowali.

Billy wyczuwa, że to miejsce wprawia go w gówniany nastrój, depresja raz-dwa zadomawia się w jego bebechach, ale Billy myśli, że to tylko alergię na bogaczy. Spiął się od razu, jak tylko tu wszedł i poczuł woń kasy. Z miejsca chciał wrzucić wsteczny. Chciał dać komuś w zęby. Bogacze sprawiają, że robi się nerwowo, bez szczególnego

powodu – po prostu tak mają i już, a kiedy Billy w zielonym jak perz mundurze galowym stał przy podeście hostessy, czuł się mniej więcej tak samo na miejscu jak lump szczający właśnie w gacie. A tu – niespodzianka! Kiedy Bravo stali i czekali, aż wskaże się im, gdzie mają siąść, goście Klubu Stadionowego wstali jak jeden mąż i zdołali się sprząc w pełnym godności aplauzie. Kilku pobliskich milionerów podeszło uścisnąć im dłonie, a dalej w głębi sali grupa patriotów, sądząc po głosach – pijanych, wzniosła bełkotliwy stadionowy wiwat. Do stołu poprowadził ich sam kierownik klubu, smukły, śliski typ o pełnej unizoności nawijce, dzięki której brzmiał jak szef firmy pogrzebowej na podrywie w knajpie. W pewnym sensie tak było nawet gorzej, kiedy wszystkie te szychy się na człowieka gapiły. Billy czuł, że zaczyna gubić równy krok, ramiona majtały się dziko, ale wystarczyło zerknąć na Dime'a i się uspokoił. Ściągnięte łopatki, oczy przed siebie, głowa odchyłona od pionu o sześć stopni w tył, jak gdyby godność była kieliszkiem, który należy utrzymać na podbródku... Billy przybrał pozę Dime'a i zaraz wszystko wróciło do normy.

„Uwierz w potęgę ściemy”, upomina sam siebie. Właśnie w ten sposób udaje mu się jak dotąd przetrzymać wojo.

Josh pilnuje, żeby każdy miał miejsce i pełny talerz, po czym oznajmia, że na chwilę musi ich opuścić.

– Facet, jedz, nie wstydź się – mówi mu A-bort. – Od tego stania zaraz cień z ciebie zostanie.

Josh się śmieje.

– Będzie dobrze.

– Kiedy spotkanie z czirliderkami? – dopytuje się Holliday.

– Już niedługo – Josh przekrzykuje Cracka, który mówi: do diabła z tym, dawać mu tutaj Destiny's Child, marzy mu się porządny „klincz” z Beyoncé.

– A będą nam siadały na kolanach? – drąży Day.

Josh się waha.

– To ja zapytam – odpowiada z pokerową miną i wszyscy rżą. Josh. Dżoooooosz. Jak na pizdusia całkiem porządny z Josha gość. Siedzą przy dużym okrągłym stole niedaleko okien, mają świetny widok na boisko, na którym dzieje się zasadniczo niewiele. Dime pozwala im na jednego heinekena do posiłku, „jednego”, powtarza, zerkając na majora Maca, który przytakuje. Billy postarał się o miejsce przy sierzancie i Albercie, bo nieważne, o czym będą rozmawiali, on chce słuchać. Wie, że wie zbyt mało. Tak naprawdę to nic nie wie, w każdym razie nic, co warto wiedzieć: w tym

momencie w jego życiu miarą wartości jest wiedza, która uciszy umysł, ukoi duszę. Pilnuje więc miejsca obok Dime'a, bo tam, gdzie siedzi sierżant, jest szczyt stołu. Po prawicy Dime'a siada Albert, potem A-bort, Day, Lodis, Crack, Sykes, major Mac, Mango, i wreszcie ostatni element kręgu, Billy. A może by tak jeszcze dwa nakrycia, dla Grzybasa i Lake'a? To taki jego prywatny rytuał mentalny na początek zbiorowych posiłków, zamiast modlitwy. Kolejny rytuał: nigdy nie przechodź przez próg lewą nogą. I następne: kamizelkę kuloodporną zapinaj od dolnych sprzączek, nie zaczynaj zdań od litery W, nie onanizuj się przez sześć godzin przed rozpoczęciem i po zakończeniu misji bojowej. A jednak trzymał się wszystkich tych natręctw i talizmanów także w dniu bitwy nad kanałem, więc może ni diabła nie ma znaczenia, że ostatniej nocy zakwaterowali ich w Dallas w hotelu W ani że w rzeczonym hotelu znajdował się klub dla bogatego towarzystwa o przedziwnej, kurwa, nazwie – Bar Duchów. Tyle omenów, tyle znaków i sygnałów, które można by odczytywać. To przez losowość tego wszystkiego tak się człowiekowi robi w głowę, przez to, że jak dzień długi żyje się w wielkiej grze w rosyjską ruletkę. Z nieba sypią się pociski mózdzierzowe, losowo. Rakiety, granaty, improwizowane miny, wszystko losowe. Kiedyś Billy stał nocą na czujce na posterunku obserwacyjnym i nagle poczuł takie niesamowite, ciche pyk tuż przed grzbietem nosa – kiedy walił się na plecy, zrozumiał, że to świsnął pocisk, przekraczając barierę dźwięku. Minęło go o parę cali. Albo i to nie. Ułamki, atomy, a wszystko właśnie takie losowe: czy zatrzymałeś się na szczanie teraz, czy minutę później, czy odpuściłeś sobie dokładkę żarcia, czy na wyrku obróciłeś się na prawy, czy na lewy bok, no i ten najważniejszy wybór: które miejsce trafiło ci się w kolumnie. Z początku szuszwale atakowali pierwszego hummera, potem wzięli się za drugi, później jak wypadło – drugi, trzeci czy czwarty, a ostatnio znów wrócili do pierwszego; a co dopiero odwieczna, ryjąca łeb debata o to, które miejsce w wozie było najbezpieczniejsze. Każdego dnia mogło się zdarzyć wszystko i wszędzie. – Przed ergiepepancem da się uchylić – powiedział Billy dziennikarzowi parę dni temu. Nie planował ujawniania tak istotnego i osobistego szczegółu, czuł się potem tandetnie, jak gdyby wyjawiał wstydlivy sekret rodziny, ale taka prawda: przed ergiepepancem da się zrobić unik, kiedy ten cholerny wariacki wynalazek leci na człowieka koślawo, sypie iskrami i syczy jak meksykański fajerwerk za grosze, *szszszszszppppppfffffftttt-ŁUUUM!* Chciał wyjaśnić, próbował wyjaśnić, że to nie kłamstwo, że czasami naprawdę wszystko jest jak na spowolnionym filmie, a tak naprawdę chodziło mu o to, że życie potrafi być naprawdę niesamowite i surrealistyczne. To, co dzieje się teraz, nie jest ani w części tak rzeczywiste: jedzenie tego posiłku, trzymanie tego widelca, unoszenie tej szklanki, ostatnimi czasy najprawdziwsze na świecie są te rzeczy, które

Billy widzi tylko w myślach. Na przykład Lake. „Lake”, i to już wystarczy, żeby włączył mu się ten ponury filmik: nocne ujęcie, powiedzmy, drogi wzdłuż grobli, w bladym blasku księżyca, świerszcze piłują, w oddali ciche poszczekiwanie psów, ospałe siorbanie i gulgot wody w kanale. Mamy więc drogę przy grobli w cichą noc, potem kamera powoli odjeżdża od drogi i stopniowo ogniskuje się na czymś, co leży w wysokiej trawie. To noga. Dwie nogi. Nogi Lake’a. Spokój. Te świerszcze, łagodny blask księżyca, szemrzący kanał. Jakby budząc się z długiego snu, nogi zaczynają się poruszać. Z początku ostrożnie, wiercą się z dziecinną, słodko zdumioną niewinnością, w końcu jednak wstają, otrząsają się i ruszają na poszukiwanie reszty Lake’a. Mógłby to być disneyowski film o dwóch domowych zwierzętach, które przypadkiem zostały zapomniane podczas przeprowadzki, bo te nogi są takie dzielne, tak ufne i lojalne, skąd mają wiedzieć, że już na starcie mają przesrane, bo od Lake’a dzieli je dziesięć tysięcy kilometrów i ocean? Nie to, żeby o tego typu sprawach należało myśleć przy obiedzie, ale kiedy już zaczną ci chodzić po głowie takie filmy...

– Billy! – warczy Dime. – Nie odlatuj mi tu.

– Skądże, sierżancie. Ja tylko myślę o deserze.

– Myślisz o przyszłości. Zuch! Jasny gwint, dobrze ich sobie wyszkoliłem.

– No, jeść to na pewno umiem – stwierdza Albert. – Ej, chłopaki, zwolnijcie trochę. Nikt wam tego nie zabierze.

– Wszystko jest w najlepszym porządku – zapewnia go Dime. – Jeśli nikt nie podetknie im pod nos ręki ani nogi, obędzie się bez ofiar.

Albert się śmieje. Sam wziął tylko sałatkę z zieleniny i wodę gazowaną, do tego ma jeszcze niemal nietkniętą „Cowboyritę”.

– Będę za wami tęsknił, chłopaki – mówi im. – Poznanie takiej wspaniałej grupy młodych ludzi było dla mnie głębokim przeżyciem.

– No to jedź z nami – odzywa się Crack.

– No właśnie – zachęca go A-bort. – Jedź do Iraku, będzie bekowo.

– Nie – sprzeciwia się Holliday. – Albert zostanie tutaj, dopilnuje, żebyśmy zgarnęli kupę kasy, co nie, Albert?

– Taki jest plan – odpowiada Albert rozważnym półgłosem, a Billy zauważa: o, tu! Tutaj, w tym delikatnym rozluźnieniu na koniec, w tym, jak niemal niedostrzegalnie odpuszcza popisywanie się swoim ego i wkładanym trudem, widać, jak prawdziwy profesjonalista zaczyna dzielić sprawy na stracone i te, o które warto jeszcze walczyć. – Tylko bym wam przeszkadzał – ciągnie Albert – tym bardziej że jestem

generalnie typowy pacyfistyczny pajac. Rozumiecie, na prawo poszedłem tylko dlatego, żeby mnie nie wzięli do Wietnamu, i powiem wam szczerze: gdybym nie dostał odroczonej, zaraz pierwszej nocy wsiadłbym w autobus do Kanady.

– To były lata sześćdziesiąte – zauważa Crack.

– No właśnie, lata sześćdziesiąte, wszystkim chodziło tylko o to, żeby wypalić jak najwięcej trawy i zaliczyć jak najwięcej dziewczyn. Wietnam, co proszę? Miałbym z własnej woli nadstawiać łeb pod kule na jakimś zasyfialym poletku ryżowym, żeby Nixon mógł sobie porządzić przez kolejne cztery lata? Idź pan w chuj, i nie ja jeden tak myślałem. Wszyscy ci dzisiejsi topowi jastrzębie, którzy odpuścili sobie Wietnam... słuchajcie, naprawdę akurat nie ja powinienem tu wytykać kogokolwiek palcami, ale Bush, Cheney, Rove, wszyscy ci goście robili dokładnie to samo co każdy inny, i ja też, bez żadnej różnicy, taki sam cykor jak każdy. To teraz mam z nimi problem, bo się zrobili tacy twardzi i bojowi, pierdolą, że wróg może im naskoczyć, no jak Boga kocham, ludzie, weźcie okażcie choć trochę pokory. Powinni dbać o wasze młode życie tak samo, jak zatroszczyli się o własne.

– Albert, ty powinieneś wystartować w jakichś wyborach – mówi mu Mango. – Startuj na prezydenta.

Albert się śmieje.

– Wolałbym zdechnąć. Ale dzięki za komplement.

Pan producent najwyraźniej dobrze się bawi: uśmiechnięty jak kochany wujaszek, rozparty na krześle, można by wręcz powiedzieć: w pełni wykorzystujący jego właściwości, wsparty przeciwko grawitacji równie skutecznie jak Jabba Hutt na swym specjalnie wykonanym tronie.

– Po chuj on do nas wydzwania? – zapytał Crack, kiedy Albert skontaktował się z nimi po raz pierwszy, a szybkie wyszukiwanie w internecie wykazało, że faktycznie jest tym, za kogo się podawał, hollywoodzkim producentem z wieloletnim dorobkiem, w tym trzema Oscarami za najlepszy film, jeszcze w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Miał też na koncie *Prasowalnię u Fodiego*, największą klępkę finansową w dziejach Warner Bros. „To było drugie *Ishtar*”, lubi powiadać ze śmiechem, obnosi się z tą porażką jak z medalem, bo tylko pierwszoligowy gracz mógłby zmontować tak legendarną katastrofę, a zresztą kilka lat później wpadł mu ten trzeci Oscar, więc w branży znów go kochali. W środku kariery zrobił sobie przerwę, ale na własne życzenie: w Hollywood zmieniał się właśnie paradygmat, studia rezygnowały z długoterminowych umów z producentami, a on właśnie ożenił się po raz trzeci i na nowo zaczynał życie rodzinne. Pieniędzy miał tyle, że nigdy nie

potrzebowałyby zarobić więcej, więc postanowił na chwilę wycofać się z interesu. Teraz jednak, po trzech latach, aż go świerzbi, żeby znów się do czegoś zabrać. Dzięki starym przyjaciołom dostał własny kąt na terenie MGM, studio dorzuciło mu jeszcze sekretarkę i asystenta.

– Podoba mi się układ, który teraz mam – powiedział, kiedy po raz pierwszy osobiście spotkał się z Bravo. – Nikogo nade mną, zero presji. Znów czuję się jak dzieciak, mogę robić, co chcę.

A jeśli nawet jego seksowna młoda żona (ją Bravo też wygoogłali) ma żal, że Albert wybył z domu na Święto Dziękczynienia, cóż, pocziwa z niej dziewczyna. Rozumie, że on taką ma pracę. Albert patrzy z zainteresowaniem, kiedy kilku członków Klubu Stadionowego podchodzi się przywitać. Panowie mają zdrowe, krzepkie sylwetki i srebrne włosy prezesów banków w dobrej kondycji czy burmistrzów średniej wielkości miast, opaleni, wysportowani panowie około sześćdziesiątki, którzy wciąż potrafią huknąć porządny serw na korcie. Żony mają znacznie (ale nie oburzająco) młodsze, wyłącznie blondynki, a każda demonstruje jędrną architekturę chirurgicznego tuningu. *Bardzo dumni*, mówią panowie, przechodząc i ściskając dłonie. *Bardzo wdzięczni, wielki zaszczyt. Obrońcy. Wolności. Fanatycy. TerrRr.* Żony trzymają się za nimi, pozwalają panom pełnić honory, popatrują tylko z nieco zadumanymi uśmiechami, bez choćby grama jawnej żądy. *Życzymy smacznego*, mówią panowie na pożegnanie, w stanowczej i kuszącej zarazem manierze kelnerów z trzygwiazdkowych restauracji.

– Ci ludzie autentycznie was kochają, chłopaki – stwierdza Albert po ich odejściu.

Crack prycha.

– Skoro tak bardzo nas kochają, to może by ich żony...

– Ryj – szczeka Dime, i Crack się zamyka.

– Serio, ludzie, wszyscy was kochają: czarni, biali, bogaci, biedni, geje, heterocy, wszyscy. Chłopaki, jesteście jak pakiet bohaterów dla każdego, wydanie na dwudziesty pierwszy wiek. Słuchajcie, większego niż ja cynika nie znajdziecie, ale wasza historia autentycznie trafiła Amerykę w czuły punkt. Co takiego zrobiliście w Iraku? Weszliście do ringu z bandą wyjątkowych zakapiorów i nakopaliście im do dupy. Nawet taki kurdupel pacyfista jak ja potrafi to docenić.

– Kropnąłem siedmiu – mówi Sykes. Zawsze to mówi. – Siedmiu na pewno. Ale myślę, że więcej.

– Słuchajcie – ciągnie Albert – to, czego wtedy dokonali Bravo, to jest odmienny rodzaj rzeczywistości, którego udało się wam doświadczyć. Ludzie tacy jak ja, którzy

nigdy nie powąchaliby prochu, i dzięki Bogu... my za nic nie zrozumiemy, przez co wtedy przeszliście, i to chyba dlatego studia filmowe tak nas odpychają. Ci ludzie, oni żyją w takiej bańce, nie? Dla nich to wielka życiowa tragedia, jeśli ich azjatycka manikiurzystka weźmie sobie dzień wolnego. Żeby tacy ludzie wydawali sądy o autentyczności waszych doznań, to jest po prostu chore, więcej niż chore, to pornografia etyki. Oni nie potrafią pojąć tego, co zrobiliście, chłopaki.

– No to im powiedz – mówi Crack.

– No właśnie, powiedz im – dodaje A-bort i wszyscy Bravo spontanicznie zaczynają skandować:

– Powiedz im, powiedz im, powiedz im – jak chór żab albo jak mnisi na modłach. Co bliżsi goście Klubu Stadionowego uśmiechają się i chichoczą, jakby chodziło o wesołe sztubackie figle. Skandowanie urywa się równie raptownie, jak się zaczęło.

– Powiedz Hilary, niech ona im wyjaśni – mówi Dime.

– Próbuję, mistrzu. Ale w tej układance są same ruchome części. – Komórka Alberta buczy, a on pierwsze, co mówi w słuchawkę, to: – Hilary jest oficjalnie zainteresowana. – Potem: – Pewnie, że jest. To bardzo siłowa rola, a ona jest bardzo siłową aktorką. I patriotką. Naprawdę chce to zrobić. – Przerwa. – Z tego, co słyszę, piętnaście milionów. – Przerwa. – Czy będzie o polityce? – Na użytek Bravo Albert przewraca oczami. – Larry, wiesz, co mówił Clausewitz: wojna to po prostu kontynuacja polityki innymi środkami. – Przerwa. – Nie, ty analfabeto, nie *Sztuka wojny*. Ten Niemiec, w sensie Prusak. – Przerwa. – Chuja tam czytałeś *Sztukę wojny*. Może bryk, to tak. Może blurby na okładce, w to bym uwierzył. – Albert słucha, wściekle patrzy w dół. Słucha długo. Wargi rwą się do mówienia, włochate palce miętolą obrus.

– Larry, weź mi powiedz, jak można zrobić film o tej wojnie bez polityki? Co ty, chcesz mieć grę wideo? O to ci chodzi?

Bravo zerkają po sobie. A co w tym złego? – taki mieliby konsensus.

– No dobra, to powiedzmy, że politycznie tak: ci moi to bohaterowie, tak? Amerykanie, tak? Są bez dwóch zdań po dobrej stronie, a do tego również bez dwóch zdań spuścili wpierdol komu trzeba, no i kiedy ostatni raz miałeś w tym kraju coś takiego? I masz swoją politykę, Larry, idzie o to, żeby ludzie znów czuli się dobrze jako Amerykanie. W sensie *Rocky plus Pluton*, o, w tej okolicy. – Pauza, przewracanie oczami, yhy, yhy, yhy. – Słuchaj, właśnie jesteśmy na meczu Cowboys, mówię ci, w życiu czegoś takiego nie widziałem. Chłopaki kroku nie mogą zrobić, żeby ich tu nie obskakiwali, no jak z Beatlesami. Ludzie reagują na nich zupełnie instynktownie.

Bravo patrzą po sobie. Zdumiewające jest to, że Albert nawet niespecjalnie zmyśla.

– Słuchaj, pogadaj z Bobem. Jemu teraz przydałby się hit, a ja przynoszę mu ideał na srebrnej tacy, cholera. – Cisza. – Chryste. – Cisza. – Nie no, ja pierdołę, faktycznie jest Święto Dziękczynienia. Ale uwierz mi, Hilary serio jest tym zainteresowana. Będziesz się cieszył, że w to wszedłeś.

– Jakiś problem? – pyta Dime, kiedy Albert się rozłącza.

– Nie, standard – Albert upija łyk „Cowboyrity”, krzywi się. – Takie czasy, że w każdym studiu rządzą księgowi. Kurduple w maseratich, małe gnojki w wielkich garniturach. Co rano muszą sprawdzać się w Google’u, żeby sobie przypomnieć, kim są.

– Mówił pan, zdaje się, że Oliver Stone sam był w Wietnamie? – pyta Sykes.

– Owszem, Kenneth, mówiłem. A wspomniałem przy okazji, że to świr? No i on nie ściągnie dużych pieniędzy. Słuchajcie, jeśli będę musiał zebrać na ulicy, żeby zrobić ten film, to będę zebrał, bo tak w was wierzę, chłopaki.

Nikt nie wie, co to ma dokładnie znaczyć. Za to bufet kusi. Kiedy podchodzą po dokładkę – tylko Dime, Albert i major Mac sobie odpuścili – stoi przed nimi długa kolejka, ale jak tylko ludzie zauważają, że to Bravo się ustawili, schodzą im z drogi, zachęcają żołnierzy, by poszli przodem. Z początku Bravo odmawiają, co prowokuje figlarne zamieszanie. *Śmiało!* – nalegają cywile niby karcąco. *No już, naprzód marsz!* Kiwają głowami i uśmiechają się, kiedy Bravo przechodzą obok, podniesieni na duchu widokiem tych wspaniałych, krzepkich amerykańskich chłopców o szerokich barach, doskonałych manierach, ze zdolnością wrąbania wszystkiego, co tylko jest w zasięgu wzroku. Wszyscy są szczęśliwi. Oto jest Chwila. Czegoś dowiedli, potwierdziły się założenia, więc teraz mogą śmiało kroczyć naprzód i cieszyć się tym dniem. Kac Billy’ego dostał takiego kopa od tej nawały kalorii, że znów ożył, ale przy drugim podejściu do bufetu Billy znów zachwyca się tym przepięknym jedzeniem: indykiem, którego mięso pod złocistą skórką układa się w słoje niczym drewno, soczystymi, wilgotnymi splotami zapiekanki warzywnej, pulchnymi kopcami farszu, sześcioma różnymi rodzajami ziemniaków, piure i całych, w tym w egzotycznej fioletowej odmianie o dziwnie przyjemnej konsystencji zleżalej pleśni. Tu, w błogosławionym od Boga świecie amerykańskiego mainstreamu, jada się cywilizowane posiłki, a potem sadza cywilizowane kloce, pod dachem, w spokoju, na klozetach splukiwanych wodą, w zwykłej, przyzwoitej intymności, jak Pan Bóg przykazał, a nie na szeroko otwartych przestrzeniach barbarzyńskich pustyń, gdzie natura wgrzyza się człowiekowi w dupę jak szczeniak pitbul. I Billy myśli sobie, że może to właśnie jest cały sens cywilizacji,

spożywanie wspaniałych posiłków i schludne sadzenie kłoców, a w takim razie absolutnie jest za, bo wariant alternatywny już zupełnie mu się przejadł.

W drodze z powrotem do stołu zaczynają się chichrać. Bez powodu, po prostu tak ich naszło, od jedzenia są odurzeni glukozą, ale kiedy już są przy krzesłach, Dime mówi im *siadać, kurwa, ryje w kubel*, on nie żartuje. Coś się stało. A co się stało? Wkrótce dowiadują się, że potężny duet producencko-reżyserski, Grazer i Howard, dał znać o chęci zrobienia filmu o historii Bravo, nawet Universal Studios wyraziły ustną aprobatę, ale wszystko to pod warunkiem, że przeniosą fabułę w czasy II wojny światowej. Na razie jednak Bravo wiedzą tylko, że Dime zniecka dostał peemesa, a Albert zachowuje się tak, jakby nic się nie stało, beznamiętnie wbija literki w klawiaturę blackberry.

– Pan i władca *psyche* – powiedział o sierżancie Grzybas po tym, jak Dime spędził większą część przedpołudnia, dojeżdżając Billy’ego jak burą sukę za to, że ten zostawił na noc w hummerze gogle noktowizyjne. Pompki, brzuszki, bolesne pozycje obciążeniowe z workami piasku, a na koniec sześć morderczych rundek w niemal czterdziestostopniowym upale wokół wnętrza ogrodzenia wysuniętej bazy, z grubsza licząc sześć i pół kilometra. – Nigdy typa nie rozgryziesz, więc nawet nie próbuj – poradził mu Grzybu.

– To buc – stwierdził Billy.

– Owszem, zgadza się. I właśnie dlatego kochasz go jeszcze bardziej.

– Chuja prawda. Nienawidzę skurwysyna.

Grzybu się roześmiał, ale on akurat mógł, służył z Dime’em jeszcze w Afganistanie, i jego jedyne w Bravo Dime nie dojeżdżał. Rozmowa ta odbywała się w cieniu siatki maskującej, którą Grzybas rozciągnął przy swoim kontenerowym domku: w godzinach wolnych od zajęć palił tam, czytał i dumał nad naturą wszechrzeczy na składanym krzeselku w malowaniu maskującym, które kupił sobie w Kuwejcie. Billy uspokaja się, kiedy wspomina Grzybasa usadowionego tam bosko, z gołą kłatą, petem w dłoni, książką na kolanach: *Powoli z nurtem Gangesu* Erica Newby’ego. Grzybu strasznie się jarał takimi etnobotanicznymi, mistycznymi jazdami, nawet *wyglądał* jak gigantyczny grzyb: mięsisty, zwalisty białas z niedoborem melaniny, sylwetką zasadniczo najbardziej przypominający morsa, ale obdarzony niewiarygodną, robociarską krzepą. Potrafił z erkaemu strzelać z jednej ręki, jak z pistoletu, zakładał wukaemy na obrotnice, a dwudziestokilowe worki ryżu z pomocy humanitarnej wyglądały w jego łapskach jak woreczki z grochem do ćwiczeń. Co drugi dzień golił głowę, zadziwiającą delikatną kulę, która w porównaniu z resztą jego ciała wydawała

się o parę rozmiarów za mała. W upały jego twarz rozpalala się rumieńcami pokręconymi niczym wosk w lampie lawowej, i nie to, że się pocił – on opływał oleistą substancją, która powlekała całe jego ciało, jakby wynurzył się z kałuży stęchłej wody z ogórków kiszonych.

– Gdyby na Księżycu żyli ludzie – lubił powiadać Dime – wszyscy wyglądaliby jak Grzybu.

To właśnie Grzybas wyjawiał Billy’emu, że ojciec Dime’a to ważny sędzia w Karolinie Północnej. – Dime jest z pieniędzy – powiedział. – Ale nie chce, żeby ludzie o tym wiedzieli. Wiesz chyba, co to znaczy.

Nie, odparł Billy. Co to znaczy?

– Że jest ze starych pieniędzy.

Naprawdę była z nich przedziwna parka, przystojny Dime zakumulowany z cielakowatym Grzybem, a i wiedzieli o sobie nawzajem więcej, niż w normalnych okolicznościach uważano by za zdrowe, tak się w każdym razie wydawało. Od czasu do czasu Dime rzucał aluzjami do koszmarnego dzieciństwa Grzybasa – brzmiało to jak historia w sam raz na film, co krok, to porażka, włącznie z turnusem w jakimś wyznaniowym ośrodku dla sierot. Dime zawsze nazywał to miejsce Domem Analnego Odkupienia Kościoła Baptistów dla Posianych Chłopców w Dupojebni, stan Oklahoma, a Grzybas potakiwał z kamienną miną. Billy domniemywał, że to właśnie tam Grzybu posiadał swój obezwładniający repertuar cytatów z Biblii, uzupełniony sentencjonalnymi wypowiedziami typu: „Jezus nie był firmą od przeprowadzek” czy „Dla Boga wszyscy jesteśmy kruchymi ciasteczkami, czy się to nam podoba, czy nie”. W Grzyboświecie cegły to „suchary z gliny”, drzewa – „niebokrzewy”, a wszyscy piechocińcy na froncie – „mięsne króliki”, z kolei wypowiedzi mediów na temat postępów w wojnie były jak „cudze kłamstwa na własnym nagrobku”. Gdzieś na początku tury, zanim zdarzyła im się pierwsza porządna akcja, Billy zapytał Grzybasa, jak to jest być pod ogniem. Ten namyślał się przez chwilę. „To niepodobne do czegokolwiek innego, no, chyba że jakby cię anioły zgwałciły”. Przed wyjazdem z bazy mówił każdemu w drużynie „Kocham cię”, zupełnie serio, nie żartem, bez sarkastycznego zaśpiewu ani też rozedrganego chrześcijańskiego zadęcia, ot, takie związane oświadczenie, jakby dopinał pasy bezpieczeństwa wokół duszy każdego z nich. Potem inni Bravo też zaczęli tak mówić, co prawda z początku raczej na pół gwizdka, takie beczące, łzawe „kocham cię, gościu” w głosie rozpaczonego typu z reklam budweisera. Kiedy jednak walili w nich coraz częściej, a przy każdej wyprawie za płot szło się zesrać ze strachu, skończyły się śmichy-chichy.

No to po mnie. Jak pokaz slajdów, żywy, nieżywy, żywy, nieżywy, żywy, nieżywy. Billy robił chyba z dziesięć rzeczy naraz, rozpakowywał torbę z opatrunkami, wpychał w obejmę nowy magazynek, gadał do Grzybasa, klepał go po twarzy, wrzeszczał, żeby mu tu nie zasypiał, próbował namierzać, skąd do niego prują, a wszystko to skulony, bo ni chuja nie było się za czym schować. Na filmie z Fox News widać, jak jedną ręką strzela, a drugą robi coś przy Grzybasie, ale tego zupełnie nie pamięta. Pewnie odcinał szelki jego plecaka z amunicją, rozpinał klamry kamizelki kuloodpornej, żeby móc sięgnąć do miejsc zranień. Czy to właśnie ludzie nazywają odwagą? Robienie po prostu tego, do czego cię wyszkolono, choć wszystkiego naraz i galopem. Pamięta, że z przodu cały był zbryzgany krwią, momentami zastanawiał się, czy aby i nie własną, zakrwawione dłonie miał tak śliskie, że w końcu bandaż uciskowy otworzył zębami, a gdy obrócił się do Grzybasa, ten wielki głąb właśnie podnosił się do siadu! Potem jednak zaraz padł, Billy podsunął się doń bokiem, jak krab, żeby głowa sierżanta spoczęła mu na udach, a wtedy Grzybu uniósł ku niemu wzrok, marszcząc brwi, z takim ogniem w oczach, jakby chciał powiedzieć coś niezmiernej wagi.

– To twój sierżant – powiedział mu wcześniej tamtego dnia Grzybas pod swoim kontenerowym domkiem. – Taką ma robotę, żeby uprzykrzyć ci życie do maksa. – Potem zaś tłumaczył Billy’emu, że Dime tak genialnie radził sobie z psychiką żołnierzy między innymi przez sporadyczne dawki zachęt i pochwał, jako że takie skuteczniej działały przy kształtowaniu zachowań niż ustawiczne. Cokolwiek to miało znaczyć. Grzybas z tych swoich książek nauczył się wielu bezużytecznych rzeczy, ale tu, w Klubie Stadionowym, Billy myśli sobie tylko: „Dzięki, że za pańską przyczyną czujemy się chujowo, sierżancie! Dzięki, że zjebał pan ten pyszny posiłek!”. Pewnie ostatni niezaserwowany, czy przynajmniej nieopłacony, przez wojsko, jaki im się trafi przez długie miesiące, ale pies z tym, są osyfiałymi zasranymi trepami z okopów i w tej chwili za zadanie mają tylko stulić pyski i żreć.

Dime warczy:

– A-bort, kurwa, co ty tam robisz?

– Piszę esa do Lake’a, panie sierżancie. Żeby wiedział, co u nas.

Dime nie bardzo może go za to objechać, więc rozgląda się po stole, szuka nowego celu, ale wszyscy przygięli się nad talerzami i ładują ile wlezie. Nagle Albert zaczyna chichotać.

– Hej, popatrz na to. – I podaje Dime’owi swojego blackberry.

– Jaja sobie facet robi? Przecież to nie może być na serio.

– Niestety, chyba jednak jest.

Dime obraca się do Billy'ego.

– Typ mówi, że nasz film to takie *Z podniesionym czołem*, tyle że w Iraku.

– Aha. – Billy nie oglądał *Z podniesionym czołem*. – W tym też grała Hilary Swank?

– Nie, Billy, w tym Hilary Swank nie... A, Chryste, nieważne. Albert, co to za ludzie?

– Pajace – odpowiada Albert. – Kujonki, glonojady, kłamczuchy, banda chudych kundli o bardzo małych rozumkach, uganiających się wokół toru za lipnym królikiem. Widzą treść, to się jej boją, gorzej, są autentycznie przerażeni. „Czy to aby dobre? Łeee, czy to niedobre? Łeee, żebym to ja wiedział!” Aż żal dupę ściska, tyle pieniędzy i zero gustu. Walnij ich w pyski kolejnym *Chinatown*, a oni powiedzą, że trzeba tam wetknąć parę ślicznych szczeniaczków.

Dime jest wyluzowany.

– Czyli mówisz, że mamy przesrane.

– Halo, prrr, powiedziałem tak? Powiedziałem? O nie, bynajmniej. Od trzydziestu pięciu lat zarabiam w tej branży na życie, wyglądam wam na typa do wyruchania? – Bravo się śmieją: no cóż, kiedy spojrzeć na Alberta, „typ do wyruchania” zdecydowanie nie jest pierwszym skojarzeniem. – Hollywood to chore miejsce, pokręcone, co do tego nie będę wam wciskał ciemnoty. Zepsute, dekadencje, roi się tam od praktykujących socjopatów, można by je z grubsza porównać do, powiedzmy, dworu Ludwika Króla Słońce w siedemnastowiecznej Francji. Nie, chłopaki, nie śmiecie się, mówię serio: czasem takie sprawy lepiej sobie wyobrazić w odniesieniu do konkretów. Wokół piętzą się hałdy forsy, wręcz patologicznie wielkie, z każdej strony chorobliwa przesada, a każdy ciul w mieście kręci przy tym własne lody, próbuje coś tam dla siebie urwać. Ale w tym celu musi mieć doświadczenie do króla, bo król trzyma wszystko w garści, co nie? I tu jest problem. Ogromny problem. Problem z dostępem. Nie da się ot tak wejść z ulicy i podbić do króla z własnym tematem, ale w każdym momencie masz ze dwudziestu, trzydziestu ludzi, którzy się kręcą przy dworze i mają doświadczenie do króla. Mają dostęp, mają wpływy, są podłączeni do koryta... Więc kluczowe jest zagwarantowanie sobie, że jeden z nich podepnie się do twojego interesu. To samo macie w Hollywood: zawsze jest taka dwudziestka czy trzydziestka osób, które gwarantują, że wasz projekt ruszy. Nazwiska mogą być co roku inne, ale mechanizm pozostaje ten sam, liczba też zanadto nie skacze. Jeśli jeden z tych ludzi podłączy się do waszego projektu, jesteście ustawieni.

– Swank – podsuwa Crack.

– Swank znaczy zrobione – potwierdza Albert.

– Wahlberg? – pyta Mango.

– Marky też może załatwić sprawę.

– A może Wesley Snipes – odzywa się Lodis. – W sensie, no wiecie, mógłby zagrać mnie.

– Ciekawy pomysł. – Albert duma przez chwilę. – Nie w tym filmie, ale wiesz co, Lodis? Zobaczę, może uda mi się wpasować ciebie do jego następnego filmu, będziesz jego dupcią. Co ty na to?

Eeeeehehehehehehehe, wszyscy drą łacha z Lodisa, a ten tylko się szczerzy, z zębami upapranymi żarciem. Przerywa im nagle członek Klubu Stadionowego, który chciałby się przywitać z żołnierzami. Nigdy nie zagadują ich młodzi faceci, czy choćby w średnim wieku, zawsze dziadki, srebrnowłosi, bezpieczni poza wiekiem mobilizacyjnym. Dziękują żołnierzom za ich oddaną służbę. Pytają, jak tam lunch. Chwalą za takie domniemane zalety jak zawziętość, agresywność, umiłowanie ojczyzny. Akurat ten, dziarski, rumiany facet, któremu wśród siwizny prześwitują jeszcze czarne pasma, przedstawia się, przeciągając samogłoski tak zapamiętałe, że brzmi to tak, jakby mówił „Hau-Wayne”. Zaraz zaś opowiada im o nowym, odważnym procesie technologicznym wykorzystywanym przez jego rodzinną firmę naftową, by wycisnąć więcej ze złóż Barnett Shale – coś ze słoną wodą, chemicznymi substancjami frakcjonującymi.

– Wśród tych, co tam z wami służą, są też dzieci moich znajomych – mówi im Hau-Wayne. – Więc traktuję tę sprawę osobiście: kiedy zwiększam produkcję krajową, zmniejsza się nasza zależność od ropy z zagranicy. Jak ja to widzę, im lepiej robię swoje, tym prędzej będziemy mogli ściągnąć was, młodych, do domu.

– Dziękuję panu! – odpowiada Dime. – To naprawdę wspaniałe. Jesteśmy panu szczerze zobowiązani.

– Staram się tylko robić, co do mnie należy. – I to jeszcze było git, pomyślał później Billy. Gdyby facet powiedział już tylko „życze smacznego”, jak wszyscy inni, i wrócił do swojego lukratywnego, patriotycznego życia, byłoby świetnie. Ale nie, połaszczył się, chciał z Bravo wydostać coś jeszcze. Więc pyta: – A tak z waszego punktu widzenia to jak nam tam idzie?

– Jak nam idzie? – radośnie powtarza Dime. – Tak z naszego punktu widzenia? – Bravo składają dłonie, wbijają wzrok w talerze, choć niektórzy nie potrafią

powstrzymać się od uśmiechów. Albert, nagle zaintrygowany, przechyla głowę i pakuje blackberry do kieszeni. – Cóż, to jest wojna – podejmuje Dime, wciąż radosny – sytuacja z definicji ekstremalna, ludzie dokładają wszelkich starań, by się nawzajem eliminować. Ja jednak bynajmniej nie mam kwalifikacji, by zaprezentować panu strategiczny obraz wydarzeń. Jeśli mogę pana o czymś zapewnić, to tylko o tym, że wymiana ognia z zamiarem uśmiercenia przeciwnika jest doprawdy doświadczeniem odmieniającym psychikę.

– Nie wątpię, nie wątpię – przytakuje z powagą Hau-Wayne. – Mogę sobie wyobrazić, jaki to ciężar dla was, młodych. Być wystawionym na przemoc w takiej skali...

– Skąd! – przerywa mu Dime. – To zupełnie nie tak! My lubimy przemoc, lubimy zabijanie! Przecież, prawda, za to nam płacicie, nie? Żebyśmy uderzyli na nieprzyjaciół Ameryki i posłali ich prosto do diabła? Gdybyśmy nie lubili zabijać ludzi, to jaki byłby w tym sens? Równie dobrze moglibyście wysłać na wojnę Korpus Pokoju!

– Aha, ha – śmieje się Hau-Wayne, choć jego uśmiech stracił już nieco blasku. – Cóż, chyba tu mnie pan ma.

– Proszę pana, widzi pan tych chłopaków? – Dime wskazuje gestem siedzących przy stole. – Każdego z tych ćwoków kocham jak brata, ba, założę się, że ich mamy nie kochały ich tak, jak ja ich kocham, ale w kwestii formalnej: w życiu nie spotka pan równie morderczej bandy psychopatów. Nie wiem, jak to z nimi było, zanim znaleźli się w wojsku, ale dać im broń i parę piguł na odchudzanie, i rozpirzą w diabły wszystko, co się rusza. Mam rację, Bravo?

Odpowiadają od razu i z entuzjazmem: **Tak jest, panie sierżancie!** W całej restauracji w ich stronę raptownie obracają się dziesiątki ufryzowanych głów.

– Widzi pan, o co mi chodzi? – rzy Dime. – To killerzy, bawią się świetnie, jak nigdy w życiu. Więc jeśli pańska rodzinna firma nafciarska chce frakcjonować Barnett Shale aż do zajebania, proszę bardzo, jest to pańska prerogatywa, ale nie musi pan robić tego dla nas. Pan ma swój interes, my swój, wy będziecie pompowali, my będziemy zabijali.

Hau-Wayne otwiera usta, raz czy dwa kłapie zuchwą, ale nie wydaje z siebie żadnego dźwięku. Oczy zapadły mu się głęboko w czaszkę. Patrzcie i podziwiajcie, ludzie, myśli sobie Billy, oto milioner po totalnym rozjebaniu mózgu.

– To ja już pójdę – mamrocze Hau-Wayne, popatrując dokoła, jakby szukał drogi ucieczki. „Nie gadaj o sprawach, o których ni chuja nie wiesz”, myśli sobie Billy, bo na tym właśnie zasadza się przebieg tego typu spotkań: Bravo dzięki doświadczeniu

mają przewagę ogniową. Są autentyczni. Są Prawdziwi. Wielekroć nieśli śmierć, wielekroć śmierć przyszła do nich, czuli jej woń, trzymali ją, brnęli przez nią w buciorach, mieli ją rozbryzniętą na mundurach, w ustach poznali jej smak. Oto ich przewaga, a zważywszy na standard męskości, jaki postawiła sobie Ameryka, aż dziw bierze, jak niewielu rodaków rzeczywiście doń dorasta. „O co walczymy?” Helou, kurwa, co za „my”? W tym penerskim narodzie mocnych w pysku i ściemniaczy chłopaki z Bravo zawsze mają w rękawie zakrwawionego asa.

Kiedy Hau-Wayne odchodzi, Bravo rechoczą już bez skrępowania.

– Wiesz co, David – Albert wpatruje się w Dime’a z namysłem – kiedy wyjdiesz już do cywila, naprawdę pomyśl o karierze aktorskiej.

Bravo wyją, ale wydaje się, że Albert mówił serio, podobnie jak i Dime, kiedy odpowiada z pełną powagą:

– Byłem dla niego za ostry? – I wszyscy kwiczą ze śmiechu, ale on siedzi spokojnie, z pokerową miną. Kilku Bravo zaczyna skandować *Holly-woood*, a Day mówi Albertowi:

– Dime wcale nie gra, on po prostu lubi robić ludzi w chuja.

Na co Albert:

– A aktorstwo to co innego? – I budzi kolejną falę kwiku. Wśród tego wszystkiego sierżant pochyła się do Billy’ego i mruczy:

– Jasny gwint, Billy, czemu tak wsiadłem na tego gościa?

– Nie wiem, panie sierżancie. Pewnie miał pan jakiś powód.

– Chryste Panie. Jaki znów powód?

Billy czuje, że tętno mu skacze. Zupełnie jakby w klasie wywołano go do odpowiedzi.

– Trudno powiedzieć, panie sierżancie. Może nie lubi pan ściemy?

– No, może. A na dodatek jestem buc?

Billy wstrzymuje się od odpowiedzi. Dime się śmieje, opiera wygodnie i macha na kelnera. Kiedy obraca się z powrotem do Billy’ego, proszę, oto znów Spojrzenie: wzrok tak szczerzy i otwarty, że Billy nie może nie zadać sobie podstawowego pytania: „Dlaczego właśnie ja?”. Z początku się bał, że może akurat zaczyna się jakiś koszmarny gejowski podryw, bo w jego zakresie pojmowania przeciągłe spojrzenia innych mężczyzn prosto w oczy praktycznie w stu procentach oznaczały pedałstwo, ostatnio jednak zwątpił, by tak było, choć ta konkluzja wymagała istotnego rozszerzenia poglądów Billy’ego na naturę człowieka. Dime’owi chodzi o coś innego, jakąś

aprobatę czy inny, nieokreślony jak dotąd wkład, refleksję, choć Billy wie, że gdyby opisał rzecz całą jakiejś klasycznej osobie trzeciej, i tak wyszłoby pedalsko, choćby na podstawie czysto wzrokowego przedstawienia zajścia, które to wszystko spowodowało. Trzeba było być w tej sytuacji, żeby pojąć totalną udrękę bycia człowiekiem tamtego dnia. Przykład jeden z wielu: spustoszenie, jakie czynił w duszy widok Lake'a leżącego na stole operacyjnym i opędzającego się od lekarzy, wyjącego, miotającego się, bryzgającego krwią na prawo i lewo, jakby go nie ratowali, tylko próbowali żywcem obedrzeć ze skóry. Billy z czasem stwierdził, że to tu właśnie pękł, tutaj trajektoria jego rozwoju zaliczyła ostry zakręt. Było życie przed, było życie po, ale to wówczas wyjechało mu resztki panowania nad sobą i rozsypał się, rozbeczał w głoś na rampie stacji opatrunkowej. Niechybnie szok i zgryzota odebrałyby mu rozum, ale Dime wepchnął go wtedy do składziku na zaopatrzenie, cisnął nim o ścianę, przydusił do niej, jakby zamierzał go obić. Wtedy i sierżant już łkał, obaj krztusili się, dławili smarkami, oblepieni błotem, krwią, spoceni, jakby ledwie przed chwilą, sapiąc i walcząc z mdłościami, wygrzebali się z jakiejś prehistorycznej jamy pełnej pierwotnego śluzu. „Wiedziałem, że to będziesz ty – syczał w kółko Dime, a jego oddech bił jak butanowy palnik prosto w ucho Billy'ego – wiedziałem, że to będziesz ty, wiedziałem wiedziałem byłem kurwa pewien i jestem kurwa z ciebie w chuj dumny” – i wtedy schwycił twarz Billy'ego w obie dłonie i pocałował go prosto w usta, z całej pary, jakby go tam kopnął albo przyłożył gumowym młotkiem.

Minęło ładnych parę dni, nim Billy'ego przestały boleć wargi. Czekał, aż Dime nawiąże jakoś do tego zdarzenia, ale kiedy ten nie wspominał o tym nawet słowem, Billy dotykał ust palcami, wyczuwał opuchliznę. Nie dałoby się tego pokazać w filmie, nie tak, żeby ludzie zrozumieli, w każdym razie sądząc po filmach, które do tej pory Billy oglądał. Gdyby się dało, toby powiedział: „Dobra, pokażcie to”, chuj go obchodziło, że będą go brali za geja, ale trzeba by to było zrobić naprawdę przebiegle i umiejętnie, nie ot, tak, wrzucić sobie scenkę i oczekiwać od widzów, że zrozumieją, co jest grane. Teraz jednak Swank totalnie rozwaliła mu całą koncepcję. Jeśli miałyby zagrać i jego, i Dime'a, to jak mieliby wstawić taką scenę? W sensie, powodzenia: samego siebie pocałować. Samemu sobie przyjść z pomocą. Powodzenia! Może w filmie po prostu wszystkim będzie musiała odbić szajba.

A jebał to pies, w końcu nikt o tym nie wie. Dime zamawia do ich stołu drugą kolejkę heinekena, choć żąda, żeby najpierw zabrali puste szklanki. Kiedy kelner odchodzi, zjawia się następny z pytaniem, czy nie chcieliby kawy. Kawa? *Do diabła, jasne, że kawa!* Kofeina to jeden z podstawowych narkotyków. Crack pyta, czy mają

może red bulla, na co kelner mówi, że musi sprawdzić – koniec końców wszyscy zamawiają sobie po red bulla. Bravo wstają, żeby załadować deser, ale Billy musi najpierw znaleźć kibel. Nieśmiałość nie pozwala mu zapytać, więc przez jakiś czas wędruje po obrzeżach klubowej enklawy, i bardzo dobrze, tak czy inaczej potrzebował chwili oddechu, a oglądanie pamiątek z czterdziestu lat zawodowego futbolu otępia umysł całkiem nie najgorzej. Jest tu zdjęcie z podania ostatniej szansy Staubacha, powiększone do rozmiarów plakatu, i jego korki z szóstego Super Bowl, jest wyplamiona trawą bluza Mela Renfro z ostatniego meczu, który Cowboys rozegrali na stadionie Cotton Bowl, każdy przedmiot wyeksponowany z pompą i szacunkiem godnym pamiątek po Świętym Cesarstwie Rzymskim. Billy znajduje męską toaletę i robi swoje, bez pośpiechu. Jakie tu wszystko czyste. Irak to śmieci, pył, gruz, zgnilizna, smród odkrytych rynsztoków, no i jeszcze te mikroskopijne ziarenka piasku, szалу można przez nie dostać, jak odłamki żyłek wrzynają się w każdy otwór ludzkiego ciała. Billy zauważył ostatnio, że ma ten syf nawet w płucach. Kiedy bierze głębsze wdechy, słychać popiskiwanie, stłumione rżenie gdzieś głęboko, jakby słuchało się dudziarza daleko w dolinie. Zastanawia się, czy to już na stałe, czy tylko chwilowo przytknęły się filtry.

Długo myje ręce, patrząc na siebie w lustrze. Kiedy dorastał, znał w Stovall takiego jednego chłopaka, nazywał się Danny Werbner, był starszym bratem jego kumpla Claya. Danny traktował wszystkich z dystansem, rzadko się odzywał, ale że kiedyś ledwie przeżył wypadek samochodowy, w którym zginęli jego dwaj najlepsi przyjaciele, wszyscy przymykali oko na jego dziwactwa. A Danny potrafił na przykład rozebrać się do naga w pokoju, który dzielił z Clayem, i gapić się na siebie w lustrze przez długi czas, nie dbając o to, czy drzwi są otwarte, czy nie jest zimno, czy czasem nie nadciąga gromada młodszych chłopaków. To była tylko jedna z dziwnych rzeczy, które robił Danny, zachowań zaburzonych, ale obdarzonych bezsprzeczną logiką. Wpatrywanie się w lustro, żeby się upewnić, że się na pewno istnieje.

Ostatnimi czasy Billy wraca do tego myślni, kiedy patrzy w jakieś lustro. Na korytarzu natyka się na Mango, idącego z sali z jednym z kelnerów, krępy młodym Latynosem z dużym złotym kolczykiem w uchu, o wygolonych skroniach kocura z getta. Obaj uśmiechają się chytrze. Coś się kroi. Mango odciąga Billy'ego pod ścianę i zaraz pod zdjęciem Toma Landry'ego ściskającego dłoń Ronalda Reagana pyta szeptem:

– Ściągnąłbyś bucha?

A *jak*. Kelner prowadzi ich przez kuchnię i zagracony korytarzyk techniczny do zawalonego śmieciem magazynu, gdzie nie ma ogrzewania, a stamtąd wydostają się na

trapezoidalny kawałek otwartej przestrzeni, jakby norkę wydłubaną wśród stadionowej armatury. To pomyłka, błąd architekta starannie ukryty przed oczyma postronnych, tak nieduży, że ledwie się tam mieszczą we trzech. Kelner, na imię ma Hector, musi się schylić, żeby nie przydzwonić w dwuteownik przechodzący w narożniku.

– Co to za miejsce? – pyta Billy, bo o coś musi zapytać.

Hector się śmieje.

– Całe nic. – Kopniakiem posyła pod drzwi kawałek drewna. – Jesteśmy nigdzie, facet, to jedno z tych miejsc, których nie ma. Ja i kumple urywamy się tu czasem na fajka.

Śmieją się. Powietrze jest zimne, ale przyjemne. Spływa tu do nich światło słoneczne, ale jakieś takie wykastrowane, odcedzone i przesiane przez stalowe żebrowanie. Przez kilka chwil Billy wyobraża sobie, że stadion to przedłużenie jego ciała, jakby był weń ubrany, zapięty w najbardziej zajebistą zbroję, jaką kiedykolwiek widziano. To wspaniałe uczucie, takie bezpieczne, ale płuca zaczynają się dławić pod ciężarem tego ogromu stali – na szczęście blant przynosi ulgę, kiedy już jest kolej na Billy'ego.

– Nieźle – stwierdza Mango z uznaniem.

Hector kiwa głową.

– Zdejmuje ciśnienie, *vato*. Daje przetrzymać dzień.

– Święte słowa – potwierdza Billy jak mędrzec. W jego głowie zapalają się pewne światełka, inne gasną. – Żez, srogie zioło.

– Ej, wiadomo, wspieramy nasze wojsko – śmieje się Hector i ściąga bucha. – Chłopaki, nie boicie się, że na testach szczyzna źle wyjdzie?

Mango tłumaczy, że tym się nie martwią. Bravo już wydedukowali, że wojsko nie będzie narażać takiego dobrego pijaru, dręcząc chłopaków losowymi testami na obecność narkotyków, więc przez całe Tournée Zwycięstwa czują się bezpiecznie.

– A nawet jakby nas dupnęli, no to co, odeślą nas w chuj do Iraku?

Hector kręci głową z upaloną powagą.

– W życiu, nie za blanta. Nawet wojo nie ciśnie tak bardzo.

Billy i Mango mają chwilę wahania. Dowództwo jest jakby czułe na tym punkcie, w sensie coraz bliższego powrotu Bravo do Iraku. Gdyby temat się pojawił, mają nie kryć, że czeka ich przerzut z powrotem, ale szychy wolałyby, żeby w rozmowach podczas Tournée Zwycięstwa omijać to zagadnienie.

Mango się szczerzy, strzela okiem do Billy'ego.

– Facet, i tak tam wracamy – mówi Hectorowi.

Ten mruży oczy.

– Pierdolisz.

– Powaga. Lecimy w sobotę.

– Po chuj tam wracać.

– Musimy odkiwać resztę tury.

– Kurwa, co?! Tyle już, kurwa, zrobiliście, jesteście bohaterzy, do kurwy nędzy! Gdzie tu, kurwa, sprawiedliwość? Daliście wpierdol komu trzeba, czemu już wam nie odpuszczają?

Mango się śmieje.

– Wojsko tak nie działa. Im trzeba ludzi.

– Ja pierdolę. – Hector jest oburzony. – Na długo?

– Jedenaście miesięcy.

– Kurwa! – Czysty szok. – I chcecie wracać?

Parskają.

– Ludzie. Ja pierdolę, jaki syf. Tak nie powinno być. – Hector zaczyna szukać wyjścia. – Mają chyba kręcić o was film, nie?

Yhy.

– I tak czy inaczej, macie tam wrócić? Kurwa, a co gdybyście, e, no...

– Poszli do piachu? – podsuwa Billy.

Hector odwraca się, wstrząśnięty.

– Nie bój nic, ziom – mówi Mango. – To by był zupełnie inny film.

Chłopaki z Bravo rechoczą, a Hector uśmiecha się wstydliwie, wdzięczny, że wybaczyli mu wywoływanie tego wilka z lasu. Blant robi kolejne kółko. Światło w ich zakamarku nabiera magicznego perłowego połysku. Wojna... gdzieś tam jest, ale Billy już jej nie czuje, tak jak po jedynym dotąd kontakcie z morfiną, kiedy przestał czuć ból. Był nawet moment, że spróbował dla eksperymentu wpatrywać się w poharatane ręce i nogi, myśląc: „To boli”, ale samo pojęcie bólu gdzieś się rozwiało, zupełnie bez śladu. To samo czuje teraz, myśląc o wojnie – co najwyżej jest ona obecna w jego umyśle, gdzieś uwiera, ot, pozbawiona treści świadomość, że coś takiego istnieje, ekwiwalent poznawczy dziury w pączku.

Kiedy do Billy'ego znów zaczyna docierać treść rozmowy, Hector właśnie pyta, czy

będą mieli spotkanie z Destiny's Child – dziewczyny stanowią główny punkt programu koncertu w połowie meczu, a tak w ogóle to na ten moment rządzą na krajowej liście przebojów onanistów.

– O tym nie było gadki. – Mango zaczyna tracić panowanie nad angielszczyzną, znosi go w kierunku ulicznego żargonu. Nie to, żeby bełkotał, ale w zakręty wchodzi trochę szeroko. – Wogóle mało co nam mówią, choćby, czy i my mamy być w tym koncercie w przerwie? Powiedzieli, że zobaczymy się z czirliderkami.

– Kurwa, *vato*, z czirliderkami wszyscy się widują. Skautów biorą na spotkania z czirliderkami. Ale wy jesteście jak gwiazdy rocka, was powinni zabrać do Beyoncé i jej lasek. Kurwa, tak dla bohaterów to nawet powinni wam dać te dupy puknąć, powaga.

Powaga pukać dupy – mówi sobie Billy. Nie ma szans. Nie to, żeby akurat koniecznie skorzystał, gdyby nadarzyła się okazja, choć pewnie tak. Może. Dobra, na pewno. Chociaż zależy. Myśli sobie, że chciałby zarazem czegoś więcej i mniej. Chętnie pokręciłby się przy Beyoncé tak na spokojnie, żeby się lepiej poznali, robiąc razem drobne, przyjemne rzeczy: granie w planszówki, wyjścia na lody, albo może tak – okres próbny, trzy tygodnie gdzieś w jakimś tropikalnym rajku, gdzie mogliby właśnie się tak spokojnie zapoznać i, kto wie, nawet zakochać, a w czasie wolnym ruchać się do obłędu. Billy chce i jednego, i drugiego, pragnie zespolenia i ciał, i dusz, bo każdy skromniejszy wariant byłby po prostu upokarzający. Zastanawia się: czy to przez wojnę? Czyżby to ona pobudziła w nim te głębsze pokłady wrażliwości i aspiracje? A może to po prostu dlatego, że lada chwila skończy dwadzieścia lat?

Czasu jest coraz mniej. Muszą wracać do drużyny, ale jak się pali, to się nie pali. Z blanta został już tylko żarzący się kiep, kiedy nagle Hector wyznaje, że zastanawia się nad wstąpieniem do wojska.

Billy i Mango w jęk. *Nie!*

– No, ja wiem, że to przejebane, ale mam córcię, jej mama nie pracuje, więc wszystko idzie na mnie, i ja nie protestuję, w sensie chcę na nie zarabiać i w ogóle, ale tak, jak jest teraz, to nie dam rady. Mam robotę tutaj, pięć dni w tygodniu robię jeszcze w warsztacie przy oleju, i nigdzie nie dostałem ubezpieczenia medycznego, a dla małej muszę mieć. No i mam długi. No bo, wiecie, kto nie ma. – Billy widzi, że Hector martwi się tym wszystkim po męsku, nie świruje, nie szamoce się jak szczył z gównem zamiast mózgu, lecz trzeźwo ocenia skalę swoich problemów, trzyma się prosto, dzień w dzień stawia temu wszystkiemu czoło. Mówi jeszcze, że w armii oferują premię

rekrutacyjną, sześć tysięcy dolarów, a kiedy już go wezmą, to i o ubezpieczenie nie będzie musiał się martwić.

– Więc co, chcesz to zrobić? – pyta Billy, bolejąc nad tymi sześcioma patykami. Jego tuszka trafiła się wojsku zupełnie gratis.

– Sam nie wiem. A jak wy myślicie, chłopaki, powinienem?

Billy i Mango patrzą po sobie. Po paru sekundach wszyscy wybuchają śmiechem.

– To raczej chujnia – mówi Billy. – Sam nie wiem, cholera, czemu się śmiejemy.

– Kurwa, fakt – dodaje Mango. – Tyle już było dni, myślałem sobie: Ej, kurwa, serio dość już tego syfu, ale zaraz potem: No i dobra, wychodzę, kiedy kończy mi się umowa, i co tam na mnie, kurwa, czeka takiego dobrego? Fucha w Burger Kingu? Noż ja pierdolę. I od razu sobie przypominam, dlaczego się w ogóle zgłosiłem.

Hector kiwa głową.

– No właśnie o to mi mniej więcej biega. To, co tu mam, jest do dupy, więc czemu nie wojo?

– No bo co innego – mówi Mango.

– No bo co innego – przytakuje Hector.

– No bo co innego – powtarza jak echo Billy, ale myśli o domu.

– A co takiego robi?

– Właśnie nic! O to mi chodzi, on gówno robi! Nie będzie ćwiczył na rehabilitacji, nigdzie nie wyjdzie, tylko siedzi cały dzień na tym cholernym wózku, ogląda Fox News, słucha tego grubego gnoja Rusha Limbaugh, nawet się nie odezwie, chyba że czegoś chce, a i wtedy tylko stęka. Chce, żebyśmy były na każde jego skinienie.

– No to olej go.

– No to olewam! Ale wtedy wszystko spada na mamę, biedna się zarzyna, więc co ja mogę, no dobra, pomagam, tak? Skoro wciąż tu mieszkam, muszę mieć włączony komplikator.

Gdzieś w domu jest kufer pełen lśniących promocyjnych fotek zespołów rockowych i metalowych z lat siedemdziesiątych, osiemdziesiątych i początku dziewięćdziesiątych, „czasu sierściuchów”, jak ową prymitywną epokę ochrzciła Kathryn. Większość z tych grup popadła już w zapomnienie, los był dla nich łaskawy, choć w kolekcji Raya jest i trochę autentycznych gwiazd. Meat Loaf. .38 Special. Kansas. Allman Brothers. Kontakt z cudzym talentem, jak i carska moc własnego ego wypchnęły Raya na wyżyny lokalnego, drugoligowego gwiazdorstwa, ale choć walec drogowy popu, napędzany miłością, pożądaniem i wiecznym nastoletwem wciąż prze naprzód, to musi sobie radzić bez didżejskich darów Rockin’ Raya Lynna, który w klimacie recesji zrodzonej z jedenastego września zaliczył klasyczne noga – (zmurszała) dupa – drzwi. Jasne, brachu, uwielbiamy cię, ale idź już sobie. Przez wszystkie te lata utrzymywał też garsoniery w Dallas i Fort Worth, ale i ta era dobiegła niesławnego, mało widowiskowego końca, choć Ray knuł wielki powrót w przerwach między dorywczymi robotami, które mu się trafiały, wodzirejowaniem na miejscowych konkursach piękności i bankietach Rotarian, tych „pawianich imprezach”, jak o nich mówił gorzkim, ciętym tonem, którym posługiwał się w domu, najlepiej dopasowanym do jego ustawień fabrycznych: wzgardy, sarkazmu, szerokopasmowej nienawiści. Aż dziw brał patrzeć, jak przechodził od głosu domowego do profesjonalnego: coś jak sztuczka bruchomówcy, tylko obywało się bez kukły. Objeżdżał syna na przykład za to, że nie natarł opon dostateczną ilością preparatu, który dałby im ten połysk jak u dealera, ale gdy w połowie potopu pojebów, zasańców, beznadziejnych gówniarzy, bryzgającego jak z pękniętej rury kanalizacyjnej, nagle odzywała się jego komórka, zmiana następowała błyskawicznie, pstryk, witamy figlarny, szczęśliwy głos dziesięciu tysięcy dojazdów do roboty, gościa, który w całej okolicy zawsze miał najlepsze ratingi od Nielsena.

Billy serdecznie tego nienawidził. Nie tylko samego załgania, ale gwałtu na naturze: toż to tak, jakby komuś na twoich oczach zmienił się kształt głowy. W pewnym momencie Ray wymyślił sobie misję „wielki powrót”. Zbadał temat i doszedł do wniosku, że rynek wytrzyma jeszcze jednego oburzonego białego faceta broniącego wiary i flagi w sercu Ameryki. Studiował mistrzów tematu, oglądał wiadomości, nabijał mnóstwo godzin na internecie. Zaczął nagrywać demówki, rozsyłał je tu i tam, rodzinę traktował jak testową widownię dla coraz bardziej rozbuchanych wyznań konserwatywnej wiary. Patty, starsza siostra Billy’ego, nazwała go „Chujem Ameryki” po szczególnie natchnionym rzygu na temat państwa opiekuńczego. Facet przeskoczył z rocka prosto między prawicowych ultrasów, bez stacji pośrednich. Zdumiewające osiągnięcie w dziedzinie aktualizacji siebie samego, ale za jaką cenę, jaki to był stres dla duszy i ciała, deformacja psychiki większa nawet od tej, jakiej człowiek mógłby doświadczyć w trakcie podróży na Marsa. Ray bez jednej przerwy funkcjonował w paranoicznym spięciu pośladków. Dla intelektualnej afirmacji miał telewizję i radio, dla ukojenia zmysłów nałogowo palił dwie paczki dziennie, ale nie pozwalał, by rozpraszały go takie przyziemne sprawy jak świeże powietrze czy odrobina ruchu. Działął więc z maksymalną wydajnością aż do dnia, kiedy podniósł się z kanapy jak pijany, zataczając się, bełkocząc, komicznie klepiąc się po głowie, jakby chciał opędzić się od roju pszczół.

Udar. I zaraz jeszcze jeden, nim zdążyło przyjechać pogotowie, a ten prawie go zabił. Więc teraz mamrocze i piszczy jak Blaszyński Drwal przed naoliwieniem, i Billy nawet się nie stara go zrozumieć. Kathryn rozumie, co mówi Ray, Denise, ich mama, także, a Patty, która przyjechała z Amarillo z ledwie jeszcze chodzącym synkiem Brianem, żeby tylko spędzić te dwie noce i dzień przy Billym, ona też większość rozumie. Nie to, żeby Ray często się odzywał, chyba że czegoś mu się zachciało, i w tym właśnie tkwi rodzinny sekret, którego nikt nie odważy się nazwać po imieniu. To nie to, że Ray zdradzał Denise przez te lata, kiedy miał garsonierę, co było konieczne – to znaczy, to dodatkowe mieszkanie, bo jako poranny didżej w kolejnych radiostacjach metropolii nie dałby rady codziennie dojeżdżać do roboty ze Stovall, a to w Stovall postanowili wychowywać dzieciaki, żeby chłonęły dobrosąsiedzkie cnoty i esencję amerykańskich wartości w małomiasteczkowym Teksasie. Do tego Denise miała w miasteczku całkiem niezłą posadę, więc ustawili to tak, że on w tygodniu siedział w wielkim mieście i urabiał sobie ręce do kości, triumfalnie wracając do domu na weekendy. To nie pozamażeński seks był tym straszliwym rodzinnym sekretem: ani same dymanka, ani ich dowody, które pojawiły się po wylewie w postaci rzekomej nastoletniej córki i pozwu o uznanie ojcostwa i alimenty. Owszem, bez

dwóch zdań przykra sprawa, ale żadna tajemnica, wokół tej plamy na rodzinnym honorze nie chodziło się na paluszkach. Była jednak inna hańba, o której nigdy nie mówili, choć budziła taki dreszczyk. Ów wstyd sprowadzał się do prostej kwestii: czuli się paskudnie z tym, że coś ich ucieszyło. Ray nie chciał – nie mógł? – mówić! Sławetne złote usta zamilkły wreszcie, i jakaż to była ulga, jaka tajemna radość dla każdego.

– Są dni, kiedy myślę sobie, że żyję w kiepskiej piosence country – stwierdziła Kathryn, po czym opowiedziała Billy’emu, jak to kiedyś zesłała do pokoju ojca i zobaczyła go pojękującego na podłodze: utknął między ławą a kanapą. Sądząc po ciemnej plamie z przodu spodni, trochę już tam leżał, ale Denise siedziała przy biurku nawet nie trzy metry od niego, płaciła rachunki i przeglądała kwity z ubezpieczeń. „Mamo! – krzyknęła wtedy Kathryn. – Nie widzisz, że tata tu leży?” Denise omiotła męża wzrokiem. „Ach, nic mu nie jest – rzuciła, wracając do swoich zajęć. – Jak będzie gotowy, sam wstanie”.

Kathryn się roześmiała, kończąc tę historię.

– Słowo daję, myślę, że dałaby mu tam zdechnąć, gdyby mnie tu nie było.

Nikt nie był w stanie faceta zadowolić, nawet własny syn, nawet kiedy wrócił z wojny jako bohater narodowy. Gdy Billy wszedł do domu, było radośnie, hałaśliwie, mama się rozplakała, siostry śmiały się i płakały, mały Brian wieszał się u kolan i też płakał, wszyscy zbili się w uścisku w wielką, niekształtną grudę. Ray siedział u siebie, oglądał telewizję. Gdy Billy wszedł, ojciec uniósł na chwilę wzrok, mruknął coś niezobowiązująco i znów wpadł w kineskop. Billy ustawił się na spocznij i zaczął taksować sytuację.

– Widzę, że wciąż farbujesz włosy – powiedział. Faktycznie, sztywna jak pancierz czupryna starego lśniła atramentową czernią, niczym ropa świeżo rozlana z tankowca. – Niezłe buty – ciągnął, skinieniem głowy wskazując brązowe kowbojki ze strusiej skóry, bez żadnych załamań. Nowe? Ray łypnął na niego, w oczach iskrzył się niebezpiecznie wysoki iloraz inteligencji. Billy zachichotał. Nic nie mógł na to poradzić. Wciąż ten sam typ, o włosach czarnych jak futerał na Biblię, agresywnie skrupulatny względem schludności wyglądu i odzienia. Śliczne różowe świeczuszki jego paznokci lśniły po wizycie wezwanej manikiurzystki. Nie był wysoki, miał kusą sylwetkę biednego kmiecia, a twarz o ostrych rysach niezupełnie dałoby się nazwać przystojną, ale pewien typ kobiet zawsze na niego leciał. Kelnerki, fryzjerki, recepcjonistki – ledwie otworzył usta, a przerabiał je na kisiel z hormonów.

Specjalizował się w sekretarkach: własnych, cudzych. Proces okazał się źródłem wielu informacji.

– Ależ ci wózek błyszczący. Byłeś z nim na automyjni?

Ray go zignorował.

– Mówili ci już może, że wygląda jak miniaturka maszyny do wyrównywania lodowisk?

Wciąż zero reakcji.

– I co, robi „piiip piiip piiip”, kiedy ruszasz na wstecznym?

Na kolację Denise zaserwowała fantastyczne żarcie, zapiekanekę tetrazzini z kurczaka. Zrobiła sobie fryzurę. Umalowała się. Chciała, żeby wszystko wyszło doskonale, ale Ray zręcznie spuścił te plany w klopie, podkrecając dźwięk, żeby oglądać Billa O'Reilly'ego, i przez całą kolację odpalając jednego fajka od drugiego.

– Każda córka o tym marzy, żeby umrzeć od cudzego dymu – zanuciła smętnie Kathryn, po czym zwróciła się do Billy'ego ze śmiechem: – Wiesz, gdyby dał radę wetknąć w japę od razu wszystkie dwadzieścia i je wypalić, to tak by zrobił, byłby najszczęśliwszym facetem na świecie. – A Ray po prostu ją ignorował. Właściwie to ignorował ich wszystkich, a tej nocy, jak nigdy przedtem, Billy z całą siłą uświadomił sobie, że wszyscy są tu ze sobą nawzajem związani na amen. Możesz się typa wyrzec, myślał, obserwując ojca za stołem. Możesz go nienawidzić, kochać, litować się nad nim, nigdy więcej nie odezwać się do niego ani nie spojrzeć mu w oczy, nawet nie zniżyć się do obcowania z tym gorzkim pokurczem, ale i tak jesteś do skurwysyna uwiązany. Tak czy inaczej, on zawsze będzie twoim tatą, i nawet wszechpotężna śmierć tego nie zmieni.

Denise spełniała każdą zachciankę męża, choć – jak zauważył Billy – nigdy nie robiła tego natychmiast: nie przeszkadzało jej, że odchrząkiwał już drugi czy trzeci raz, a kiedy już coś mu podawała, nalewała, kroила, to niezupełnie przytomnie, jakby podlewając kwiatki, jednocześnie rozmawiała przez telefon. Była cwana. Znała te pasywnie agresywne chwyt. Jej włosy miały bliżej nieokreślony, rozwodniony, chemiczny odcień, większość mięśni umożliwiających wyrażanie mimiką emocji zanikła, ale wciąż jeszcze potrafiła uśmiechnąć się smutno, koślawo, zmuszając się do radości, jakby ktoś robił świąteczną iluminację domu w biednej dzielnicy. Strasznie się starała, żeby rozmowa toczyła się wokół optymistycznych tematów, ale z obrzeży wciąż podsiąkały echa rodzinnych tarapatów. Kłopoty finansowe, kłopoty z ubezpieczeniem, kłopoty ze szpitalnymi biurokratami, kłopoty z tym zawziętym kutafonem Rayem. W połowie posiłku młody Brian zaczął się wiercić z nudów.

– Ej! – zawołała Kathryn. – Ej, Briny, popatrz tutaj! – Wetknęła sobie w nos dwa marlboro z paczki Raya, i tak kupiła im pięć minut spokoju ekstra.

– Zadzwoiła dziś – odezwała się Denise, nalewając sobie trzeci kieliszek wina.

– Kto taki? – spytał Billy w błogiej nieświadomości.

Jego siostry ryknęły śmiechem.

– Ta zdzira! – odpowiedziała Kathryn, wyjąc niczym początkujący berserk. Wyciągnęła papierosy z nozdrzy i wetknęła je z powrotem do paczki Raya. – Mama wie, że nie powinna z nią rozmawiać. Wszystko powinni załatwiać adwokaci.

– No ale to ona zadzwoniła – powiedziała Denise. – Cóż poradzę, że ta kobieta do nas wydzwania.

– To nie znaczy, że musisz z nią rozmawiać – wytknęła Patty.

– Przecież nie mogłam tak po prostu się rozłączyć. To by było nieuprzejme.

Dziewczyny prychnęły.

– Ta kobieta... – zaczęła Kathryn i musiała zaraz przerwać, na atak śmiechu podobnego raczej do prób wymiotowania – ta kobieta miała romans z twoim mężem, a ty musisz być wobec niej uprzejma? Mama, jak rany, ta babka rżnęła się z twoim chłopem przez osiemnaście lat, mieli razem dziecko, no Jezus Maria. Błagam, bądź dla niej nieuprzejma. W sensie, choć tyle.

Billy chciał im przypomnieć, że Ray siedzi przy tym samym stole – więc jakby sytuacja prosiła się o nieco subtelności. Jednak najwyraźniej one tak właśnie funkcjonowały, rozmawiały o nim i o sprawach z nim związanych tak samo, jakby chodziło o cenę wybielacza, a Ray ze swej strony mógłby równie dobrze być głuchy, tyle na nie zwracał uwagi. Nie odrywał oczu od komentatora z Fox News, a widelec trzymał całą pięścią, jak mały Brian.

– Mamo – odezwała się Patty – kiedy ona znów zadzwoni, musisz jej powiedzieć, że adwokat zakazał ci z nią rozmawiać.

– Mówię jej to. Za każdym razem. A ona i tak dzwoni.

– No to się z bladzią rozłącz! – zarechotała Kathryn, robiąc wielkie oczy do Billy'ego. *Widzisz? Widzisz, jaka z nas banda świrów?*

– Ale to przecież nie robi chyba żadnej różnicy – sprzeciwiła się Denise. – W końcu równie dobrze możemy sobie porozmawiać, no, w każdym razie nie zawadzi, przecież żadna z nas nie ma pieniędzy, które ta druga mogłaby jej odebrać. „Mam tyle rachunków – mówi mi – za co mam wychować dziecko? Skąd wziąć pieniądze, żeby

mogła pójść na studia?” Co ty nie powiesz, ja jej na to, mam dokładnie tak samo. Jeśli wywęszy jakieś pieniądze, na zdrowie, niech je bierze, tylko żeby przy okazji popłaciła rachunki za jego leczenie.

Kathryn śmiała się w głos.

– Oj, mama, daj żyć, idź na całość. Powiedz jej! Powiedz, że jego też może zabrać!

Przyjemnością kojącą, a zupełnie przez Billy’ego nieoczekiwaną okazała się masturbacja w jego starym pokoju. Wszedł tam i zaraz opadły go wszystkie dawne skojarzenia: dwa tapczany posłane granatową pościelą bez wzorków, plastikowe puchary sportowe ustawione rzędkiem na jego komódce, wciąż jeszcze wyczuwalny cień woni piżma nastoletniości, niczym żyzny zapach zesłorocznego kompostu. Billy cisnął torbę na jedno łóżko, zamknął drzwi, żeby się przebrać, a tu *bam*, odruch pawłowowski w majtach stanął na baczność. Zamknął sprawę w półtorej minuty, więc nikt się na niego nie naczekał, ale potem były kolejne przyjemne niespodzianki: stare koszule okazały się przyciasne, tyle mu mięśni przybyło, za to dzinsy rozmiar trzydzieści były luźne w pasie. W nocy, kiedy już się położył, strzepał sobie jeszcze raz, a potem znowu rano, zaraz po przebudzeniu, za każdym razem w odprężającym nastroju – tak łatwo było do tego wrócić, jak gdyby była dziewczyna, wciąż pełna ciepłych uczuć, powitała człowieka z otwartymi ramionami. Jakie to miłe nie musieć zaspokajać męskich potrzeb w jakimś cuchnącym, koszmarnym *toi toi*, albo jeszcze gorzej, w terenie, w komandoskiej sralni dla twardzieli, gdy wokół pełno było zajadłych wrogów, a i zawsze, zawsze, zawsze trzeba było się użerać z jakimś dopustem natury: robactwem, deszczem, wiatrem, kurzem, skrajnościami temperatury, żadna plaga nie jest drobiazgiem dla takiego maleństwa jak człowiek. Więc niech żyje Ameryka, o tak! Niechże cię Bóg błogosławi, o kraju, w którym chłopiec może dorastać w pokoju z zamkiem w drzwiach i niewyczerpanym zasobem pornoli z internetu.

– Fajnie być w domu – powiedział przy śniadaniu, na które były cheerios, jajka na boczku, grzanki cynamonowe z rodzynkami, sok pomarańczowy, kawa i pączki z kremem. Na lunch miała być domowa grochówka, sałatka Waldorf, kanapki ze smażoną mortadelą i ciasteczka czekoladowe prosto z piekarnika. Na kolację – powoli dochodzący diabelski kociołek z wieprzowiną, marchewkami, ziemniakami i szalotką, do tego duszone brukselki, sałatka owocowa z cytrusów w galaretkie oraz ciasto czekoladowe z podwójnym kremem i lodami Blue Bell. Denise wzięła sobie dzień wolnego od pracy, „na ten wyjątkowy dzień”, jak wciąż mówiła przy śniadaniu, a za nią echem Kathryn, omdlewającym głosem prosto z zajawek telenowel, ale na koniec

Ray wywalił dzbanek z kawą i spokojnie wyjechał do swojego pokoju, zostawiając bajzel do posprzątania pozostałym. Kiedy miotali się po kuchni ze ścierkami i papierowymi ręcznikami, z telewizora ryknął sygnał kanału Fox News.

– On to ogląda przez cały dzień? – zapytał Billy.

Mama i siostry spojrzały na niego oczyma, z których wyzierały miesiące katuszy. *Witamy w naszym świecie.*

Po śniadaniu Billy zabrał małego siostrzeńca na dwór, na zabawy. Był pogodny jesienny poranek, błękitna kopuła nieba, dobrze napięta, rozpościerała się wysoko, w powietrzu była ta słodka woń późnych jabłek, miodowy, czemuś melancholijny zapach fermentującej roślinności i nielegalnie palonych liści. Billy zakładał, że przetrzymają z dziesięć, może piętnaście minut, nim nuda go zmoże, ale minęło pół godziny, a wciąż się bawili. Na podstawie swych mocno ograniczonych doświadczeń z małymi dziećmi Billy zawsze postrzegał te w wieku przedprzedszkolnym jako stworki z kategorii niespecjalnie interesujących zwierząt domowych, toteż nie był przygotowany na fenomenalną różnorodność zabaw, jakim oddawał się siostrzeniec. Cokolwiek wpadło mu w rękę, młody wymyślał jakiś sposób, żeby tego użyć. Kwiatki? Powąchać, pogłodzić. Piach? Kopać. Płot z drucianej siatki? Szarpać, grzechotać, gramolić się, żuć drut w zębach. Wiewiórki? Terroryzować za pomocą patyków rzucanych słabymi rączkami.

– Ciemu? – pytał wciąż głosem jak słodki dzwoneczek, tak czystym, jakby szklane kulki turlały się w kryształowej misie. – Ciemu on tam na dziewięć? Ciemu on tam ma gniazdo? Ciemu żbiela ozieśki? Ciemu? Ciemu? Ciemu?

A Billy odpowiadał na każde z tych pytań najlepiej, jak umiał, jakby mniejsze starania były oznaką lekceważenia tej głębokiej, może wręcz boskiej siły pchającej jego małego siostrzeńca ku wiedzy absolutnej.

Jak to nazwać: iskrą bożą? Instynktem samozachowawczym? Podrasowanym komputerem, najlepszym mózgiem, jaki powstał po eonach badań w laboratoriach doboru naturalnego? Niemalże było widać, jak młodemu pod czaszką odpalają neurony. Jego ciało – sama sprężystość i moment siły, pęczek szybko kurczliwych mięśni, emanujący lekko kwiatową wonią dojrzałych gruszek. Tyle perfekcji w takim drobnym ciałku – Billy co jakiś czas musiał szkraba przechwytywać, przewracać go, piszczącego, na ziemię, żeby tylko potrzymać tego ślicznego huncwota, takiego klasycznego, uroczego dwuipółlatka o wielkich niebieskich oczach czystych jak chlorowane baseny, z pieluchami wystającymi nad elastyczny pasek dżinsów. Więc to o to ludziom chodzi, kiedy mówią o świętości życia? Kiedy Billy wziął to pod

rozważę, wojna w tym nowym świetle jeszcze zyskała na ohydzie, aż z ust wyrwał mu się cichy jęk. Och. Uch. Iskra boża, obraz i podobieństwo, pozwólcie dzieciom przychodzić... kiedy słowa dotyczą konkretnego obiektu, jest w nich prawdziwa moc. Tak potężna, że miał chęć sięść i płakać. Dotarło do niego, o tak, więc kiedy na dobre wróci do domu, będzie musiał sobie nad tym pomedytować, ale tymczasem najlepiej będzie, jak to mówią, wetknąć to do osobnej przegródki, i może w ogóle się wokół tej przegródki nie kręcić.

Z domu wyszła Patty, osłaniając oczy przed słońcem. Usiadła na ogrodowym foteliku na krawędzi patia.

– Dobrze się bawicie?

– Jasna sprawa. – Billy turlał Briana, jakby panierował fileta z ryby, okrywając sweter chłopca brązowymi liśćmi. – Niesamowity z niego koleś.

Patty prychnęła śmiechem wokół papierosa, którego właśnie zapalała. Niedysiejsza rozrabiaka, która rzuciła naukę w liceum i jeszcze przed dwudziestką poszła do ołtarza – pięć lat później wyhamowała najwyraźniej na tyle, żeby zacząć się nad tym wszystkim zastanawiać.

– No, czego jak czego, ale energii to mu nie brakuje – zawołał Billy.

– Briny ma dwa biegi: błyskawica i kaplica. – Jej wargi uformowały dym w zwartą, lejowatą smugę.

– Co u Pete'a?

– Wszystko dobrze – odparła, wydawało się, z pewnym znużeniem. Pete, jej mąż, pracował na polach naftowych w okolicy Amarillo. – Wciąż szaleje.

– To dobrze?

Uśmiechnęła się tylko i odwróciła wzrok. We wspomnieniach Billy zawsze widział ją smukłą i zaczepną, teraz jednak dorobiła się bagażu na biodrach i udach, zapasowych oponek nad łokciami. Z nadmiarem wagi pojawiła się też wokół niej niemal namacalna aura wiecznych przeprosin.

– Kiedy wracasz?

– W sobotę.

– Jesteś na to gotowy?

– Cóż... – Billy po raz ostatni przeturlał Briana w liściach, wyprostował się. – Chyba równie chętnie zostałbym tutaj.

Patty się roześmiała.

– To mi zabrzmiało szczerze. – Billy podszedł do niej, usiadł w pobliżu jej fotelika na niskim murku okalającym patio. Brian został tam, gdzie zostawił go Billy, leżał na plecach i patrzył w niebo. Patty nieśmiało zerknęła na brata. – Jak to jest być sławnym?

Wzruszył ramionami.

– Żebym to ja wiedział.

– No dobra, to względnie sławnym. Bardziej sławnym, niż się to uda komukolwiek z nas tutaj. – Pociągnęła z papierosa, strzepnęła popiół. – Wiesz, w sumie to wielu ludzi tutaj udało ci się tym zaskoczyć. Chyba nie tego się spodziewali, kiedy postawili cię przed sądem.

– Wiem, że nie miałem tu najlepszej renomy, ale to nie ja byłem największym zjebem w mojej klasie.

Roześmiała się.

– A może po prostu...

– No, co?

– Po prostu tak nienawidziłem szkoły, wszystkiego, co choćby nią zalatywało. Zaczynam myśleć, że to właśnie było zjebane, o wiele bardziej niż ja, tak? Trzymali nas przez cały dzień pod nadzorem, traktowali jak małe dzieci, kazali wkuwać w chuj jakichś bzdur. Chyba trochę mi od tego odbiło.

Patty zachichotała, jakby z cicha odessała z zatok.

– No to im pokazałeś, nie? To, co tam zrobiłeś...

Billy wetknął kciuki w szlufki spodni, odwrócił wzrok.

– ...to było coś. I wszyscy naprawdę jesteśmy z ciebie dumni, cała rodzina. No ale to chyba już sam wiesz.

Billy skinął głową w stronę domu. Tutaj ryk telewizora dobiegał już tylko jako warczenie, jakby stłumione wodą.

– On nie.

– On też. Tylko nie wie, jak to okazać.

– Bo to buc – stwierdził Billy, w trosce o Briana ścisząc głos.

– To też – przytaknęła z wdziękiem. – Zauważyłeś, że jakoś nigdy nie kręciło mnie siedzenie tu, w domu? Teraz najbardziej to mi go żal. Ale w sumie nie muszę już z nim mieszkać, prawda? – Wzruszyła ramionami, przyjrzała się papierosowi. – A słyszałeś ostatnie wieści? W sensie o domu?

– Nie sędzę.

– Tak jakby się zjechało. – Znów wydała z siebie ten siorbiący chichot, taki nerwowy nawyk. Billy nie mógł już tego słuchać. Na podwórzu Brian machał rękami i nogami w górę i w dół, robił w liściach orła. – Mama chce wziąć kredyt pod zastaw domu. Mówi, że z hipoteki da się wyciągnąć ze sto, sto dziesięć koła, chce je wziąć na pokrycie rachunków za leczenie. Kathryn sprawdziła temat i mówi im: a w życiu, ogłóście upadłość i większość kwot za leczenie pójdzie do piachu, a na dodatek zostanie wam dom. Bo jeśli mama weźmie kredyt i nie da rady spłacać rat, stracą z ojcem dach nad głową. A nawet gdyby wzięli ten kredyt, wciąż zostanie im od metra rachunków ze szpitala do spłacenia.

Od metra. Ciekawe, ile ma taki metr. Billy aż się bał zapytać. Dobiegały do nich losowe odgłosy z sąsiedztwa: szczekanie psa, gdzieś trzasnęły drzwiczki samochodu, na ziemię zwalił się stos półsłupków.

– Jak myślisz, co powinna zrobić?

– Facet, co tu myśleć. Niech złoży wniosek o upadłość, zostanie z domem.

– Więc czemu tego nie zrobi?

– Bo się martwi, co ludzie pomyślą. A Kat i ja mówimy tak: a co to kogo, co ludzie myślą, o dom nie gra się w kasynie. – Patty rozduśla papierosa o obmurowanie patio. – A wiesz, co powiedziała jej któregoś dnia po kościele Idis McArthur?

– Nie.

– Powiedziała, że nasza rodzina ma tyle problemów wyłącznie dlatego, że za mało się modlimy.

– O, jak miło.

– No, to chore miasteczko – przytaknęła Patty.

– Hej – Kathryn wytknęła głowę przez drzwi – ktoś chciałby piwo?

Jak się okazało, oboje mieli ochotę, choć dotąd sobie tego nie uświadamiali. Przez resztę poranka mama i siostry wypytywały go, na co miałyby chęć. Wyjść do kina? Przejechać się po okolicy? Zjeść coś w restauracji? Ale wystarczało mu samo takie leniuchowanie w ciepłe babiego lata, słodczy zawieszony w złocistym świetle, kiedy nie trzeba było robić nic, tylko wysiadywać w fotelikach czy leżeć na kocu, pozwolić, by przedpołudnie leniwie toczyło się własnym torem. Dwa lata temu Billy nie byłby w stanie tak się zachować – sam pomysł spędzenia czasu z rodziną sprawiłby, że dzikim pędem rzuciłby się ulicą do uciezki, zrywając z siebie ubranie. Jestem człowiekiem odmienionym – poważnie powiedział sobie Billy. Osoba, którą przed sobą widzisz, to nie ten sam człowiek, którym byłeś. Może to kwestia wieku, pomyślał,

podpierając się łokciami, pólżąc na kocu i patrząc na słońce statecznie staczające się między drzewami. Czy może nawet chodzi nie tyle o upływ dni kalendarzowych, ile o to, że w Iraku człowiek starzał się w tempie psa, więc z takim stażem na karku dawało się tu wytrzymać w towarzystwie mamy, sióstr i hiperaktywnego siostrzeńca, zachowując, jeśli nie zupełny spokój, to przynajmniej bezruch. Powoli, powoli, co ma być, to będzie. Może taki był rezultat służby w Iraku: to i możliwość spojrzenia dzięki wojnie na różne sprawy z odleglejszej perspektywy.

Od czasu do czasu, pomalutku, strzelał sobie piwko. Ray siedział w domu przed telewizorem, co pasowało wszystkim wręcz idealnie, choć kiedy czegoś mu się zachciewało, a zachciewało mu się często, podjeżdżał do drzwi na podwórko i bębnił w szybę, póki Denise, Patty czy Kathryn nie wstały z miejsca, by zaspokoić jego potrzeby. Gorzej niż z niemowlakiem, stwierdziła Kathryn, na co Patty wytknęła, że przynajmniej nie trzeba go przewijać, a Kathryn skwitowała: „Uważaj, bo cię usłyszysz”. Paru sąsiadów dowiedziało się, że Billy przyjechał z wizytą, więc przyszli z ciastami i zapiekankami, jak na stypę. Państwo Wigginsowie z kościoła. Opal George z drugiej strony ulicy. Kruegerowie. Tacy jesteśmy dumni. Zawsze wiedzieliśmy. Taki dzielny, utalentowany. Taki zaszczyt. *Edwin!* – krzyczałam – *chodź tu zaraz! W telewizji jest Billy Lynn, rąbie tych alkaidów, że hej!* Mili ludzie, ale gadali bez przerwy, a jacy zawzięci w kwestii wojny! W takich chwilach, kiedy rozmawiali o wojnie, przeobrażali się: oczy wyłaziły im z orbit, szyje nabrzmiewały, głosy stawały się chrapliwe, tacy byli złaknieni krwi. Billy dziwił się im wtedy, tym pirackim apetytom u zacnych chrześcijan – choć może w taki właśnie sposób okazywali uprzejmość, demonstrowali, jak bardzo cenią jego dokonania? Uśmiechał się więc skromnie, jak na bohatera przystało, i czekał, aż goście sobie pójdą, żeby znów mógł piwkować z siostrami. Kathryn po trzecim porannym browarku (trzymała tempo równo z bratem) wyskoczyła z domu w lansadach, przypiąwszy sobie nad lewą piersią Purpurowe Serce Billy’ego, a nad prawą – jego Srebrną Gwiazdę. Medale dyndały niczym kutasiki striptizerki. Billy i Patty kwiczeli ze śmiechu, ale ich mamy to nie rozbawiło.

– Że co? A, te tutaj? – zagruchała Kathryn jak kretyńska, kiedy Denise zapytała, co ona sobie wyobraża. – Ależ droga mamó, ja po prostu prezentuję klejnoty rodowe. – Denise oznajmiła, że to wstyd i hańba, i kazała Kathryn odnieść odznaczenia do pokoju Billy’ego, ona jednak wciąż z nimi paradowała, kiedy pojawił się pan Whaley.

To był bezcenny moment – zobaczyć, jak pan gruba ryba wybałuszył gały na widok Kathryn, nie tylko odznaczeń zwieszonych z dumnie sterczącego biustu, ale całej jej opalonej, długonogiej sylwetki. Ahem. Aha. Ha, ha. Denise pracowała w jego firmie,

więc nieco niezręcznie było tak świecić mu w oczy piwem przed południem, ale Whaleyski był wporzo, udawał, że nic nie widzi. Łysiejący, poznaczony plamkami wątrobowymi, obarczony może dwudziestoma kilogramami zbędnego ciała, w temacie odzieży trzymający się blezerów w kratkę i spodni non-iron, Whaley był, jak na Stovall, raczej z tych bogatych: założył relatywnie dobrze stojącą firmę zajmującą się serwisowaniem pól naftowych, Denise od piętnastu lat pracowała u niego jako kierowniczka biura. „Tak naprawdę to pani Lynn tu wszystkim rządzi – z upodobaniem mówił gościom Whaley, przyjaźnie kiwając głową w jej stronę. – Ja próbuję tylko nie pałętać się pod nogami, ona decyduje o wszystkim”. Podali mu dietetyczną colę i przesunęli krzeselka w cień, zaraz przy patiu. Denise i Patty usiadły po obu stronach gościa, a Billy usadowił się na obmurowaniu patia. Kathryn rozciągnęła się na ręczniku plażowym opodal, istna lwica. Brian był gdzieś w domu, teoretycznie pod opieką dziadka, który odpalał jednego papierosa od drugiego.

– Twoja matka mówi, że przyjechałeś tylko na dzisiaj – powiedział pan Whaley.

– Zgadza się, proszę pana. – To dopiero było wyzwanie: patrzeć mu w oczy i jednocześnie dyskretnie zionąć piwem gdzieś w bok.

– Chcą was zamęczyć, co? – ciągnął Whaley ze śmieszkiem. – Dokąd was już zawieźli?

Billy wyrecytował nazwy miast: Waszyngton, Richmond, Filadelfia, Cleveland, Minneapolis wraz z St. Paul, Columbus, Denver, Kansas City, Raleigh-Durham, Phoenix, Pittsburgh, Tampa Bay, Miami... jak zauważył sierżant Dime, prawie każde czystym, prawda, przypadkiem leżało w stanie, w którym obie partie mogły jeszcze wygrać. To jednak Billy teraz przemilczał.

Pan Whaley upił elegancki łyżeczek coli.

– I jak was przyjmowano?

– Wszędzie, gdzie byliśmy, ludzie byli naprawdę mili.

– Nie dziwi mnie to. Słuchaj, Amerykanie w ogromnej większości zdecydowanie popierają tę wojnę. – Kiedy tylko wzrok Whaleya padał na Kathryn, oderwanie go wymagało tyle wysiłku, że facet prawie mdlał. – Nikt nie chce iść na wojnę, jak rany, ale ludzie wiedzą, że czasem to konieczność. Ci terroryści, prawda, moim zdaniem jedyny sposób na nich to uderzyć w samo źródło i wyplenić toto z korzeniami. Sami z siebie przecież nie przestaną, mam rację?

– Wielu z nich jest w to bardzo zaangażowanych – odparł Billy. – Nie ustąpią.

– No więc właśnie. Albo będziemy z nimi walczyć tam, albo tutaj, tak to widzi większość Amerykanów.

Denise i Patty kiwały tępo głowami, jak zgodliwe krowy. Tymczasem Kathryn siedziała prosto, przyciągnęła kolana do piersi: śledziła tę rozmowę z prawdziwym zainteresowaniem, spoglądając to na Billy’ego, to na pana Whaley’a, jakby ich słowa kryły szyfr, który powinna złamać. *Bohaterowie*, mówił Whaley. *Irak. Swobody. Oswobodzić innych, żeby nasze swobody były bezpieczniejsze.* Potem zapytał, jak stoją sprawy z filmem, i mądrze skłaniał głowę, kiedy Billy opowiadał o dotychczasowym rozwoju wydarzeń.

– Przyda ci się prawnik, zanim cokolwiek podpiszesz.

– Tak jest.

– Gdybyś chciał, mogę ci to załatwić przez moją firmę w Fort Worth.

– Byłoby super. Naprawdę byłbym panu wdzięczny.

– Synu, to drobiazg. Przyniosłeś chlubę nam wszystkim, nie tylko rodzinie i znajomym, ale nam wszystkim tutaj, w całej okolicy. Całe miasto bardzo podniosłeś na duchu.

Billy wydobył z siebie najmniej chępliwy śmieszek.

– No, nie wiem.

– Słuchaj, wszyscy są z ciebie tak cholernie dumni... za pozwoleniem... że gdyby się rozeszło, że jesteś dziś w domu, miałbyś szpaler samochodów stąd do samego lotniska. A tak! – zawołał pan Whaley z żartobliwą zajadłością. – No, tym razem dowiedzieliśmy się za późno, żeby wszystko zorganizować, ale przy następnej wizycie chcemy urządzić paradę na twoją cześć. Rozmawiałem już z burmistrzem Bondem, popiera ten pomysł, omówił go z radą miasta i oni też są za. Chcemy, żeby Stovall uhonorowało cię tak, jak na to zasługujesz.

– Dziękuję panu. Naprawdę wiele to dla mnie znaczy.

– Nie, synu, to ja ci dziękuję. Twoje dokonania mówią tak wiele o naszej tożsamości...

– On musi tam wrócić – wtrąciła Kathryn.

Wszyscy obrócili się w jej stronę.

– Do Iraku – dodała, jak gdyby nie było to oczywiste.

– Tak – powiedział pogrzebowym tonem pan Whaley – twoja matka wspomniała mi o tym.

– Więc znów będą mieli okazję go zabić.

– Kathryn! – skarciła ją Denise.

– A co, nieprawda? Niby takie wielkie Tournée Zwycięstwa, a on nie może po wszystkim zostać w domu?

Pan Whaley odezwał się łagodnie:

– To właśnie tacy dzielni chłopcy jak twój brat poprowadzą nas do zwycięstwa.

– Nieżywi raczej nie.

– Kathryn! – znów krzyknęła Denise. Billy czuł się wśród tego wszystkiego jak niewinny, przypadkowo zaplątany przechodzień. Nie do niego należało opowiadanie się po którejś ze stron.

– Codziennie będziemy się modlić o bezpieczny powrót Billy’ego – powiedział pan Whaley kojąco, niczym doktor z idealnym podejściem do pacjentów. – Tak jak modlimy się za wszystkich naszych żołnierzy, pragniemy, żeby każdy wrócił cały i zdrow.

– Boże, on będzie się modlił – warknęła pod nosem Kathryn, po czym zaniósła się wrzaskiem, wyrwanym prosto z trzewi *ueeerrrrrrrghhhhhh*, jakby zablokował się zamontowany w zlewie młynek do odpadków. – Ja tu oszaleję – krzyknęła, po czym wstała w jednym szybkim ruchu, niczym miecz dobyty z pochwy, i na sztywnych nogach poszła do domu. Reszta grupy siedziała w milczeniu przez kilka chwil, czekając, aż w okolicy ustaną turbulencje.

– Ta panna ma za sobą wiele ciężkich miesięcy. – Pan Whaley odważył się przerwać ciszę. Denise zaczęła go przeproszać, ale podziękował jej gestem. – Nie, nie, w tak młodym wieku spadło na nią takie brzemie. Kiedy następna operacja?

– W lutym – odparła Denise – a potem jeszcze jedna. Lekarze mówią, że to powinno już wystarczyć.

– Bez dwóch zdań, cudownie się jej poprawiło. Ten zeszły rok nie był dla waszej rodziny łatwy, a kiedy jeszcze Billy daje z siebie wszystko tam, za oceanem, to już szczególne poświęcenie. A co do ciebie, Billy, nie wiem, czy to podniesie cię na duchu, ale chcę cię zapewnić, że kiedy już skończysz służbę w wojsku, zawsze znajdzie się dla ciebie miejsce w mojej firmie. Daj tylko znać.

I to dopiero było przygnębiające, choć Billy mógł sobie wyobrazić takie zakończenie tej historii, przy bardzo optymistycznym założeniu, że w ogóle wróci z Iraku z kompletem kończyn i bez budyniu we łbie. Robota u Whaleyskiego, wozenie się z rurami do ropociągów i protektorami przeciwwybuchowymi na odwierty po

teksańskich wygwizdowach, harówka za płacę ciut większą od minimalnej i gówniany socjal.

– Dziękuję panu. Kto wie, będę pana trzymał za słowo.

– Chcę po prostu, prawda, żebyś wiedział, że masz tu przyszłość. Byłbym zaszczycony, gdybyś do nas dołączył.

Billy starał się omijać pewną myśl, świadomość zrodzoną z ostatnich dni spędzonych w kołowrocie limuzyn, luksusowych hoteli, nadskakujących mu VIP-ów: czuł przez skórę, że owa myśl go zdołuje, i tak też się stało, kiedy już mimo wszelkich jego wysiłków przebiła się, wykluła w świadomości. Pan Whaley nie był grubą rybą. Ani bogaty, ani szczególnie mu się nie wiodło, ani bystry, biło wręcz od niego takim smętnym, dramatycznym zapuszczeniem. Pan Whaley miał wrócić na pierwszy plan myśli Billy'ego w Święto Dziękczynienia, kiedy na meczu Cowboys przyszło mu ścisnąć dłonie i dać się poklepywać ludziom należącym do najbogatszych obywateli Teksasu. Whaleyowie tego świata to dla nich kmiecie, podobnie jak Billy był kmiotkiem dla pana Whaleya, a to oznacza, że w ogólnej hierarchii jest niczym jednokomórkowy pierwotniak, niesiony nurtem wielkiej rzeki w niewiadome głębiny oceanu. Ostatnimi czasy często zdarzają mu się takie egzystencjalne spazmy, losowe ataki bezsensu i daremności, wskutek których zastanawia się, czy sposób, w jaki przechodzi kolejne dni życia, ma w ogóle jakieś znaczenie. Może by tak zaszaleć, pójść w tango gwałtu i rabunku, przestać trzymać się kodeksów moralnych? Na razie przestrzega zasad etyki, ale zastanawia się, czy to czasem nie dlatego, że tak po prostu łatwiej, nie trzeba mieć tyle energii, takich jaj. Tak jakby najodważniejszym czynem, jakiego dokonał – najodważniejszym, a do tego najszczerzym – była ekstatyczna demolka saaba tego pizdusia? Tak jakby wyczyny na brzegach kanału Al-Ansakar były tylko dygresją od zasadniczego toku jego życia.

Pan Whaley sobie poszedł. Kathryn nie przyszła na lunch. Po posiłku Ray i Brian zeszli na dół się zdrzemnąć, Denise i Patty wyszły do sklepu, a Billy dla relaksu strzepał sobie konia w przyjaznej atmosferze własnego pokoju. Potem wyszedł za dom i położył się na ręczniku w promieniach słońca. Zdrzemnął się. Sny przychodziły i znikwały niczym rybki dryfujące przez sterówkę starego wraku. Ocknął się, ściągnął koszulę, żeby słońce zasuszyło mu pryszczę na kłacie, i znów kimnął. Teraz śnił w pawich kolorach, wielkie jak atomowe grzyby biomorficzne kłęby barw, które w końcu wyostrzyły się w paradę. Paradę na jego cześć. Był w niej, a jednak patrzył na wszystko gdzieś z góry, szczęśliwy, bezpieczny, bo wrócił do domu. Koniec zmartwień! Był słoneczny zimowy dzień, więc wszyscy szli zakutani, poza striptizerkami jadącymi

na platformach, te lśniły nagością, jeśli nie liczyć stringów i długich wieczorowych rękawiczek. Obok maszerowała orkiestra z liceum, puzony i trąbki błyszcząły w słońcu, a tam, daleko w tłumie gapiów, był Grzybu, jego głowa jak blada cebula sterczała nad ludzką cizbą. Jego spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Billy'ego i roześmiał się, w pozdrowieniu uniósł nad głowę kubek z bezalkoholowym budweiserem. Ej, Grzybas! Grzybu! Dawaj tutaj, rusz dupę! Billy wciąż wrzeszczał do Grzybasa, żeby dołączył do niego na platformie, ale Grzybu wyglądał na zadowolonego z miejsca wśród widzów, satysfakcjonowało go po prostu bycie w tłumie. Grzybas. Kurwa. No włącz tu, facet. Sen obejmował świadomość, że Grzybu nie żyje, więc pojawił się potężny niepokój, że ominie ich szansa, że parada przejdzie dalej, a z nią platforma Billy'ego, niczym komiczna papierowa barka dryfująca po rzece życia, na której brzegach stały te tysiące wiwatujących ludzi, a ci – Chryste Panie! przerażająca myśl! – czyżby oni wszyscy byli martwi, tak jak Grzybas?

Wyrwał się ze snu z tym dreszczem paniki, rozpaczliwie wyszarpnął się na jawę. Ktoś się nad nim pochylał, oddychał mu prosto w twarz. Billy uchylił jedno oko i zobaczył, że to Kathryn wpatruje się w niego przez wielkie okulary przeciwsłoneczne w stylu Angeliny Jolie.

– Lepiej uważaj tam w Iraku – mruknęła groźnie. – Jeśli coś ci się stanie, to się zabiję.

Hamhm. Otworzył teraz już oboje oczu, uniósł głowę. Siostra wyciągnęła się obok niego na ręczniku plażowym, oparła na łokciu, przodem do niego. Nie mógł nie zauważyć, że ma na sobie bikini – widok zmiażdżył mu płuca, nawet jeśli to siostra. Mimo krateru w policzku była bezsprzecznie seksowna: długie, opalone nogi, biust taki, że dłonie byłyby pełne, brzusek płaski i złocistobrazowy jak najdoskonalszy naleśnik świata.

– Czemu miałybyś się zabić?

– Bo to z mojego powodu tam jesteś.

– A, prawda. – Zamknął oczy, pozwolił głowie opaść. – To twoja wina, że rąbnął w ciebie ten mercedes. I że rzucił cię ten, no, jak mu tam, dzięki. Dzięki, że przez ciebie wylądowałem w syfie, Kat.

Parsknęła, taki świst wydechu, jak wiatr w mikrofonie.

– No tak, ale wiesz. Wybacz, bracki.

– Nie ma sprawy – wymamrotał głosem bardziej sennym, niż się czuł. Choć jeśli nie będzie otwierał oczu, sen faktycznie przyjdzie. Kathryn wierciła się, przybierała różne

kobiece pozy.

– Mama się na mnie wpieniła – powiedziała.

– Ciekawe czemu.

– Whaleyski, no dajcie spokój, parada, kurwa. Ci goście gadają o paradach, kiedy ty możesz tam zgiąć.

Billy nie mógł się nie roześmiać. To naprawdę odświeżające, kiedy ktoś tak wprost stwierdza fakty. Kathryn, która mieszkała z rodzicami przez ostatnich szesnaście miesięcy, przetrzymała wszystko to, co na nią spadło, w postaci kłopotów ze zdrowiem, z rodziną, porzucenia przez pizdusia, i przeszła przez szereg drastycznych, ale ciekawych zmian. Na przykład: wszystkie te dopusty sprawiły, że spaliła cały dziecięcy tłuszcz, wyzbyła się tendencji do pulchnienia ku krągłej, łagodniejszej linii zdrowej, chrześcijańskiej zmysłowości. Teraz miała smukłą, ogorzałą sylwetkę barmanki w jakiejś zajebistej knajpie z tańcami, jeśli takie lokale w ogóle jeszcze istniały. Lśniący sznur zbliźnowacenia zawijał się na jej barku i opadał na plecy, niczym końcówka zwoju liny. Twarz miała zaleconą „w osiemdziesięciu siedmiu procentach”, powiedziała mu z totalnie pokerową miną, choć te „osiemdziesiąt siedem procent” podkreśliła jak przygłupi komentator sportowy serwujący listę danych statystycznych. Zachwyciło ją to, że jej chirurg ortopeda nazywa się Stiffenbach, obdarzała go potężnym niemieckim akcentem. „Jezzzdem dogdorr Szsztiffenbach, ja! Ty masz robicz te czwiczenia dla twoje zdroffie, ja!” Głównodowodzącego armii, w której służył Billy, nazywała „głębogłowym” – na przykład: „A jak to było poznać głębogłowego?”, co prowokowało karcące posykiwania mamy. „A co, nie jest tak? – protestowała Kathryn. – Przecież on ma tyle mózgu co i świerszcz!” Słodka, piękna, pilna w nauce i totalnie małomiasteczkowa siostra Billy’ego, która zawsze odnosiła się do władzy z najwyższym szacunkiem, miała tylko czyste, zdrowe, stuprocentowo amerykańskie myśli, nigdy nie klęła ani nikogo nie przezywała, ta właśnie Kathryn ostatnio stała się narwaną awanturnicą.

Sięgnęła do chłodziarki turystycznej i wyciągnęła dwie puszki piwa Tecate. – Tęsknisz tam za piciem? – zapytała, podając jedną bratu.

– Z początku tak. Potem już nie bardzo. – Pociągnął zawleczkę i napawał się tym precudnym sykiem bąbelków. – Ale są dni, że chyba wszystko bym oddał za browara.

– Kurwa, wierzę. Wiesz, wydaje mi się, że w naszym społeczeństwie zdecydowanie nie docenia się roli alkoholu, w sensie, że terapeutycznej, co nie? Możesz sobie od czasu do czasu poluzować szelki, wziąć urlop od siebie samego. Ciężko jest mieszkać we własnej głowie tak bez jednej przerwy.

– Trochę człowiekowi odbija.

– To by wiele tłumaczyło, co nie? Wszystkich tych telewizyjnych ewangelistów, co ich przyłapują na kurwach. Mam tylko nadzieję, że nie dorobię się problemów z piciem, bo musiałabym to rzucić.

Pili. Otuliło ich zdrowe poczucie zadowolenia z życia.

– No to opowiedz mi o Tournée Zwycięstwa.

– Hm, trochę mi się to wszystko zlewa.

– Dobra, to tylko o dupach na trasie.

Roześmiał się, ale czuł, że od ramion w górę pąsowieje. Wzięło go na purytanizm.

– Nie było żadnych dup – mruknął.

– Kłamiesz.

– Nie kłamię.

– Łżesz jak z nut. Słuchaj, synek, już ty tam działaj, zaliczaj, pukaj! Ci mówię, idź i zalicz jakąś, tak za mnie.

– Kathryn, przestań.

– Szczerze, brachu, to mi w tej pipidówie trochę odpierdala.

– Niedługo się stąd wynosisz.

– Może i niedługo, ale i tak za późno. W tym zasyfiałym mieście nie ma ani jednego porządnego chłopaka. Wierz mi, sprawdzałam. Są takie wieczory, kiedy myślę sobie, a pies was trącał, pojedę na dyskę i zacznę wyrwać licealistów, ej, koleś, chodź się przejedziemy, co nie? Jak zaliczysz laskę z blizną na twarzy, nie zechcesz już żadnej innej.

– Kathryn – teraz już błagał.

– A mogłam już mieć licencjat. Mogłam gdzieś daleko stąd wyciągać sześćdziesiąt kafli rocznie.

– Jeszcze tak będzie.

– A będzie – przytaknęła stanowczo.

– Już prawie tak jest – poprawił się.

– Chyba że najpierw oszaleję.

Ostatnie dwie operacje miała zaplanowane na wiosnę. W styczniu będzie musiała zacząć parę kursów zaocznie, bo w przeciwnym razie współczujący bankierzy z firmy College Fund Inc. zaczną naliczać karne odsetki od kredytu studenckiego.

– Wiesz co, to jest śmieszne – powiedziała. – Tutaj wszyscy są tacy konserwatywni, aż się pochorują, wyrucha ich ubezpieczalnia, wytransferują im miejsce pracy do Chin czy co tam jeszcze, i wtedy nagle: „Ojejku, co się stało? A ja myślałem, że Ameryka to najwspanialszy kraj pod słońcem, a ze mnie jest taki dobry człowiek, więc czemu wylądowałem w takim totalnym szambie?”. Sama taka byłam, bratku. Dokładnie tak samo durna jak i oni wszyscy. Nigdy nie pomyślałam, że może mi się zdarzyć coś złego, a nawet gdyby, to przecież jest jakiś system, który wszystko naprawi.

– Może za mało się modliłaś.

Zakaszła się ze śmiechu.

– Aha, na pewno. Potęgą modlitwy, brachu.

Pili dalej. Kathryn dotknęła zimną puszką swoich policzków, potem szyi, pępka, a każde takie dotknięcie odpalało w mózgu Billy’ego fajerwerki. Zapytał, jak matka chciała poradzić sobie z hipoteką na domu.

Kathryn zmarszczyła brwi.

– Kto wie, co tej kobiecie przyjdzie do głowy. Ona nie myśli logicznie, Billy. Nie patrzy na fakty. Słuchaj, spraj na ten kredyt, dobra? To nie twoje życie, nie twój problem, zresztą tak naprawdę mój też nie. Ona z ojcem zrobią, co zechcą, a my nie możemy ich powstrzymać.

– A ile jesteśmy winni szpitalom?

– My? Chciałeś powiedzieć oni. No, w sumie ja też, jakby się czepiać szczegółów. – Skonsultowała się z piwem. – Czterysta tysięcy, mniej więcej. Wciąż jeszcze przychodzą rachunki za zabiegi nawet sprzed roku.

Czterysta. Tysięcy. Dolarów. Zupełnie jak gdyby ukazał się Bóg w całej termojądrowej glorii, wszechmogący, wszechogarniający, niepojęty.

– Niemożliwe.

Kathryn wzruszyła ramionami. Arytmetyka ją nudziła.

– Nie twoje pchły, Bill, nie twój cyrk. Daj spokój. A cokolwiek dostaniesz za ten film, zachowaj dla siebie. Nie przepieprz tego na próby wyłabudania starych.

Kiedy nie odpowiedział, roześmiała się i obróciła na brzuch. Jej kształtny tyłek wypiętrzył się u nasady pleców niczym wyspa pojawiająca się na wodach tropików.

– Wiesz, co tata kupił tamtej dziewczynie na szesnastkę?

– Jakiej dziewczynie?

– Billy, ogarnij się. Naszej siostrze. Przyrodniej siostrze.

– Nie, nie wiem, co jej kupił na szesnastkę.

– Forda mustanga GTO, brachu, prosto z salonu. Jeszcze zanim stracił pracę. Ale zawsze.

Billy poczuł, że w piersiach krzepnie mu powietrze.

– Nówkę? – szlag go trafił, że załamał mu się głos.

– Nieśmiganą. – Roześmiała się. – Więc nie bądź frajer. Zrobisz jakąś przysługę jemu czy mamie, tylko tym sobie dupy podetrą. Uważaj na siebie, a im daj robić, co tam chcą.

Billy ugryzł się w język, nie zapytał o kolor wozu.

– Cóż. – Sięgnął za koc, wyrwał kilka źdźbeł suchej trawy. – I tak nie miałbym im co dać.

Kathryn wyciągnęła kolejne dwa piwa. Według światopoglądu Billy'ego każda faza złapana, póki słońce było na niebie, liczyła się jako bonus: nie wchodziła do ogólnego doczesnego przydziału, i dlatego też takie dzienne popijanie było jeszcze przyjemniejsze. A dziś – cóż mogłoby być wspanialszego niż wylegiwanie się na słońcu i sączenie piwa z wyjątkowo ostrą laską w bikini? Jedyne problem, rzecz jasna, tkwił w tym, że tą laską była jego siostra, ale komu szkodziło, że trochę sobie udawał przez kilka krótkich godzin? Popołudnie zyskało migotliwy piwny poblask. Billy'emu wcale nie przeszkadzało, że Kathryn wypytywała go o życie „na froncie”, jak to ujmowała. Jak was karmią? Gdzie śpicie? A Irakijczycy, jacy oni są, i czy wszyscy już nas znienawidzili? Wciąż go dotykała, tu stuknie w bark, tam ściśnie ramię, zaprze się bosymi stopami o nogi w dżinsach. Te dotknięcia zarazem wyostrzały mu zmysły, jak i sprawiały, że czuł się coraz bardziej biernie, wyluzowany, jakby wszedł mu jakiś wyjątkowo dobry towar od dilera.

– A co będzie się działo, kiedy tam wrócisz?

Wzruszył ramionami.

– Pewnie stara bieda. Patrol, żreć, spać. A potem pobudka i znów od początku.

– Masz przed tym lęki?

Udał, że się zastanawia.

– Nieważne, co czuję. Muszę wracać, więc wracam.

Leżała na boku, opierając głowę na łokciu. Na wypiętrzeniu jednej z jej piersi spoczywał złoty krzyżyk, niczym maleńki alpinista gramolący się na szczycie.

– A jak na to patrzą inni z drużyny?

– Tak samo. Znaczy, słuchaj: nikt nie chce tam wracać. Ale na to się zapisaliśmy, więc lecimy.

– Dobra, to zapytam inaczej: ludzie, wy w ogóle wierzycie w tę wojnę? W sensie, że jest sprawiedliwa, na legalu, że robimy tam coś dobrego? Czy jednak naprawdę wszystko poszło tylko o ropę?

– Jezu, Kathryn. Przecież wiesz, że o takich sprawach nie mam pojęcia.

– Pytam cię tylko, w co wierzycie, co sam o tym myślisz. Facet, to nie quiz, nie szukam tu gruntownej, obiektywnej odpowiedzi. Chcę się tylko dowiedzieć, co tobie chodzi po głowie.

No dobra. Niech będzie. Skoro sama zapytała. Nagle poczuł się dziwnie wdzięczny, że w ogóle ktoś taki się znalazł.

– Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek wiedział, po co tam jesteśmy. W sensie, nie ogarniesz. No bo Irakijczycy centralnie nas nienawidzą, co nie? Nawet właśnie w naszej strefie okupowanej, budujemy tam parę szkół, próbujemy uruchomić ludziom kanalizację, dzień w dzień wozimy pełne cysterny wody pitnej, mamy akcję z obiadami dla dzieciaków, a oni nic, tylko by chcieli nas zatłuc. Nasze zadanie to im pomagać, poprawiać jakość życia, tak? A ci ludzie żyją w szambie, normalnie w gnoju, ich rząd przez całe lata nic dla nich nie zrobił, ale to my jesteśmy wrogiem, rozumiesz? No więc w sumie wszystko sprowadza się do przetrwania. Po prostu nie wychyłasz łba, nie myślisz o tym, żeby czegoś tam dokonać, po prostu chcesz dociągnąć do nocy bez straty choćby jednego kumpla. No i zaczynasz się zastanawiać, po cholere żęśmy tam w ogóle włązili.

Kathryn wysłuchiwała go do końca. Zacisnęła zęby.

– No dobra, kolejne pytanie. A gdybyś tam nie wrócił.

Szarpnął się. Potem się zaśmiał. Nie. No w życiu.

– Serio pytam, Billy. Gdybyś im powiedział: Nie, dzięki, byłem, widziałem, pozdrawiam serdecznie... Myślisz, że znalazłby się taki kozak, który by chciał cię ścigać? Takiego wielkiego bohatera? Pomyśl, jakie byłyby nagłówki w gazetach: „Bohater zostaje w domu: Wojna jest do dupy, mówi”. Masz zajebistą historię, nikt przecież nie wyskoczy z tekstem, że to ze strachu.

– Kiedy ja się boję. Wszyscy się boją.

– Ale wiesz, o co mi chodzi, taki strach, że o matko. Taki tchórzliwy, jakbyś na tę wojnę w ogóle nie pojechał. Ale ty zrobiłeś już tyle, że nikt nie będzie cię o to podejrzewał. – I zaraz zaserwowała mu dość rozgorączkowaną mówkę o stronie

internetowej, którą znalazła. Wypisano tam, w jaki sposób co poniektórzy wykęcili się od służby w Wietnamie. Cheney – cztery odroczenia przez studia, potem następne dla żywiciela rodziny. Limbaugh – trwale niezdolny do służby przez torbiel na dupie. Pat Buchanan, trwale niezdolny. Newt Gingrich, odroczenie przez studia magisterskie. Karl Rove, nie służył. Bill O'Reilly, nie służył. John Ashcroft, nie służył. Bush zdezerterował z lotnictwa Gwardii Narodowej, w kartotece odhaczone, że „nie zgłosił się na ochotnika” do służby za granicą.

– Rozumiesz, o co mi chodzi?

– No pewnie.

– Chcę tylko powiedzieć, że jeśli ci goście tak bardzo pragną wojny, to niech sami sobie wojują. Billy Lynn już zrobił swoje.

– Kat, ale to po prostu nic nie znaczy. Co oni zrobili, to ich sprawa. Ja robię za siebie. Nie ma sensu, żebyśmy się starali... – Dwie duże łzy wyciekły spod jej ciemnych okularów, aż musiał się odwrócić.

– A co z nami, Billy, myślałeś o tym? Rodzina już tyle przeszła, jak myślisz, co z nami będzie, jeśli coś ci się stanie?

– Nic mi się nie stanie.

Kathryn umilkła na tak długo, że wiele by dał, by te słowa cofnąć.

– Billy, jest sposób, żeby to załatwić. Jest w Austin taka grupa, oni pomagają żołnierzom. Mają prawników, mają środki, wiedzą, jak się wokół tego zakręcić. Sprawdziłam to i owo i wygląda na to, że goście są naprawdę w porządku. Więc gdybyś zdecydował... słuchaj, tylko ci powiem: miałbyś trochę pomocy.

– Kathryn.

– Co?

– Ja tam wracam.

– No cholera jasna!

– Nic mi nie będzie.

– Skąd wiesz!!!

Taka była rozjuszona. Wzruszył się. A potem wystraszył.

– No, w sumie to nie wiem. Ale my rozwalamy ich dużo więcej niż oni nas. A wszystkich nas nie dorwą.

Zaczęła łkać. Objął ją ramieniem, przytulił, tak po bratersku, absolutnie bez podtekstów erotycznych. Rozplakała się mocniej, oparła głowę na jego ramieniu. Jej

włosy pachniały czystością, jakby lasem, z nutką ziół – coś jak koper włoski albo świeżo obmyte deszczem paprocie. W łkaniu Kathryn był jakiś spokój, jakby w tym dźwięku kryła się muzyka czy pokarm dla ducha. Jej łzy ciurkały mu w dół torsu niczym świeżo wylęgnięte żółwiki. Zanim zasnął, pamiętał jeszcze, że poszła do domu po chusteczki higieniczne, obiecując, że zaraz wróci. Nawet nie był świadom tego, że zapadł w sen, aż tu nagle został obudzony w wyjątkowo nieprzyjemny sposób: drzwi na podwórko huknęły na oścież, jakby wypchnięte kłębem ognia z ładunku saperskiego, a zaraz potem *gzoooooooooooooooooooooooooooo*, najnowszy model wspomaganego wózka dla inwalidów. No kurwa mać! Serce telepało się jak gruszka bokserska, w oczach iskrzyły miniaturowe gigabajty szoku. Billy raptownie przerzucił się na brzuch, naciągając kilka pomniejszych mięśni grzbietu, a to Ray pobzykiwał sobie przez patio. No żeż, do CHUJA!!! To tak się budzi frontowego żołnierza? Odruchowa reakcja na zaskoczenie wyzwoliła zestaw perfekcyjnie wyćwiczonych umiejętności: gdyby Billy miał pod ręką swój M4, Ray wyglądałby już jak dymiący stos świeżej rąbanki.

Skurczybyk pewnie zrobił to specjalnie. Nie odezwał się do syna, nawet nie spoglądał w stronę Billy'ego, ale ten dostrzegł coś jakby drwiący uśmiech w układzie jego warg, te szczególne zmarszczki w kącikach zaciśniętych ust. Ray przyspieszył, zjechał po rampie na podwórko. Billy'ego aż mdliło od buzującej w organizmie adrenaliny, ale podparł się jednym łokciem, rozejrzał dokoła. Kathryn gdzieś znikła. W ustach po przeddrzemkowych piwach zostało tylko bagno. Po południu na niebo wylazły chmury, rozmazując słońce tak, że wyglądało jak kula mydła pływająca w mętnej wodzie. Na podwórku Ray się zatrzymał, zapalił papierosa. Co za typ, zadumał się Billy. Bardzo inteligentny i śliski jak sto diabłów, w dyskusji na dowolny temat nie do pokonania. Nigdy nie poszedł na studia, ale był czas, że natłukł szmalu od cholery. Ray zatrzasnął zapalniczkę i poturlał się dalej w głąb podwórza, wózek kolebał się na każdym garbku i każdej fałdce. Kiedy patrzyło się na to od tyłu, widok był smętny, wyzuty z godności, ruchy niezgrabne jak zad hipopotama, a przyklepiona centralnie pośrodku naklejka z amerykańską flagą wydawała się okrutnym żartem bez gustu, jakby ktoś zupełnie nieutalentowany silił się na satyrę.

Billy podniósł się wyżej na łokciach i obserwował ojca. Myślałby kto, że rodzina to akurat ta jedyna pewność w życiu, taki bonus. Punkty za samo to, że człowiek się urodził? Łączyły go z tymi ludźmi tak krzepkie, mięsiste więzi, ileż posplatanych warkoczy historii, genetyki, wspólnych spraw, bojów, że chęć chronienia bliskich i darzenia ich miłością powinna być najbardziej podstawowym impulsem ze wszystkich, ale tak naprawdę to ta rzekomo niewymagająca namysłu kwestia pociągała

kwiatów motyle. Billy nigdy dotąd nie widział, żeby jego ojciec robił coś podobnego, żeby spędził choć chwilę na obserwowaniu przyrody. Ten człowiek swój związek ze światem natury zbudował przecież na bazie relacji łączącej mięsożercę ze stekiem. Kiedy jednak siedział tak spokojnie i oglądał te motyle, Billy poczuł, że jest coś, może nie otwarte drzwi, ale jakaś możliwość, potencjał, i to zupełnie zbiło go z pantafiku. To uczucie wzbudziło w nim pewną desperację. Jeśli nadarzyłaby się okazja, czy wiedziałby, jak się zachować? Jeśli może być między nimi choć okruszyna czegoś dobrego, a nie zdołają jej ziszczyć z braku umiejętności, no, toby już był cholerny wstyd, może wręcz tragedia, biorąc pod uwagę, że to mógł być ostatni dzień, jaki będzie im dane spędzić razem. I wtedy drzwi znów otworzyły się z hukiem, ale cichszym, i na patio truchcikiem wybiegł Brian.

– Cieść, Billy – zaświergotał, tak słodziutki i konkretny, że Billy nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Malec potruchtał przez podwórze do Raya i wgramolił się z tyłu na jego wózek. Ray uśmiechnął się, nawrócił i ruszyli przez podwórze z grzechotem. – Tak zieby skocił! – zawołał Brian. Ray pociągnął joystick do siebie, po czym rąbnął nim w przód: wózek szarpnął się, przednie koła uniosły się nad ziemię może na cal. Dobrze, jeśli ustrojstwo wyciągało pięć kilometrów na godzinę, a Ray i tak zdołał postawić je dęba. Brian piszczał ze szczęścia, żądał więcej, ruszyli więc po szerokim łuku, wózek szarpał i prychał, a mały trzymał się tam z tyłu i zaśmiewał do rozpuku. Pomału zbliżali się do Billy’ego – kiedy ten wracał później do tego momentu myślami, wspominał, że uśmiechał wtedy się nie tylko w poczuciu ogólnego dobrostanu, ale szczególnie z uczuciem wobec ojca. W owych refleksjach *post factum* Billy uświadomił sobie, że myślał wtedy, że może jednak będzie miał z ojcem Chwilę przez duże Ch, w zamian jednak otrzymał – i to bez słowa – ponadczasowej jakości wypierdalaj. Nigdy do końca nie rozgryzie, jak Ray zdołał tego dokonać, choć wydaje się, że przede wszystkim posłużył się spojrzeniem, chłodnym, lekceważącym sposobem, w jaki łypnął na syna, tak przez ułamek sekundy, kiedy przejeżdżał wózkiem obok. W tej jednej chwili nastąpiło totalne odrzucenie, choć Billy nie potrafiłby opisać go z większą precyzją niż jako ojcowski wariant powiedzenia: nie dla psa kiełbasa. Nie ma tu dla ciebie miejsca, nie jesteś z nami. Ray zagarnął tę Chwilę tylko dla siebie – potrafił wzbudzić w Brianie miłość do siebie na każde życzenie, a cała reszta rodziny nawet nie zasługiwała na żadne starania z jego strony.

A wszystko to dowodziło, że bez strategii jesteś tylko wystawionym na odstrzał pokaznym celem, makrelą w akwarium z rekinami, bo tak wyglądały stosunki w tej rodzinie. Przy kolacji darł się z telewizora jak furia Bill O’Reilly, Denise poprztykała

się z dziewczynami o kredyt pod hipotekę, Brian był zmęczony i zaczął się zachowywać jak wredny gnojek, pieczeń się przesuszyła, Ray nie przestawał palić, aż Denise się rozkleiła i zaczęła płakać, bo chciała, żeby wszystko wyszło idealnie, a przecież nie mogło. Mamo, powiedział Billy ze śmiechem, obejmując ją, sięgając do zasobów spokoju tak głęboko ukrytych, że dla niego samego były niespodzianką, mamusiu, nie przejmuj się tym. Jestem szczęśliwy. Jestem w domu. Wszystko gra. Zadziwiające było to, że w ten sposób chyba rzeczywiście pomógł. Mama się - uspokoiła. Brian zasnął w foteliku do karmienia. Patty i Kathryn dostały głupawki i otworzyły kolejne wino, a Billy czuł się znacznie starszy, nie jak dziewiętnastolatek, jak gdyby został obdarzony roztropnością ponad swój wiek. Czyżby to wojna tak go zmieniła? Jeśli o tym mówiono, to tylko w ten sposób, że wojna jebała ludziom w głowy, co w sumie się zgadzało, ale to bynajmniej nie była cała prawda. Tego wieczora walnął się w kojo odurzony ciastem czekoladowym i winem, zamykał oczy z uczuciem satysfakcji, że udało się uniknąć katastrofy, że ocalił coś bezcennego. Nie ma na tym świecie niczego perfekcyjnego, są tylko takie momenty wyjątkowej przejrzystości, kiedy człowiek potrafi zapomnieć sam siebie – jeśli istnieje coś takiego jak łaska boska, to byłby właśnie jej przykład.

Punkt siódma miała po niego przyjechać limuzyna, miły gest jakiegoś zamożnego patrioty, który pragnął zachować anonimowość, albo po prostu Billy zapomniał jego nazwiska. Limuzyna. Po niego. Pies z tym. Spał kiepsko, obudził się z kacem, w ustach obłeśny, trącający miedzią osad zupełnie nieproporcjonalny do ilości wypitego wina. Znał ten smak, wiedział, co on znaczy – lęk, odrazę, niefart na wypadzie z bazy – jakoś jednak znalazł w sobie dość entuzjazmu, by po raz ostatni strzepać sobie w przyjaznym lokum. Prosty akt, ale towarzyszyło mu zabawnie pomnikowe uczucie, jakby ów pożegnalny strzał był historycznym odpowiednikiem pożegnalnego meczu Troya Aikmana na Texas Stadium. – *Ludzie, doszedł do czterdziestego jarda! Jest na trzydziestym! Dwudziestym! Dziesiątym! Piątym! I... przyłożenie!* Skoro już się tak odświeżył, to wziął prysznic, ogolił się, zebrał graty, pościelił łóżko i odstawił torbę pod drzwi wejściowe. Wtedy nie pozostało już nic innego jak tylko stawić czoła rodzinie.

– Będziecie tęskniły? – zapiął radośnie, wchodząc do kuchni, ale kobiety patrzyły tylko na niego uparcie, zdjęte bólem. Cierpiały. On też, ale gdyby dał to po sobie poznać, ich cierpienie tylko by się wzmogło.

Przez okna w kuchni widać tylko gładką, jednolitą szarość, jak gdyby zostały czymś zalaminowane w ciągu nocy. W dom uderzały poddmuchy wiatru, jak wyciskane

z miecha; o dach postukiwały i grzechotały drobne, twarde krople deszczu. Przez równiny przebijała się pierwsza nawałnica tej zimy, ten sam front atmosferyczny, który na Święto Dziękczynienia miał przynieść śnieg i marznący deszcz.

– Gdzie się teraz wybieracie? – zapytała Patty. Siostra piła kawę i patrzyła, jak brat je. Denise nie siedziała, wciąż była w ruchu, jednoosobowa grupa operacyjna do pomniejszych zadań kuchennych.

– Do Fort Riley, mają tam zaplanowany wiec. Potem cmentarz Ardmore. No, wiesz po co. – Zerknął na mamę. – A później Dallas. Chyba.

– Na wielki mecz! – zamuczała Kathryn. – A spotkacie się z Beyoncé?

– Spytaj się mnie, a ja ciebie.

– Na pewno, facet, masz to jak w banku. Więc tego nie spieprz. Chyba nie będziesz miał następnej szansy, żeby ją zaczarować.

– Nie wątpię.

– No to, słuchaj, na początek powiedz jej, że pięknie wygląda.

– Przecież to Beyoncé, Kathryn. Nie muszę jej mówić, że jest zajebista.

– Facet, kobietom nigdy dość komplementów! Najlepiej podbijaj do niej jakoś tak: „Bejka, laska, normalnie miażdżysz, taka jesteś cała nówka świeża i bez ściemy, a włosy jakie super! To może ustawimy się jakoś po meczu?”. Patty, nie byłoby fajnie mieć Beyoncé za szwagierkę?

– Bardzo fajnie.

– Ej, dziewczyny, dajcie spokój. Jestem zwykły trep. Ona nawet na mnie nie spojrzy.

– Akurat! Na takiego ogiera przystojniaka?! Na bohatera? Nie opędzisz się od niej!

– A nie kręci z nią czasem cały ten Jay-Z? – spytała Patty.

Denise zaczęła płakać. Właśnie przecierała blaty w kuchni, kiedy uderzyła w płacz, dokładnie tak samo, jakby zaczęła nucić jakąś piosenkę sprzed lat, która właśnie wpadła jej do głowy. Kathryn klasnęła językiem, jakby zła czy rozdrażniona. Oczy Patty podbiegły różem, ale nie było w nich łez. Po prostu to przetrzymaj, mówił sobie Billy. W samochodzie będzie już dobrze, ale na razie w gardle siedziało mu coś wielkości brykietu do grilla. Było gorzej, niż kiedy wyjeżdżał na początek tury, co go zaskoczyło – przecież za drugim razem powinno być lżej. Teraz jednak wydawało mu się, że ma więcej do stracenia, choć co takiego miałby utracić, nie potrafiłby powiedzieć. Zatem to coś, cokolwiek by to było, no i teraz już wiedział, do czego tam wraca.

– A gdzie jest teraz Ray? – mamrotała Denise, jakby rozmawianie z samą sobą mogło jej pomóc. – Może któreś z nas powinno...

Kathryn i Patty spojrzały po sobie, potem na Billy'ego. Wzruszył ramionami. Tego ranka obecność Raya nie wydawała się warunkiem koniecznym do osiągnięcia szczęśliwości. Jakby w logicznej konsekwencji przytupeł do kuchni w śpioszkach Brian, o pulchnych policzkach jeszcze rumianych z rozespania. Wgramolił się mamie na kolana i przytulił, przywarł do niej niczym mały miś koala w buszu.

– Chcesz się napić soku?

– Nie.

– Płatki?

– Nie.

– Chcesz tylko posiedzieć przez chwilę z mamusią.

– Tak.

Jego obecność sprawiła, że wszyscy się uspokoili. Brian gapił się i gapił na Billy'ego, bez przerwy, nie tyle z ciekawości, a przynajmniej tak się wydawało, ile raczej dla świadectwa, jakby stanowił kanał dla jakiejś pradawnej powagi. Chyba to beret Billy'ego najbardziej przyciągał uwagę malca. Dopóki nie zacznie z „Ciemu”, będzie dobrze, pomyślał sobie Billy. Denise dołała mu jeszcze kawy. Kathryn zabrała jego talerz. Zegar na mikrofalówce spieszył się o dwie minuty w porównaniu z tym na kuchence, który z kolei był o minutę szybszy od zegara ściennego. Jeśli spojrzano się na jeden z nich, wzrok sam wędrował do pozostałych, w niekończącym się, a daremnym poszukiwaniu zbieżności. Makabra, to spoglądanie na zegary. Każdy kolejno dobił do siódmej rano i dalej, i zaraz Kathryn warczała pod nosem „kurwa”. Z kuchni mieli widok na salon, a tam przez frontowe okno widać już było, jak na podjazd wtacza się czarny lincoln town car.

Wywiązała się mała szamotanina. Kathryn rzuciła się biegiem przez korytarz do drzwi wejściowych. Denise obróciła się do zlewu i po prostu ryczała w głos. Jakoś tak się stało, że Brian wylądował w ramionach Billy'ego, więc robił za wędlinę w kanapce, kiedy ten ścisnął zapłakaną mamę. Billy rozmyślnie dławił wrażliwość zmysłów, kiedy się do niej pochylał, bo za dużo już tego było, płacz, rozpacz, cały ten wiszący w powietrzu dramat, ale przynajmniej miał pod ręką Briana, żeby trochę zamortyzował wstrząs.

– Na razie, mamó – szepnęła, po czym ruszył korytarzem, wciąż z Brianem w ramionach.

Patty szła za nimi, tak blisko, że wciąż strugała mu marchewki. Na podjeździe Kathryn pomagała kierowcy zapakować do bagażnika rzeczy Billy'ego.

– Uważaj na siebie – powiedziała Patty z werandy. Przeobraziła się w zapłakaną, posmarkującą kluchę wstrząsaną łkaniem i czkawką. – Żadnych szaleństw. Masz po prostu wrócić cały do domu.

Billy ostatni raz wciągnął nosem woń głowy siostrzeńca, bogatą w nuty wiosennej trawy i świeżo pieczonego domowego chleba, po czym oddał go Patty. Skończyło się niezgrabnym, trójstronnym uściskiem.

– Powiedz mu – mruknął siostrze w ucho, kiedy jeszcze byli w zwarcu – gdyby mnie zabrakło, powiedz mu, żeby nigdy, przenigdy nie wstępował do wojska. Tak mówi wujek Billy.

Kathryn czekała przy samochodzie. Płakała i śmiała się z tego, że płacze, rozwalona przez czystą, nieskazoną denność tej całej sytuacji. Później Billy wspominał, że obejmując go, cały czas przenosiła dłonie z miejsca na miejsce, jakby osuwała się ze skalnego zbocza i próbowała znaleźć pewny uchwyt. Zamknęła za nim drzwi, cofnęła się o krok, po czym zasalutowała zamasyście, jak postać z kreskówki. Billy był tak wypluty, że chyba nawet maraton mniej by go zmęczył. Miał wrażenie, że wysiadła mu połowa organów, że twarz mu ścieka z czaszki, ale samochód wycofywał się już z podjazdu, najgorsze minęło. Kiedy lincoln odjeżdżał, Kathryn machała z podwórka. Z werandy machała Patty, usadziwszy sobie Briana na biodrze, a za nimi, niewyraźny w refleksie słońca na siatkowych drzwiach, Ray patrzył na to wszystko z wózka. Billy zaklął pod nosem i usiadł wygodniej. Limuzyna nabierała prędkości. Więc ojciec raczył się pojawić, no to co on mógł na to poradzić?

– Włączyć może jakąś muzykę? – odezwał się kierowca. Był to czarnoskóry mężczyzna przy kości, pod sześćdziesiątkę. Nad kołnierzykiem jego marynarki wylewała się gruba fałda ciała.

Billy uprzejmie odmówił. Przejechali kilka przecznic, nim szofer znów coś powiedział.

– Dla rodzin to ciężkie – stwierdził z kaznodziejskim zaśpiewem. – Chociaż chyba coś musiałoby być nie tak, gdyby było im z tym łatwo. – Zerknął na Billy'ego w lusterku. – Na pewno nie chciałbyś posłuchać muzyki?

– Na pewno – odparł Billy.

Wszyscy tu jesteśmy Amerykanami

Billy myśli sobie, że gdyby zebrać wszystkich ludzi, których kiedykolwiek poznał, i zsumować ich cały majątek, ta zapewne niebagatelna kwota i tak niłąby w porównaniu z niewiarygodnym bogactwem Normana Oglesby'ego, czy też „Norma”, bo tak mówią o nim media, przyjaciele, znajomi, hufce kibiców Cowboys, jak też nawet liczniejsze hordy tych, którzy Cowboys nienawidzą, a choć Norma nie cierpi aż do szpiku kości – z jakiegokolwiek powodu, czy to przez jego bezczelne włazidupstwo i arogancję, czy to, jak się obnosi z dętym patriotyzmem, czy wreszcie fakt, że skurwił markę Cowboys, licencjonując ją, na co tylko się da, od tosterów po cebulki tulipanów – muszą przyznać, że facet ma genialny łeb do zarabiania konkretnej kasy. Norm. Normowski. *Naaarm*. Wybitna postać w fantazjach wszystkich kibiców futbolu, oponent w niezliczonych wyimaginowanych sporach, klucz do spełnienia nieprzebranej ilości tajonych marzeń. Od wielu dni Sykes ćwiczył swój moment chwały, jebać Norma to, jebać Norma tamto, ale ja temu Normowi dupsko obrobię, że sprzedał Tresnoskiego, no weź, kurwa, Norm, ogarnij się! Najlepszego rozgrywającego na świecie przehandlowałeś za wór sterydów na patyku? Kiedy jednak przychodzi kolej Sykesa na przywitanie się z Normem, to od razu jeb na plecy i prezentuje samcowi alfa brzuch, zupełnie bez wstydu.

– To wielki zaszczyt pana poznać – mówi stłumionym, pełnym szacunku głosem. – Chciałem tylko, żeby pan wiedział, że od dziecka wściekle kibicuję Cowboys.

– Cóż, to dla mnie zaszczyt poznać pana, specjalisto Sykes – ripostuje z miejsca Norm. – Ja od dziecka zawsze trzymałem kciuki za siły zbrojne Stanów Zjednoczonych!

Zebrani nagradzają go gromkimi brawami. Dajesz, Norm! Znajdują się w wielkiej, pustej sali głęboko w trzewiach stadionu, wyziębionej, betonowe ściany, tania wykładzina ogrodowa wsysa zimno z niższych poziomów, aż czuć, jak ciągnie po nogach. Bravo zostali tu sprowadzeni na spotkanie powitalne na osobności z szychami z Cowboys oraz wybranymi gośćmi meczu, w sumie może ze dwieście osób, w tym wiele kompletnych rodzin, co oczywiście jest słuszne i prawidłowe, w końcu to Święto Dziękczynienia. Towarzystwo jest szykowne, panowie w marynarkach i pod krawatami, panie odpicowane, w krojonych na miarę garsonkach z dobranymi butami i torebkami, choć niektóre, te śmielsze i bardziej artystowskie, prezentują już modę zimową – opięte skóry i długie futra. Mogliby być wiernymi w najbogatszej parafii w mieście, pod wezwaniem Najświętszej Dziewicy Anorektyczki od Świecidełek

z Górnej Półki dla Białasów – ciemniejsze odcienie skóry reprezentowane są tu tylko przez kelnerów i kilku byłych zawodników, towarzyskich gości, faworytów kibiców z dawnych lat, którzy roztropnie zainwestowali swe pensje i niczym nie podpadli. Billy i Mango rozumieją, że przy tak ekskluzywnej okazji należy się zachowywać modelowo, ale dzięki boskiemu towarowi Hectora są o włos od kompromitacji. Powstrzymywanie się od rehotu wymaga nadludzkich wysiłków, ale trzeba, bo gdyby raz zaczęli, diabli wiedzą, na czym by się skończyło. Najpierw o mało nie rozwalił ich podstarzały, sepleniący ksiądz, potem babka, której fryzura wyglądała jak pudel po wybuchu. Tkwią w niebezpiecznym stanie upalanej paranoi, kiedy są pewni, że każdy może dostrzec, że się zbakali, co jest zarazem przerażające i tak śmieszne, że o matko.

– Spokój tam – posykują na siebie, chichrając się jak obłąkani astmatycy. Myśleć o czymś ohydny: krwawienie z odbytu, rany postrzałowe płuc, zwisające z nosa tasiemce.

– No dobra, to jak wyglądam?

– Jak w kurwę ujarany.

Szepczą do siebie półgębkiem.

– A teraz jak?

– Wciąż jak ujarany.

Billy sprzedaje Mango kopa z pięty, tak za plecami, Mango odwdzięcza się szybkim hakiem pod żebro Billy’ego, po czym dyskretnie tłuką się po uszach, aż wreszcie Dime łypie na nich spode łba. Uczucie takie, jakby z dużą prędkością wpadło się w poślizg, *jogibabo!* – potężne przeciążenie plus świadomość, że to się prawie na pewno źle skończy, ale kiedy na wielką prezentację podchodzi Norm i Spółka, to już pora, żeby zewrzeć poślady i naprawdę otrzeźwieć.

Norm. Onże Sam, we własnym ciele. Życie w tak znacznej części składa się z bezwładnego dryfowania, przelotne mięsiste czy kwaśne smaki z poszczególnych dni się zlewają, aż w końcu wszystko staje się wielkim glutem niczego. Tak mało jest chwil, które możesz wskazać palcem i powiedzieć: tak, to był historyczny moment, tego dnia stało się coś wielkiego, ale najwyraźniej to ma być jedna z nich, bo fotografowie i kamery wideo śledzą każdy ruch Norma. A ten promienieje – nie to, żeby był męzczyzną przystojnym, raczej łśni celebryctwem sporej mocy, i w tym zresztą tkwi problem, bo mózg musi forsownie dostosować wersję medialną do rzeczywistej osoby – ta jest wyższa od obrazu, który zawczasu miało się już w głowie, czy może bardziej barczysta, starsza, bardziej cielistą, młodsza, w każdym razie obie wersje rozchodzą się w jednym aspekcie, co sprawia, że to wszystko wydaje się trochę

nierzeczywiste, a tak w ogóle, to Billy'emu odwała ze strachu. Spotkał się już osobiście z prezydentem, ale jeśli mierzyć nerwowością, to ta dzisiejsza feta jest ważniejsza, stanowi większe wyzwanie dla niestałej definicji siebie samego, jaką posiada Billy. Poznawanie ważnych ludzi to delikatna sprawa. Czy to zbliżające się spotkanie uczyni go lepszym? Umocni go? Umniejszy? Poprzedniego dnia zapytał Dime'a: Co ja mam mu powiedzieć? Dime prychnął. Ni chuja nie musisz mu mówić, Billy. On sam zajmie się całym gadaniem. Mów tylko tak, proszę pana, nie, proszę pana, jak rzuci śmieszne, to się śmieje, i nic więcej nie musisz robić.

Norm posuwa się wzdłuż linii powitalnej. Nim dotrze do Billy'ego, ten młody żołnierz już prawie mdleje.

– Specjalista Lynn – mówi Norm, zawiesza głos, by taksująco zmierzyć go spojrzeniem. – Bardzo chciałem się z panem spotkać. – A Billy czuje, że zaczyna lewitować, unoszony na pianie rozpalonych do białości reflektorów kamer i szpil fleszy fotografów, ta sesja zdjęciowa jest jak parująca beza, a przez to, że jest zbakany, wszystko widzi jak na zwolnionym filmie z kamery robiącej wciąż najazdy i odjazdy. Norm ściska jego dłoń, *auć*, miażdżący uchwyt samca alfa – facet, weź sobie nie żałuj, unieś nogę i szczyj na całą salę! *Duma*, mówi, ale to słowo dociera do ucha Billy'ego zniekształcone i nabrzmiałe, jakby odtworzone ze spowolnionej taśmy, dddduuuuuuUUMMMAaaaaaa. Potem odwaga, oooooDWWAAaagaaa. Służba, ssssłuuuuużżżbbbbaaaa. OoofffiiaaaaRRRRNnośśść. HooooONNNnorr. Deee-terrRRRminaaaCsssjaaa.

– Jesteś chłopak z Teksasu – mówi Norm, a jego głos brzmi tak, jakby coś przeżuwał, takie lekkie zgrubienie podniebienia, jakby miał aparat ortodontyczny, z tych, które mocuje się z tyłu zębów. – Ze Stovall, zgadza się? Tam, gdzie są pola naftowe? – Wspomina o medalach zdobiących pierś Billy'ego, oświadcza, że jest z niego szczególnie dumny, „jako z bratniego Teksanczyka”, ale nie jest tym zaskoczony, wcale go to nie dziwi, to naturalne, że rodowity Teksanczyk będzie się wyróżniał podczas służby w wojsku.

– Wszyscy wiedzą, że Teksanczyki to najlepsi żołnierze – ciągnie, uśmiecha się, to nie tyle żart, ile raczej taka kpiąca forma podbijania stanowego bębenka. – Audie Murphy, bohaterowie Alamo... stajesz się teraz częścią wspaniałej tradycji, wiedziałeś o tym?

– Nigdy nie myślałem o tym od tej strony. – Billy najwyraźniej odpowiedział prawidłowo, bo z tłumy płynie fala przyjaznego śmiechu, tak, ludzie patrzą na niego, ich twarze wyznaczają krawędź pęcherza światła kamer, zniekształcone jak w rybit

oku, wypuczone jajowato. Adrenalina w głowie wyje jak krajzega. A Norm mówi. Norm wygłasza regularną mowę. Ma może z cal wzrostu więcej od Billy'ego, ten zadbane sześćdziesięcioletek o krzepkim karku, włosach podbarwionych na odcień brzoskwini i o trapezoidalnej twarzy, szerokiej u dołu, zwężającej się przez skronie aż ku przyprasowanemu płaskowyzowi włosów na szczycie. Jego oczy mają upiorny odcień błękitu, jak promieniowanie zimnej fuzji, ale to poligon jego twarzy budzi prawdziwy respekt i fascynację, ten sławetny pysk, tylekroć przykrawany, podciągany, spinany, dopełniany i złuszczany, bo saga kosmetycznych autokorekt Norma była szczególnie raportowana w wiadomościach lokalnych i stanowych. Jak na razie rezultat przykuwa uwagę dość dramatycznie, niczym plac z wyprzedają odświeżonych atrakcji z lunaparków. Usta, wydaje się, zostały podciągnięte o parę szwów zbyt ciasno. Nieco jakby azjatyckie fałdy w kącikach oczu sugerują uwodzicielską, może wręcz niewieścią wrażliwość, jakby modelowano je na seksownym obrazku z legendy o Pocahontas. Cera Norma ma wpadający w ochrę odcień różu, jak stara, wielokrotnie spierana plama po keczupie. Tyle pracy, a rezultat ani dobry, ani zły, tylko kosztowny – później Billy'ego najdzie refleksja, że właściwie ten sam efekt dałoby się osiągnąć, tapetując twarz banknotami tysiąc dolarowymi.

– Oddaliście Ameryce jej dumę – mówi Norm, a wiadomość ta przybiera postać drobnych bąbelków rozrywających się w mózgu Billy'ego. Ameryce? Serio? Całemu krajowi, cholera?! Ludzie jednak klaszczą, a Billy nie ma odwagi wdawać się w kłótnię, zresztą zaraz przedstawiają go pani Normowej, zadbanej kobiecie w określonym wieku, o ciemnych włosach nastroszonych w chmurę. Ładna jest. Jej ciemnofioletowe oczy nie do końca łapią ostrość. Uśmiecha się, ale to czysto towarzyski grymas, nic od siebie, Billy dochodzi więc do wniosku, że albo babka jest na prochach, albo brutalnie oszczędza energię. Jeśli jest snobką, nie ma sprawy, w końcu która kobieta miałaby lepszy tytuł do praw i przywilejów suczej wścieklizny, jeśli nie Pierwsza Dama Dallas Cowboys? Prawdę mówiąc, od tej jej suchości aż trochę mu staje – *Ej, Mały, myśli sobie, LEŻEĆ, przecież ona jest w tym wieku, że mogłaby być twoją mamą* – ale teraz szturmują go już reszta klanu, dzieci Norma, mężowie i żony tychże dzieci, potem nieprzeliczona horda wnucząt, a każde obdarzone czworoboczną twarzą Oglesbych, kiedy zaś przejdzie już ta fala, wokół szeregu powitalnego rozpętuje się małe kongo. Ludzie są nabuzowani: bliskość Bravo wyzwoliła w nich szampański nastrój, nawet oni, tacy ważni i zamożni, nawet im trochę odbija, kiedy Bravo są w pobliżu. Czyżby to dlatego, że czują zapach krwi? Nieznajomi pozwalają sobie na wiele z młodym ciałem Billy'ego, wbijają palce w ramiona i barki, ściskają nadgarstki, po męsku oklepują plecy. Nie posiadają się

z zachwytu. Przysięgają wierność sprawie i dozgonną wdzięczność. Starsza pani o istic królewskim wyglądzie pyta go o wiek.

– Wyglądasz tak młodo! – woła, ale kiedy słyszy odpowiedź, odrzuca włosy z czoła i odwraca się, jakby jej skłamał. O autografy proszą go mali chłopcy w marynarkach i pod krawatami. Ktoś podaje mu colę w plastikowym kubku. Przed Tournée Zwycięstwa Billy nie znosił takich wielkich przyjęć, spiętych pogawędek i nerwowego snucia się z miejsca na miejsce, ale nie jest aż tak źle, kiedy ludzie sami chcą z tobą rozmawiać.

– Byłeś w Białym Domu – zagaduje go jeden.

– Zgadza się.

– Spotkałeś George’a i Laurę? – pyta z nadzieją jego żona.

– Cóż, mieliśmy spotkanie z panem prezydentem i z Cheneyem.

– To musiało być okropnie ekscytujące!

– I było – uprzejmie odpowiada Billy.

– A o czym rozmawialiście?

Billy się śmieje.

– Nie pamiętam! – To prawda, rzeczywiście nie pamięta. Było tam trochę dowcipkowania, takie dobroduszne męskie pogawędki. Dużo uśmiechów, mnóstwo dyrygowanego pozowania do zdjęć. W pewnym momencie Billy uświadomił sobie, że oczekiwał po prezydencie zachowania świadczącego o... no cóż, zakłopotaniu? Zawstydzeniu? W końcu wszystko zostało koncertowo spierdalone. Jednak głównodowodzący sił zbrojnych wydawał się w pełni zadowolony z tego, jak stoją sprawy.

– Bo wiesz – kobieta nachyliła się ku Billy’emu, jakby miała mu powierzyć poufne informacje – my tu poniekąd traktujemy George’a i Laurę jak swojaków. Po zakończeniu tury w Waszyngtonie wrócą do Dallas.

– Aha.

– Parę tygodni temu byliśmy w Białym Domu – podejmuje wątek ten facet – mieli oficjalną kolację dla księcia Karola i Camilli. Słuchaj, rodzina królewska to naprawdę wspaniali ludzie, zupełnie bezpretensjonalni. Z księciem Karolem da się porozmawiać na każdy temat.

Billy kiwa głową. Zapada milczenie. W samą porę reflektuje się i pyta:

– Więc o czym rozmawialiście?

– O łowiectwie – odpowiada tamten. – Księżę lubi strzelać do ptaków, tak jak ja. Głównie pardwy i bażanty.

Kilka par, opalonych, pięknie wystylizowanych, wciągnęło majora Maca w intensywną konwersację. Major przytakuje, marszczy brwi, zaciska wargi – potrafi udawać pełne skupienie jak zawodowiec. Dime i Albert zostali wchłonięci przez świętą Norma, co Billy’ego podnosi na duchu, bo to dowód, że moc Dime’a jest wielka, skoro utrzymuje go nawet na tak niebotycznych wysokościach. *Amerykanie*, mówi sobie, rozglądając się po apartamencie. *Wszyscy tu jesteśmy Amerykanami* – trochę tak, jakby nagle uświadomić sobie, że ma się w ustach język, że pojawiła się jakaś kwestia, której przedtem nie było. Ale ci Amerykanie tutaj są inni. Ci chodzą na bale. Dobrze się ubierają, dbałość o higienę praktykują najbardziej zaawansowanymi metodami, sprawnie obracają się w świecie złożonych inwestycji i aż wibrują od przyjemności, jakie daje wygodne życie – wykwinnych posiłków, dobrych win, wprawy w grach i sportach, znośnego otrzaskania z europejskimi stolicami. Nawet jeśli nie są tak nieskazitelnie urodziwi jak modelki czy aktorzy filmowi, to bez wątplenia dane im są żywotność i styl, powiedzmy, ludzi z reklam Viagry. Chwile na osobności w towarzystwie Bravo to tylko jedna z dostępnego im wachlarza rozrywek i gdy Billy o tym myśli, zaczyna czuć pewne rozgoryczenie. Nie to, żeby im zazdrościł, raczej jest dogłębnie przerażony. Lęk przed powrotem do Iraku równa się najczarniejszej nędzy i dokładnie tak czuje się Billy w tej chwili, biedny, jak obszarpane bezdomne dziecko, które nagle rzucono pomiędzy milionerów. Śmiertelny lęk to getto dla ludzkiej duszy, a wyzwolenie się od niego to coś jakby psychiczny ekwiwalent odziedziczenia stu milionów dolarów. Tego właśnie tak naprawdę zazdrości tym ludziom, tego luksusu, że zgroza to dla nich tylko temat do konwersacji, a jemu właśnie zrobiło się tak strasznie żal siebie samego, że najchętniej rozplakałby się w głoś.

Jestem dobrym żołnierzem, mówi sobie, przecież jestem dobrym żołnierzem, nie? Więc co to może znaczyć, kiedy dobry żołnierz czuje się aż tak źle?

Nie bój się, mawiał Grzybas. Bo będziesz się bał. Więc kiedy zaczniesz się bać, to się nie bój. Billy dużo o tym myślał, nie tylko jako o paradoksie w stylu zen, ale też co to dokładnie znaczy obłądnie się bać. I znów Grzybu: Strach to matka wszystkich emocji. Nim pojawiły się miłość, nienawiść, złość, smutek, wściekłość i cała reszta, był strach, i strach zrodził wszystkie pozostałe, a każdy frontowy żołnierz wie, że ucieleśnień i gatunków strachu jest tyle, ile Eskimosi mają słów na oznaczenie śniegu. Spędź choćby chwilę w krainie, gdzie władają śmiertelne siły, a będziesz świadkiem jego brzemiennych i potwornych obrazów. Billy widział ludzi, którzy pod

ciężarem strachu wyją, inni nie potrafią przestać kląć, jeszcze innym strach ze szczętem odbiera mowę. Utrata panowania nad pęcherzem czy zwieraczem, klasyka. Chichoty, łkanie, drżenie, ołupienie – klasyka. Jednego dnia zobaczył, jak jakiś oficer podczas ataku raketowego wturlał się pod swojego hummera, a kiedy już było po wszystkim, po prostu odmówił wyjścia. Albo kapitan Tripp – w walce naprawdę niezgorszy, ale jeśli tłuką w nich ostro, to brew skacze mu w górę i w dół jak luźny koniec plandeki na mocnym wietrze. Może dla jego podwładnych to trochę ambarasujące, ale przecież nikt naprawdę nie ma mu tego za złe, to czysty odruch mięśniowy, ciało się buntuje. Pewne reakcje na stres bojowy są wpisane w geny, dokładnie tak samo jak skłonność do skręcania się włosów czy płaskostopie, jest też ta garstka farciarzy, którzy wydają się w ogóle nie odczuwać lęku. Na przykład sierżant Dime, fantastyczny żołnierz – Billy widział raz, jak Dime chodził i zajadał skittlesy, kiedy raptem kilka metrów dalej rwały się spadające pociski moździerzowe. Ale czasami jest tak, że jednego dnia człowiek jest nieustraszony, a następnego się rozsypie, takie to już niepewne, takie okropne, bezsensowne i głupie. I wszystko to ryje człowiekowi берет. Ta przypadkowość. Strasznie go już męczy życie pod tym codziennym gradem stresu, nie tylko normalną, zwierzęcą obawą przed cierpieniem i śmiercią, ale i właściwym tylko ludziom strachem przed strachem, zupełnie jakby nastawić płytę CD na odtwarzanie jednego utworu, powstaje nieustannie zacieśniająca się, samowzmacniająca się pętla, która mogłaby w sumie być jakąś formą obłądzenia. Czyżby zatem wszystkie inne nasze emocje powstały jako mechanizmy zaradcze, żeby przy odrobinie szczęścia zachować nas przy zdrowych zmysłach? I tak oto zaczyna się wyczuwać człowieczeństwo nawet w uczuciu nienawiści. Czasami czujesz się tak zmęczony tym wszystkim, że ciało jest jak martwe, kiedy indziej to jak migrena, choć wydaje się, że da się z nią negocjować, ugiąć umysł przed cierpieniem, analizować je, rozbijać na atomy, jony, drążyć coraz głębiej i głębiej w teorię, aż wreszcie ból rozpierzchnie się w pierdnięciu logiki, tylko co z tego, skoro potem głowa łupie i tak.

O tym to myśli sobie Billy, kiedy jednocześnie prowadzi niezobowiązującą rozmowę o wojnie. Stara się nie nakręcać emocji, ale ludzie wokół wciąż zbaczą ku dramatom i namiętnościom. Zakładają sobie, że skoro należysz do Bravo, to będziesz rozmawiał o wojnie, bo, powiedzmy, gdyby gościem był Barry Bonds, to rozmowa dotyczyłaby baseballu. Nie sądzi pan... Przyzna pan chyba, że... Musi się pan zgodzić... Tu, w kraju, wojna to problem, który da się rozwiązać słusznym myśleniem i prawidłową alokacją zasobów, dramaty i namiętności zaś rodzą się z tego, że celem terrorystów jest przejęcie władzy nad światem. *Nasz model życia. Naszy wartości. Naszy Chrześcijański wartości.* Billy czuje, że wszystko mu paruje z głowy.

– Przepraszam państwa – wtrąca się ktoś z zarządu drużyny – nasz żołnierz chyba trochę podsyca. Może dolewkę?

Billy potrząsa kubkiem, grzechocze lód.

– Dziękuję panu. Nie odmówiłbym kolejnej coli.

– Chodźmy więc. Państwo wybaczą. – Menago trzyma go za łokieć jak za rumpel i steruje ku barowi, jeden z tych, co muszą dowodzić. Najwyraźniej korporacyjna polityka w Cowboys jest taka, że każdy menedżer musi wyglądać jak kierownik sprzedaży w salonie Forda, bo ten – przedstawia się, Bill Jones – pasuje idealnie. Przeciętny, łysiejący, z nalaną twarzą, w pasie wybrzuszony, jakby był już w drugim trymestrze, a jednak emanuje od niego coś, co Billy z miejsca wyczuwa, kontrolowana agresja, dobre narzędzie pracy. Przez każdy jego ruch zdaje się płynąć niecierpliwość, skakałby jak gumowa piłeczka.

– Dobrze się bawisz?

– Tak jest.

Jones się śmieje.

– Wyglądałeś tam tak, jakbyś potrzebował zmiany klimatu.

Billy z uśmiechem wzrusza ramionami.

– To mili ludzie.

Jones znów się śmieje, tym razem raczej ostro.

– To prawda, bez dwóch zdań. I są zachwyceni, że mogli was poznać. W grupie robicie wielkie wrażenie.

– Dziękuję. – Billy zauważa wyraźne wybrzuszenie pod pachą pana Jonesa. Przewycięża przelotną, ale bardzo silną pokusę zdzielenia go tak, żeby wprasować mu tchawicę w kręgosłup, i rozbrojenia gościa z tej spluwy, dla ogólnego bezpieczeństwa.

– W tym towarzystwie raczej nie znajdziesz takich, którym coś się w kraju nie podoba. Są zdecydowanie za wojną, za Ameryką. I bynajmniej nie krępują się mówić o tym głośno.

– Tak jest.

– Wiesz co, sam interesuję się polityką, ale w każdej chwili wolałbym pogadać nie o niej, tylko o futbolu. Co ty na to?

– Wolałbym rozmawiać na każdy inny temat niż polityka.

Pan Jones śmieje się krótko, ostro. Billy ma wrażenie, że z odpowiedziami na razie nie spudłował, ale nie pozwala sobie na relaks.

– Ty jesteś ten z Teksasu, prawda?

– Tak jest.

– Kibicujesz Cowboys?

– Od urodzenia – Billy dla przypochlebiania się dodaje do pieca.

– I to mi się podoba. Spróbujemy sprezentować ci dziś wygraną. Harold – zwraca się do czarnoskórego barmana – może bardzo zimną colę dla naszego przyjaciela? Ma być wkładka? – zerka łobuzersko na Billy’ego.

– Nie zawadziłyby kropelka jacka danielsa. Choć teoretycznie nie powinienem.

– Nie bój się, nikt cię nie sypnie. Może jeszcze coś by ci się przydało?

Billy zastanawia się, czemu ten facet robi sobie z nim tyle zachodu.

– Szczerze mówiąc, trochę boli mnie głowa. Jakiś advil czy coś w tym guście byłoby super.

– Już się robi. – Jones wyciąga komórkę i klika szybciej, niż można by się spodziewać, widząc te jego sękaty paluchy, ozdobione nie jednym, lecz dwoma pamiątkowymi pierścieniami z Super Bowl. Billy stara się nie gapić na te gruzłowate skorupiaki od jubilera. Przyjmuje drinka i obraca się ku reszcie towarzystwa. Gdzieś głęboko spośród tłumu zerka na niego Mango, ubawiony, otumaniony, ale zaraz tracą się z oczu, co też wygląda na element tego żartu. Najwięcej ludzi ciśnie się wokół Norma, roją się tam jak pszczoły; Billy dochodzi do wniosku, że może się tu czegoś nauczyć, ma okazję popatrzeć z bliska, jak działa mistrz bajeru. Talenty Norma w kwestiach społecznych obrosły już legendą. Charyzma, wdzięk, dominująca osobowość – wszystko to zostaje użyte, kiedy dla każdego gościa Norm ma uśmiech i słówko na boku. To on, bez dwóch zdań, stanowi oś tego pokoju, jest tu rozgrywającym, i Billy widzi, jak zręcznie facet sobie z tym radzi, a jednak, a jednak... Norm jest taki włączony, co nie? Strasznie się stara. Wszystko robi jak trzeba, ale zdradza się przy okazji ze stresem sprzedawcy na prowizji albo przeciętnego aktora, który nie zapomina kwestii, lecz hamuje go przyciasny kołnierzyk, pijące gacie. Norm jest pewny siebie, absolutnie, to król samooceny, ale ta pewność siebie wzięła się z kaset motywacyjnych, samopomocowych mantr, nauczył się jej jak języka obcego, więc w jego mowie ciała wciąż czuć obcy akcent, każdemu uśmiechowi, każdemu gestowi towarzyszy reumatyczne skrzypnięcie, niechby i niegłośnie.

Aż przykro patrzeć, a i brak w tym elementarnej godności – czyżby to dlatego Normowi zawsze demonstracyjnie okazywano brak szacunku? Krąży mnóstwo opowieści o zadziwiających zajściach: kiedy tłum ludzi na South Beach w Miami

pokazał mu gołe tyłki, innym razem to samo, ale zawodnicy na boisku w Churchill Down, a grupa rozbrykanych młodych menedżerów z funduszy hedgingowych spuściła mu raz wciry w męskiej toalecie klubu 21 w Nowym Jorku. A jednak jest tu właścicielem, więc to, co robi, musi w jakimś stopniu przynosić oczekiwane rezultaty. Billy omiata wzrokiem pozostałych członków klanu Oglesbych: harują tak samo jak Norm, są jak klucze nanizane na drut pod napięciem, tylko brzęczą, błyszczą, iskrzą się i zawzięcie kupczą. Billy próbuje wyobrazić sobie ich życie: zawsze w robocie, zawsze grają pod publiczność, całą najlepszą energię właczają w przybieranie oficjalnej pozy.

Chryste Panie, wygląda na to, że roboty jest z tym do diabła i trochę. Billy czuje do tych ludzi więcej niż współczucie – budzą w nim respekt, przez samodyscyplinę, która każe im codziennie wstawać i na nowo podejmować brzemień całego plemienia Cowboys.

Pan Jones się rozłącza i zwraca ku Billy'emu:

– Już zaraz będzie dla ciebie aleve.

– Dziękuję panu. – Billy stara się nie patrzeć na wybrzuszenie pod pachą. – Także za to wszystko tutaj. – Gestem dłoni trzymającej kubek wskazuje zgromadzonych ludzi. – To naprawdę miła rzecz.

– Cóż, cieszymy się, że tacy wspaniali młodzi ludzie zawitali dziś do nas. Gościć was to dla nas zaszczyt.

– Wie pan co, chciałbym się czegoś dowiedzieć – wrywa się nagle Billy'emu, który ze świeżą porcją burbona w żołądku nabrał chyba śmiałości, albo może postradał rozwagę. – Jak wy to robicie? W sensie, jak się prowadzi taki interes. Wszystko to tutaj. Jak to się robi, żeby wszystko działało? – Urywa, szpera po mózgu w poszukiwaniu słownictwa biznesowego, które przynajmniej brzmiałoby inteligentnie. – Znaczący, prawda, na przykład od czego się zaczyna, skąd biorą się pieniądze, no, na stadion? Teren, budowa, no, w ogóle, dalej pensje dla zawodników, trenerów, rozumie pan: przecież to jest potężny rozchód gotówki, mam rację?

Pan Jones śmieje się, ale nie drwiąco.

– Zgadza się, zawodowy futbol wymaga zaangażowania sporego kapitału – mówi cierpliwie, jak nauczyciel do debila. – Kluczem jest odpowiednie lewarowanie obrotów, dzięki któremu da się wygenerować dość przychodów, by spłacać długi i pokryć bieżące należności. Więc to dobre pytanie. W pewnym sensie wręcz najważniejsze. Zdecydowanie trafiłeś tu w sedno.

Billy kiwa głową, jakby od początku wiedział, co i jak.

– Aha, ale tak w aspekcie taktycznym – (*oho, pięknie*) – powiedzmy, kiedy pan Oglesby postanowił kupić drużynę, to co zrobił? No przecież nie wyciągnął karty kredytowej i nie powiedział „Hm, chyba dziś kupię sobie Cowboys”.

– Ano nie – uśmiecha się pan Jones. – Faktycznie, to nie było tak. Ale coś ci powiem: lewarowanie to wspaniała sprawa. W dobrych rękach to narzędzie potrafi wprost poruszyć góry, a Norman Oglesby... cóż, powiem tylko tyle: jeśli idzie o konstruowanie umów, mój szef to geniusz. Nie spotkałem nikogo innego, kto miałby takie wyczucie do liczb, nie widziałem też lepszego negocjatora. Raz patrzyłem, jak wszedł do sali pełnej bankierów inwestycyjnych z Nowego Jorku: wyniósł stamtąd dokładnie takie warunki, jakie chciał, a uwierz mi, to są naprawdę twardzi goście. Przyzwyczaili się już dostawać to, co im się zamarzy, ale tamtego dnia obeszlą się smakiem.

O ja jebię, myśli Billy, gadamy o interesach. Wdał się w autentyczną rozmowę o biznesie, jak dorośli, z ważnym menedżerem Cowboys. To nadzwyczajny Moment w jego życiu, choć zdaje sobie sprawę, że ledwie nadaża, albo i w ogóle nie, a pan Jones po prostu nie chce mu zrobić przykrości. Co z tego. Stoi tu. Wciąż rozmawiają.

– Stopa kredytu – mówi pan Jones,

inwestycja / zwrot z inwestycji

źródła dochodów // rolowany kredyt

pasywa > pożyczki pod zastaw

marketing

branding

dobra wola

bilans finansowy

deprecjacja

procent składany

grupa pożyczkodawców

albo

udziały w miejsce

wyżej wspomnianych

WIĄZEK ZAWODOWY ZAWODNIKÓW!!!!

Limit Wynagrodzeń

spadki

fundusz

obligacje

Telefon komórkowy pana Jonesa ćwierka. Jones zerka na ekranik, uśmiecha się przelotnie do Billy'ego i odchodzi. Billy dostaje dolewkę coli i w zadumie ustawia się z boku baru. Życie w wojsku zaserwowało mu przyspieszony kurs świadomości rozmiarów świata, taki mianowicie, że wciąż łapie się na zdumieniu co do tego, skąd się wzięły przeróżne rzeczy. O, na przykład stadiony. Lotniska. Krajowy system autostrad. Wojny. Billy chciałby się dowiedzieć, jak są one opłacane, skąd się biorą te miliardy. Wyobraża sobie skryty w cieniu, oparty na matematyce równoległy wymiar, istniejący nie tylko obok, ale i pośród świata fizycznie namacalnego, taką przejrzystą nakładkę cyfr w stylu filmu *Matrix*, przez którą ludzie z krwi i kości przemykają się niczym ryby pomiędzy wodorostami. Tam właśnie żyją pieniądze, w opartym na liczbach całkowitych królestwie kodów i logiki, wśród geometrycznych modułów przyczyn i skutków. We władztwie rynków, kontraktów, transakcji, eleganckich wektorów światłowodowego sprawstwa, dzięki którym niewiarygodne kwoty, zagadkowe bogactwa śmigają wokół świata na laserowych impulsach. Wydaje się, że to najbardziej nieuchwytna rzecz, jaka może istnieć, ale i najprawdziwsza, choć jak wkroczyć do tego świata, Billy nie ma bladego pojęcia, chyba że tranzytem przez tę drugą nieznaną krainę, zwaną uniwersytetem, a na to, kochani, nie liczcie. Za chińskiego boga nie wróci do żadnej klasy, przenigdy – na samą myśl odzywają się całe legiony zadawnionych zębek i powiązanych z nimi uraz, sięgające aż do przedszkola. Zresztą wszystkie te lata były tak nudne, że aż dusza wędła. Jeśli w publicznych szkołach stanu Teksas da się zdobyć rzeczywistą wiedzę, on na nią nigdy nie natrafił i dopiero ostatnio zaczął mu doskwierać jej brak, ta gigantyczna zbrodnia uświęconej przez państwo ignorancji, kiedy Billy walczy, by pojąć, jak jest urządzony ten świat. Jak to działa, kto zyskuje, kto traci, kto podejmuje decyzje. To nie jest drobiazg, taka wiedza. W pewnym sensie może ona rozstrzygać o wszystkim. Młody człowiek powinien wiedzieć, gdzie stoi na tym świecie, nie tylko z racji fundamentalnej ludzkiej godności, ale dla określenia metod i sposobów przetrwania, oszacowania zysków możliwych do osiągnięcia, gdyby się tylko uczciwie przyłożył...

Auaaaa!!!

– Mam cię, draniu. Odlatywałeś.

– Jasny gwint, panie sierżancie!

– Gdyby to był Irak, już byś nie żył.

– Gdyby to był Irak, nie byłoby tu lasek w skórzanych spodniach. Jezus Maria, panie sierżancie. – Billy poprawia mundur, lęklonie dotyka torsu. Kiedy stał pogrążony w zadumie, Dime podkradł się do niego od tyłu, jedną ręką opasał szyję, a drugą tak zakręcił lewym sutkiem, że o matko.

– Chyba mi pan urwał cycusia, panie sierżancie.

Dime się śmieje. Przy barze prosi o sprite'a. Taki już jest, zawsze sprite, jak się da, to wersja light.

– Panie sierżancie, co to jest lewarowanie?

Dime prycha sprite'em.

– Co jest, Lynn, poczytujesz „Forbesa”, kiedy nie patrzę? Gdzie usłyszałeś o lewarowaniu?

– Ten tam – Billy podbródkiem wskazuje Jonesa – powiedział, że lewarowanie to klucz do sukcesów Norma w biznesie.

– Tak powiedział. Hm. – Dime przygląda się Jonesowi. – Lewarowanie, Billy, to mądre słowo na używanie cudzych pieniędzy. W sensie, pożyczki. Długi. Kredyty. Lichwa. Korzystanie z cudzych pieniędzy, żeby pomnożyć własne.

– Nie lubię długów – mówi Billy. – Kiedy wiszę komuś kasę, robię się nerwowo.

– Historycznie rzecz biorąc, to oznaka normalności. – Dime wgryza się w kostkę lodu, *chrup*. – Obawiam się jednak, że ostatnimi czasy normalność niekoniecznie jest w cenie.

– A Norm?

– Co: Norm?

– Chcesz powiedzieć, że on nie jest normalny?

– Nawet nie jestem pewien, czy on naprawdę istnieje.

Billy się śmieje, ale Dime ma kamienną twarz.

– Jedno wiem na pewno.

– Co takiego, sierżancie?

– Że od dawna marzy mu się wyruchanie Alberta.

Billy wybiera opcję „milczenie”.

– Cóż, pewnie kiedy już się rozwalcowało ligę futbolową, nie pozostaje człowiekowi nic innego jak szturm na Hollywood. Non stop odpytuje Alberta

o robienie interesów w filmach.

– A co robi Albert?

– Jest dobrze, brachu. Chłop pracuje.

– Nad naszym filmem?

– No mam nadzieję. Gdyby nie my, nie dostałby się tutaj.

Milkną. Pan Jones dołączył do grupy dobrze ubranych gości. Nawet kiedy się śmieje, jego oczy wciąż są bystre, ciało czujne. Billy podejrzewa, że nawet mimo młodości i siły, mimo wojskowego wyszkolenia mógłby mieć problem z pokonaniem pana Jonesa w walce.

– Sierzancie, widzi pan tego typa tam, tego, o którym panu mówiłem? Facet ma kłamkę.

Dime się nie przejmuj.

– Myślałem, że w Teksasie to norma.

– No dobra, ale tu? Jaka żenada, ja pierdołę. – Billy sam jest zaskoczony skalą własnego zniesmaczenia. – Tylko zupełny ciul przyniosłby spluwę na mecz, rany, przecież tu jest chyba z milion gliniarzy, nie? Co on myśli, że sam załatwi wszystkich terrorystów?

Dime obraca się do Billy'ego, wybucha śmiechem. Nagle sztywnieje, staje przed szeregowcem tak, że są niemal nos w nos. Billy wstrzymuje oddech, ale jest już za późno.

– Oż ty skurwysynu, znowu pijesz.

– Kropelkę, panie sierzancie.

– Dałem pozwolenie na dalsze spożycie alkoholu?

– Nie, panie sierzancie.

Dime zerka na kubek w dłoni Billy'ego.

– Masz problem z alkoholem?

– Nie, panie sierzancie.

– Za dwa dni wracamy do syfu, zapomniałeś?

– Nie, panie sierzancie.

– Masz być w chuj ogarnięty, raz-dwa, nie żartuję.

– Tak jest, panie sierzancie. Będę.

– Myślisz, że akbary nam odpuszczą tylko dlatego, że tu robiliśmy za gwiazdy?

– Nie, panie sierżancie.

– No jasne, że nie. Będą na nas polować. A jeśli nie mogę na ciebie liczyć... – Dime robi krok wstecz. Nagle wygląda na przygnębionego. – Billy, będziesz mi potrzebny. Musisz mi pomagać, żeby reszta tych debili wyżyła. Więc nie odlatuj, dobra?

I tak oto w parę sekund Dime łamie mu serce. On jest taki, że Billy wolałby umrzeć niż go zawieść.

– Jest dobrze, panie sierżancie. Nic mi nie będzie. Serio.

– Naprawdę?

– Tak jest, panie sierżancie. Nie musi się pan o mnie martwić.

– No dobra. Napij się wody. Żebyś mi się nie skuł.

Toteż Billy sączy wodę, kiedy podchodzą A-bort i Crack, a szczerzą się jak gepardy z kawałkami mięsa i gnatów sterczącymi spomiędzy zębów.

– No co?

– Babka Norma.

– No?

– Byśmy ją posunęli. Dwóch na jedną.

– A idź. Facet, przecież ona ma, ja wiem, z pięćdziesiąt pięć lat.

– A co mnie to, ile ma lat – mówi A-bort – weź ją oblukaj. Maszyna jak sto pięćdziesiąt.

– Zawsze chciałem zapakować jakiejś bogatej zdirze w dupala – wyznaje Crack.

– To już po prostu chamstwo – stwierdza Billy i aż sam się dziwi temu purytańskiemu niesmakowi. – Jesteście obrzydliwi. Odnosicie się do niej bez szacunku, choć nas ugościła.

Dołączył do nich Mango.

– Jak do niczego nie dojdzie, to jeszcze nie brak szacunku, tylko takie tam gadanie. Przecież jej nie wyrwą.

– Tylko patrz – obiecuje Crack. – Pięć do jednego, że ją puknę, stawiam stówkę.

– Pierdolenie – odpowiada Billy, wciąż w trybie ministranta.

– Wchodzę w to – mówi Mango.

– Ja też – dodaje A-bort.

– Ale że jak – upewnia się Crack – że to ja mam ją puknąć czy wy też chcecie?

Zanim jednak zdążą rozstrzygnąć tę kwestię, dołącza do nich któryś z menedżerów Cowboys i zupełnie jak na montażu filmowym – tu Bravo są jak najobleśniejsza ekipa zwyroli spod budki z piwem, a po chwili to już moralny kręgosłup i sam szpik narodu, o tak, niemalże święci, ci anielscy wojownicy z amerykańskiego snu o krucjatach. Menago kładzie na kontuarze stos numerów „Time’a” i prosi o autografy, tak, właśnie tu, na okładkach, i drugi raz na stronie trzydziestej, gdzie zaczyna się reportaż *Triumf nad kanałem Al-Ansakar*: „Osada Ad-Wariz nad kanałem Al-Ansakar to miejsce prymitywne nawet jak na warunki irackie, luźna garść lepianek i gospodarstw małorolnych. Jednak przez dwie brutalne godziny rankiem 23 października ta wioska na peryferiach cywilizowanego świata stała się epicentrum wojny Stanów Zjednoczonych z terroryzmem”.

I dalej sześć stron tekstu i zdjęć, plus trójwymiarowy planik pełen strzałek i opisów, zupełnie nieprzypominający jakiegokolwiek starcia, które może sobie przypomnieć Billy. A i typ na okładce wcale nie jest z Bravo, to sierżant Daiker z trzeciego plutonu w dramatycznym nieostrym zbliżeniu na jego ściągniętą, straszliwą twarz. „Wygląda to tak, jakby akurat ta grupa bojowników zapragnęła śmierci – powiedział »Time’owi« pułkownik Travers – a nasi żołnierze umożliwili im to z największą ochotą”. Wszystko się zgadza, ale dopiero na sam koniec naprawdę im się wystawili: gromadka straceńców, może ośmiu czy dziesięciu, wypadła z trzciny galopem, wrzeszcząc, tłukąc długimi seriami, taki ostatni totalny sprint szaleńców prosto do wrót muzułmańskiego raju. Przez całe mundurowe życie żołnierze śnią o takiej chwili i każdy Smith z bronią w garści wykorzystał wtedy szansę, stworzyli idealną nawałnicę skoncentrowanego ognia, o, jak tych szmaciarzy rozniosło w drobiazgi, włosy, zęby, oczy, dłonie, głowy delikatne jak arbuzy, bryzgający gulasz z rozprutych torsów, widoki nie do uwierzenia i nie do zapomnienia, do których wciąż się wracało myślami, choćbyś nie chciał. Ludu, mój ludu. Miłosierdzia nie było w opcjach, koniec i kropka. Billy dopiero potem uświadomił sobie, że coś takiego jak miłosierdzie w ogóle istnieje, a i to tylko w kontekście braku tegoż tam, w Iraku: wykluczanie opcji zaczęło się tam tak dawno w dziejach, że z dużą dozą prawdopodobieństwa można było domniemywać, iż miłosierdzie przestało tam być oferowane, jeszcze zanim urodził się ktokolwiek z obecnych na tym polu walki.

Bravo podpisują tygodniki. Przez minione dwa tygodnie złożyli już podpisy na dziesiątkach egzemplarzy „Time’a”, niektóre wylądowały nawet na eBayu, ale co tam. Menago zgarnia pisma delikatnie, z miną prawnika, któremu właśnie udało się wyrolować klienta.

– Destiny’s Child są już może na miejscu? – pyta go Crack.

– To akurat nie moja broszka, brachu.

– Mieliśmy nadzieję, że da się z nimi trochę pokręcić.

Menago się śmieje.

– A co, znacie się już?

Zabrzmiało to nieco bezczelnie. Jakby to z nich się śmiał.

– Jesteśmy fanami – spokojnie odpowiada Mango.

– Synek, gdybyście nie byli, tobym się o was martwił. Wiecie co, podejdę się zapytać.

Jasne. Bravo podbijają do baru na szybką kolejkę danielsa z colą, a Harold, zuch chłopak, przy nalewaniu nie wysuwa butelki burbona ponad kontuar. Golą te drinki w samą porę, żeby dać się wyprowadzić całą gromadką do lodowatego holu, gdzie Josh wyklada im, co i jak w temacie konferencji prasowej. Teraz dostał sztywnik. Włosy ma ułożone w idealny klin. Cały wygląda jak świeżo odebrany z pralni chemicznej.

Będą tam czirliderki?

– Tak, będą czirliderki.

Juhuhuhaauuuuu! A na kolanach siądą, pokręcą tyłeczkami?

– Chłopaki, przy dziennikarzach żadnych takich.

A co mamy robić w połowie meczu?

– Tutaj jeszcze nie mam szczegółów. Wiem, że Trisha zaplanowała dla was jakąś rolę.

Co znowu za Trisha, do chuja wafla?

– Chłopaki, no weźcie, córka pana Oglesby’ego. Dopiero co się z nią widzieliście. Układa plan tego występu w połowie meczu już od pół roku.

Powiedz jej, że umiemy śpiewać!

– Nie wątpię, chłopaki, że śpiewacie rewelacyjnie, ale od tego mamy już Destiny’s Child.

No właśnie, chcielibyśmy się spotkać...

– No wiem wiem wiem, ale ludzie, no, to są Destiny’s Child. Zorganizowanie wam spotkania z nimi to chyba trochę ponad moją kategorię zaszeregowania.

No dasz radę, Dżooooosz.

– Popytam. Ale za nic nie ręczę.

Więcej śmiechu, trochę wilczego wycia. Bravo są nabuzowani. Stoją tu tak długo, że dociera do nich, że na coś czekają – jak się okazuje, na Norm, a ten w końcu przybywa w obłoku świty, wśród której znajdują się fotograf, kamerzysta, kilkoro członków rodziny i spora grupa ważniejszych menedżerów Cowboys.

– Gotowi? – pyta Norm, olśniewając Bravo uśmiechem. – Pewnie moglibyście już robić to zawodowo, chłopaki. – Zgarnia w ramiona jednego z wnuków i ruszają przez stadionowy labirynt, zawily niczym trzewia okrętu liniowego. Billy’emu rozsadza głowę, ale Josh, w innych kwestiach taki czujny i obowiązkowy, znów zapomniał o advilu. Ból tworzy wokół jego głowy coś jakby aurę czy otoczkę, z wytyczonymi odwiertami wyjątkowo dojmującego cierpienia, zupełnie jakby z gwoździarki wstrzeliwano mu w czaszkę bolce.

Pod salą dla dziennikarzy Norm oddaje komuś wnuczka, czeka pod drzwiami, póki Bravo nie ustawią się w szyku. „Świetnie”, mruży, „super”, „fantastycznie”, „nadzwyczajnie”, mamrotana piana luźno wyrzucanych superlatywów, wypowiedzianych właściwie pod niczym adresem. Aż trochę wstyd widzieć go w takiej chwili, jak gdyby patrzyło się na najgrubszego dzieciaka na kinderbalu, krążącego wokół tortu i ewidentnie marzącego o tym, żeby całe to ciasto było dla niego. Tak czy inaczej Norm wchodzi do sali pierwszy, a jego wejście to sygnał, by rozległ się wrzask, że klękajcie narody – jak widzi Billy, przekraczając próg, to czirliderki tak krzyczą: machają pomponami, tupią obcasami i wyją, jakby grom strzelił, ale zaraz przechodzą do skandowania w rytmie na cztery, żwawym kłusem – o kurczę, to rymowanka o nich! W sumie czemu nie, taką mają robotę:

*Nasi żołnierze silni i wierni,
Najlepiej w świecie są wyszkoleni,
Dzięki, że dzielnie tak nas chronicie
Przed tymi, co chcą nam odebrać życie!*

Billy zajmuje miejsce na krześle na scenie, czując, że wojna sięgnęła właśnie nowych wyżyn obłędu. Norm zachęca ludzi z mediów, żeby wstali! wstawać!, jest tego ze czterdziestu czy pięćdziesięciu, niemal wyłącznie faceci, wygląda na to, że niezbyt im się podoba takie dyrygowanie, ale w końcu wstają, klaszczą, pojawiają się nawet niechętnie uśmiechy, a Norm wskazuje na Bravo, po czym unosi ręce, jakby chciał powiedzieć: Zobaczcie, co dla was mam!

Powiadają, że jest geniuszem marketingu, ten Norm, a Billy, kiedy tak siedzi pośrodku płomienistego kłębła świateł rozstawionych dla mediów, ma przedziwne

odczucie, że nikt z nich wszystkich tutaj nie istnieje inaczej jak tylko w umyśle Normana Oglesby'ego. Norm promienieje, klaszcze, gestykuje ku żołnierzom Bravo. Jego oczy iskrzą się szczególnym, więcej, świętym płomieniem, facet jest tak pewien solidności marki Cowboys, że i Bóg na pewno stoi po jego stronie. Czyż może istnieć jakieś wyższe powołanie? Szlachetniejszy cel w życiu? Każdy profit dla drużyny to zaiste dzieło Boże, wszelkie zaś stworzenie musi się ugiąć przed Jego wolą.

Gorąco tu jak w cieplarni, śmierdzi nagrzanym plastikiem i żywicą epoksydową, tą wonią palonego kurzu, która zawsze towarzyszy dużym sprzętom elektronicznym.

– U-S-A! – krzyczy jedna z czirliderek i zaraz do skandowania dołączają się kolejne: – U-S-A! U-S-A! U-S-A! – A Norm także skanduje, klaszcze, kołysze się do rytmu. Ileż tu czirliderek, obstawiają trzy ściany sali – sama ilość odsłoniętego kobiecego ciała przyprawia Bravo o lekki szok. Żabim krokiem podchodzą bliżej fotografowie i ładują fleszami prosto w twarz Bravo, przysmażając oczy, być może wypalając kawałki mózgu. Po obu skrzydłach sceny, wysokiego na dwie stopy podestu, chyba z dykty, tak się ugina pod nogami, tłoczą się ekipy z kamerami. Za sceną stoi coś jakby wklęsła gródź, parawan z tkaniny pokrytej deseniem: tu gwiazdka, logo Cowboys, ówdzie łyżwa Nike. Tak naprawdę ta sala jest raczej nędzna, przypomina bardziej lokal związkowy czy salkę w świetlicy socjalnej po cięciach budżetowych: jarzeniówki, znów wszędzie ta ohydna wykładzina ogrodowa, krzeselka ze stalowych rurek z siedziskami ze sztywnego plastiku. Norm zajmuje ostatnie miejsce za stołem i podsuwa się do mikrofonu.

– I ja – zaczyna, ale musi przerwać, bo kilka czirliderek wciąż nie potrafi przestać skandować. Uśmiecha się, spogląda na dłonie złożone na stole, śmieszkiem docenia ich gorliwość, wzbudzając w odpowiedzi chichot mediowych.

– I ja – druga próba, ale musi przeczekać ostatnie krzyki, w końcu czirliderkom udało się opanować. – I ja – znów pauza, ale tym razem już tylko dla efektu – i cały klub Cowboys – *kaj-bojz*, mruczy sobie Billy pod nosem, jakby chciał podrapać sobie swędzenie w uchu wewnętrznym – mamy przyjemność, szczęście i wielki zaszczyt gościć dziś wspaniałych młodych mężczyzn z drużyny Bravo, tych prawdziwych amerykańskich bohaterów, tutaj, na lewo ode mnie. Jeśli chcielibyście porozmawiać o ludziach, którzy wiedzą, co to znaczy godnie reprezentować swoje barwy, proszę bardzo, oto oni. Najlepsi synowie naszego narodu, a nasi najlepsi to bez dwóch zdań najlepsi na całym świecie, czego dowiedli na polu walki w Iraku.

Czirliderki wznoszą okrzyk, kwik jak w orgazmie, szybko przeistaczają się w to marszowe skandowanie U-S-A! Billy zastanawia się: dostały polecenie, żeby robić te

przerywniki, czy same z siebie na to wpadły? W końcu czirliderstwo to z definicji rola drugoplanowa, a jednak biorą się do tego osoby z natury ekstrawertyczne, i tak oto Billy zaczyna dostrzegać konflikt rozdzierający serce każdej dziewczyny, która trudziła się przy podnoszeniu zawodników na duchu, prywatną udrękę tych, które zawsze wiwatują na cześć innych, choć same ciałem i duszą dają z siebie wszystko. Kto machnie pomponem dla pomponiary? Jakże to musi boleć, jak ogłuszające wrzaski opętańczego entuzjazmu musi prowokować. Norm chichocze, kręci głową, jakby chciał powiedzieć: Ach, te dziewczyny. Inne grube ryby Cowboys, na uboczu, też się podśmiewają.

– Nie wątpię, że wszyscy wiecie już, czego dokonali Bravo – podejmuje Norm – jako pierwsi przychodząc z pomocą konwojowi z zaopatrzeniem, który wpadł w zasadzkę, od razu wchodząc do walki, bez zabezpieczania tyłów, bez wsparcia lotniczego, przeciwko przeważającym siłom wroga, który szykował ten atak od wielu dni. Nie ulękli się przewagi wroga, podejrzewali nawet, że to pułapka, a jednak bez wahania poszli w bój...

Kilka czirliderek znów krzyczy, ale Norm unosi dłoń. Teraz mu nie przerywać.

– Na szczęście dla nas oddziałowi, który dotarł tam niewiele później, towarzyszyła ekipa z Fox News, możemy więc sami zobaczyć, czego ci wspaniali młodzi ludzie dokonali tamtego dnia. I muszę przyznać, że nigdy – głos Norma staje się chrapliwy, a on sam pochyla się bliżej do mikrofonu – nigdy nie byłem bardziej dumny z tego, że jestem Amerykaninem, niż kiedy obejrzałem. Ten. Materiał. Jeśli nie widzieliście go jeszcze, zachęcam was gorąco, byście to uczynili przy najbliższej okazji...

Billy zaczyna błądzić myślami. Skoro już nieco ochłonał, jest w stanie po raz pierwszy spojrzeć na czirliderki z uwagą, a nie miał pojęcia, że jest ich aż tyle, oto pełnowymiarowy próbnik zachwycającego niewieściego ciała, widać wszystkie możliwe odcienie, każdy wariant rzeźbionego brzuszka i jędrnego uda, wciętej talii, wymodelowanej rozłożystości czy smukłości biodra, a te piersi, Boże drogi, takie kubatury dorodnie majestatycznego cyca przepelniające sławetne kuse, wiązane na supeł bluzki, o tak, w każdej chwili może zejść lawina, pogrzebać wszystkich żywcem – przed całkowitym unicestwieniem chroni Bravo tylko parę cali ciężko doświadczanej tkaniny.

– Osobiście mam odczucie – peroruje dalej Norm – że wojna z terroryzmem to być może najczystszej postaci walka dobra ze złem, jaką dane nam będzie ujrzeć za życia. Są tacy, co mówią wręcz, że to wyzwanie, jakie rzucił nam Bóg, by sprawdzić, czy

jako naród jesteśmy godni. Czy zasługujemy na nasze swobody? Czy wystarczy nam determinacji, by bronić naszych wartości, naszego sposobu życia?

Billy obstawia, że kilka spośród czirliderek dorabia striptizem, mają ten gruboskórny urok blachar, niezbędny przy robocie w klubach nocnych – ale w większości są takie świeże, ładniutkie, perkatonose, o gładkich szyjach, że mogłyby przyjść tu z zajęć na uniwerku, roztaczają taką aurę odszorowanej, nieskalanej, zdrowej cielesności. Nie gap się na nie, upomina się Billy, nie bądź zwyrol. Albert i major Mac siedzą razem w tylnym rzędzie – Billy próbuje sobie wyobrazić, o czym mogliby rozmawiać. Bawi go to. Od czasu do czasu Albert odrywa wzrok od blackberry i spogląda, co tam u Bravo: oczy ma bystre i niepozabawione uczuć, niczym milioner obserwujący, jak jego medalowy ogier czystej krwi robi rundkę wokół toru wyścigowego.

– Wszystkim twierdzącym, że ta wojna to błąd, chciałbym przypomnieć, że odsunęliśmy od władzy jednego z najbardziej bezwzględnych i żądnych wojny tyranów w dziejach. Człowieka, który z zimną krwią wymordował tysiące swoich rodaków. Który dla kaprysu budował pałace, kiedy szkoły popadały w ruinę, a iracki system opieki zdrowotnej zupełnie się zawalił. Który utrzymywał jedną z najbardziej kosztownych armii świata, pozwalając jednocześnie, by niszczała infrastruktura kraju. Który władzę nad zasobami oddał zausznikom i sojusznikom politycznym, pozwalając im rozkradać krajowy majątek. Pytam więc wszystkich przeciwników wojny: czy świat byłby dziś lepszy, gdyby Saddam Husajn pozostawał u władzy? Bo o co mają walczyć Stany Zjednoczone, jeśli o obalenie tego typu tyranów, o szerzenie wolności i demokracji, o dawanie narodom świata szansy, by same decydowały o własnym losie? Od zawsze to właśnie było naszym zadaniem, i to dlatego jesteśmy najwspanialszym krajem świata.

Billy zastanawia się, czy Norm nie spróbuje kiedyś zawalczyć o jakiś obieralny urząd. W roli mówcy nie ustępuje żadnemu z tych polityków, z którymi przez ostatnie dwa tygodnie spotykali się Bravo. Ma prezencję, ma gadane, a do tego perfekcyjnie opanował ten zboląły, jakby nieco urażony ton, który ostatnimi czasy dominuje w politycznych przemówieniach. Jeśli jego występy rażą sztucznością – bo Norm jest świadom tego, że gra, czasem zerka w bok, w wyobrażone lustro – to wcale nie bardziej niż występy tych, którzy na dobre zaistnieli w publicznej świadomości. Billy zauważył zresztą, że widzom wcale to nie przeszkadza. Cała ta lipność po prostu po nich spływa, może dlatego, że dozgonna praca w sprzedaży, czyli życie w Ameryce, wykształciła w nich nadzwyczaj wysoki próg tolerancji dla ściemy, przechwałek,

naginania faktów, rzewnego pierdolenia i czystych kłamstw, czyli, innymi słowy, wszelkich form reklamy. Sam Billy nie zauważał, jakie to wszystko sztuczne, póki nie zaliczył paru miesięcy w strefie walk.

– Miałem niedawno przyjemność odwiedzić naszego prezydenta, który zapewnił mnie, że wygrywamy tę wojnę. Wygrywamy ją, niech to was nie dziwi. Mamy najlepszych żołnierzy świata, najlepszy sprzęt, najlepsze technologie, najlepsze wsparcie wśród tych, którzy zostali w kraju, więc jeśli tylko wytrwamy w uporze, zwycięstwo pozostaje wyłącznie kwestią czasu.

Mediowi nie mają może jeszcze otwarcie oziębłych min, ale bez dwóch zdań wyglądają na znudzonych i głodnawych. Przemówienie Norma trwa dłużej, niż ktokolwiek się spodziewał, i nawet Bravo, którzy mają serdecznie dosyć odpowiadania na pytania dziennikarzy, zaczynają się niecierpliwić. Billy znów zaczyna się przyglądać czirliderkom: robi taki eksperyment, przenosi wzrok z jednej dziewczyny na drugą, w rzędzie po jego prawej. Każda, która zauważy jego spojrzenie, odpala pirotechniczny uśmiech – jakby kolejno włączał jupitery na stadionie, bach, bach, bach, bach. Jednak gdzieś na tej trasie jego wzrok się zatrzymuje i bez udziału woli wraca do drobnej dziewczyny o jasnej skórze, z natapirowaną koroną rudawoblond włosów, której miękkie promienie opadają na piętrzącą się falę jej piersi. A ona znów się uśmiecha, potem nawet bezgłośnie śmieje i mruży oczy w jego stronę. Billy wie, że taką ma pracę, a jednak: żołądek z wrażenia mu skozłował. Miła dziewczyna, robi swoje, wspiera wojsko.

Dziennikarze są już zdecydowanie obrażeni. Wszystkie te gadzeczki do nagrywania, które z początku powyciągali, teraz zniknęły, aż do ostatniego. Billy pilnuje się, żeby przez następne trzydzieści sekund nie spoglądać na tamtą czirliderkę, ale też starannie omija wzrokiem kamery telewizji. Człowiek czuje się zupełnie jak czubek, kiedy tak spojrzy w obiektyw, a potem z telewizora sam sobie popatrzy prosto w oczy – kamery zdają się wychwytywać w takich bezpośrednich spojrzeniach pewną szczególną cechę, coś jakby poczucie winy czy ogólne nieogarnięcie.

– Panie i panowie, jedenasty września był jak pobudka dla naszego narodu. Trzeba było tak ogromnej tragedii, byśmy zrozumieli, że rozpoczęła się już bitwa o ludzkie dusze. Tego wroga nie da się ugłaskać ani przekonać w dyskusji. Oni nie negocjują, terroryści nie zechcą też złożyć broni. W wojnie takiej jak ta niespójny przekaz tylko podsyca zjadłość naszych przeciwników...

Gdy Billy w końcu wraca do niej wzrokiem, ona na to czeka! Obdarza go obezwładniającym uśmiechem, znów się mruży, w końcu puszcza oczko. Oczywiście to

wszystko zawodowa uprzejmość, ale Billy pozwala sobie poudawać, że owszem, ona serio na niego leci, że się spotkają, wymienią numerami, ustawią się na randkę, potem będzie więcej randek, następnie seks / miłość, małżeństwo, rozmnożą się, wychowają wspaniałe dzieciaki i do końca życia będzie im fantastycznie w łóżku, no bo czemu nie, do cholery, w końcu od zarania dziejów ludziom się to udaje, więc dlaczego nie miałyby przyjść kolej na Billy'ego? Spojrzał gdzie indziej, ale gdy wrócił do niej wzrokiem, uśmiechnęli się oboje i niemo zachichotali z tego, co ich tu łączy, cokolwiek by to było, niechby i drobiazg.

– ...tych wspaniałych młodych mężczyzn, prawdziwych amerykańskich bohaterów – mówi Norm, i w końcu serwuje Bravo konsumentom. *Witajcie w Dallas*, zaczyna pierwszy pytający, prowokując wiwaty czirliderek i wymachy pomponami.

Czym się zajmowaliście od przybycia tutaj?

Bravo patrzą po sobie. Żaden się nie odzywa. Po chwili wszyscy się śmieją.

– Tutaj: do Dallas, czy tutaj: na stadion? – pyta Dime.

I jedno, i drugie.

– No cóż, do Dallas przybyliśmy wczoraj późnym popołudniem, zameldowaliśmy się w hotelu i wyszliśmy coś zjeść. Potem wybraliśmy się podziwiać widoki.

Nocą?

– Nocą da się zobaczyć wiele ciekawych rzeczy – odpowiada Dime z pokerową miną. Całkiem sporo ludzi wita to śmiechem.

Gdzie zamieszkaliście?

– W centrum miasta, Hotel W, chyba najlepszy, w jakim się zatrzymaliśmy podczas tego wyjazdu. Traktują nas tam jak gwiazdy rocka.

– Ale to W, w sensie, hotel – wyrywa się Lodis – to jest taki niby znak, że...

Pół sali drze się na niego: *Nieeeeeee.*

– A. No bo tak pomyślałem, że może prezydent...

Nie nie nie nie nie.

Jakie miasto jak dotąd podobało się wam najbardziej?

– To znaczy, nie licząc Dallas? – pyta Sykes, co czirliderki kwitują radosnym okrzykiem.

Mieliście jakieś kłopoty ze spaniem, z przystosowaniem się do życia z powrotem w kraju?

Bravo patrzą po sobie. Gdzie tam.

Która z waszych misji była najbardziej niezwykła?

Wejście na kurzą fermę.

A najtrudniejsza?

Wtedy, kiedy polegli kumple.

Najbardziej gorąca?

Każda wyprawa do toalet.

Czy nasza obecność w Iraku przyczynia się do zmian w tym kraju?

– Chyba tak – ostrożnie odpowiada Dime. – Zmieniamy ten kraj.

Na lepsze?

– Są miejsca, że tak, zdecydowanie na lepsze.

A w innych miejscach?

– Staramy się. Ciężko pracujemy, żeby w Iraku było lepiej.

Ostatnio słyszy się dużo o bojownikach Muktady as-Sadra. Co możecie nam o nich powiedzieć?

– Bojownicy Sadra. No cóż... – Dime namyśla się przez chwilę. – Osobiście nie stawiałbym na sukces ugrupowania, którego przywódca wygląda jak Żółw z serialu *Ekipa*.

Salwa śmiechu.

Uprawiacie tam jakieś sporty, na przykład halowe?

– Na sport jest tam zbyt gorąco.

Więc co robicie w czasie wolnym, dla zabawy?

PROSTUJEMY DRĄGA!!! wrzeszczą wszyscy chórem, znaczy, wrzasnęliby, ale Dime zarzynałby ich za to powolutku, jednego po drugim. – Wojsko do perfekcji opracowało wypełnianie grafików – mówi sierżant – więc wolnego czasu nie mamy zbyt dużo. Najczęściej pracujemy po dwanaście, czternaście godzin dziennie, regularnie nawet dłużej. Ale kiedy mamy okazję trochę wyluzować... no, sam nie wiem. Co my robimy, żeby się rozerwać, chłopaki?

Gramy w gry na konsoli.

Pakujemy.

Kupuje się coś w kantynie.

– Ja lubię zabijać swoich wrogów i słuchać lamentów ich niewiast – mówi Crack z ciężkim, niemieckim akcentem. Sala zamiera, po czym wydycha śmiech, kiedy ten

ciągnie: – To z *Conana*. Zawsze marzyłem o okazji, żeby to powiedzieć.

Billy i jego czirliderka wciąż pracują twarzami – zerknięcia, uśmiechy, miny z marszczeniem brwi, wreszcie to zadziwiający, uduchowiony spójrzanie, które trwa dobrych kilka sekund. Billy czuje się dziwnie, porowato, jakby jego narządy wewnętrzne zmieniły się w piankowe pociski z zabawkowych pistoletów.

Jakie macie wrażenia po spotkaniu z panem prezydentem?

– Ach, prezydent – wzrusza się Dime – cóż za przeuroczy człowiek! – Reszta Bravo zapamiętała stara się przybrać obojętny wyraz twarzy, bo cały pluton świetnie wie, jak bardzo Dime gardzi tym gnojem z Yale (tak go nazywa). Kiedy zaczęła się ich tura w Iraku, Dime namalował mydłem na prawych przednich drzwiach swojego hummera napis „Wyruchany przez Busha” ze strzałką wskazującą na okno, tam, gdzie najczęściej siedział, ale w końcu porucznik zauważył i kazał mu to zmyć. – Czuliśmy się przy nim niewiarygodnie mile widziani, odprężeni, o, gdybyście na przykład wybrali się do miejscowego oddziału banku, żeby wziąć kredyt na samochód, to byłby naprawdę idealny bankier, którego chciałoby się tam spotkać. Przyjazny, łatwo się z nim rozmawia, facet w sam raz, żeby z nim sięść i wypić piwo. Chociaż, cóż, zdaje się, że skończył z piciem, prawda.

Mediowi reagują na to różnie: parę parsknięć, kilka spojrzeń spode łba, ale ogólnie jak woda po kaczce.

Jakie tam macie jedzenie? Macie internet? A zasięg komórek? Są jakieś kanały sportowe? Bravo mają co nieco wspólnego z jeńcami wojennymi – im też w kółko zadają te same pytania. Ktoś chce wiedzieć, jakie są codzienne problemy stwarzane przez życie w Iraku. Crack mówi im o solfugach, A-bort opowiada o tym, jak okropnie żrą pchły, po czym Lodis zaczyna strumień świadomości o swoich problemach ze skórą: „no że moja skóra wysycha, się robi cała popęknięta i szarawa, mój ziom Day zawsze do mnie: nawilżaj, nawilżaj, no to ja na to, ej, no dawaj mnie tu trochę tego tam mleczka, kolo!”, i tak przez dłuższą chwilę.

Czy któryś z was powiedziałby, że jest człowiekiem wierzącym?

– Każdy z nas jest wierzący, na swój sposób. – To Dime.

Czy pogłębiło się to w czasie waszego pobytu w Iraku?

– Cóż, nie da się nie myśleć o najważniejszych kwestiach, kiedy widziało się takie rzeczy, jakie my tam widzimy. O życiu, o śmierci, jaki sens może mieć to wszystko.

Wciąż krążą pogłoski, że powstanie o was film. Jakież konkrety?

– Aha, tak, film. Powiem tylko tyle: na Irak mówimy, że to nienormalnie normalne, bo tam najdziwniejsze rzeczy zdarzają się każdego dnia. Ale z tego, co do tej pory dowiedzieliśmy się o Hollywood, to miejsce jest chyba nawet bardziej nienormalne.

Śmiech. Salwy śmiechu. Albert, nie odrywając wzroku od blackberry, przybija im w powietrzu piątkę. *Boże, błagam*, modli się Billy, *tylko żeby to nie było, że Swank się zgodziła*. Aż tu któryś reporter pyta, co „natchnęło” Bravo do tych czynów, których dokonali owego pamiętnego dnia nad kanałem Al-Ansakar. Wszyscy spoglądają na Dime’a, sierżant patrzy na Billy’ego, a wszystkie oczy podążają za nim.

– Jako pierwszy powagę sytuacji pojął specjalista Lynn i to on pierwszy zareagował. Myślę więc, że do niego należy zwrócić się z tym pytaniem.

O żebyż cię kurwa w chuj osrała. Billy nie jest na to przygotowany, a już z tym „natchnieniem” to w ogóle wymięka. „Natchnęło?” Co to w ogóle za drętwy tekst, ale Billy się stara, męczy się z tym, żeby porządnie odpowiedzieć, żeby dokładnie, czy choćby z grubsza, opisać doznanie walki, która, by ująć rzecz zwięźle, była wszystkim. Cały świat stał się tego dnia, a Billy zaczyna rozumieć, że spędzi resztę życia na próbach zrozumienia, jak to właściwie było.

Wszyscy się gapią, czekają. Billy zaczyna mówić tuż przed momentem, w którym cisza zrobiłaby się już niesamowita.

– No więc, e... – odchrząkuje – jeśli mam być zupełnie szczery, to za wiele z tego tak naprawdę nie pamiętam. Znaczący, zobaczyłem Grzy... sierżanta Breema, i, no, już samo to, że go tam zobaczyłem, praktycznie na łasce bojowników, no to sam nie wiem, w sumie było jasne, że coś musimy zrobić. Wszyscy wiemy, co oni robią jeńcom, wystarczy tam, w Iraku, pójść na byle bazar, kupić sobie filmy z tym, co oni im robią. No więc chyba właśnie to o tym myślałem, czy przynajmniej gdzieś w tle, bo dokładnie to świadomie się nad tym nie zastanawiałem. Tak naprawdę to nie było za dużo czasu na myślenie. Chyba po prostu zadziałało wyszkolenie.

Ma wrażenie, że gadał zbyt długo, ale przynajmniej już skończył. Ludzie kiwają głowami, miny mają jakby współczujące, więc może nie zrobił z siebie totalnego idioty. Ale znów uderzają z pytaniami.

To ty jako pierwszy dotarłeś do sierżanta Breema?

– Tak. Tak jest. – Billy czuje, że tętno zaczyna mu skakać.

Co zrobiłeś, kiedy go znalazłeś?

– Odpowiedziałem ogniem i udzieliłem pierwszej pomocy.

Wciąż jeszcze żył, kiedy do niego dotarłeś?

– Wciąż żył.

A bojownicy, którzy go wlekli, gdzie oni byli?

– No cóż. – Zerka w bok, odkasłuje. – Na ziemi.

Byli martwi?

– Takie odniosłem wrażenie.

Mediowi się śmieją. Billy nie chciał zrobić z tego żartu, ale poniekąd dostrzega element humoru.

To ty ich zastrzeliłeś?

– No cóż, po drodze wiązałem ich ogniem. Kilkakrotnie doszło do wymiany strzałów. Tamci upuścili sierżanta Breema, żeby móc odpowiadać mi ogniem, nastąpiła więc wymiana strzałów.

Czyli ich zastrzeliłeś.

Z pach zaczyna mu się rozpełzać cuchnąca, mdląca woń.

– Tego nie potrafię stwierdzić z całą pewnością. Strzałów było bardzo dużo, z różnych kierunków. Zwariowane chwile, naprawdę. – Billy przerywa, bierze się w garść. Mówienie wymaga zbyt wiele wysiłku. – Znaczą, słuchajcie: jeśli to ja ich zastrzeliłem, to naprawdę nie mam z tym problemu...

Chce mówić dalej, ale sala trzęsie się od wybuchowego aplauzu. Billy baranieje, potem zastanawia się, czy tamci nie zrozumieli, o co mu chodziło, zaraz zresztą jest pewny, że nie zrozumieli, ale zbyt mało ma zaufania do własnej komunikatywności, by próbować wbić im w uszy jakiegokolwiek wyjaśnienia. Są szczęśliwi, no to git. Flesze naprawdę walą teraz salwami – jak tyle innych doświadczeń z jego dziewiętnastoletniego żywota, to także stało się głównie czymś, co po prostu trzeba przetrzymać. W końcu brawa cichną i pada pytanie, czy będzie myślał o swoim przyjacielu, sierżancie Breemie, gdy rozbrzmi dziś hymn, na co Billy odpowiada twierdząco, żeby tylko utrzymać pozytywny ton i nie wpuszczać się w maliny, *Tak jest, na pewno*, co brzmi mu plugawie, aż zaczyna się zastanawiać, jak to się dzieje, że niemal każda rozmowa o wojnie zdaje się kłaść te kwestie ostateczne, jakimi są życie i śmierć. Jakbyśmy potrzebowali jakiegoś innego trybu mowy, by godnie poruszać te tematy, czegoś niemal równorzędnego modlitwie, bo w przeciwnym razie nic, tylko ryj, morda w kubek i nie bulgotać, bo cisza jest godziwszą reakcją na takie doznanie niż spazmy pod gwiazdzistym sztandarem, słodko-gorzkie łkanie, odkupienie przez uścisk czy wreszcie całe to jebane pożegnanie, o którym wszyscy wiecznie smęca, cokolwiek by to było. Chcieliby mieć z tym łatwo, ale się nie da i już.

– Na pewno wszyscy będziemy go wspominali – dodaje, ostatnia perełka na wielkim, parującym sentymentalizmem stolcu. A najbardziej wkurwia fakt, że będzie myślał o Grzybasie. A hymn kocha tak samo jak każdy.

A kto dziś wygra?

– Cowboys! – drze się Sykes, czirliderki krzyczą z aprobatą, a Norm, z mistrzowskim wyczuciem emocji i sytuacji, wstaje i ogłasza zakończenie konferencji prasowej.

Niedoseks dla Jezusa

Następnego dnia na pierwszej stronie „Dallas Morning News” znajdzie się zdjęcie A-borta w ogromnym zbliżeniu, z tego młyna po konferencji prasowej, jak mówi do całego snopka mikrofonów, a wokół niego drapuje się trio czirliderek. „Cowboys przyjęli bohaterów Ameryki”, głosi podpis, a niżej: „Specjalista Brandon Hebert z drużyny Bravo podczas wczorajszego wywiadu na Texas Stadium. Specjalista Hebert wraz z resztą drużyny zawitał do Dallas na zakończenie tournée po kraju, celebrującego ich zwycięstwo. Cowboys przegrali mecz 31 : 7”.

Billy zauważy w tej wiadomości kilka interesujących elementów, z których pierwszym i najważniejszym jest przekręcone imię A-borta, przez co dla kumpli z Bravo już na zawsze pozostanie on „Brandonem”. Czy raczej *Bran-dooonem*, bo wiecznie będą to wymawiać z taką podkurwioną surowością, jak praktykantka na lekcjach, na przykład: Tym razem na wyjeździe to *Bran-dooon* będzie na wukaemie. *Bran-dooon* wchodzi pierwszy, kiedy Crack wysadzi drzwi. *Bran-dooon* zawadził o jakieś kable w nowym boksie prysznicowym i tak go wytrzepało, że się posrał. Billy spostrzeże też, że o ile A-bort jest na zdjęciu w ćwierćprofilu, bo stoi zwrócony do wykadrowanych dziennikarzy trzymających te mikrofony, o tyle czirliderki uśmiechają się prosto do obiektywu, w ten prosty sposób sprowadzając żołnierza do roli rekwizytu. A trzecie, co rzuca się w oczy, to jaki on jest na tym zdjęciu szczęśliwy. Ma dwadzieścia dwa lata, więc z punktu widzenia Billy’ego jest antykiem, ale dopiero widząc jego ekstatyczny uśmiech na tej fotografii, zapamiętała, chłopięcą przyjemność, jakiej w tamtej chwili doznawał, Billy pojmie, że jego kumpel z drużyny to tak właściwie wciąż dzieciak, koleś, który w kółko czyta powieści o Harrym Potterze, a kiedyś wysłał „list” do swojego psa w kraju – szmatę, którą przez kilka dni nosił pod pachą.

To zdjęcie wzbudzi w Billym niepokój. W twarzy A-borta będzie widział zbyt wiele ufności, zbyt wiele ślepej, naiwnej wiary w to, że urodzenie się w Ameryce w określonym czasie jest błogosławieństwem samo w sobie, ale kiedy robiono tę fotografię, sam miał pełne ręce. Wygląda na to, że wszystkim czirliderek ściśle wyznaczono zadania, bo schodząc ze sceny, każdy z osobna Bravo został przejęty przez trójkę dziewczyn, i jest to chwila o mocy boskiej interwencji, choć może treścią nie dostaje. Billy’emu nieśmiałość nie pozwala ich dotknąć, ale nie szkodzi, one same zaraz tulą się do niego, nonszalancko jak siostry. Trochę rozczarowuje go ich nakładany

szpachlą makijaż, uznaje jednak, że to nie problem, przecież są takie śliczne i naprawdę miłe, a jakie wysportowane, Boże drogi, ich ciała są twarde jak wzmocnione stalą opony radialne. *To taki zaszczyt móc cię poznać! Witaj na Texas Stadium! To fantastycznie, jesteście bardzo dumne, że jesteście dziś z nami!* O matko - najjebstsza, nawet kiedy we łbie łupie kac, człowiek czuje się jak nowo narodzony wśród tych dziewczyn, nie, kobiet, tych stworzeń o bujnych, wonnych włosach, tyłeczkach w sam raz pasujących do dłoni i alpejskich rozpadlinach w oszałamiających dekoltach – jakby się tam wpadło, to koniec, przepadł bez wieści.

I to by nie było złe tak tam wpaść, zniknąć w dających ochronę kanionach kobiecego ciała, jakby w odwrotności wniebowzięcia. Ich ciała budzą w nim taką delikatność, niemal nieodparty instynkt, by się wtulać, szturczać nosem, mówić *Kocham cię. Potrzebuję cię. Wyjdź za mnie.* Tak przy okazji, cycki Candace to implanty, nie żeby to komukolwiek przeszkadzało, że z torsu sterczą jej regularne głowice rakietowe, Alicia i Lexis zaś prezentują elastyczniejsze, niepodrabiane stoki. Tak czy siak, wszystkie trzy to olśniewające dziewczyny o ostrych noskach i oślepiająco białych zębach, a ich biszkoptowobrazowe talie to tak wążutkie przesmyki, że Billy ledwie jest w stanie pohamować się od chwytania ich tam tylko po to, żeby się przekonać, jak te godne sylfid kształty leżą w dłoni.

– Jak ci mija dzień, tak na razie? – pyta Candace.

– Fantastycznie – mówi Billy. – Mam nadzieję, że tam, na górze, nie rozgadałem się za bardzo.

– Co?

– Żartujesz chyba!

– Gdzie tam!

– Byłeś świetny – zapewnia go Lexis. – Twoje słowa niesamowicie wszystkich nas poruszyły.

– Nie no, bo czułem się tak trochę dziwnie. Z reguły nie mam tyle do powiedzenia.

– Poradziłeś sobie doskonale – odpowiada stanowczo. – Wierz mi. Mówiłeś zwięźle, konkretnie.

– No i przecież wcale się do tego nie pchałeś – zauważa Alicia. – To oni zadawali ci pytania, nie miałeś wyboru.

– Moim zdaniem, to było już chyba nawet chamskie, przynajmniej niektóre z tych pytań – dodaje Lexis.

– Z mediami trzeba bardzo, bardzo ostrożnie – mówi Candace.

Przez tłum przeciskają się fotografowie i kamerzyści, a za nimi reporterzy, zarząd drużyny, ludzie o trudnych do ustalenia zajęciach. Billy spostrzega, że na obrzeżach niczym rekin kręci się pan Jones, uzbrojony, prawdopodobnie niebezpieczny, a w każdym razie wkurwia go, że musi o typie myśleć. Okazuje się, że czirliderki mają własnego fotografa, łysiejącego faceta o posturze dżokeja i zaczerwienionej twarzy, który biega to tu, to tam, szczeka „Stać!” przed każdym zdjęciem, a na zachwycającą urodę obiektów swej pracy jest tak samo wrażliwy jak rozbieracz tusz w rzeźni. Stać! – zzziiiiitttt, Stać! – zzziiiiitttt, migawka otwiera się spazmatycznie, jakby emerytowi puszczał zwieracz. Między kolejnymi ujęciami dziewczyny opowiadają Billy’emu o wyjeździe z programem dla wojska, który zaliczyły tej wiosny. Miały pokazy w Bagdadzie, Mosulu, Kirkuku i dalej, był też wypad do Ramadi, tylko dla ochotniczek, bo tam black hawk mógłby zostać ostrzelany.

– Nie mam pojęcia, jak wy tam sobie radzicie – mówi Alicia. – Życie tam musi być strasznie ciężkie, rany, przecież tak tam sucho, ten wiatr i piach, i w ogóle. A ci ludzie, znaczy, Irakijczycy, te ich domy? Tyle tych chat z gliny, przecież w czymś takim mógł mieszkać Pan Jezus.

– Wasza służba o wiele więcej dla nas znaczy, od kiedy tam byliśmy – zwierza mu się Lexis. – Znacznie bardziej doceniamy wasze dokonania.

– Jedzenie było całkiem niezłe – mówi Candace – wasze żarcie. Te gotowe posiłki musiałyśmy jeść tylko parę razy.

– Tyle w nich węglowodanów – dodaje Lexis.

– Słowo daję, od kiedy wróciłyśmy, tak? Za każdym razem, gdy słyszę hymn, to płaczę – wyznaje Alicia.

Billy miał nadzieję, że spiknie się ze swoją rudoblond czirliderką, ale wie, że powinien być wdzięczny losowi już za to, co ma, trzy piękne, dorodne czirliderki Dallas Cowboys. Są takie słodkie, tak nieskazitelnie prześliczne. Tak wspaniale pachną. Kiedy dowiadują się, że jest z Teksasu tak jak i one, aż krzyczą i przybijają mu piątki. Ich cudowne piersi wciąż szturchają go w ramiona, odpalając w mózgu Billy’ego takie klaksony, jakby właśnie nabił w grze wideo tonę ekstra punktów. Kiedy tylko zbliża się ktoś z mediów, dziewczyny wtykają kciuki za paski szortów i stoją tak, apetycznie wypinając biodro, jakby rzucały dziennikarzom wyzwanie: spróbujcie tylko być dla Billy’ego nieprzyjemni! A mediowi, przynajmniej faceci, nie potrafią poradzić sobie z tym tak po prostu, muszą serwować kpiące uśmiechy, popatrywać z ukosa, zagadywać ironicznie. *Aha, jasne, wodzu, pewnie, że cię widzimy*, brzmi ich niewypowiedziany komunikat dla Billy’ego. *Gwiazda estrady i co tylko chcieć*,

pierdolone wielkie mi co. Patrząc na siebie oczyma mediowych, Billy rozumie, że te czirliderki niemalże robią zeń coś absurdalnego, choćby przez ten alfonsiacki nadmiar: jedna czy dwie piękne dziewczyny, no dobra, ale *trzy*? Świetnie zdaje sobie sprawę z tego, że to wszystko lipa, oni też na pewno wiedzą, że on to wie, więc może ta udawana wzgarda to ich sposób na to, żeby dorównać mu długością siusiaka?

Ta sytuacja zaczyna go drażnić. Reporterzy rzucają mu na rybkę kilka pytań, czysto *pro forma*. Czy uprawiał jakiś sport w liceum? Czy jest kibicem Cowboys? Jakie to uczucie spędzić w domu tegoroczne Święto Dziękczynienia?

– Cóż, technicznie rzecz biorąc – wytyka – nie jestem w domu. Jestem tutaj, z wami.

Nie muszą nawet notować, każde jego słowo po prostu zasysają do zgrabnych, niedużych gadżetów do nagrywania, które wyglądają jak batony energetyczne. Wystarczy samo to, że tu stoją, żeby go potwornie irytowali, ta banda białych facetów w średnim wieku, przeważnie z wielkimi dupskami, ubranych w nudne jak wszyscy diabli mniej formalne garniaki, taka smętna zbieranina cywilnego białka, że chuj wiednie, aż przez chwilę Billy autentycznie się cieszy, że istnieje także wojna, a tak, do diabła, o ileż lepiej jest tam, gdzie można strzelać i rozpierdalać co popadnie, a nie snuć się tutaj jak statysta w kiepskim sitcomie. Wojna to syf straszliwy, każdy to wie, ale takie pokojowe życie w letniej temperaturze niespecjalnie go kręci.

Wśród tłumu zauważa swoją czirliderkę, która dostała przydział – fuj! – do Sykesa. Ta mozolna procedura naprawdę zaczyna działać mu na nerwy. Dziewczyna zauważa, że na nią patrzy, i przesyła mu najwyraźniej gorący i szczery uśmiech, po czym przechyla głowę, jakby zatroskana czy zdziwiona. Mięśnie jego brzucha kurczą się spazmatycznie, jak gdyby dostał pięścią.

Kiedy mediowi wreszcie odchodzą, Billy obraca się do Lexis i pyta:

– Czy czirliderkom wolno mieć chłopaka?

Ta śmieje się bez entuzjazmu, dziewczyny popatrują po sobie. O Jezuu, myślą, że chce je poderwać.

– No, tak – odpowiada, bardzo sucho i oficjalnie. – Nie ma zakazu, a w zespole zawsze znajdują się także zamężne dziewczyny. Ani ja, ani Candace czy Al nie mamy mężów, ale każda z nas ma stałego chłopaka.

Billy kiwa głową, potakuje jak opętany, aha, aha, no oczywiście, że tak!

– Tak tylko pytałem, no, rozumiecie, em, z ciekawości.

Dziewczyny znów spoglądają po sobie. *Tak, jasne.* Billy usiłuje wykombinować jakiś uprzejmy sposób, żeby wyjaśnić im, że to akurat zupełnie nie o żadną z nich trzech

mu chodzi, ale zanim przyjdzie mu do głowy taki patent, wzywa go do siebie Josh. Czas na teatrzyk. Mediowi chcą mieć sesję zdjęciową, Norm wśród Bravo. Robią miejsce przed sceną, odsuwają krzesła, gromadzą ludzi. Jeden z małych wnuczków Norma śmiga wokół, bawi się z czirliderkami w berka, a w spodniach pręży mu się krzepki, acz malutki, sztywny penis. Kiedy wszyscy ustawiają się na miejscach, jeden z reporterów pyta Norma o ewentualne plany dotyczące budowy nowego stadionu. Jego koledzy po fachu wnoszą chórkami takie raczej kpiące *ohoho*.

– Cóż, oczywiście jest, że nasz obiekt trochę się już starzeje – odpowiada Norm. – Jednak Texas Stadium jest dla Cowboys cudownym domem. Nie wydaje mi się, żeby ten stan rzeczy miał się w najbliższym czasie zmienić.

– Ale? – podpuszcza go reporter, prowokując śmieszki. Norm się uśmiecha. Odpowiada mu zgrywanie frajera w tym skeczu.

– Ale dla długoterminowego dobrobytu naszego klubu sądzę, że będziemy musieli to rozważyć.

– Niektórzy członkowie rady miejskiej w Irving podejrzewają, że już to rozważacie. Mówią, że to dlatego obcięliście budżet na utrzymanie stadionu o siedemnaście procent.

– Nie, bynajmniej. Po prostu w ramach normalnej kontroli działalności biznesowej znaleźliśmy kilka miejsc, gdzie dało się obciąć koszty. Naszym zamiarem absolutnie jest utrzymanie Texas Stadium jako pierwszorzędnej obiektu.

– Czy są jakieś szanse, żeby klub wrócił do Dallas?

Norm tylko uśmiecha się do obiektywów, migawki trzaskają, jakby papużki łupały ziarenka. Paru mediowych wciąż drąży temat stadionu, ale Norm ich ignoruje. Billy zaczyna wyczuwać, jak tutaj układają się siły, jak wyglądałby zapis mocy: coś jakby prezes wielkiej korporacji kontra kostka odświeżacza w pisuarze, na którą wielki człowiek spogląda z namysłem, po czym zlewa ją potężnym strumieniem prosto ze swego wnętrza. Zadaniem Norma jest maksymalizacja wartości marki Cowboys, a praca mediowych polega na łykaniu każdej kropli, każdej strużki pijaru, którą on im podeśle. Jako rozumne istoty ludzkie, obdarzone świadomością i wolną wolą, naturalnie są oni urażeni takim traktowaniem – zapewne wyjaśnia to ich kwaśne humory, karmiczną stęchliznę, która bije od nich jak od kosza na ręczniki na siłce. Jutro, czytając gazetę, Billy zdziwi się, dlaczego o tym nie napisali: o tym, że dziennikarze, jakkolwiek niechętnie, zgodnie z poleceniem zebrali się, by niczym stenografowie zarejestrować zaaranżowany przez Norma występ drużyny Bravo, beczelnie schematyczny numer marketingowy, który nikogo nie wyedukował, niczego

nie wyjawiał, nie posłużył żadnemu wymiernemu celowi poza podbiciem publicznej świadomości marki Cowboys.

Czyżby więc o ściemie jako elemencie tego wszystkiego nie warto było pisać? Bo nie ma nic, ani słowa, ani mru-mru, nikt z prasy nawet nie pisał o tym, jak gruntownie zostali wykorzystani, nie zająknął się o uczuciach żywionych osobiście wobec Norma, które – sądząc z mowy ciała – Billy odczytywał jako mieszankę pół na pół niechęci i lęku. Norm, gdyby tylko zechciał, mógłby pewnie każdemu z nich załatwić zwolnienie z roboty. Gdyby miał taką chęć, mógłby zapewne zlecić ich zabicie. Zapewne. Billy zauważa, że pan Jones jest niedaleko, omawia wynik z paroma innymi typami w gajerach. To co, Cowboys o cztery punkty? Czy może o trzy? I rechoczą, jak faceci wymieniający się uwagami o babce, którą wszyscy posiadli, a Billy najchętniej podszedłby do nich, tłukł i patrzył, czy równo puchną. Nie wie nawet, czemu czuje takie obrzydzenie, ale tak jest, może to pistolet pana Jonesa tak go nakręca, ta bezczelność, która się z nim wiąże, ignorancja, czysty, kurwa, *egotyzm* obnoszenia się z narzędziem zabijania. Bo co, facet, co ty wiesz? Chcesz zobaczyć, jak może wyglądać zabijanie? Bravo mogą ci pokazać, w temacie zabijania Bravo umieją takie rzeczy, że nie uwierzysz, takie, po których mózg ci wyjdzie uszami, będziesz żałował, żeś wylazł matce spomiędzy nóg.

Gdy sesja fotograficzna dobiega końca, Billy uznaje, że przyda mu się chwilka na osobności. Ustawia się plecami do ściany, zaraz na lewo od sceny, gdzie zakrzywiający się do wewnątrz łuk kulis skrywa go przed większością obecnych na sali. Billy staje na spocznij i zaczyna pracę nad uspokojeniem oddechu. Zauważa go paru mediowych, i już do niego idą. No kurwa. A, do diabła z tym. Billy bierze się w garść.

– Hej.

– Cześć.

– Jak tam.

Przedstawiają mu się. Billy już dawno odpuścił sobie zapamiętywanie nazwisk. Przez chwilę rozmawiają, żeby się nagrało, ale potem jeden pyta, czy Billy nie myślał czasem o napisaniu książki o swoich przeżyciach w Iraku. Billy śmieje się, patrzy na niego tak w sensie: *Człowieku!*

– Wielu żołnierzy tak robi – mówi tamten – teraz jest na to rynek. Miałbyś szansę pokazać ludziom swoje dzieje, a i zarobić. Paul i ja moglibyśmy ci w tym pomóc, murzynowaliśmy już przy paru książkach. Chętnie popracowalibyśmy z tobą przy takim projekcie.

Billy szura nogą.

– W życiu nawet nie wyobrażałem sobie, że miałbym napisać książkę. Prawie w ogóle nie czytałem, zanim wstąpiłem do wojska, a tam kumpel zaczął mi podsuwać różne rzeczy.

Co takiego, zaciekawili się mediowi.

– No, dobra. Naprawdę chcecie wiedzieć? *Hobbit*. Kerouac, *W drodze*. Albo taka książka, *Flashman at the Charge*, autentycznie boki zrywać. Czemu w szkole nie przerabia się takich rzeczy? Wtedy może ludzie wzięliby się jednak do czytania. Co jeszcze... *Hell's Angels* Huntera S. Thompsona. I *Lęk i odraza w Las Vegas*. *Rzeźnia numer pięć*, *Kocia kołyska*. *Park Gorkiego* i jeszcze jedna z tym samym typem, tym Ruskiem. – Wszystkie te książki dostał od Grzybasa.

– I co sądzisz o książkach Thompsona?

– Nabrałem przez nie chęci, żeby dać sobie w żyłę – mówi Billy i śmieje się, żeby wiedzieli, że żartuje. – Nie, serio, trzeba by chyba stwierdzić, że facet był kompletnie stuknięty, ale to był taki logiczny obłęd, znaczy, jakby zupełnie normalna reakcja na sytuację, w które sam się pakował. Choć czemu ktoś miałby odpier... znaczy, robić niektóre rzeczy, które się jemu zdarzały... Założę się, że miałby parę ciekawych rzeczy do powiedzenia o Iraku, znaczy, gdyby się tam wybrał, gdyby mógł zobaczyć ten kraj tak, jak go widzą żołnierze. Nie mówię, że podoba mi się jego styl życia czy coś. Po prostu lubię jego pisarstwo.

– Powiedziałbyś, że wśród żołnierzy w Iraku narkotyki stanowią duży problem?

– O tym nic nie wiem. Mam dopiero dziewiętnaście lat. Nawet piwa nie mogę się napić!

– Możesz głosować, zginąć za swój kraj, ale nie wolno ci wejść do baru i zamówić piwa.

– Można by to tak ująć.

– I co o tym sądzisz?

Billy robi sobie chwilę zastanowienia:

– Chyba tak jest lepiej.

Mediowi znów wracają do pomysłu z pisaniem książki. Billy uświadamia sobie, że po prawej ma emanujący gorącym obiekt – zerka w bok i widzi, że to ona, cierpliwie stojąca przy nim. Tętno rusza galopem jak gazela, o Boże o Boże o Boże o kurwa kurwa kurwa kurwa, a mediowi klepią swoje o rynkach, umowach, agentach, wydawnictwach, Bóg wie czym jeszcze. Podaje im swój adres mailowy, żeby wreszcie zostawili go w spokoju, a kiedy w końcu spływają, obraca się do niej. A ona patrzy na

niego, uporczywie, wyraźnie czegoś się spodziewa. Jakimś cudem udaje mu się trzeźwo zmierzyć ją spojrzeniem od stóp do głów, nie jak jakiś zboczek, raczej jakby przyjaciel z dzieciństwa spotkał cudowną, dorosłą wersję koślawonogiej, chudorękiej, upačkanej trawą dziewczynki, z którą ganiał się po boisku w pierwszej klasie.

– To co, napiszesz książkę?

– Nie – prycha i oboje się śmieją. Nagle Billy prawie w ogóle nie czuje zdenerwowania. – Nie marzniesz tam na boisku, kiedy tańczysz w takim stroju?

– Mamy tyle ruchu, że prawie nigdy nie ma z tym problemu, choć powiem ci, że w zeszłym tygodniu, w Green Bay, myślałam już, że odmrozę sobie... no, wiesz co. Kiedy jest naprawdę mróz, mamy jeszcze kurtki, ale na boisko prawie nigdy się ich nie zakłada. Jestem – co ona powiedziała, wazon? Przekłada pompony do jednej dłoni, podaje mu drugą.

– Mogłabyś powtórzyć?

Śmieje się.

– Faison. F-a-i-s-o-n. Wiem, kim jesteś: Billy Lynn ze Stovall. Moja babcia była Miss Stovall w trzydziestym siódmym roku, co ty na to? – Śmieje się swobodnie, gardłowym trylem gdzieś z głębi piersi. – Wszyscy mówili, że miała wtedy wielkie szanse na tytuł Miss Teksasu. Zebrała się grupa miejscowych biznesmenów, zafundowali jej stroje, lekcje dykcji, pokrywali koszty podróży, naprawdę zależało im na takim sukcesie dla miasta. Wtedy Stovall to było coś, tyle tam pompowali ropy.

– I jak jej poszło?

Faison kręci głową.

– Druga wice. Wszyscy mówili, że powinna była wygrać, ale wynik był ustawiony. Wiesz, jak jest z tymi konkursami piękności.

A Billy, taki doświadczony w temacie wyborów miss, poważnie przytakuje. Jak na razie nikt im nie przeszkadza.

– Teraz każdy ci powie, że Stovall to dziura.

– Też tak słyszałam. Ostatni raz byłam tam jeszcze za dzieciaka, ale kiedy usłyszałam, że w Bravo jest jeden chłopak ze Stovall, pomyślałam sobie, O kurczę, Stovall! Czułam się tak, jakbym już cię trochę jakby poznała, no bo rozumiesz, Stovall, co nie? Tyle innych miejsc, gdzie mogłeś się urodzić! Śmieszna sprawa, naprawdę.

Faison mówi mu, że pochodzi z Flower Mound, pracuje na pół etatu jako recepcjonistka w kancelarii prawniczej, sama opłaca studia zaoczne na Uniwersytecie

Północnego Teksasu: jeszcze tylko sześć kredytów i będzie licencjat z dziennikarstwa telewizyjnego. Billy szacuje, że Faison ma dwadzieścia dwa, może dwadzieścia trzy lata: zgrabna, pełna krzywizn, nie za wysoka, z zadartym, ciekawskim noskiem, o zielonych oczach usianych bursztynowymi i złotymi cętkami, a dekolt ma z tych, przez które faceci płaczą. Akurat w tej chwili mówi Billy'emu, jak wiele znaczyły dla niej jego wypowiedzi podczas konferencji prasowej, ale on praktycznie jej nie słyszy, tak pochłaniają go piękne kształty, w które układają się jej usta, gdy Faison wypowiada kolejne słowa

świadek

niosąc

świadectwo

fioje

słowa

czyny

działania

akt po-śfien-cenia

wol-ność

najbardziej wolny naród świata

naszy wartości

i

naszy sposób życia

naszy

sposób

i...

nasze

życie

– Byłeś taki elokwentny, tam na scenie, aż niewiarygodne.

– No, nie wiem.

– Ale nie, serio, naprawdę! Mówiłeś prosto i konkretnie, a to jest moc, mało kto potrafi mówić o takich sprawach. Znaczy, rozumiesz, śmierć, i to śmierć przyjaciela?

A ty byłeś tam przy nim? Na pewno niełatwo mówić o takich sprawach do pełnej sali obcych ludzi.

Billy pochyła głowę.

– Fakt, trochę to dziwne. I nagrody za najgorszy dzień życia.

– W głowie mi się nie mieści! Ilu ludzi po prostu by siadło i nie wiedziało, co zrobić!

– A bycie czirliderką, jak to jest?

– Super, wiesz? Mnóstwo roboty, ale ja to kocham, choć pracy jest dużo więcej, niż się ludziom wydaje. Widzą nas w telewizji i myślą, że to już wszystko, że tylko stroimy się na mecze, tańczymy, bawimy się, ale to tak naprawdę tylko ułamek tego, co robimy.

– Serio? – mówi Billy zachęcająco. Czuje się w duchu lekki, odświeżony, wręcz fizycznie pełen nadziei. Kiedy rozmawia z tą piękną dziewczyną, uświadamia sobie, jak ogromnie ceni własne, przeciętne życie.

– Aha, tak naprawdę główna część naszej pracy to działalność dla społeczności. Mnóstwo wyjazdów do szpitali, masa spotkań z dziećmi z wykluczonych środowisk, występy charytatywne, takie rzeczy. Na przykład teraz, przed świętami, tak? W tygodniu robimy cztery do pięciu występów dla dzieci, do tego ćwiczenia i mecze. Ale nie narzekam. Cieszę się z każdej chwili.

– A byłeś na tym wyjeździe do żołnierzy w Iraku na wiosnę?

– O rany, NIE, a tak CHĘTNIE bym pojechała, jak Boga kocham, ale dopiero w lecie przyjęli mnie do ekipy. Słuchaj, WSZYSTKO bym zrobiła, żeby się załapać na taki wyjazd, następnym razem będę w tym samolocie, choćby nie wiem co. Te dziewczyny, co tam poleciały, co nie? Wróciły takie ubogacone, i właśnie o to chodzi w służbie, ludzie mówią „Ojej, jakie jesteście dobre, takie ofiarne”, ale tak naprawdę to działa zupełnie w drugą stronę, tyle z tego czerpiemy. Dla mnie to właśnie jest najbardziej satysfakcjonujące w byciu czirliderką: służyć innym. Aspekt duchowy. Jakby to był kolejny etap tej podróży, tej wyprawy. – Zawiesza głos, wpatruje się w oczy Billy’ego przez długą chwilę, tak bacznie, i tuż przed tym, jak znów się odezwie, on już wie, co usłyszy.

– Billy, jesteś wierzący?

Billy odkasłuje w pięść, umyka spojrzeniem. To szczere zmieszanie, on po prostu rzadko je okazuje.

– Poszukujący – mówi w końcu, sięgając do repertuaru chrześcijańskich słów wytrychów, bogatego dzięki temu, że dorastał w małej mieścinie w Teksasie.

– A modlisz się? – Faison stała się łagodniejsza w obejściu, bardziej współczująca.

– Czasami. Pewnie mniej, niż powinienem. Ale widzieliśmy w Iraku takie rzeczy, szczególnie kiedy to małe dzieci... Po czymś takim niełatwo się modlić.

Może i sadyści sądzą, że aż strach, co z tego. Jak na razie czujniki nie wskazują, by choć raz skłamał.

– Zostałeś doświadczony na tyle sposobów, wiem. Ale bardzo często tak to właśnie jest, w życiu przychodzi tyle mroku, aż myślisz, że nie ma już w tobie światła. Ale jest, zawsze jest. Jeśli tylko zostawimy choćby szparkę w drzwiach, światło wleje się przez nią. – Faison uśmiecha się, pochyla głowę, wydaje z siebie nieśmiały śmieszek. – Wiesz, kiedy tak na siebie patrzyliśmy tam podczas konferencji, co nie? Myślałam sobie, no kurczę, tylu tu ludzi, czemu on wciąż spogląda na mnie, a ja wciąż patrzę na niego? Znaczący, jesteś przystojniak i w ogóle, masz śliczne oczy... – Chichocze, ale zaraz powaga wraca na plac boju. – Teraz jednak już chyba wiem dlaczego, naprawdę. Myślę, że Bóg chciał, żebyśmy się dziś spotkali.

Billy wzdycha, jego powieki trzepoczą, głowa odchyła się do tyłu i uderza w mur z dyskretnym *puk*. Kto wie, może i ona wcale nie kłamie.

– Wszyscy jesteśmy wezwani, by być Jego światłością w świecie – ciągnie Faison, muskając pomponem jego ramię, a kiedy jej opowieść o tym, jak nawiązała osobisty związek z Chrystusem, dobija już do trzydziestej sekundy, Billy bez słowa, powoli, stanowczo sięga pod pompon i ujmuje ją za dłoń. Bo i czemu nie. Bo jest wzruszony. Bo za dwa dni wróci do syfu i w porównaniu z tym, cokolwiek się zdarzy, nie będzie przykre. Faison nawet się nie zająknęła, co więcej, kolejne słowa wypowiada coraz szybciej. Jej mostek unosi się, wypina; palące rumieńce w barwach śliwki węgierki lub rozżarzonych węgli wychodzą na jej twarz i okolice szyi. Jej źrenice rozwierają się dwukrotnie szerzej niż dotychczas, a słowa falują, rwą się nieco od niegłośnych, płytkich sapnięć, jakby właśnie truchtem pokonała pięć pięter po schodach.

Bóg

po-Boż-ni

Jego

i

światłość ducha

Żydzi

ci Żydzi

Jeruzalem

od Jordanu

aż do morza

koi i goi

dobroć i światłość

oddał za nas życie

jego *nieposłuszny i przeniwierzcy*

lud

umarł

umarł za nas

umarł

O

mój

Boże

Billy cofa się, pociągając ją za sobą. Jeden, dwa, trzy kroczki i już są zakamuflowani w ciasnej, cienistej wnęce za wysuniętym skrajem kulis, tak że ktoś, kto chciałby ich zauważyć, musiałby się ustawić przy samiutkiej ścianie. Billy obraca się na pięcie, plecy Faison przywierają do ściany, i teraz nie jest jej do gadania. Jej twarz jest obrzmiała, obwisła, policzki i wargi nagle odęte, zuchwa znienacka opadła luźno, jakby pod wielkim ciężarem. Faison mogłaby właśnie zasypiać, tak bardzo jest uległa, a Billy pochyla się ku niej ze świadomością, że półtora miesiąca temu taki manewr nawet nie przyszedłby mu do głowy, a co dopiero myśleć o jego wdrożeniu. Trzy tygodnie temu – to samo, trzy dni temu – jak wyżej, więc najwyraźniej coś mu się przydarzyło. Billy przez cały skłon nie opuszcza powiek, a oczy Faison w końcu zlewają mu się w jedną olśniewającą kulę, jak na zdjęciu Ziemi widzianej z kosmosu. Ten pierwszy pocałunek jest jak otwarcie zaworu bezpieczeństwa, jakby dotyk warg przebił jakiś balon. Billy odrywa się, odkrywa rozkosz umiarkowania. Wpatrują się w siebie, dzieli ich może dziesięć centymetrów. Faison wydaje się naćpana, odleciana, po chwili jednak unosi usta i znów się całują. Chciałby jej powiedzieć, jak cudowne są jej wargi, nigdy nie dotykał czegoś tak delikatnego. *Wiesz, że, chciałby powiedzieć, ale*

narząd mowy ma zajęty czym innym, kiedy tak niespiesznie stoją w zwarciu, usta w upojeniu badają nawzajem swoje tkanki miękkie, aż tu nagle jakby wypalił pistolet startowy, bo biorą się do siebie jak parka licealnych drugoklasistów pod trybunami szkolnego boiska w bardzo energicznej sesji pocałunków, której celem jest chyba wepchnięcie się, autentyczne wciśnięcie się całym ciałem w gardło partnera.

– To obłęd – szepcze Faison, kiedy przerywają, by nałapać się powietrza. – Mogą mnie za to wywalić z zespołu. – I zaraz znów się do siebie biorą i jak długo to trwa, Billy nie pragnie niczego więcej.

– Co takiego w tobie jest? – mruży Faison przy następnej przerwie na tlen. – Co się ze mną dzieje? – Kiedy znów ich wargi się stykają, miednica Billy’ego opada i po łuku napiera na Faison, niczym łyżka wchodząca w lekko rozmrożone lody, czysty odruch motoryczny z nasady mózgu. Billy zaraz się wycofuje.

– Sorry.

– Nic się nie stało. – Faison obserwuje go przez chwilę, po czym jej wzrok traci ostrość, a pewne osunięcie, czy może przesunięcie, w okolicy lędźwiowej daje znać, że znów wolno mu napierać. *Witaj w domu*, myśli, kiedy krocze posuwa się naprzód, i ma wrażenie, że esencja Faison zdaje się rozstępować przed nim, opływa go. Oboje drżą. Tak strasznie trudno nie wydawać żadnych dźwięków. Po drugiej stronie kulis rozmawiają ludzie, toczą swoje kretyńskie życie. Faison wydaje się bliska łez, kiedy chwytą go za kłapy i opasuje go w pasie nogami, wciąż w kowbojkach i w ogóle. Billy chwytą ją od spodu, jej zgrabny tyłeczek idealnie leży mu w dłoniach – wizualizuje to sobie w myślach, ręce pełne bajecznej dupy w miniszortach, i w ogniu buchających feromonów dociera do niego: *Ja jebię, mam macanie z czirliderką Dallas Cowboys!* Tymczasem Faison daje naprzód, jej biodra falują, dyszy mu w twarz kościelnym hymnem, ale tego dnia Billy pozwoli sobie uwierzyć, że jest wyjątkowy, bo ona szczytuje po może dziesięciu pchnięciach, potężnie zaciskając uda, wypychając tors w górę i w tył, głęboko w piersi dusząc delfini wizg. To ostatnie szarpnięcie jej bioder niemalże łamie mu kręgosłup, a przynajmniej tak czuje się Billy, kiedy stara się utrzymać na nogach, choć w płucach nie ma już wcale powietrza, a kręgi trzeszczą mu jak folia bąbelkowa. Zaraz jest jednak po wszystkim, ot, parę spóźnionych dreszczy. Niczym rozbitek ze statku, wypełzający na brzeg, Faison najpierw opuszcza jedną nogę, potem drugą. Jej buty dotykają podłogi. Osuwa się na niego.

– Wszystko w porządku?

Faison mamrocze coś, po czym zerka w bok, czy nikt ich nie widział.

– Mój Boże – mruczy, po czym jak dziecko myślące o niebieskich migdałach unosi dłoń i od niechcienia pociąga za jego Srebrną Gwiazdę. Kiedy odsuwa się i unosi ku niemu głowę, oczy błyszczą jej od łez. – Jeszcze nigdy z nikim nie poszłam tak szybko – szepcze. – Ale to nic złego. Wiem, że to nic złego.

Billy kręci głową, która i tak samowolnie skłania się ku niej.

– Nic złego – mruczy w jej włosy.

– To po prostu ty, coś w tobie. Może to wojna. – Dziewczyna łapie go za krótkie włoski na karku i przytrzymuje, żeby móc spojrzeć mu w oczy. – Ile masz lat?

– Dwadzieścia jeden.

Zmusza się, by nie uciec przed jej spojrzeniem. Po sekundzie, może dwóch bola go już siatkówki.

– Masz starą duszę.

Billy kojarzy to chyba z jakiegoś filmu, ale nie narzeka. Może jest w tym nawet jakaś prawda, może czas w Iraku liczy się jak lata u psów. Przyciąga Faison do siebie, a ona zaraz osuwa się na jego tors.

– Lepiej już chodźmy – mruczy.

– Jesteś niesamowita.

Faison wzdycha. Ani on, ani ona nie ruszają się z miejsca. Głosy się oddalają, kierują w głąb sali. Wzwód Billy'ego pręży się, aż boli, ale najwyraźniej nie da się z tym nic zrobić.

– Będę z tobą szczerą – szepcze Faison. – Nie jestem dziewicą. Miałam już trzech chłopaków, ale to wszystko były poważne związki. Nie traktuję seksu rozrywkowo, chcę, żebyś o tym wiedział.

Billy potakuje, opuszcza głowę, żeby powąchać jej kark. Pod kwiatowymi woniami perfum i mydła wykrywa gęsty zapach roślinnych korzeni, coś jak tłuczone słodkie ziemniaki. To jej zapach. Nie pamięta, żeby kiedykolwiek w życiu czuł się taki szczęśliwy.

– Dla mnie to naprawdę poważna sprawa – szepcze Faison. – Intymność z drugą osobą.

– Dla mnie też – mruczy w jej szyć Billy prawiczek.

– No ale jeśli komuś naprawdę na kimś zależy, jeśli mu się ufa, wie się, że to odwzajemnione, to myślę, że taka cielesna intymność jest w porządku. Tyle że to wymaga czasu, rozumiesz? Żeby dojść do takiego zaufania. To nie jest kwestia randki

czy dwóch, czy paru tygodni, tu trzeba czasu, autentycznego poświęcenia się dla dobra drugiej osoby. Na przykład jak dla mnie, na tym etapie życia, który osiągnęłam, muszę być z chłopakiem co najmniej przez trzy miesiące, zanim dojdę do takiego poziomu zaufania.

Wydaje się, że to straszne mnóstwo danych, ale Billy'emu to nie przeszkadza. Wie, co by powiedzieli inni Bravo: chodź, poruchamy się teraz, będę ci te trzy miesiące winien.

– Nie ma sprawy – szepcze. – Ale strasznie chciałbym się z tobą spotkać, kiedy wrócę.

Faison unosi głowę.

– Skąd masz wrócić?

– No, z Iraku. Musimy dokończyć turę.

– Że... co? – wciąż jeszcze szeptem, ale już prawie nie. – Wy tam wracacie? Ale nikt nic nie mówił, chwila, wszyscy po prostu myśleli, o Boże, że dla was to już koniec. O mój Boże. Kiedy lecicie?

– W sobotę.

– W sobotę? – krzyczy łamiącym się głosem. Jedną dłonią unosi włosy, jakby chciała je wyrwać, to gest tak pradaawny, że na jego widok Billy'emu miękną kolana. *Tylko kobiety*, myśli – tylko jego matka, siostry, i teraz Faison, w ogóle kiedykolwiek naprawdę okazały, że jest im go żal, więc wdzięczność dla całej płci niewieściej sprawia, że szczypią go oczy. Faison staje na palcach, by ognićcie go pocałować, a wzwód Billy'ego, który zdążył już kimnąć na spocznij, natychmiast pręży się jak strzała.

– Mój Boże – szepcze Faison – gdybyśmy tylko mogli...

– Czirliderki! – szczeka jakaś kobieta z głosem jak kapral od musztry – zbiórka w holu!

– Oj, kurczę, muszę lecieć. – Faison całuje go po raz ostatni, potem tuli w dłoni jego policzek. – Słuchaj...

– Daj mi numer.

– Właśnie mam nowy telefon! – I co z tego??? – Znajdziesz mnie, będę na linii dwudziestu jardów.

Wystawia głowę za krawędź kulis, po czym obraca się do niego.

– Billy – mruczy, próbuje się uśmiechnąć, ale rezygnuje, kiedy spotykają się ich spojrzenia. I już jej nie ma.

Jamie Lee Curtis zrobiła film do dupy

Billy nie ma pojęcia, jak się tu znaleźli. Tego interwału po prostu nie ma, jakby wstrząs mózgu wybił go zupełnie z przepływu czasu, bam, minęło pół godziny, i nagle widzi, że jest na boisku. Bravo, Norm i spółka kręcą się po boisku w pobliżu strefy punktowej, głęboko wewnątrz podkowy stadionu, gdzie wicher ciska tnącymi bryzgami i wirami deszczowych kropel, tu, przy ziemi, rotacja jest jak wewnątrz muszli klozetowej po spuszczeniu wody. Wycinek nieba widoczny nad otwartą kopułą ma barwę i fakturę zmiętej cyny, wygląda jak złowieszczy wrzód w odcieniach zsiniałej sepii i szarości pomij, zapowiada wszelkiego rodzaju pogodowe dolegliwości.

– Będzie śnieg – odzywa się Mango, ich spec od zimowych warunków pogodowych. – Czuję to w kościach. – Nikt jednak nie zwraca na niego uwagi. Ich mała gromadka rozgrzewa się rozmową o filmie. Coś się zdarzyło, domyśla się Billy, kiedy on był zajęty czymś zupełnie innym, tutaj nastąpił pewien rozwój wydarzeń. Wygląda na to, że Howard i Grazer się wypisali. Hanks zdecydowanie odpada, Stone nawet nie wchodził w rachubę, a ludzie Clooneya dokładają wszelkich starań, żeby ani razu nie odebrać, kiedy Albert dzwoni, nagle jednak wśród ruin pojawił się Norman Oglesby i obietnica, czy może raczej potencjał, albo co najmniej nie taka znowu wydumana możliwość zainwestowania konkretnych milionów w produkcję...

– Jest zaintrygowany – tak określa to Albert, przy czym *zaintrygowany* sugerowałoby poziom zainteresowania wyższy niż byle kłapanie jadaczką, ale jeszcze nie taki, żeby rzeczywiście wyklądać gotówkę na stół. – Podoba mu się sam pomysł, lubi też was, chłopaki. Ale to wszystko jeszcze bardzo wczesne.

Wczesne, możliwe, ale Bravo będą w Stanach jeszcze tylko dwa dni, co w labiryntach filmowego biznesu jest okrutnie krótkim lontem. Najpierw musi się zdarzyć coś, żeby mogło zajść coś innego, następnie chyba ze trzydzieści innych rzeczy musi wypalić jednocześnie albo w ściśle określonej kolejności, i to tak, że nic nie ma prawa się wysypać – o ile Billy jest w stanie to rozkminić, cały proces napędzany jest niewiarygodnym słownym nakręcaniem strachu i chciwości. Żeby film zaistniał, trzeba przekonać wszystkich, że zaistnieje, przy czym z początku ich wiarę buduje się na mglistej aranżacji dwulicowości, blagi, wymijających odpowiedzi, rytualnego katechizmu i bezczelnych łgarstw. Innymi słowy, to przewał. Co bynajmniej nie znaczy, że opinia Billy'ego o Albercie się pogorszyła. Wygląda na to, że cały ten proces jest zbudowany z ogromnym marginesem tolerancji na przენiewierstwo:

wszyscy zakładają po prostu, że każdy poza nimi kłamie, aż wreszcie te tony ściemy, którymi się przerzucali, osiągają masę krytyczną i wtedy się kończy. W sensie kłamanie. Doprowadza się do tego, że w końcu zaistnieje swego rodzaju prawda. Billy nie miał jeszcze czasu przemyśleć sobie, czy ten model biznesowy ma jakiś związek z jakością hollywoodzkich wyrobów.

Ktoś tam, czy *ludzie* tego kogoś – Hanksa? Grażera? Swank? – powiedział, że to głównie znaczy (tak naprawdę powiedzieli, że to tyle warte *co pięć centów w dupie goryla*), że historia Bravo zdarzyła się naprawdę, bo *prawda* przy wycenianiu tego interesu *nie stanowi*. Oburzyło to żołnierzy, Albert jednak powiedział im, żeby to olali.

– To buce – dodał. – Nie macie się czym przejmować.

Tyle że jakoś tak się składa, że zawsze to buce pilnują kasy. Akurat w tej chwili Albert stoi na uboczu, wiatr targa jego włosami jak kępą wrzosu, kiedy odbiera telefon. W tej samej odległości, ale po drugiej stronie Bravo Norm także rozmawia przez komórkę.

– Może gadają ze sobą – rzuca A-bort.

Dime tylko kręci głową i kuli się przed zimnem. Zaczyna się garbić. Nudzi się. Energia mu siada. Major Mac zawędrował na linię boczną – stoi tam i wpatruje się w słup bramki, jakby objawiły mu się tam cuda i dziwy.

– Powiedziałem matce, że jej auto kupię – mówi Lodis. – Sto patyków, mamuśka, idziesz do salonu i wybierasz! No to sobie wybrała, a teraz siedzi w domu i duma, gdzie ten pieniądz.

– Słuchajcie – zwraca się do całej drużyny Crack. – Norm siedzi na kasie, co nie? Praktycznie miliarder, tak? Więc jeśli chce zrobić ten film, to zasadniczo musi tylko wypisać czek.

– Nam wypisać po czeku – wtrąca Day. – Weź, to historia o nas.

– No jak nic. I to jak najszybciej, kurwa.

– Tylko wiecie, mnie ma grać Wesley Snipes!

– Twoja stara cię zagra.

– Kurwa skądże, za ładna. Jaleel White go zagra.

– Richard Simmons, jakby go wymalować na czarno.

– Nie, ten czarny karzeł, ten od wrestlingu, Master Blaster.

– No to czemu nie chce wystawić tego czeku? – sklamrzy Crack błagalnie do Dime'a. – W sensie, pisz, chuju, co ty, wojska nie wspierasz? Jak mamy zabrać się do

tego gościa, żeby nam wypłacił?

Cóż – myśli sobie Billy, ale nic nie mówi – *moglibyśmy podejść tam do niego, złapać typa, obrócić do góry nogami i potrząsać, aż by mu ostatnie drobne wypadły z kieszeni*. Dime przez cały ten czas jest zupełnie wyłączony. Klasyczna Dime'owska chandra, nic niezwykłego, kiedy sierżant się nudzi czy spada mu poziom cukru, ale że też przychandrzył akurat teraz, kiedy Billy'emu najbardziej przydałaby się jego porada w temacie: co począć z tym cudem, który właśnie wziął i rozsadził jego życie. Myśli o Faison nakręcają mu mózg, słyszał, że podobnie w sumie działa amfa – strzał z woleja prosto w neurony ośrodków przyjemności, i choć może nie jest to totalny odpał, dziedzina hardkorowych ćpunów, to jednak Billy zdecydowanie czuje rzeczy, nad którymi nie może zapanować. *Facet, ona na ciebie leciała*. Kurwa, lepiej, *ona z tobą ODLECIAŁA*. Nagle zastanawia się, czy to się w ogóle stało naprawdę. Przecież to aż nadto idealne, właśnie takie urojenie wysmażyłby sobie we łbie zdesperowany żołnierz, klasyczny sfrustrowany trep z zespołem ostrego deficytu uwagi, którego życie duchowe i tak składa się głównie z fantazji erotycznych. Tyle że zwątpienie w siebie samego od zawsze wiernie Billy'emu towarzyszy, zwątpienie w siebie i jego kuzyn, karcący głos, ci lojalni druhowie przychodzili z pomocą na każde zawołanie w krytycznych momentach jego życia, a jednak, a jednak... w krzyżu łupie go jak sto diabłów. Jego dłonie i pierś wciąż noszą jej zapach. Pojedyncze rdzawoblond włosy lśnią na rękawach jak sygnały z odległego pasma górskiego. Skoro więc nie ma urojeń i nie zaćpał, to co ma teraz zrobić? W sensie żeby to się ziściło. Żeby było trwałe. Musi skonsultować się z sierżantem jak najprędzej, bo liczy się każda chwila.

– No, chłopaki, wygląda mi to coraz lepiej – odzywa się Sykes. W ich kierunku idzie z sześć czirliderek, ale nie Faison, a do tego Josh z przewieszoną przez ramię torbą sportową. Podchodzi do Bravo, zdejmuje torbę i wysypuje im pod nogi masę piłek.

– Co to takiego?

– Wasze piłki – mówi Josh.

Nasze piłki.

– No właśnie. Chcą, żebyście podczas sesji zdjęciowej trzymali piłki, chłopaki.

Paru Bravo posapuje, ale nikt nic nie mówi. Zerkają na futbolówki, trącają je stopami, patrzą gdzieś w dal, jakby to wszystko zupełnie ich nie dotyczyło. Billy czeka na szansę, by pogadać z Dime'em sam na sam. Czirliderki zbijają się opodal w stadko jak owce, kulą ramiona, zwierają nogi, żeby było cieplej, pompony tulą do piersi jak

ogromne mufki. Bravo posyłają im tęskne spojrzenia, ale nie ma odwážnego, żeby tam podszedł.

– Elo, Josh, a wiadomo coś, co będzie w przerwie?

– Jeszcze nie. Jak tylko czegoś się dowiem, dam wam znać.

– Ale będziesz się o nas troszczył, Josh, co nie? Żebyśmy nie musieli odstawiać jakiejś żenady.

– Ani niczego trudnego.

– No właśnie, niczego trudnego. Żebyśmy nie wyszli w telewizji na kretynów.

– Bez obaw, chłopaki – zapewnia ich Josh. – Myślę, że wszystko będzie super.

Wyjątkowo lodowaty powiew na chwilę zatyka wszystkich.

– Czemu musimy czekać tutaj, na mrozie? – jęczy Lodis.

– Ci z telewizji mówili, że ich ekipa tu będzie – odpowiada Josh.

– Ale nie ma!

– Spoko wodza. Na pewno za minutkę się zjawią.

– Poszczuj na nich Norma.

Wszyscy się obracają, patrzą na Norma.

– A ten z kim tam gada? – pyta Day. Josh marszczy czoło, jakby odpowiedź mogła do niego przyjść, jeśli się odpowiednio skoncentruje, albo przynajmniej będzie dobrze udawał.

– Szczerze mówiąc, nie jestem pewien.

– Ej, to weź idź i sprawdź.

Josh aż trochę się zatacza.

– Przecież nie mogę!

Day spogląda na niego kwaśno, z politowaniem.

– Że co, niby chodzić nie umiesz?

– Nie no, oczywiście, że umiem chodzić.

– No to myknij tam koło niego, co ci mam tłumaczyć. Czy gada o filmie o nas, czy nie, nic więcej nie chcemy wiedzieć. Chyba dasz radę, młody?

– No nie wiem, czy to takie do końca etyczne.

Day prycha. Jeśli idzie o terroryzowanie rozpieszczonych białasków pięknoduchów, bez skrupowania wykorzystuje swój gettowy luz.

– Elo, przecież widzisz, gościu stoi na widoku. W miejscu publicznym, co nie? Jakby to była poufna gadka, poszedłby pod dach, skitrałby się gdzieś.

– Ee, możliwe. Ale co by to w ogóle miało dać?

– Człowieku, no weź, słyszałeś kiedyś o wywiadzie? Wiedza to władza, kurwa, każdy ciul o tym wie! Przejdź obok niego, jakbyś miał tam dalej coś do załatwienia, no halo? Przecież płacą ci za opiekowanie się nami, nie? Nic ci się nie stanie, jak tamtędy przejdiesz. On nawet na ciebie nie patrzy.

Do Daya dołącza reszta Bravo, głównie z nudów: cisną Josha i upraszają go tak długo, że w końcu się zgadza. Z aktorską nonszalancją przechodzi obok Norma, robi pętlę wokół jego świąty, wita się z czirliderkami, po czym znów skręca w pobliże Norma, gdzie nawet zupełnie naturalnie przyklęka, by zawiązać but. Bravo śledzą każdy jego ruch. *Sto patyków*. Nim Josh wróci, prawie wyłają ze skóry z niecierpliwości.

– Dostał wiadomość o kontuzji.

No żeż kurwa. Przecież oni tu zdechną. Billy zgarnia z murawy piłkę i od razu rzuca ją do Dime'a.

– Podanie! – wypluwa i nawet nie patrząc, czy sierżant w ogóle złapie piłkę, rusza sprintem z agonialnym *uaaachch*, na nogach ociążałych od osadu zalegającego w arteriach po dzisiejszym obżarstwie i opilstwie. Trzy, cztery kroki i nogi zaczynają jednak łapać, co tu jest grane, ręce wchodzą w zsynchronizowany rytm. Billy zygzakuje między przypadkowymi ludźmi na linii bocznej, w strefie punktowej odbija w lewo i spogląda za siebie. A piłka – o kurwa! – jest tuż-tuż, jej szpic wiruje jak wiertło udarówki, trzyma się osi, ale w tym ułamku chwili Billy rejestruje wszystko: szybkość-przewyższenie-azymut – przelicza to sobie na czas do kontaktu, kiedy oko wraca po trajektorii piłki aż do jej początku, do Wielkiego Wybuchu, ręki Dime'a i nagle ożywionego geniuszu jego furiacko wykrzywionej twarzy, jak u wikinga wyskakującego na brzeg z toporem w garści.

Bo i odpalił piękną petardę. Piłka świszczce, jak jedwab pruty wzdłuż nici, i Billy wie, że tu nie ma zmiłuj, ale zgarnia ją jak zawodowiec, śledzi ją wzrokiem aż do samego końca, owija się brzuchem wokół niej, dławiące *uuuch*...

I przyłożenie. Rzuca piłkę z powrotem do Dime'a i wbija się głębiej w strefę punktową, nogi pracują jak tłoki, płuca sycą się świeżym, zimnym powietrzem. Jak fajnie jest biegać, tak po prostu biegać. Dime wypuszcza następne podanie trochę za daleko, Billy musi się sprężyć, w pół kroku wyciągnąć się do maksimum i – w *dłoniach*! Z sektora za bramką niosą się wiwaty, kiedy przyciąga piłkę do ciała,

więc Billy wycina po przyłożeniu mały taniec, *ahaha, ahaha*, bardzo proszę, *smacznego*. Przy kolejnym podaniu Dime sygnalizuje mu ręką, że będzie daleko, po czym puszcza loba, który szybuje nad głową Billy'ego i opada mu w ramiona, jakby tulił niemowlę, tak właśnie leży mu przy piersi, i ci zza bramki znów wiwatują.

Billy jest w fazie. Czuje to. W każdym calu ciała wibruje świadomość, zmysły podkrecone do poziomów bliskich orgazmowi, czemu towarzyszy także pełna kontrola nad mięśniami. Czyżby tak właśnie przez cały czas czuli się zawodowi sportowcy? Jakąż przyjemność sprawia czysta cielesność każdego ruchu, mięsistość odbić stóp od porządnej, sprężystej murawy, zimne powietrze tnące jak brzytwa przy każdym wdechu i wydechu. Nawet jedzenie musi być dla nich bardziej smaczne, a seks? Cieciu, nawet mi o tym nie wspominaj. Naturalnie Billy ma nadzieję, że Faison na to patrzy, po głowie krąży też półświadoma myśl, że to jej sprawka, że ich spotkanie w jakiś sposób odmieniło hormonalny układ w jego mózgu, co między innymi spowodowało takie kwantowe wzmożenie sportowych talentów.

Obraca się, zapiera stopami, żeby posłać piłkę z powrotem do Dime'a, i widzi jedną – dwie – trzy lecące już ku niemu, nawałę artyleryjską przed totalnym szturmem na boisko. Mango odpala takiego woleja, że piłka z wyciem przelatuje nad głową Billy'ego. Lodis taranuje Sykesa od tyłu, zwała go na ziemię. Crack i A-bort wybiegają daleko do podania od Daya, szturchając się łokciami, bluzgając na każdym kroku, potykają się, prawie wywracają, tak się śmieją.

– Drugi Jerry Rice – rzuca Dime, mijając Billy'ego truchtem, po czym wrzuca trójkę i pruje w dal, oglądając się przez ramię, kiedy Billy puści mu podanie. Teraz ci zza bramki wiwatują już bez przerwy, bo i czemu nie? Który kibic nie marzył właśnie o czymś takim, żeby raz a porządnie zrobić trzodę i pohasać sobie w tej Walhalli wśród stadionów futbolowych? Koniec końców Bravo grają w coś w rodzaju jasia, w odmianie „wszyscy na tego, który ma piłkę”, gdzie skład drużyn zmienia się tak płynnie, że właściwie to wcale ich nie ma, podobnie jak i jakiegoś oczywistego zakończenia – ot, banda koleśki ściga się po strefie punktowej, taranując się nawzajem i rechocząc jak pojebani. A Billy myśli sobie: gdyby o to właśnie chodziło, o chamską, bezmyślną młóckę łeb w łeb, to futbol byłby wspaniałym sportem, a tak, skoro kultura położyła na nim swoje lepkie łapy, mamy obrzmiałe monstrum, pełne poczucia własnej ważności i uświęconych kanonów. Przepisy. Są ich całe setki, a rok w rok przybywają następne, co skrycie i wyjątkowo obrzydliwie wypacza ideę gry jako takiej, do tego dodajmy jeszcze tępych trenerów forsujących sadystyczne ćwiczenia, drużynowe modlitwy i wykresy, od których można było popaść w dysleksję; sędziów pojebanych

na punkcie dyscypliny, rozstawiających wszystkich po kątach jak wioskowi Hitlerzy, przerwy na żądanie, wykańczające pauzy po niecelnych podaniach, ceremoniał challenge'u wideo ciągnący się jak konklawe, i wszystkie te instrukcje w gromadzie, albumy z zagrywkami, tabliczki, hasła, pełny katalog otepiających urzędów, kiedy prawda jest taka, że chłopcy po prostu chcą się wybiegać i zderzać ze sobą, ile wlezie. Mama Billy'ego za nic nie potrafiła zgłębić tej zagadki. Po dwóch córkach nie była w stanie pogodzić się z tym, że jej syn od najmłodszych lat z rozmysłem wpadał na ściany, futryny, krzewy, szarpał się z kanapą przed telewizorem czy wreszcie spontanicznie walił się na ziemię, zupełnie bez powodu, wystarczyło, że miał się na co przewrócić. Wydawało się, że te skłonności da się twórczo wykorzystać w futbolu, więc w różnych okresach swojej młodości Billy trafiał do zorganizowanych drużyn, przy czym pod hasłem „zorganizowane” kryły się skomplikowane hierarchie dowodzenia i nadzoru, gdzie cała władza skoncentrowana była na samym szczycie. Można by odnieść wrażenie, że futbol musi się stać zajęciem produktywnym i użytecznym, przynosić całej ludzkości zysk netto, i stąd te nieustanne motywacyjne nawijki o działaniu zespołowym, poświęceniach, zdyscyplinowaniu i innych nowoczesnych wartościach, zasadniczo sprowadzające się do „stul pysk i rób, co ci każą”. I tak, choć elementarną częścią gry była drastyczna przemoc, w umyśle legła się dziwna bierność. Wszystkie te przepisy, wszystkie złote myśli, wszystkie trzygodzinne treningi, podczas których zasadniczo stało się i czekało, kiedy to na ciebie nawrzeszczy zastępca trenera, rodziły otepienie, poniekąd nawet przyjemne, ogólne osłabienie percepcji i zdolności do reagowania. W pewnym sensie miło było bez przerwy wykonywać tylko polecenia, ale z czasem zrobiło się to cholernie nudne, a w pewnym wieku pojawiała się też świadomość, że tak naprawdę to trenerzy w lwiej części byli durni jak puszka gwoździ.

I chuj z nimi, po drugiej klasie dał sobie siana z futbolem, tyle że wojsko to praktycznie dokładnie to samo, no, zgoda, poziom przemocy, prawda, wiadomo. Tysiące razy wyższy. Tymczasem jednak Bravo znaleźli sobie odrobinę dystansu, odbijają się od siebie jak kule w maszynie totalizatora, przy każdym zderzeniu stres schodzi wiadrami, kaskadami, a śmieją się przy tym, jakby im całkiem odbiło. Kibice zza bramki – ci z najtańszych miejsc, wsioki, robole skorzy do rozrób – zrywają się z miejsc i dopingują ich. Bravo szaleją na uświęconej murawie, a tu – *zagadka!* – nikt ich nie powstrzymuje. Nagle podjeżdża trzech grubasów na przerośniętym wózku golfowym, każdy w ciepłej kurtce Cowboys, i najbardziej spasiony z nich, typ w okularach w stalowych oprawkach, z policzkami wielkości opuchniętych półdupków, drze się na Bravo: *Won w diabły z mojego boiska, I TO JUŻ.*

– Won w DIABŁY z jego boiska! – wrzeszczy Crack, Mango odkrzykuje jak echo, i już po chwili wszyscy Bravo ryczą na siebie: *Won w DIABŁY z jego boiska! To jego boisko, cieciu, won w DIABŁY z jego boiska! On chce zabrać swoje boisko, I TO JUŻ! Won w DIABŁY!* Szurając po emerycku, truchcikiem zbierają piłki, zatrzymując się co parę kroków, by wrzeszczeć w *DIABŁY!* albo *BOISKO!*, a te trzy spaślaki siedzą tam tylko i robią ponure miny. Niespiesznie podbija paru gliniarzy, ale nic nie mówią, a Bravo wciąż drą się, ile pary w płucach, bo bucowi nawet się nie chciało załatwić tego uprzejmie, nie mógł grzecznie powiedzieć *proszę* czy po ludzku *dziękuję* tym dzielnym amerykańskim żołnierzom, tym młodzieńcom, jak ich nazwał generał (emerytowany) Colin Powell, tym lojalnym i honorowym młodym mężczyznom, którzy za twoje swobody nadstawili na wraże kule nagą pierś, ty gruby chuju, ty parodio koncepcji człowieka jako istoty stworzonej na obraz i podobieństwo Boga, ty strażniku cudzej murawy o dupie kaszalota. *Facet, może to nie naszych swobód nienawidzą akbary, tylko naszych tłuściochów!*

Rozrabiaki z tanich miejsc zaczynają gwizdać, kiedy widzą, co się dzieje, taki leniwy, cyniczny skowyt, jakby chciały powiedzieć: *Znów wyruchani!* Norm i spółka witają Bravo, kiedy ci truchtem opuszczają murawę. Norm śmieje się w głos.

– Wybaczcie, chłopaki – mówi, znowu tym głosem, jakby przeżuwał słuszną porcję sałaty. – Powinienem był was ostrzec. Bruce jest trochę przeczulony na punkcie swojego boiska.

Ale to przecież Norm tu rządzi, nie? Więc chyba mógłby... A, pies z tym.

– Naprawdę fajne boisko – mówi A-bort.

– Facet, lepszego w życiu nie zobaczysz – Crack na to. – Założę się, że Mango chętnie by się po nim przejechał. Odpaliłby kosiarkę i wio, no, kumacie, w końcu to Meks, co nie?

– To sztuczna trawa, debilu – wytyka mu Mango.

– Ja tylko mówię...

– Stereotypy rasowe poniżają każdego z nas.

– Mówię tylko, że każdy jeden Meksykaniec chętnie by...

– ...posunął twoją starą, tak jak ja ją posunąłem?

Norm się śmieje. Co za figlarze z tych Bravo, ależ kompania braci od klepania się po tyłkach. No dobra, może nie jest to pokazowy sort, nie trzymają żadnych norm, ale niewątpliwie stanowią śmietankę trzydziestego trzeciego centyla swojego pokolenia, jakkolwiek pogubionego i podejrzanego. Nieco dalej, na płaskim, rozstawia się

z kamerą ekipa telewizyjna, a dwie babki typu medialnego roztrząsają kwestię „sesji”. Jest tam i szóstka czirliderek, czekają. Jest Josh, czuwa, i Albert, pisze esemesy. Billy zauważa z pewnym nawykowym już znużeniem, że major Mac gdzieś przepadł.

– Tutaj, chłopaki – woła młodsza z tych dwóch kobiet, jak się okazuje, telewizyjna producentka ich sesji. – Ustawcie się w rzędzie, gdzieś tak tutaj.

– No, obróćni trochę bardziej w tę stronę – odzywa się jej koleżanka w średnim wieku, menedżerka Cowboys od *public relations*, na tyle wysoko w hierarchii, że do Norma może się zwracać per „Norm”. Obie są skupione, skore do rywalizacji, zawzięte, ubrane na czarno, o twarzach ściągniętych w głodne grymasy podkurwionych weganek. Billy kombinuje, jak tu zagadać z Dime’em o tym, co ma z Faison, ale do sierżanta dopiął się Norm i całkiem go zmonopolizował.

– Szczerze mówiąc, to Hollywood w ogóle mocno mi nie leży – mówi właściciel drużyny, kiedy wszyscy snują się wokół wyznaczonych pozycji. – Myślę, że są mocno oderwani od reszty kraju, od trosk i systemów wartości głównej części amerykańskiego społeczeństwa. Ktoś musi się wychylić, zacząć robić filmy pokazujące, o co tak naprawdę chodzi w Ameryce.

– Myślę, że to się nam przyda – odpowiada Dime. – Chyba już najwyższy czas.

– Choćby to, jak sobie z wami pogrywali: od razu zaczyna się człowiek zastanawiać, wobec kogo oni są tak naprawdę lojalni. Czy na pewno chcą, żeby Ameryka wygrała tę wojnę.

– Zaczyna się myśleć, czy aby trochę nie brakuje im jaj – zauważa Dime.

– Wiesz, Ron Howard nakręcił kilka świetnych filmów, *Plusk* to jeden z moich ulubionych na wsze czasy. Ale żeby razem z Glazerem...

– Grazerem – poprawia go Dime.

– ...z Grazerem upierał się, żeby przenieść waszą historię w czasy II wojny światowej, to już szczyt.

– Grają z nami ostro, proszę pana, nie da się ukryć.

– II wojna światowa ma już swoje, powstał niejeden świetny film o II światowej, *Najdłuższy dzień*, *Wielka czerwona jedyńka*, to wspaniałe, wspaniałe kino. Ale historia Bravo dzieje się tu i teraz i moim zdaniem należy uszanować ten kontekst.

– Proszę pana, myślę, że wszyscy z nas zgodziliby się z panem.

– Rozumiesz, ja w kraju naprawdę nie widzę żadnych oznak znużenia Irakiem. Ogromna większość Amerykanów popiera tę wojnę, a już, psiakość, na pewno

popierają oni żołnierzy, którzy w tej wojnie walczą. Jeśli ktoś w to wątpi, niech tylko spojrzą na to, jak was tu dziś witano.

Te dwie babki formują Bravo w ćwiartkę okręgu, z zastępami czirliderek na skrzydłach. Norm i Dime stoją pośrodku, nieco z przodu, jako gwiazdorzy. Jest do tego i scenariusz, wszyscy nauczyli się swoich ról na pamięć.

– Podnieście swoje piłki, o tak – komenderuje kobieta od PR, tuląc do piersi wymaginowaną piłkę. Choć to żenada i w ogóle słabe, Bravo wykonują polecenie.

– Nie, niżej – mówi producentka.

– Jak Boga Kocham – jęczy ta od PR i przewraca oczami.

– Ale kiedy tak wysoko to wygląda nienaturalnie. Nie tak jak trzeba.

– Ej, helou, jesteśmy na meczu futbolowym, tak? Wygląda właśnie zupełnie naturalnie.

Wreszcie wszystko jest gotowe do pierwszego ujęcia. Osobisty wideokamerzysta Norma stoi z boku i filmuje filmowanie szefa.

– Drużyna Bravo pragnie życzyć i pańskiej rodzinie wszystkiego **NAJLEPSZEGO** z okazji **ŚWIĘTA DZIĘKCZYNIENIA** – grzmi Dime, po czym odkleja się od scenariusza: – A naszym braciom i siostrom w mundurach, na linii frontu, życzymy **POKOJU DZIĘKI PRZEWADZE OGNIOWEJ!** – Więc wszyscy się śmieją, kiedy Norm, czirliderki i Bravo wołają chórem:

– Naprzód, Cowboys! – ale mediowi się pienia. Najmocniej przepraszam, miałeś to w scenariuszu? Nie miałeś, więc nie gadaj takich rzeczy, nie wiesz, że nie wolno ci tak mówić? Dime przepraszam. Mamrocze, że go poniosło, czy coś. Wszyscy ustawiają się do drugiego ujęcia.

– Drużyna Bravo pragnie życzyć panu i pańskiej rodzinie wszystkiego **NAJLEPSZEGO** z okazji **ŚWIĘTA DZIĘKCZYNIENIA!** – zaczyna Dime, a potem, Jezus Maria, znów swoje: – ...a naszym braciom i siostrom w mundurach, na linii frontu, mówimy: strzelajcie pierwsi! **STRZELAJCIE CELNIE! KTO ZASŁUŻYŁ, NIECH ZGINIE!**

– Jeeeeee, naprzód, Cowboys!

Teraz mediowi są już wkurwieni.

– Ludzie, mamy cztery minuty, żeby to załatwić – poucza ich producent. – Radziłbym, żebyście spoważnieli raz-dwa, albo będzie po herbacie. – Norm śmieje się równie szczerze jak każdy z Bravo, ale on też radzi żołnierzom, żeby ochłonęli i skończyli z wygłupami.

– Wielu ludzi przed telewizorami chce was usłyszeć – zapewnia. Przy trzecim ujęciu Dime posłusznie trzyma się scenariusza, ale Lodis i Sykes tak bardzo spodziewają się grepsów, że i tak zaczynają rzeć. Ujęcie czwarte idzie gładko, ale na sam koniec jakiś kibic wychyla się nad barierką sektora i wrzeszczy:

– Chicago Bears ssą końską pałę!

Co tu kryć, koniecznie potrzebna jest krótka przerwa. Do zabezpieczenia planu zdjęciowego ściągnięto dodatkowych gliniarzy. Billy wciąż próbuje pogadać z Dime'em, ale ten znów wdał się w rozmowę z Normem. Billy prawie wtrąca się w ich pogawędkę, aż tak jest zdesperowany, ale zamiast tego ćwiczy panowanie nad popędami i zmusza się do cofnięcia o trzy kroki. I wbija się prosto w gromadkę czirliderek.

– O rany. Przepraszam!

Dziewczyny się uśmiechają, kiwają głowami. Są trzy: dwie białe, jedna czarna.

– Jesteście siostry, co nie?

Śmieją się w głos.

– Oho, a jak się pokapowałeś?

– Myślałyśmy, że to taka nasza mała tajemnica!

– Hej, przecież od razu widać. Mogłybyście być trojaczkami.

Więcej śmiechów. Jak wszystkie czirliderki, te również są porażającymi okazami atletycznej kobiecości, miękkimi tam, gdzie powinny być miękkie, twardymi tam, gdzie ma być twardo, zgodnie z fotoszopowanym ideałem z pism modowych, tyle że istnieją naprawdę. O Jezu. Billy ściemnia jak nakręcony, sam nie ma pojęcia, o czym gada, ale dziewczyny się śmieją, więc chyba idzie mu nieźle. Czirliderki przytupują, pochuchują w dłonie przez zęby, żeby dramatycznie podkreślić, jak marzną. Gdy Billy pyta, czemu Faison nie wzięła udziału w sesji na Dziękczynienie, mówią mu: „Starszeństwo”.

– Jest w zespole świeża, a tu wszystko idzie według starszeństwa. Kto dłużej służył, ma większe szanse na zdjęcia do telewizji.

– Więc to takie ważne być w telewizji?

Dziewczyny wzruszają ramionami, zgrywają zblazowane.

– Nie zawadzi.

– Czemu miałyby zawadzić?

– No, przecież wiesz. Karierze.

– Aha! Nie wiedziałem, że czirliderki też mają kariery.

– A co to takiego? – pyta jedna z czirliderek, wskazując na najbardziej lśniący z medali Billy’ego, prawie go dotykając.

– To Srebrna Gwiazda.

– A za co?

Billy tonie. Tu nie ma przygotowanego grepsu ani niczego innego, co nadawałoby się do cywilizowanej konwersacji.

– No, chyba za odwagę – mówi, po czym ucieka się do sformułowań z raportu do odznaczenia. – Za wyróżniającą się odwagę i śmiałość w walce przeciwko wrogom Stanów Zjednoczonych.

Czirliderka spogląda na niego tępo.

– Super – mówi i nagle wszystkie trzy się od niego odwracają. Billy nawet nie wie jak, ale udało mu się utrupić rozmowę. Czyżby dziewczyny pomyślały, że się przechwalał? Mediowi każą wszystkim wracać, będzie ujęcie numer pięć. Ustawiają się na miejscach i czekają. I czekają. I jeszcze trochę czekają. A potem jęczą, kiedy przychodzi wiadomość o usterce technicznej. I polecenie, żeby stać na miejscach, póki problem nie zostanie usunięty.

– Jest i ten wasz gość – mruczy Norm, wskazując skinieniem Alberta maszerującego wzdłuż linii bocznej z komórką przy uchu. – Wygląda na to, że ciężko pracuje.

– Zasuwa jak maszyna – mówi Dime. Billy, stojąc tuż obok i nieco za nimi, nie ma wyjścia: podsłuchuje.

– Od dawna macie z nim kontakt?

– No cóż, oficjalnie to mniej więcej od dwóch tygodni. To wtedy spotkaliśmy się osobiście. Choć już wcześniej, kiedy wciąż byliśmy w Iraku, było trochę maili i telefonów.

– Jak rozumiem, macie z nim umowę.

– Podpisywaliśmy jakieś papiery, proszę pana.

– I póki co wrażenia macie pozytywne?

– Tak jest, Albert naprawdę się nam spodobał. Autentycznie wierzy w potencjał naszej historii. I robi, co w jego mocy, żebyśmy wyszli na tym jak najlepiej.

Norm odchrząkuje, przez kilka chwil milczy. Billy pochyla się o parę milimetrów, tak pragnie, żeby ktoś znów się odezwał.

– Hilary Swank – mówi w końcu Norm.

– Tak? – pyta Dime.

– Hilary Swank – powtarza Norm. – Albert mówi, że jest wśród gwiazd zainteresowanych waszym projektem.

– Tak jest.

– Według niego chciałyby zagrać ciebie.

– Podobno.

– Na mój gust to jakieś wariactwo. A twoim zdaniem?

– Prawdę mówiąc, proszę pana, to nie do końca mieści mi się to w głowie.

– Powinni trzymać się waszej historii, a nie robić z niej nie wiadomo co, żeby spełnić kaprys jakiejś gwiazdki. Będę z tobą szczery: narcyzm tych typów z Hollywood nieustannie mnie zadziwia.

– Wiem o nich tylko tyle, ile piszą w tabloidach.

– I tak w ogóle, moim zdaniem to żadna wielka aktorka.

– Aha.

– Widziałem ją w tym filmie ze Schwarzeneggerem, tam gdzie ona gra żonę, a on jest w CIA, tylko ona niby nic o tym nie wie? Taki raczej głupi film. Wcale mi się nie podobał, ani trochę.

– To chyba była Jamie Lee Curtis, proszę pana – mówi Dime.

– Co takiego?

– To chyba Jamie Lee Curtis grała tam tę żonę, a nie Swank.

– Naprawdę? Hm. Tak czy inaczej, film był do dupy.

Billy przypadkiem zerka na Alberta akurat w chwili, kiedy ten chowa telefon do kieszeni, a jego ramiona wznoszą się i opadają w iście tektonicznym ruchu. Taki gest mógłby sugerować porażkę, ale zdaniem Billy'ego Albert wygląda raczej na zamyślonego niż zmartwionego, jak wytrawny stary fachman, zastanawiający się nad kolejnym posunięciem. No to weź coś zrób, ponagla go w duchu – w tej chwili zaczyna żałować, że Albert nie gra tu o znaczniejszą dla siebie stawkę. Jeśli z filmem nie wypali, producent wróci do Los Angeles, do domu w Brentwood i młodej, seksownej żonki, do biura, gdzie na półce stoją trzy Oscary. A Bravo, czy się uda, czy nie, wracają na wojnę. Dla nich w Iraku zawsze szło o ocalenie życia, nigdy o nic mniej, ale teraz, kiedy produkcja filmu wisi na włosku, sprawy mają się nawet bardziej dramatycznie.

Następne ujęcie wychodzi jak z nut, wszyscy wiwatują, nawet kamerzyści ryczą, jakkolwiek cynicznie. Norm przybija z wybrańcami oldskulowe piątki.

– Pilnujcie tych piłek – zwraca się do Bravo – są już wasze. Choć wydaje mi się, że będą wyglądały jeszcze lepiej, kiedy ktoś się na nich podpisze, nie? – Szczerzy się. – Za mną, panowie.

XXL

Jacy oni są wielcy. Mogliby stanowić nowy gatunek albo przykład regresji do jakiejś zapomnianej prehistorycznej ery, kiedy po ziemi kroczyli ludzie rozmiaru perszeronów. Telewizja nie daje o nich pełnego wyobrażenia, redukuje do rozmiaru żołnierzyków te rozdęte wersje ludzkiej sylwetki, o głowach jak kegi piwa, karkach niczym pnie sekwoi, grzłach na ramionach większych niż piłki do baseballu, a do tego z ich rysami twarzy zawsze coś jest nie tak: oczy osadzone zbyt blisko albo za daleko od siebie, nosy i kości policzkowe jak uformowane kciukiem w plastelinie. Niby wszystkie części są w zestawie, ale całość wygląda koślawo, jakiś zaciach w proporcjach, w stosunku wielkości twarzoczaszki do mózgowiczaszki, jakby po drodze do osiągnięcia superbohaterskich rozmiarów zawodnicy wyszli poza wartości przewidziane w dokumentacji technicznej rodzaju ludzkiego.

– Jaki fart, że nie robimy za sedes dla tego typu – szepcze A-bort do Billy’ego, skinieniem głowy wskazując tę człekokształtną górę mięsa, znaną jako Nicky Ostrana, guard w formacji ataku Cowboys, najlepszy gracz w kraju na tej pozycji. Gdzie miałyby rozkwitnąć futbol, jeśli nie w Ameryce, w kraju, gdzie miliony żyznych hektarów rodzą kukurydzę, soję i pszenicę, gdzie mleko płynie jak rzeka, gdzie jak rok długi zbiera się ogrom owoców i warzyw, a mięso, ten kosmiczny rurociąg tłoczący wołowinę, drób, owoce morza i wieprzowinę, wszystko tuczone, wzbogacone witaminami, szprycowane zastrzykami: fabryki przyspieszonej produkcji białka aż furczą, a po kilku pokoleniach bajecznego odżywiania rezultatem jest szczep ludzi o rozmiarach przemysłowych! Tylko w Ameryce mogą się rodzić takie olbrzymy. Billy patrzy, jak silny skrzydłowy Tony Blakely sypie sobie do michy całe pudełko płatków, zalewa dwoma litrami mleka, bierze łychę do sałatki i najspokojniej w świecie zaczyna to jeść. Całe. Jedno. Pudełko. Każdy inny kraj zbankrutowałby, próbując wykarmić te molochy, które teraz siedzą i obojętnie słuchają Norma przemawiającego ze środka sali. *Prawdziwi amerykańscy bohaterowie... swobody... byśmy mogli nadal się nimi cieszyć...*

– Powitajmy ich więc tak gorąco, jak tylko Kowboje potrafią! – zachęca ich Norm, na co zawodnicy odpowiadają salwą braw. Mimo swego gwiazdorskiego statusu zawodnicy z technicznego punktu widzenia są pracownikami Norma, więc Billy domyśla się, że muszą robić, co ten im każe.

Norm zwraca się do trenera Tuttle’a:

– George, skoro nasi goście już tu są, nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zebrali trochę autografów?

W odpowiedzi Tuttle'a wyraźnie brakuje entuzjazmu.

– Bardzo proszę – mówi i niemal słychać ciąg dalszy: *A potem wypierdalać z mojej szatni*. To wielki, ponury, przygarbiony facet, rozmiarami i sylwetką przypominający starego samca morsa. Jego cera ma ten sam odcień owsianki co jego farbowane w salonie włosy, bujna czupryna, którą zaczesuje do tyłu, dzięki czemu wygląda jak klasyczny dyrektor więzienia gdzieś w Tennessee z dawnych lat. Kiedy idą do szatni, Josh rozdaje Bravo mazaki (i karci sam siebie, bo wciąż nie załatwił advilu) a żołnierze idą w rozsypkę, na żniwa.

– Ciekawe, czy Pat Tillman grał z którymś z tych gości – radośnie i głośno myśli Dime. Paru zawodników obcina go wzrokiem, ale nikt się nie odzywa. Więc Dime wyznacza sobie mentalne terytorium, Sykes i Lodis zwijają się, żeby zgarnąć tyle autografów, ile się da, a Billy co? Podpiera ścianę. Nigdy tak naprawdę nie rozumiał, o co to halo z autografami, a piłkarze to takie byki, że wolałyby nawet nie patrzeć bezpośrednio na nich, a co dopiero podchodzić po prośbie. Czuje się tutaj raczej niezręcznie. Jakby był odsłonięty, umniejszony. Jeśli wyznać szczerą i bolesną prawdę, czuje się mniej męsko niż raptem pięć minut wcześniej. Piłkarze wyglądają na wojowników o wiele bardziej niż którykolwiek z Bravo. Są wyżsi, silniejsi, bardziej umięśnieni, wredniejsi, tymi podbródkami jak zderzaki ciężarówek mogliby zrównywać z ziemią małe budynki, a ich uda są pękate jak belki nośne. Faceci wytwarzają testosteron litrami, a bojowa atmosfera gęstnieje wykładniczo, kiedy szykują się do meczu. Jasne, bo ci ludzie-góry muszą być jeszcze więksi! Wokół ich ciał konstruowane są złożone systemy szoku i respektu, matryce osłon na biodra, na uda, nokolanników, potem zupełnie przeobraża ich nałożenie naramienników, tych supernowoczesnych kombinacji pianek, tkanin, rzepów i zachodzących jedna na drugą skorup, z przedłużeniami opadającymi niczym gorset, by chronić wątłe żebra śmiertelników. Taśmy na dłonie, taśmy na nadgarstki. Osłony szyi. Nałokietniki. Osłony przedramion. W każdej szafce na górnej półce stoją co najmniej cztery pary nowiutkich butów, prosto z pudełek.

Cały ten sprzęt, te wszystkie rzeczy pogłębiają tylko depresję Billy'ego. Implikują tak potworną nudę: zapewne zawodnicy spędzają więcej czasu na ubieraniu się niż najbardziej nawet rozpieszczane modelki i aktorki, i widać to po nich, są ponurzy, zamknięci w sobie, totalnie pochłonięci rytuałem zakładania rynsztunku. Nie chcą, żeby zawracać im głowę, i Billy świetnie to rozumie: musi być psycha, psycha karmiąca się

fizyczną agresją, trzeba ustawić sobie głowę na demolowanie innych ludzi, bo napaść na bliźniego to nie jest sprawa banalna. Ludzie, ja to przerabiałem! Centralnie czuję ten klimat! Billy rozpoznaje ten proces przygotowania, nawet brutalna muzyka dudniąca z szafek jest taka sama, rozpoczynanie rozmowy od takich tekstów zabrzmiałoby jednak strasznie frajersko.

Billy bierze autograf Kervana McClellana, no bo, prawda, stoi zaraz obok i wyglądałoby to trochę chamsko, gdyby go pominął. Wie, że to Kervan McClellan, bo jego nazwisko i numer z koszulki są wymalowane energiczną czcionką z szablonu u góry jego szafki na ciuchy. Potem przechodzi do następnego zawodnika, to Spellman Taylor, numer 94. Tucker Rubel, 55. DeMarcus Carey, 61. Piłkarze traktują to zupełnie jak pracę. Biorą mazak, gryzmołą nazwisko, większość z nich nawet nie patrzy, komu się podpisują. Paru zdobywa się na skinienie głową, kiedy Billy im dziękuje. Indurian Kashkari, 81. Tommy Budznick, 78. Wreszcie Billy podchodzi do Eda Crisco, 99, potężnego białego gościa, który stoi jak słup, bo szkolenowiec dokręca mu porządnie naramienniki. Crisco rozłożył ramiona i nic nie mówi, nawet nie mrugnie, patrzy tylko przed siebie jak wół pociągowy, poddający się nakładaniu jarzma przed kolejnym dniem harówki.

Billy postanawia, że Edowi Crisco nie będzie zawracał głowy. Po szatni krąży dwoje bladych, chudych, zupełnie bezwłosych dzieci, też zbierają autografy. Towarzyszą im uśmiechnięci odważnie rodzice i przedstawiciel klubu dla każdej z rodzin. Skóra tych dzieciaków lśni wyblakłym srebrem, niczym blask od cirrusów wysoko na niebie. Ta choroba, która je trawi, to musi być coś paskudnego – są w tak fatalnym stanie, że Billy nie potrafiłby nawet powiedzieć, czy to chłopcy, czy dziewczynki.

Idzie więc do kolejnych zawodników. Durrell Sisson, numer 33. D'Antawn Jeffries, numer 42. Octavian Spurgeon, numer 8. Przyjmując piłkę, Octavian zagaduje:

– To jak jest.

– Spoko. A ty?

Piłkarz kiwa głową. Siedzi na krzeselku przed swoją szafką; jeśli nie liczyć kasku, jest już ubrany do gry. Gotów do akcji, ale spokojny, szeroki w barach, a wąski w biodrach, o długim, wąskim nosie i niemal delikatnych, wysokich kościach policzkowych. Zawile tatuaże wypełzają na jego szyję, oplatają ręce, włosy kryje pod zawiązaną na karku bandaną. Gryzmoli flamastrem po piłce Billy'ego, podaje mu ją z powrotem.

– Dzięki.

– Nie ma sprrrr. Elo, weź zaczekaj.

Billy obraca się z powrotem do niego. Przez chwilę wydaje się, że piłkarz zapomniał języka w gębie.

– Znaczy, bo ty byłeś tam w Iraku i wogle?

– Ee, tak.

I znów zdaje się, że rozmowa ugrzęźnie. Billy byłby gotów pomyśleć, że wskutek lat inkasowania ciosów na głowę zawodnik Cowboys ma watę zamiast mózgu, ale jego oczy są bystre, czujne.

– I jak tam jest?

– Jak tam jest? No, gorąco jest. Sucho. Brud. Nudno jak diabli, przez większość czasu.

Octavian mamrocze bełkotliwie:

– Noale, znaczy, ty jesteś z frontu i wogle, nie? Miałeś jakieś bitwy?

– Byłem w paru walkach, owszem.

Podchodzą D'Antawn i Durrell, zbudowani podobnie jak Octavian, smukli, ciemnoskórzy, fantastycznie panują nad ruchami. Zawodnicy patrzą po sobie, ale Billy nie umie rozszyfrować tego spojrzenia.

– Yhy, kumam, gościu. Ale kropnąłeś kiedyś typa, tak żebyś wiedział? W sensie ty strzelasz, a oni gleba. Było tak?

Było tak. Billy'emu nie przychodzi nawet do głowy, że mógłby nie odpowiedzieć. Tak, mówi. Zawodnicy znów popatrują po sobie. Billy widzi, że to dla nich chwila pełna emocji.

– No to jak to jes? No rozumiesz, jakie to uczucie, co nie?

Billy przełyka. Ciężkie pytanie. Dokładnie tu go boli. Przyjdzie czas, że będzie sobie musiał wybudować w tym miejscu kapliczkę. O ile przeżyje wojnę.

– Nie czuje się nic. Nie wtedy, kiedy się strzela.

– Yhy. Aha. – Dobiło do nich jeszcze kilku piłkarzy. Billy uświadamia sobie, że zebrał się wokół niego cały zapasowy skład startowy Cowboys. – Więc z czym chodzisz?

– Z jaką chodzę bronią? To zależy. Zależy od zadania, od tego, jaką rolę mi przydzielą. Najczęściej moja broń to em cztery, standardowy półautomatyczny karabinek szturmowy. Parę razy miałem em dwieście czterdzieści, to broń maszynowa,

szybkostrzelna, wywala dziewięćset pięćdziesiąt pocisków na minutę. A jak się jest górnym strzelcem w hummerze, to wukaem pół cala.

– A do em czwórki to jakie są naboje?

– Pięć pięćdziesiąt sześć milimetra.

– Pistolet też masz?

– Berettę dziewięć milimetrów.

– Zdarzyło ci się użyć?

– No pewnie.

– W sensie że z bliska?

Billy kiwa głową.

– A noże też wam wydali? – pyta Barry Joe Sauls, biały facet, tak stary, że włosów już prawie nie ma.

– Bagnety Ka-Bar – odpowiada Billy – ale generalnie można chodzić z takim nożem, z jakim się chce. Wielu chłopaków zamówiło sobie własne z sieci.

– A co z kałachami? – pyta ktoś. – Je też dostajecie?

– Kałasznikow to broń bojowników, nie na naszym wyposażeniu. Choć niejednen z naszych przytulił takiego w trakcie tury.

– Wredny, nie?

– Nie za miły. Kałasznikow ma większe pociski, więc kiedy trafia, to już grubsza sieczka. Zdecydowanie nie polecam zgarnąć pestki z kałasza.

– Aha. Joo... – Octavian rozgląda się po kumplach z drużyny, przez chwilę przygryza wargę. – No dobra, więc ten twój em cztery, to co on robi? Jak kogoś stukniesz.

Billy śmieje się, choć to nie jest śmieszne. Ani nieśmieszne, ani nic innego, prawdę mówiąc. Zastanawia się, czy takie nic to też jest uczucie, czy po prostu nic.

– No, rozkurwia gościa.

– W sensie raz i już? Bo mnie chodzi o to, jak ze skutecznością.

– Jak na tułów, to nie. Pocisk ma dużą prędkość i z reguły przechodzi na wylot. Ale gościa przewróci.

– Ale typ jeszcze żyje.

– Jeśli dostał w tułów, może. Dlatego celujemy w twarz.

Piłkarze zasysają powietrze.

– Uch – mruczy któryś, jakby wgrzył się w coś soczystego i słodkiego.

– A dwieście czterdzieści – odzywa się Sauls – mówiłeś, że to maszynówka. Więc co ona robi?

– Co robi dwieścieczterdziesiątka? Ja pierdolę, jak wam to wyjaśnić. Dwieścieczterdziesiątka to samo zło.

– Serio?

– Jak trafisz typa z dwieścieczterdziesiątki, to go rozjebie na strzępy.

Zanim zdążą go zapytać o coś jeszcze, Billy mówi dzięki, powodzenia, miło było pogadać, i zwija się stamtąd. Zdecydowanie ma już dosyć zbierania autografów, bo teraz bardziej niż kiedykolwiek przedtem wydaje mu się to durnym i bezsensownym zajęciem. Dyskretnie rozejrzawszy się wokół, dostrzega Dime'a hen, na końcu sali. Sierżant wpatruje się w ogromną tablicę ścieralną, na której rozrysowano plan urzutowania drużyny.

– Więc skoro to nie demokracja – mruczy pod nosem Dime, kiedy Billy podchodzi doń od tyłu – ani nie komunizm, to co to takiego?

– Co jest co takiego?

– Nie, nic. Dobrze się bawisz, Billy?

– Chyba tak. – Boczkiem podchodzi jeszcze bliżej, ścisza głos. – Niektórzy z tych gości to czubki, panie sierżancie. Mają nie po kolei pod dekiem.

Dime się śmieje.

– A my to nie?

Jasne, pewnie. Billy zauważa, że na piłce sierżanta nie ma ani jednego podpisu.

– Panie sierżancie, możemy porozmawiać?

– Tak. – Dime znów wpatruje się w rozrysowany szyk drużyny.

– Ale sprawa jest taka raczej osobista.

– Lepszego przyjaciela niż ja w życiu nie będziesz miał.

– No bo, znaczy, tak się stało, że, no, poznałem jedną dziewczynę. Znaczy, dzisiaj. Niedawno. Jedną z czirliderek, prawda.

Z warg Dime'a bryzga wiotkie prychnięcie, *plap*.

– Gratulacje.

– No tak, znaczy, nie tak, no wiem, że wszyscy się z nimi spotkaliśmy. Ale ta dziewczyna i ja, panie sierżancie, no, coś między nami zagrało.

– Billy, nie bądź kretyn.

– Nie, panie sierzancie, serio. Coś się stało.

Dime nadstawia uszu.

– Znaczy, był lodzik?

– No, nie. Ale ręce poszły w ruch.

– Pierdolisz.

– Przysięgam na Boga.

– Pierdolisz! Kiedy to się niby stało?

Billy zwięźle opisuje ich spotkanie, choć dla zachowania honoru i przyzwoitości przemilcza orgazm Faison.

– Ożeż ty sukinkocie – mówi niegłęboko Dime. – Nie kłamiesz, co?

– Nie, panie sierzancie, nie kłamię.

– Przecież widzę. – Zaczyna się śmiać. – Och, Lynn, ależ z ciebie jebaniutki gość. Ale jak ci się ją udało, do cholery, namówić...

– Prawdę mówiąc, raczej pozwoliłem jej samej mówić.

– Genialne. Bystry z ciebie gość. Coś mi mówi, że w życiu zaliczysz jeszcze niejedną pannę, Billy.

– Dzięki. Ale tak naprawdę chciałem zapytać... znaczy, chciałem porozmawiać, bo...

Dime obserwuje go cierpliwie.

– No, nie chcę jej stracić, panie sierzancie. Co mogę zrobić, żeby jej nie stracić?

– Że co? Jezu Chryste, Billy, że co niby stracisz, ile ty z nią byłeś, dziesięć minut? Zalecieliście w ślinę, świetnie, doskonale, cieszę się waszym szczęściem, ale nie wydaje mi się, żebyś miał tu coś do stracenia. Była dla ciebie miła, czaisz? Jesteś bohater, a ona zrobiła coś miłego dla żołnierza. Mamy być w bazie dziś wieczorem, punkt dwudziesta druga, więc nie wiem, kiedy twoim zdaniem miałbyś się z nią jeszcze zobaczyć. Wiesz co, spróbuj wyciągnąć od niej maila, wtedy może w Iraku zorganizujesz sobie e-ruchanko.

Billy'emu robi się niedobrze. Dime oczywiście ma rację, marzenia o jakiegokolwiek wspólnej przyszłości z Faison to absurd, ale zaraz wraca wspomnienie czułości, z jaką ujęła jego policzek, zrozumienia, z jakim jej biodra przyjęły jego napór. Jej pocałunki i szeroko rozwarte wargi. Jej załamane oczy. Jej orgazm, miażdżący kości. Nie chciałby wyjść na płytkiego kutafona, ale czy może istnieć coś dużo prawdziwszego?

Jeden z szefów od sprzętu widzi, że stoją tam, przy tablicy, i pyta, czy nie chcieliby zwiedzić magazynu. Bardzo chętnie, odpowiada Dime.

– Ennis – mówi tamten, wyciągając dłoń. To żyłasty sześćdziesięciolatek z zaczątkami brzuszka, zaciąga po kowbojsku, urodzony Teksańczyk. – Kurczę, chłopaki, jesteśmy naprawdę dumni, żeście nas dziś odwiedzili. – Prowadzi ich obok okienka ambulatorium do bocznych drzwi. – Jak tam, dobrze się wami zajęli?

– Wszyscy co do jednego, elegancko.

– Miło usłyszeć. Staramy się, żeby nasi wyjątkowi goście czuli się tu dobrze. – Za drzwiami bije w nich ściana woni plastiku i skóry.

– O rany. Przecież tu można odlecieć!

– Posłuchajcie, jak się tu otworzy we wtorek rano, kiedy przez cały dzień stało zamknięte, to na bank człowieka zetnie.

Magazyn sprzętu wielkością i rozmiarami nadawałby się na hangar dla małego samolotu: w dali nikną rzędy szafek, regałów, rusztowań dla koszy i skrzyń, parownice, stoły robocze, drabinki na kółkach, a każdy element, od wykładziny po klamki, w klubowych barwach, błękit i srebrzystoszary, bardzo skąpa paleta.

– Nie da się wystawić drużyny klasy światowej, jeśli się nie zapewni światowej klasy zaopatrzenia – recytuje Ennis, a Billy podejrzewa, że to początek wykutego na blachę tekstu dla zwiedzających. – Futbol to sport obracający się wokół sprzętu, a kiedy idzie o cztery czy pięć ton materiałów, a o tym tutaj mowa, nie może się obyć bez inwentarzy i organizacji. Przecież to wszystko trzeba znaleźć, tak? Jeśli chce się z czegoś korzystać, trzeba to znaleźć, z najlepszego nawet sprzętu na świecie nie będzie żadnego pożytku, jeśli będzie tylko obrastał kurzem gdzieś w kanciapie. A mamy tu, żeby nie skłamać, ponad sześćset rodzajów przedmiotów.

– To chyba dużo – odzywa się Billy.

– To jest dużo, młody człowieku, zobaczyłbyś listę, kiedy się pakujemy na wyjazd. Żeby sobie poradzić z takim zadaniem, potrzebny jest zespół ludzi skupionych na detalach. Nasza norma to zero tolerancji dla pomyłek. – Zatrzymują się przy starannie porozwieszanych bluzach w wariantach barw na mecze u siebie i wyjazdowe. Ennis pokazuje spandeksowe wszywki, dzięki którym strój przylega do sylwetki, przedłużone spody ze spandeksowymi obszyciami – to kosmiczne tworzywo wspaniale odprowadza pot. Billy wyciąga wieszak z bluzą numer 78 i podnosi go: razem chichoczą z niewiarygodnych rozmiarów tego stroju, tkaniny wystarczyłoby na ubrania dla standardowej czteroosobowej rodziny. Potem są buty: cały segment ściany pokryty

półkami, od podłogi aż po sufit, a na nich tylko buty, buty, buty, buty i jeszcze trochę butów.

– O kurczę – mówi Dime. – Zobaczcie, ile butów.

– Robi wrażenie, aha. A zajeździemy je wszystkie. Przemiał w każdym sezonie to prawie trzy tysiące par, z roku na rok ta liczba rośnie. Jak mamy obozy treningowe, co nie? To czasem jest taki upał, że widziałem, jak te buty po prostu się rozlatują, a to markowy towar, nie jakieś podróbki z hipermarketu.

Każdy gracz potrzebuje trzech rodzajów podeszew na sztuczną murawę, ciągnie Ennis: jedno na suchą, drugie na wilgotną, trzecie na moką, plus odlewany but z niewymiennymi korkami na trawę naturalną, jak też taki z wymiennymi, a na różne rodzaje pogody są cztery rodzaje korków. Dalej naramienniki ustawione na parownicach, jedno na drugich, rząd za rządem, niczym kości w katakumbach starej Europy. Dwanaście typów, czyli każda pozycja ma inne. W każdym typie cztery rozmiary, plus dokładki jak do kamizelek kuloodpornych, plus nieskończone możliwości dopasowywania. Dalej, prawda, kask. Najważniejszy sprzęt, jaki tu mamy. Kask futbolisty jest niczym świat sam w sobie, cudo zaawansowanej inżynierii zrodzone z najnowszych osiągnięć ortopedii i nauk o urazach. Zewnętrzna powłoka wykonana z najlepszych polimerów, żywic i klejów, które wytrzymają nawet *takie* trafienie, BACH, obaj żołnierze odskakują, bo Ennis cisnął kaskiem w podłogę z zadziwiającą gwałtownością. Widzicie? Popatrzcie. Ani śladu. Robi wrażenie, aha. Może nie są jak wasze, kevlarowe, ale moje chłopaki nie muszą uważać na kule. A wewnątrz – to równie ważne – da się zmontować indywidualnie dopasowany zestaw poduszek pod szczękę, wkładek piankowych, baloników, by zapewnić idealne dopasowanie i najlepszą ochronę. O, tu są pompy do napełniania baloników powietrzem, tu na krawędzi skorupy widać zaworki. Ale i tak zdarza się wstrząs mózgu, i to często. Chłopaki potrafią przyłożyć, że hej. Tutaj macie osłony na twarz, piętnaście różnych typów, paski podbródkowe, sześć wariantów geometrii, ochraniacze na zęby w pełnej gamie kształtów i kolorów. Rozgrywający mają w kaskach radio, żeby na bieżąco łączyć się z trenerem. Co tydzień zdieramy z kasków kalkomanie i naklejamy nowe, czyścimy skorupy druciakami, pucujemy woskiem do podłóg.

Masa roboty, no pewnie. Guma do żucia, mamy dla chłopaków w pięciu smakach, no więc jest tu pięć pudeł po dwa i pół tysiąca, proszę bardzo. Tam rzepy, w paskach i łątkach, żeby strój leżał przy ciele, po co dawać przeciwnikowi uchwyty. Osłony na biodra, uda i kolana, posortowane według fasonów, rozmiarów i grubości. Rękawiczki bez palców dla skrzydłowych, wyściełane dla obrońców. Wkładki ortopedyczne we

wszystkich rozmiarach. Czapeczki z daszkiem. Wełniane czapki. Wkrętarki do wymiany kolców. Talk. Kremy z filtrem UV. Sole trzeźwiące. Dwadzieścia dwa rodzaje opatrunków samoprzylepnych. Żele, kremy, maści, środki dezynfekujące i przeciwgrzybicze. Zamrażacze. Kartony napoju Gatorade w proszku. No jasne, ludzie, że to nie koniec. Na zimne dni, jak dzisiaj, mamy mycki pod hełmy, bieliznę termiczną, mitenki, nauszники, chemiczne ogrzewacze dłoni, kremy ochronne, termiczne skarpetki, podgrzewacze do ławek. Wodoodporne peleryny termiczne, specjalnie skrojone z zapasem na naramienniki. Poncza przeciwdeszczowe, też tak zaprojektowane. Przy każdym meczu idzie siedemset ręczników, a kiedy pada albo jest bardzo upalnie, to i dwa razy tyle.

– A sterydy gdzie trzymacie? – pyta Dime.

– A nie nie, takie rzeczy to nie u nas. No dobra, to teraz piłki. Jako gospodarz mamy obowiązek zapewnić na mecz trzydzieści sześć nowiutkich piłek, plus dodatkowe dwanaście, które trafiają od producenta prosto do sędziów, ci oznaczają je literą „K” i tylko one są używane przy wykopach.

A dalej: tu koszulki i szorty do rozgrzewki, tam dresy – spodnie i bluzy. Szybki wypad do pralni na skalę przemysłową, potem sprzęt trenerski. Notesy, sztywne, małe i duże tablice ścieralne, markery, flamastry, słuchawki, megafony. Koszyk wielkości pudełka na buty pełen srebrzyście lśniących gwizdków, drugi ze stoperami Casio. A tu – bezprzewodowy sprzęt łączności i wideo, zawsze pod kluczem, chyba wiadomo czemu. Kiedy jesteśmy na wyjeździe, na cały sprzęt potrzebujemy dwóch ciężarówek, w końcu to cztery, cztery i pół tony dobra.

Pod koniec nawet Dime wygląda już na lekko oszołomionego. Po prostu za dużo tego, tych porażających wyobrażeń ilości skrojonych na niszę towarów, a wszystko oznakowane, posortowane, ułożone rozmiarami, zweryfikowane, spakowane i ułożone: świadectwo ludzkiego geniuszu w materii logistyki i kontroli stanów materiałowych. Ból głowy Billy’ego się nasilił, chyba od wdychania oparów plastiku i gumy, tak że kiedy wracają przez całą długość magazynu sprzętu, czuje duszność w piersiach, ma spłycony oddech, jak gdyby jakoś skurczyły mu się płuca. Może alergia, a może zawał? Za tą myślą zaraz przybywa mentalne wzruszenie ramionami – misteria magazynu sprzętu pochłonęły go do tego stopnia, że nie chce marnować czasu na zamartwianie się o zdrowie. Najchętniej dowiedziałaby się, skąd się to wszystko bierze, a może nawet nie, raczej po co im wszystkie te rzeczy. Coś takiego to chyba tylko w Stanach Zjednoczonych. Tylko Stany mogłyby wybrać tak oproduktowany sport i uczynić z niego obywatelski obowiązek, jakim stał się obecnie.

Billy nawet nie do końca wie, co tu właściwie zobaczył, ale chyba zbiera mu się od tego na mdłości.

– Wiecie co – zwierza się nieśmiało Ennis – dawno temu odsłużyłem w armii parę latek. Ale wtedy prawie każdy szedł w kamasze. Mieliśmy pobór, co nie.

– Wietnam? – pyta Dime.

– Ledwie mnie minęło. Wyszedłem do cywila w sześćdziesiątym trzecim, Jezu, jak się cieszyłem. Znałem chłopaków, co już stamtąd nie wrócili.

– Było takich trochę – mówi Dime.

– No, taka prawda. Chciałem wam tylko powiedzieć, chłopaki, że naprawdę doceniamy, co tam robicie. Jakby nie wy, to normalnie Bóg jeden wie, co my byśmy tu robili, pewnie wszyscy byśmy się modlili do Allaha i nosili te szmaty na łbach.

– Macie coś na ból głowy? – pyta Billy. – Advil? Może aleve?

– Na tony – odpowiada Ennis. – Boli cię? Synek, słuchaj, chętnie bym ci pomógł, ale nie mogę, takie przepisy i w ogóle odpowiedzialność. Każda jedna sztuka, co wychodzi przez to okienko – wskazuje, w którym kącie mają ambulatorium – musi być rozpisana, inwentarz ma się zgadzać. Nie pomyślałbyś nawet, że przez parę głupich pigułek można stracić robotę.

– Nic nie szkodzi – mówi Billy. – Nie chcę, żeby pana wylali.

Ennis znów go przeprosza. Kiedy są już przy wejściu do szatni, Dime prosi go o autograf na piłce. Ennis się jeży. Niby chichocze, ale wzrok ma czujny.

– A na co ci to? Ja jestem tylko dziadek od sprzętu, po co komu mój autograf.

– Jeśli o mnie chodzi, to pan rządzi w tej drużynie – odpowiada Dime, więc Ennis się śmieje, bierze flamaster i podpisuje się na piłce Dime'a. To jedyny autograf, o który dziś poprosi Dime. W szatni piłkarze już prawie skończyli się przebierać. Tamtejsza atmosfera to agresywnie woniejąca pieczeń z plastiku, potu, pierdów, wód kolońskich z nutą arbuzowo-drzewną, maści na stłuczenia, śmierdzącej jak gnijąca lukrecja. Pośrodku sali Norm wchodzi na krzesło i wzywa Bravo do siebie, po czym poleca zawodnikom, by zebrali się wokół. Bravo nasłuchali się już dziś przemówień, cóż, będzie następne, nie poradzisz. Piłkarze posłusznie podchodzą bliżej. Kiedy ustawiają się na środku sali, Billy próbuje sobie wyobrazić te ogromne systemy wsparcia, które im służą. Ci zawodnicy należą do najbardziej zadbanych istot w dziejach Ziemi, korzystają z najlepszego wyżywienia, najnowszych technologii, najdoskonalszej opieki medycznej, żyją wśród absolutnie szczytowych osiągnięć amerykańskiej wynalazczości i obfitości, co daje asumpt do nadzwyczajnego pomysłu:

wysłać by ich, żeby walczyli na wojnie! Dokładnie takich, jak tu i teraz, porządnie wypoczętych, przebranych, nabuzowanych na brutalny bój, wysłać tam całą NFL! Posłać do ataku nasze niedźwiedzie i naszych najeźdźców, krwiożerczych czerwonoskórych, nasze odrzutowce, orły, sokoły, wodzów, patriotów, kowbojów – przecież banda ciapatych w męskich kieckach i sandałach nie da rady tym stu-procentowym Amerykanom! O, nasi arabscy nieprzyjaciele, dalszy opór jest daremny. Poddajcie się teraz, a oszczędzicie sobie od cholery cierpienia, bo nasi potężni futboliści są niepowstrzymani, tacy są wielcy, tak silni, tak fantastycznie wyrzeźbieni, że banalne kule i bomby po prostu odbijają się od ich stalowych kości. Ugnijcie karki, bo inaczej nasza rewelacyjna ekipa z NFL zaprowadzi was prosto pod ogniste bramy piekieł!

– Chciałbym więc tylko powiedzieć – zaczyna Norm, ale z tyłu ktoś gada, z czyjegoś boomboxa bębni Ludacris.

– MORDYWKUBEL!!!!!! – drze się trener Tuttle i przez chwilę jest zupełnie jak w szatni w podstawówce.

– No więc mam nadzieję – podejmuje Norm – że każdy miał już szansę porozmawiać z naszymi dzisiejszymi wyjątkowymi gośćmi, żołnierzami z drużyny Bravo. Na pewno wszyscy zdążyliście poznać ich historię: pod ostrzałem, przyciśnięci, wielu ich kolegów zabitych lub rannych, ale ci młodzi ludzie, młodzi żołnierze z Bravo, oni... nie... odpuścili. Na brzegach kanału Al-Ansakar musieli stawić czoła największemu wyzwaniu w swoim życiu i z pomocą Bożą podołali, przynosząc dumę naszemu krajowi. Niedawno miałem zaszczyt rozmawiać z prezydentem Bushem, który...

Piłkarze już się wyłączyli. Billy widzi to w ich oczach: tępe spojrzenia zdradzają, że potencjometry mózgow są skręcone do poziomu w sam raz na sen. Na placach apelowych nastąpił już tylko tyle godzin, że bez pudła rozpoznaje ten wyraz twarzy.

– ...więc może wyzwania, przed którymi stajemy, są innego rodzaju. Może nie jesteśmy doświadczani tak drastycznie jak oni, ale takim właśnie próbom poddał nas Bóg, by uformować nas takimi, jakimi pragnie, byśmy się stali. Wiem, że mamy teraz w sezonie słabszy moment. Walczymy o każdy punkt. Nie wszystko poszło tak, jak planowaliśmy, ale najlepiej określa nas to, co robimy, kiedy upadliśmy, kiedy otrzymaliśmy cios. Więc co, mówimy: trudno, stało się...

Wydaje się, że nad piłkarzami zaczyna się kłębić chmura chemicznego gniewu. Pogadanka Norma to takie codzienne zawracanie dupy, ale żeby Bravo mieli im robić za przykład? Za kontrast? Za wzór? Od tego gotuje się krew, budzi rywalizacja

w rodzeństwie. *Czemu nie możesz być taki jak twój brat?* Nie to, żeby Bravo chcieli mieć z tym coś wspólnego, ale jest już za późno, żeby się wypisać ze szkółki parafialnej Norma.

– ...toteż rzucam wam wyzwanie, wam wszystkim, każdemu z was w tej drużynie, od Vinny'ego i Drew aż po Bobby'ego – tu gdzieś zza pleców zawodników rozbrzmiewa bulgotliwy okrzyk: wspomniany Bobby, Bravo spotkali go już wcześniej, sławetny, lekko upośledzony chłopak od podawania piłek z Cowboys – żebyście stawili czoła temu wyzwaniu i je przewyciężyli. Żebyście stawili mu czoła tak odważnie, z taką determinacją, z jaką ci młodzi żołnierze przewyciężyli swoje wyzwanie. Ta walka zaczyna się dziś, panowie. Albo teraz, albo nigdy. Więc ruszajmy na boisko nakopać Niedźwiedziom w tyłki!

– Tajest! – woła ktoś i piłkarze wybuchają okrzykami, w których jest o wiele więcej pary, niżby się Billy spodziewał. Cóż, w końcu to zawodowcy. Norm wzywa pastora Dana, by ten poprowadził piłkarzy w modlitwie. Pastor jest sympatycznie ogorzały, ubrany w dokładnie taki sam lśniący dres jak dresy trenerów.

– Drogi Boże – modli się z melodyjnym akcentem z Południa, same aksamitne samogłoski i chrupkie spółgłoski – prosimy, dopomóż nam grać najlepiej, jak umiemy. Zachowywać się na boisku w sposób wierny Twym słowom i godny naszej wiary. Nauczaj nas, prowadź nas, zachowaj nas... – Zaciskając powieki, Billy wspomina uwagę Grzybasa, że Biblia chrześcijan to w większej części kompilacja starych sumeryjskich legend, może akurat w tej chwili średnio jest mu to potrzebne, ale czerpał z tego nieco pociechy przez te ostatnie dwa tygodnie niemal nieustającej modlitwy w miejscach publicznych. Ameryka uwielbia się modlić, Bóg świadkiem. Ameryka modli się, modli i modli, to kraj niepohamowanej modlitwy, ale całe to ceremonialne nabożeństwo to dla Billy'ego katorga. Stara się, ale nic z tego. Zamknąć oczy, pochylić głowę, ale od razu przy pierwszym *Twoje* czy *Twoja* normalnie jakby zrywał się sygnał, nie dociera nawet zbłąkany biały szum. Niespecjalnie pomaga nawet myśl, że i inni mogą mieć z tym podobny problem, ale świadomość, że coś było i przedtem: Sumeryjczycy, Hetyci, Turkmeni, całe drugie ONZ starożytnych cywilizacji; że być może *Twoje* i *Twoja* nie jest formułą ostateczną? Z jakiegoś powodu poprawia to Billy'emu nastrój.

No więc kim byli ci Sumeryjczycy?

– Kiedyś ci o nich opowiem – powiedział Grzybas, zapinając się w kamizelkę kuloodporną Interceptor. – Ale nie w tej chwili.

Ani w tamtej, ani w żadnej innej, jak się okazało. Grzybas wyrzekł się gier wideo, rzadko oglądał telewizję. Zamiast tego czytał. Przez cały czas.

– Konstruuje swoją osobowość – mówił o lekturach. Nawet na temat koniobijki miał tekst-wyrocznię, w tym przypadku od starożytnych Egipcjan, którzy wierzyli (*Słowo daję! To nie ściema!*) że pierwszy, najwcześniejszy, bezimienny i pradawny bóg, który stworzył wszechświat, dokonał tego w akcie masturbacji: zasadniczo rzecz biorąc, powołał kosmos do istnienia samą siłą ejakulacji.

A-men, mówi pastor Dan. **Dwieeeeeee mi-NUUUUUUTY**, drze się zastępca trenera, i w tych ostatnich chwilach przygotowań Billy widzi, że jest zapraszany, nie, wzywany, pomyśli sobie później, skinieniem głowy i niskim machnięciem dłonią pod szafkę na ciuchy Octaviana Spurgeona. Są tam sam Octavian, Barry Joe, paru innych zawodników – stoją tak nieruchomo, że wiadomo: szykuje się coś poważnego. Billy najchętniej pozbyłby się gdzieś tej żenującej pamiątkowej piłki.

– Suchaj, chcieliśmy się spytać... – Octavian mówi tak cicho, że właściwie szemrze. – Bo, znaczy, byśmy chcieli zrobić coś takiego jak ty. Ekstremalne, co nie, kropnąć paru tych jebniętych muslimów, myślisz, że by nam dali? Znaczy, byśmy z wami jeździli, może z tydzień czy parę tygodni, tak żeby pomóc. Pomóc wam rozjechać trochę tych szmaciarzy, nie? Byśmy w to weszli.

Billy widzi, że to fakt, wchodzą. Oni w to wchodzą. Próbuje wyobrazić sobie świat, jaki ci ludzie mają w głowach, i ponosi klęskę.

– Tego chyba nie da się tak załatwić.

– Cso? Ej, no weź, no my tu przeschemy pomóc, i to gratis. Nikt nam nie musi płacić, tu nie ma tej kwestii.

Billy wie, że śmiech byłby fatalnym posunięciem.

– No, po prostu nie wydaje mi się, żeby wojsko chciało pójść na taki układ.

– Yyy. Nooo rwa. Ale po co wogle komuś mówić. W sensie, pojeździmy z wami parę tygodni, no to kto wogle by wiedział, że tam jesteście. No cemy pomóc, co ty, no mówisz, że nie chcecie pomocy?

– Billy! – woła Mango. – Idziemy już!

Billy kiwa głową, obraca się z powrotem do Octaviana.

– Pewnie, że przydałaby się pomoc. Ale... słuchajcie: jak chcecie robić rzeczy ekstremalne, po prostu wstąpcie do wojska. Oni z wielką przyjemnością wyślą was do Iraku.

Zawodnicy prychną, pomrukują, popatrują na niego z politowaniem. *Chuja tam. Kurrrr. E, w diabły, nie nie nie...*

– Ej, my już mamy pracę – tłumaczy mu Octavian – my tu pracujemy, co ty, myślisz, że ja rzucę robotę i pójdę w kamasze jak jakiś ćwok? Co, że na ile, trzy lata? Zerwać kontrakt i wogle? – Przezabawne. Oni się śmieją. Z ust uciekają im ciche kwiki i charkotliwe szczeknięcia. – Idź, idź – mówi Octavian, spławia Billy’ego gestem. – Zmiataj już. Kolega cię woła.

Masz tu wszystko

Billy postanawia więc, że przy pierwszej nadarzającej się okazji sprezentuje komuś swoją piłkę. Do rozpoczęcia meczu zostało raptem parę minut, drużyny są już na boisku, rozgrzewają się, rozciągają, a Norm we własnej osobie prowadzi Bravo przez główne zaplecze handlowe, pokazuje twarz, sieje odrobiną gwiazdorskiej mocy na natychmiastowo porażony plebs. Wszelkie urazy, narzekania i amatorskie krytyki topnieją niczym łój w słonecznym żarze celebryctwa. Elo, Norm! Norm! Damy im dziś łupnia, Norm? Nasi trzema punktami, Norm, załatwisz to dla mnie?! Kiedy kibice ustępują im drogi w sunącej kaskadzie fleszy z telefonów komórkowych, to jakby rozstępowało się morze, a Norm maszeruje pomiędzy nimi wszystkimi z wysoko uniesioną głową, dla każdego ma ten sam, miły uśmiech. Texas Stadium to jego podwórko, jego zamek – nie, tak naprawdę to jego królestwo. Prawdziwy król to rzadkość w obecnych czasach, ale tutaj Norm sprawuje władzę absolutną, a Billy widzi, jak niewiele potrzeba, żeby się kmiecie ucieszyli: wystarczy pokazać się na chwilę, pomachać, kilka sekund w pobliżu Norma i są już narąbani tym solidnym, mocnym towarem, jakim jest sława.

Billy tymczasem wypatruje pewnego rodzaju chłopaka, któremu oddałby piłkę. Nie któregoś z bogatych rodzin, takiego w sam raz do pokazania w telewizji, opalonego, bez pryszczycy, z olśniewającymi zębami od ortodonty, o długich, zgrabnych kończynach i szlachetnej twarzy oznajmiającej kumulację szczęścia na genetycznej loterii. Nie, potrzebny mu biedny knypek, niewyrośnięty okaz o przetłuszczonych włosach i paznokciach poobgryzanych do krwi, w wieku dziesięciu lat kumaty jak przygłupi pies, zasadniczo w wiecznej udręce, choć sam jeszcze o tym nie wie. Billy szuka siebie samego. Dostrzega takiego pod budą sieci Whataburger, niedużego, nerwowego chłopaczka z przydużą głową na cienkiej szyi, ubranego zbyt lekko na tę pogodę, w cienką bawełnianą bluzę z kapturem i rozpadające się lipne reeboki – no do *kierwy nędzy*, co to za rodzice, że wydają kilkaset dolarów na bilety na mecz Cowboys, a syn nie ma porządnej kurtki na zimę? Odmęty psychiki amerykańskich konsumentów mogą doprowadzać do furii.

– Przepraszam bardzo – mówi, podchodząc, a młody po cichu wali w gacie: *czym facetowi podpadłem?* Jego rodzice obracają się do Billy'ego, o matko, co za para, grube toto, rozlazłe, tępe, ewidentnie bezużyteczni jako ludzie i rodzice. Billy ignoruje ich.

– Jak masz na imię, młodzieńcze?

Chłopakowi szczęka opada do ziemi. Język ma wątrobiano-białawy.

– Powiedz mi, jak masz na imię, chłopcze.

– Cougar – udaje mu się wykrztusić.

– Cougar. W sensie jak kuguar, dziki kot?

Chłopak kiwa głową. Nie do końca jest w stanie spojrzeć Billy’emu w oczy.

– Cougar! Genialne imię! – kłamie. Cougar, jaka ženada. – Słuchaj, Cougar, mam tu piłkę z autografami, masa zawodników Cowboys podpisała mi się na niej w szatni. Ale niedługo wracam do Iraku i tam tylko bym ją posiał, więc chcę ci ją oddać. Pasuje ci taki układ?

Cougar waży się zerknąć na piłkę, kiwa głową. Ewidentnie jest przekonany, że wrabiają go tu w jakieś totalne upokorzenie, zaraz ktoś wciągnie mu majty aż pod łopatki albo wetknie fajerwerk w rowa.

– Proszę bardzo, młody człowieku. Jest twoja.

Billy wręcza mu piłkę i odchodzi, nie ociąga się, nie spogląda za siebie. Rzyga już dzisiejszym lukrowanym sentymentalizmem, nie pozwoli, żeby zrobiła się z tego kolejna Chwila przez duże Ch. Mango się zatrzymał, czeka na niego.

– I po co żeś to zrobił?

– Bo ja wiem. Tak mnie naszło. – Po namyśle stwierdza, że czuje się jednak lepiej, choć ten nowy nastrój przenika jakąś dziwna melancholia. Przez parę chwil dwaj żołnierze idą razem w milczeniu, po czym Mango oddaje swoją piłkę jakiemuś mijającemu ich dzieciakowi.

– No ba, jebać ich autografy – mówi Billy, a Mango się śmieje.

– Jeśli wygrają Super Bowl, to właśnie oddaliśmy tak z tysiąka.

– Aha, jasne, to ja prędzej postawię tuzena, że nie wygrają.

Wciąż nie wiadomo, co będzie w przerwie meczu, jeśli nie liczyć obietnicy Norma, że „zaprezentuje Bravo w pełnej krasie”, co może oznaczać zupełnie nieszkodliwe stanie w miejscu podczas wyczytywania nazwisk albo coś przerażającego i złowieszczonego jak... czacha dymi. Krążą plotki, że w apartamencie właściciela drużyny jest niejeden bar. Niżsi stopniem Bravo ugadali się już, że schleją się w sztok, ale Billy zaczyna myśleć o Faison i po cichu jednostronnie koryguje te ustalenia, on tylko trochę się nawali. Norm zaprosił ich w nagłym impulsive: chodźcie zobaczyć pierwszy wykop z mojej łoży! Ewidentnie zaraził się Bravo, i to na poważnie, tym

krętkiem ojczyźnianej gorliwości, który włazi w mózg i sprawia, że striptizerki nie żądają pieniędzy za siadanie żołnierzom na kolanach, a w matronach z wyższych sfer budzi się żądza krwi. Kiedy Bravo wchodzi jeden za drugim do apartamentu, witają ich brawa: uprzejme, czysto formalne plaskanie delikatnych dłoni nabiera autentycznej siły i wigoru. Zuchy Bravo! Hurra dla wojska! Pani Normowa stoi przy drzwiach, by ich powitać, i nawet jeśli niepokoi ją widok dziesięciu sporawych, zdyszanych, ziejących wódą gości, pakujących się do i tak już zatłoczonego apartamentu, to jest na tyle taktowną gospodynią, że niczego nie daje po sobie poznać.

Tak się cieszę, że mogliście do nas przyjść. Tylu przyjaciół pragnie was poznać.

Billy omiata cały apartament jednym rzutem oka, błękitny dywan, błękitne elementy wystroju ze srebrnymi detalami, gigantyczne telewizory o płaskich kineskopach wmontowane w każdą ścianę, dwa bary, bufet zimny, bufet ciepły, kelnerzy w białych marynarkach, a o parę stopni niżej jest drugi poziom, odzwierciedlenie pierwszego, dalej zaś – stromy sektor dla widzów, rzędy okrytych tapicerką fotelików opadają schodkowo aż do przeszklonego frontu łoży, skąd widok na boisko jest taki, że tylko pocztówki sprzedawać. Od razu czuć tu bogactwem, taka jakby delikatna wibracja, jak szczypanie w wargach od mentolu. Billy zastanawia się, czy bogactwem nie da się zarazić jak jakąś bakterią, tylko dzięki temu, że było się blisko.

Czujcie się jak u siebie w domu, mruczy pani Normowa. Częstujcie się napojami. Pani słowo jest dla nas rozkazem, szanowna pani. Bravo z miejsca przypuszczają szturm do darmowych procentów, choć Dime patrzy na nich srogo i ruchem warg przekazuje „tylko po jednym”, ale zanim żołnierze zdążą okopać się przy barze, Norm gramoli się na krzesło – co on z tymi krzesłami? – i wygłasza krótką mowę w temacie

żołnierze

bohaterowie

goście

i z jakże wielką

przyjemnością

dumą

radością

cała rodzina Oglesbych wita tę szansę, by dziś, w Święto Dziękczynienia,

podziękować

uczcić

docenić

Bravo za ich dzielną służbę. Billy zauważa, jak uważnie inni goście słuchają przemówienia Norma, jak wyraźnie widać na ich twarzach wiarę i determinację. Panowie wyglądają na mądrych, zrelaksowanych, są w świetnej kondycji jak na ludzi w średnim wieku, obdarzeni tą pełną pewnością siebie i elastycznością manierą, która przychodzi z wielu lat powodzenia. Nie łysieją. Zmarszczki dodają im uroku. Kobiety są smukłe, wysportowane, z zagraniczną opalenizną, makijaż mają utrwalony teflonową warstewką szyku. Billy próbuje sobie wyobrazić wzór, algorytm urodzenia, pieniędzy, edukacji i talentów towarzyskich, który wynosi ludzi na tak elitarne pozycje w życiu. Jaki by on był, ci, co tu po prostu sobie stoją, przez samo to, że są tym, kim są, w tym wyjątkowym miejscu, w ciepłe, bezpieczni i czysti, że są gośćmi Norma, sprawiają, że wydaje się to łatwe. Większość z nich ma w dłoni drinka albo talerzyk z jedzeniem. *Zło*, mówi Norm. *Terror. Śmiertelne zagrożenie. Naród w stanie wojny.* Jego przemowa dotyczy przeraźliwych okoliczności, ale w tej chwili, w tym miejscu wojna wydaje się czymś bardzo odległym.

– Wkrótce będą musieli nas opuścić – ciągnie Norm. – Wezmą udział w naszym widowisku w połowie meczu, ale póki tu są, powitajmy ich serdecznie, po teksańsku. – Wszyscy klaszczą, wiwatują, pokrzykują, no, zaczynajmy tę imprezę: towarzystwo balowiczów łapie już dobrą fazę na Bravo. Do Billy'ego podchodzi czyjś okrutnie pomarszczony dziadek.

– Do licha, żołnierzu, ależ się cieszę, że cię widzę!

– Dziękuję panu. Mnie również bardzo miło jest pana poznać.

– March Hawey – mówi tamten, wyciągając dłoń. I nazwisko, i twarz mgliście się Billy'emu kojarzą, dobroduszość w pomarszczonych i obwisłych rysach szczupłego oblicza, elfie skosy oczu i uszu. Gdyby miał strzelać, powiedziała by, że March Hawey to jeden z tych teksańskich celebrytów, którzy są sławni głównie dlatego, że są bogaci i sławni.

– Słuchaj no, kiedy tamtej nocy pojawiła się ta wiadomość... kiedy zaczęli pokazywać ten film, jak żeście tych typów rozpatrzyli odmownie... to była jedna z najbardziej emocjonujących chwil w moim życiu, wcale nie przesadzam. Aż trudno wyrazić słowami, co dokładnie wtedy czułem, ale to był... sam nie wiem, po prostu piękny moment. Margaret, ty mu powiedz, co się wtedy ze mną działo.

Zwraca się do swojej żony, która wygląda o dobre dwadzieścia lat młodziej od niego, posągowej damy o wzroście ponad metr osiemdziesiąt, sztywnych blond

włosach i skórze napiętej jak suflet.

– Z początku – mówi *ZpoczOHtku*, z oschłym brytyjskim akcentem Joan Collins, ponieważ rywalką w powtórkowym odcinku *Dynastii* – myślałam, że postradał *rhozum*. Słyszę, jak *wrzeeeszcz* w pokoju telewizyjnym, więc *pęęęędzę* na dół i widzę, że *sthoi* na moim pięknym stole bibliotecznym, to Jerzy Czwarty, a on *sthoi* na nim w tych swoich *khov-bojkach*, Boże *dhogi*, i te jego gesty, jak z *Rhocky'ego*... – unosi ręce i parę razy niezgrabnie wyrzuca pięści w górę – więc „Mahcz!”, krzyczę, „Mahcz, kochany, najdhoższy, na miłość BHOSSKĄ, cóż w *ciebie* wstąpiło?”

Podeszło do nich jeszcze kilka par. Wszyscy się uśmiechają, kiwają głowami, widocznie takie zachowanie ich dobrego przyjaciela Marcha to dla nich nie pierwszozna.

– To było *katharsis* – mówi Hawey, a Billy starannie odnotowuje sobie ten wyraz w myśli: *katharsis*. – Kiedy się widziało, jak ich tam *tlukł* jak John Wayne, to było tak, że wreszcie znalazło się coś, przy czym chciało się *wiwatować*. Ta wojna chyba wpędziła mnie w depresję i nawet o tym nie wiedziałem, póki nie pokazali was. Ależ to wszystkim podniosło morale.

Pozostali przytakują gorliwie.

– Jesteś wśród przyjaciół – zapewnia Billy'ego któraś z kobiet. – Tu nie ma nikogo, kto myślałby o odwrocie.

Inni dodają własne wariacje na temat. Margaret Hawey wpatruje się w Billy'ego ogromnymi błękitnymi oczyma – w ogóle nie mruga. Billy czuje, że wkrótce wyda ona werdykt w jego sprawie, stanowczy, krótki i nieodwołalny.

– Jeśli mogę o coś spytać – mówi Hawey, pochylając się Billy'emu przed nos. – Poprawia się tam?

– Tak sędzę, proszę pana. Pod pewnymi względami tak, absolutnie. Robimy, co możemy, żeby się tam poprawiło.

– Wiem! No wiem! Jeśli mamy tam jakieś problemy, to nijak nie wasza wina, żołnierzy mamy najlepszych na świecie! Słuchaj, chłopcze, ja od początku popierałem tę wojnę i powiem ci, że lubię naszego prezydenta, osobiście uważam, że to dobry człowiek, przyzwoity. Znałem go od dzieciaka... patrzyłem, jak dorastał! To dobry chłopak, chce zrobić to, co trzeba. Wiem, że kiedy zaczynał, zamiary miał jak najlepsze, ale te typy, co tam wokół niego są... Słuchaj. Niektórzy z nich to moi dobrzy przyjaciele, ale chyba przyznasz, że zrobili z tej wojny taki bajzel, że kurtka na wacie.

Na te słowa wielu kiwa głowami, smętnie mruży, potakując.

– Cóż, wojowaliśmy – mówi Billy, zastanawia się, skąd by tu zorganizować coś do picia.

– No, tu chyba jesteś jak ekspert. – Hawey znów się pochyła, jeszcze bliżej, ale Billy nie ustępuje. – Chciałbym zapytać o coś innego.

– Proszę bardzo.

– O bitwę. Ale nie żeby wchodzić w kwestie prywatne, tak?

– Nie ma sprawy.

– Ale to normalna rzecz, że ludzie będą się zastanawiać, kiedy ktoś robi coś tak odważnego i wspaniałego jak ty... rozumiesz, wszyscy oglądaliśmy ten film. Wiemy, że było tam ciężko. Więc kiedy jakiś chłopak biegnie w sam środek tego piekła – Hawey prychna, kręci głową – nie sposób nie spytać: przecież chyba się bałeś?

Cała grupka drży, jakby zmrożona emocjami. Tylko Margaret stoi nieporuszona, wpatruje się w Billy'ego tymi błękitnymi oczyskami, które nic a nic nie odpuszczają.

– Na pewno się bałem. Wiem, że się bałem. Ale wszystko działo się tak szybko, że nie miałem czasu na namysł. Zrobiłem tylko to, do czego mnie wyszkolono, tak samo, jak by to zrobił każdy w naszej drużynie. Ja po prostu byłem akurat na tej pozycji. – Myśli, że to im wystarczy, ale oni wciąż milczą, wyczekują zgrabnej puenty, więc Billy musi wymyślić coś jeszcze. – Chyba jest tak, jak mówi nasz sierżant: dopóki nie zabraknie amunicji, raczej nic człowiekowi nie będzie.

W punkt: odrzucają głowy w tył, ryczą ze śmiechu. Pod pewnym względem to łatwizna, wystarczy tylko powiedzieć im to, co chcą usłyszeć, i już są szczęśliwi, uwielbiają go, wszystko toczy się gładko. Czasami Billy musi powtarzać sobie, że to żadna hańba. Ani razu nie skłamał, nie przesadza, a jednak tak często po tych spotkaniach zostaje mu w ustach plugawy, trącający zgnilizną absmak łgarstwa.

Do ich grupy dołączają kolejni ludzie, inni odchodzą, takie są rygory karuzeli życia towarzyskiego. Billy ciągle ściska czyjeś dłonie i zapomina kolejne imiona. Major Mac rozmawia z panem Jonesem przy zimnym bufecie: pan Jones chyba nie zdaje sobie sprawy, że major nie usłyszałby nawet, gdyby obok przejechał czołg. Za nimi jest silna grupa pod wezwaniem, Albert, Dime, Norm z małżonką i kilku spośród najpoważniejszych chyba graczy na tym spędzie. Albert śmieje się, zupełnie zrelaksowany, i tak powinno być, myśli sobie Billy. Albert pływa wśród hollywoodzkich rekinów, z taką zbieraniną z Dallas powinien sobie poradzić, nawet stojąc na głowie, ale teraz Billy skupia się na sierżancie, na tym, jak Dime słucha,

trzyma pozę, tu i ówdzie wtrąci słówko. *Patrz na niego* – mawiał mu Grzybu. – *Patrz i ucz się. Davey to gość nie z tej ziemi. On wie, jak patrzeć w mroku.*

Według Grzybasa to właśnie był ten szczególny dar Dime'a, z którym przyszedł on na wojnę, promień przenikliwości, ale jedynym sposobem na rozwinięcie tej supermocy było nieustanne poddawanie się testowi, nadstawianie karku. Bojownicy nie zdołaliby zabić większej liczby amerykańskich żołnierzy, gdyby ci nie opuszczali baz, ale ten medal miał i drugą stronę: jeśli Amerykanie chcieli namierzyć i likwidować bojowników, musieli wyjechać w teren, przez co cała ta zabawa w punkty kontrolne i przeszukiwanie domów zamieniała się w ćwiczenia w zużywaniu wytrzymałości. Jednak Dime zmusił ich do pogodzenia się z tą postacią wojny. Bravo wychodzili z wozów częściej niż którakolwiek inna drużyna w plutonie, pewnie nawet w całym batalionie. Jechali Bóg wie gdzie, aż tu nagle Dime nakazywał wysiadkę i przez parę kilometrów sobie maszerowali, a hummery toczyły się za nimi, trzymając tempo kolumny. „Gówno się dowiecie, jeśli będziecie siedzieli w tych pudłach”, powiadał. Te małe wypadki zawsze były ryzykowne, łatwo było na nich zginąć, ale w ten sposób Dime gromadził wiedzę, instynkty, doświadczenie – na dzień, kiedy stawką będzie wszystko i wszyscy. Nie to, żeby Bravo byli mu za to wdzięczni. Często gęsto nienawidzili Dime'a za to, że wystawiał ich na ulicę. Nie widzieli w tym sensu, ryzyko zdawało się nieproporcjonalnie wysokie w stosunku do potencjalnych korzyści, ale jeśli któryś z Bravo jojczył, Grzybas mówił mu, żeby się przymknął i robił to, za co mu płacą. Więc szli, maszerowali przez place targowe, przebiegali bocznymi uliczkami, zaglądali do losowych domów, sprawdzając, co tam znajdują. Któregoś razu idą tak ulicą, a tu podbija do nich grupka chłopaków, czternasto-, może piętnastolatków, z aspiracjami do ulicznych biznesików, kiełkującymi wąsami, a ubranych praktycznie w szmaty.

– Pan! Pan! – krzyczą, odważnie podchodząc do żołnierzy. – Daj mi kieszeń! Daj mi kieszeń!

– Kurwa, co? – mówi Dime, wpatrując się w nich.

– Chyba chcą pieniędzy – odzywa się Grzybu, dla pewności spoglądając jeszcze na Scottiego. Scottie był wówczas ich tłumaczem, nazywali go tak, bo wyglądał jak ten super koszykarz, kiedyś w Chicago Bulls, Scottie Pippen. Scottie rozmawia z tymi dzieciakami.

– Tak, chcą pieniędzy. Mówią, że są głodni, proszą, żeby dać im pieniądze.

– „Daj mi kieszeń”? – śmieje się Dime.

– Tak! Tak! Pan, pan! Daj mi kieszeń!

– Nie, nie, do chuja, nie tak, to się mówi inaczej. Wy tłumacz im, że nauczę ich, jak prosić o pieniądze, ale my nie damy im ani centa.

Scottie tłumaczy. Chłopcy krzyczą: Tak! Tak! Okej tak!

Więc Dime urządza im na ulicy krótką lekcję angielskiego. „Daj mi pieniądze”. Powtórzcie. *Daj mi pieniądze*. „Daj mi pięć dolarów”. *Daj mi pięć dolarów*. „Daj mi pięć dolarów, chuju!” *Daj mi pięć dolarówuju!* „Dziękuję!!” *Dziękuję!!* „Miłego dnia!!!” *Miłe konia!!!* Chłopcy się śmieją. Dime się śmieje. Pozostali Bravo też się śmieją, ze śmiechem obserwują dachy i drzwi domów, omiatają je lufami karabinków.

– Dziękuję! – krzyczą chłopcy, kiedy kończy się lekcja, i każdy ceremonialnie ściska dłoń Dime’a. – Dziękuję! Pan, pan! Dziękuję! Daj mi pieniądze! – I drą się na cały głos, odchodząc ulicą: Daj mi pieniądze! Daj mi pięć dolarów! Daj mi pięć dolarówuju!

– Ożeż – odzywa się Grzybas i dodaje stłumionym, rozedrganym głosem newage’owej uczuciowości: – Dave, brachu, to było po prostu piękne. Zrobiłeś tu coś pięknego.

Dime prycha, po czym jedzie na najbardziej świętoszkowatej nucie:

– Wiesz, jak to mówią. Daj człowiekowi rybę, a naje się dzisiaj. Ale naucz go łowić...

– ...i już nigdy nie będzie głodny – kończy Grzybu.

Z czasem Billy pojął, że tego typu humor to kolejny aspekt jego edukacji w zakresie ogólnoswiatowej ściemy. Nagle utratę Grzybasa czuje niczym dłuto wbite w brzuch, zarazem jednak na równoległej ścieżce w mózgu odnotowując, że smutek przychodzi i odpływa, puchnie i wątleje, niczym księżyc dokazujący na zagranicznym niebie.

– Nie podoba mi się to – peroruje swoim towarzyszom March Hawey. – Myślę, że to błąd psychologiczny i błąd strategiczny. Świetnie, dbajmy o to, żeby społeczeństwo amerykańskie było świadome zagrożeń i tak dalej, ale jeśli będziemy bębnić o terrorze bez jednej przerwy, od rana do nocy, w końcu zacznie się ujemne sprzężenie zwrotne.

– Ależ March – protestuje jedna z kobiet – oni chcą nas wyrznąć!

– Ależ oczywiście! – Hawey spogląda na Billy’ego z rozbawioną miną. – Cały świat jest niebezpieczny, to żadna nowina. Ale jeśli będziemy kłuli tym publikę w oczy, nic tylko *terrR, terrR, terrR*, to osłabi morale, osłabi rynki, nikt na tym nie skorzysta.

– Poza Cheneyem – rzuca ktoś i wszyscy chichoczą.

– Owszem – łaskawie zgadza się Hawey, uśmiecha się ze zwłoką. – Stary Dick ma własne metody załatwiania tego i owego. Przyjaźnię się z nim od dawna, ale muszę

przyznać, że od naszej ostatniej rozmowy minęło już trochę czasu.

Billy'emu przynoszą danielsa z colą. Skąd wiedzieli? Skądś się dowiedzieli. Billy dziękuje skinieniem głowy, sący drinka, wydaje potakujące dźwięki, kiedy ludzie wyrażają swe przemyślenia i odczucia na temat wojny. Tu, w kraju, wszyscy są tacy pewni siebie, gdy mowa o wojnie. Operują pewnikami, imperatywami, kwantifikatorami uniwersalnymi, poglądami, które w kontekście wydają się całkiem rozsądne. Wojnę tutaj od wojny tam dzieli coś jakby przepaść i na ile Billy jest w stanie to ocenić, cała sztuczka polega na tym, żeby się nie potknąć przy skakaniu z jednej strony na drugą.

– Jedną zaletę, trzeba przyznać, dynastyrześnia miał – zwierza mu się jakiś mężczyzna. – Feministki się przymknęły.

– Ach. – Billy studiuje głębiny szklanki. *Feministki?*

– No pewnie – ciągnie tamten. – Już im się tak nie pali do „wyzwolenia”, kiedy to my jesteśmy atakowani. Są pewne rzeczy, które mężczyźni mogą robić, a kobietom zupełnie nie idzie. Na ten przykład walka. W życiu bardzo wiele spraw sprowadza się do siły mięśni.

– Może od czasu do czasu potrzebna jest nam wojna, żeby się we łbach nie przewracało – dodaje inny.

Wokół głównej konwersacji, nieodmiennie dotyczącej wojny, krążą gromadki zajęte podrozmowami. Billy spotyka właściciela firmy... BetoChłód? ChodniKamień? Takie coś, czym można dla wygody wyłożyć podwórko. Facet mówi Billy'emu, że ostatnie wzmożenie ataków bojowników to znak, że szala zaczyna się przechylać na naszą stronę.

– Widać, że są już zdesperowani – peroruje. – Daliśmy im bobu tak, że poczuli.

– Możliwe – przyznaje Billy, gdy nagle na barki spada mu ręka niczym konar dębu: to Norm, ich gospodarz, postanowił go przygarnąć. W grupie zapada milczenie. Na każdej uśmiechniętej twarzy maluje się wyczekiwanie.

– Specjalista Lynn.

– Tak jest.

– Wszystko pasuje?

– Tak jest. Wszystko jest w porządku.

Ludzie śmieją się, jakby powiedział coś okropnie dowcipnego. Norm ściska mu kark, kilka razy potrząsa głową Billy'ego.

– Cóż to za zaszczyt – mówi zgromadzonym – jaki to przywilej gościć dziś u nas tych młodych bohaterów. – Billy czuje, że oddech Norma zalatuje drożdżową nutą burbona. – Przynoszą naszemu krajowi chlubę i radość, a ten tutaj – i znów kilka razy trzęsie głową Billy’ego, aż mózg się telepie – ten młody człowiek... cóż, ujmę to w ten sposób. Czy kogoś to dziwi, że natarcie nad kanałem Al-Ansakar poprowadził Teksasńczyk?

Grupa odpowiada ostrą salwą oklasków. Wszyscy wokół się obracają i dołączają do aplauzu. Billy jest bezradny, Norm przyszpilił go jak motyla w gablocie, teraz może tylko stać i suszyć zęby, jakby go przyłapano na zabawie z gównem.

– Patrzcie, on się rumieni! – woła jakaś kobieta i na pewno tak właśnie jest, Billy czuje, jak z twarzy bije mu gorąco. Tak oto udręka jest brana za szlachetną skromność.

– Myślę, że to może być następny Audie Murphy – wtrąca March, szczerząc się do Billy’ego. – To dopiero był wielki amerykański bohater. I Teksasńczyk.

– On też jest bohaterem – przytakuje Norm, mocno przygarniając Billy’ego. – To dlatego nosi Srebrną Gwiazdę. A z dobrego źródła wiem, że zgłoszono go do Medalu Honoru, ale jakiś oficerek za biurkiem w Pentagonie utracił kandydaturę.

Nuta niezadowolenia mąci zebranych, jakby ktoś trącił struny cytry. Billy ma nadzieję, że nikt z Bravo na to nie patrzy, ale proszę bardzo – oto Dime beznamiętnie obserwuje całą scenę, a Albert się uśmiecha, ba, wręcz triumfalnie szczerzy, gdy zauważa spojrzenie Billy’ego, i tak staje się jasne, skąd ten przeciek. Przy pierwszej okazji Billy się wymawia i kieruje do najbliższego barmana. Colę, mówi. Po prostu zwykłą colę. Po minucie przedziera się do niego Dime.

– Billy, nie odlatuj mi tutaj.

Billy unosi brodę.

– Po co ta ściema.

– Jaka ściema? – Porozumiewają się ledwie słyszalnym szeptem.

– No ta. To pierdolenie o Medalu Honoru.

– A, to. Billy, wyluzuj. Jesteś patentowana gwiazda.

– Albert...

– Albert wie, co robi.

– Ale skąd on w ogóle o tym, kurwa, wiedział?

– Bo mu powiedziałem, ćwoku. Masz w tej szklance jakieś procenty?

– Nie.

– I bardzo dobrze, masz mi być w miarę trzeźwy na połowę meczu. Nie pytaj, nie powiedzieli mi jeszcze, co mamy wtedy robić.

Billy garbi się nad szklanką.

– Sama ściema.

– Ale z ciebie strasznie wrażliwa zosia niedotykańska, Billy.

– Po chuj mu w ogóle o tym mówiłeś?

Dime nawet nie zawraca sobie głowy sileniem się na odpowiedź. Wciąż stoją strategicznie przy barze. Jeśli tylko odwrócą się od kontuaru, zaraz ktoś będzie chciał z nimi rozmawiać.

– Wiesz, kim był ten dziadek, z którym rozmawiałeś?

– No, tak.

– March Hawey.

– Wiem, że to on.

– To on nakręcał tę akcję z kutrami rzeczynymi. Słynny gość.

Billy patrzy prosto przed siebie. Dime wcale nie musi wiedzieć, że Billy typa nie rozpoznał.

– Bogatszy niż sam Pan Bóg, a jakie ma kontakty! Więc uważaj, co przy nim mówisz.

– Czemu miałbym uważać?

– Bo nie wiem, czy się zorientowałaś, że żyjemy w kraju bardzo upartyjnionym, Billy. Ci goście są cwani, oni wiedzą, kto jest ich wrogiem. Parę lipnych medali nie zamydli im oczu.

Billy zerka na własny tors, przygląda się swoim odznaczeniom w tym, być może niekorzystnym, świetle.

– Ja nie jestem wrogiem.

– Ahahaaaa, tak ci się wydaje? To oni decydują, nie ty. To oni mają głos, facet, kiedy przyjdzie stwierdzić, kto tu jest prawdziwym Amerykaninem.

Billy upija łyk coli.

– Nie zamierzam startować na prezydenta, panie sierżancie.

Dime kiwa głową, wpatruje się w górski pejzaż butelek z alkoholami na półkach za kontuarem.

– Wiesz, co kiedyś powiedział mi dziadek?

– No co.

– Powiedział tak: „Synuś, jeśli będziesz chciał sobie dobrze pożyć, zadbaj o trzy rzeczy. Po pierwsze, zrób fortunę. Po drugie, płać podatki. A po trzecie, nie mieszaj się do polityki”.

Z tymi słowy Dime zabiera swoją szklanę i odchodzi. Billy chciałby się nacieszyć cichą chwilą samotności, ale na zwolnione miejsce galopem nadciąga ból głowy. Ciekawe, czy to migrena – skąd miałby wiedzieć? Migrena albo i coś gorszego, tragicznego, zabójczego, guz mózgu, nowotwór, rozległy udar. *Biedny chłopak. Taki młody. Umarł w dziewictwie.* Tragedia. Ten ból głowy to, chciał nie chciał, teraz już właściwie jak kiepska historia rodziny, straszliwe cierpienie, okropne brzemię, ale kim by się bez niej było? Nagle przez apartament przetacza się fala oklasków i wiwatów, a Billy za późno sobie przypomina, że nie powinien się odwracać od baru.

– Właśnie pokazali was na telebimie! – woła jakaś kobieta, na chwilę wtrącając Billy’ego w rozpacz: pokazali go, jak podpira bar? Potem jednak uświadamia sobie, że to była powtórka tej animacji o Amerykańskich Bohaterach.

– Myślę, że to wspaniałe, jak oni dziś oddają wam cześć, chłopcy – entuzjazmuje się ta babka.

– Dziękuję pani – odpowiada Billy.

– Taka podróż po kraju to na pewno wspaniałe przeżycie!

– A wszystko na koszt podatników – dodaje jakiś mężczyzna. Jej mąż? Śmieje się, żeby okazać, że żartował. Ha, ha.

– Było miło – mówi Billy. – To naprawdę przeżycie. Spotkaliśmy wielu przemiłych ludzi.

– A co najbardziej utkwiło ci w pamięci? – pyta tamta. Bystrooka, zawodowo energiczna blondynka, wiek nie do określenia, obdarzona dramatycznie wystającymi kośćmi policzkowymi i uśmiechem jak srebrna lamówka. Billy typowałby, że to jakaś macherka od sprzedaży: właścicielka dużej agencji nieruchomości czy ktoś wysoko na drabince w Avonie.

– No, na pewno wszystkie lotniska – odpowiada. Wywołuje śmiech całej grupy, zebrano się już z siedem czy osiem osób. Mógłby też dodać centra handlowe, hale sportowo-konferencyjne, pokoje hotelowe, sale wykładowe czy bankietowe, tak do siebie podobne jak kraj długi i szeroki: zabijająca duszę jednorodność, obiekty projektowane raczej pod kątem oszczędności i łatwości utrzymania niż z myślą o czymś tak zróżnicowanym jak ludzkie odczucia.

– Naprawdę podobało mi się w Denver – ciągnie – tyle gór, i w ogóle, tak? Tam było pięknie. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby kiedyś tam wrócić, tak na dłużej.

– Byliście też chyba w Waszyngtonie? – drąży mistrzyni sprzedaży.

– O, tak. Waszyngton bez dwóch zdań robi wrażenie.

– Biały Dom jest taki majestatyczny, nieprawdaż?

– Owszem, takie historyczne miejsce i w ogóle. Chyba nigdy przedtem tak naprawdę nie myślałem o tym, że tam mieszkają ludzie, wie pani? Wiadomo, przecież to Biały Dom, prawda. Ale wspaniałe miejsce, w sumie tak by sobie człowiek wyobrażał taki naprawdę elegancki pałac.

Pani od nieruchomości przytakuje: wraz ze „Stanem” już kilka razy składali Bushom wizytę, Biały Dom naprawdę robi potężne wrażenie. Byli tam na kolacji? Nie? Jaka szkoda, bo takie oficjalne państwowe kolacje to naprawdę potężne przedsięwzięcia, wielka pompa, protokół, obracanie się w towarzystwie koronowanych głów i mężów stanu. Może przy następnej okazji, mówi Billy. Potem ktoś pyta, czy już wygrywamy, i oto otwiera się dyskusja o wojnie, a Billy krąży między ludźmi jak ulubiona szisza całego towarzystwa. Dlaczego oni zabijają także swoich? Dlaczego nas nienawidzą? Czemu to zawsze siedemdziesiąt dwie dziewice? Mózg przełącza mu się na autopilota, wzrok wędruje po sali. Billy zauważa, że Lodis gdzieś daleko bełkocze Bóg wie o czym, a ludzie wokół słuchają z uprzejmą zgrozą. Potem Crack: uderza do czyjejs nastoletniej córki, wygląda na to, że bajer idzie mu nieźle. Sykes tępo gapi się w przestrzeń, zaciskając zęby. Albert rechocze sobie z Normem i panią Normową. Billy uświadamia sobie, że ten jego ból głowy może być czysto psychosomatyczny: jego umysł, ogolona małpa, pokazuje, co potrafi, jak goryl z tej starej reklamówki walizek Samsonite.

– ...to kodeks honorowy, którego korzenie sięgają aż do tradycji anglosaskich: nie atakujemy, póki ktoś nas nie zaatakuje. Nie jesteśmy barbarzyńcami. To nie my zaatakowaliśmy dynastegorzeźnia. Ani w Pearl Harbor, nawiasem mówiąc.

– To prawda, proszę pana. – Billy powraca do świata konwersacji.

– Ale kiedy już nas zaatakuje, to zapłacą za to po stokroć, prawda?

– Tak, proszę pana, chyba można to tak ująć.

– No, na przykład, gdyby ktoś zaczął do was strzelać... powiedzmy, że jesteście na patrolu i jakiś snajper kilka razy strzeli w waszą stronę, to co się stanie?

– Walimy w niego ze wszystkiego, co mamy, proszę pana.

A ten się uśmiecha.

– No właśnie.

Hej! Hej! Hej! Pokrzykują ludzie, żeby uciszyć innych, to znak, żeby wszyscy się przymknęli i słuchali, będzie śpiewany *Gwiaździsty Sztandar*. Wszyscy obracają się ku boisku. Niebo ściemniało do koloru szpachli pod lakier, nad rozświetlonym papierowym lampionem stadionu zawisa coś jakby matowy pęcherz chmur. Na poziomie murawy światło rozlewa się i gęstnieje, lśni jak auszpik, z cytrynową nutką. Śpiewaczka wraz z poczetem sztandarowym wychodzi z linii bocznej gospodarzy, gdzie zebrały się już hufce zawodników, trenerów, sędziów, dziennikarzy i VIP-ów, a do tego tyle sprzętu, że wygląda to, jakby cyrk przyjechał. Mogliby wystąpić jako starodawna armia oblegająca jakąś fortecę. Poczet wykonuje salut flagą. Rozsiani po apartamencie Bravo strzelają obcasami, baczność.

Oo-

ooo,

Oo-ooo, oo-ooo, oo-ooo, echo obija się po sponiewieranym głębiach mózgu, oo-ooo, jakbyś stał u wlotu jaskini i nieśmiało, z nadzieją wołał tam w mrok. *Oo-ooo, jest tam kto?* Oo-ooo, oo-ooo, oo-ooo. Ten taki puszczonego rytmu, ze złapaniem powietrza, jak w reggae, oo-ooo, dzięki tresurze jak u Pawłowa powoduje detonacje bomb dopaminowych, ksylofonowe tryle po całym kręgosłupie, w górę i w dół. Aż tu nagle pod nogami otwiera się zapadnia

po

o

o

o

wiedz

i zaraz ocalenie, lądowanie na siatce bezpieczeństwa, i *juuuu*, odlot w najwyższe rejestry

dziiiiisz???

wiiii-

czyyy

I dalej, zaczyna się rytualne katowanie niełatwej pieśni. Piosenkarka to młoda biała dziewczyna, ma kruczoczarne włosy i drobną sylwetkę, specjalistka od ballad country and western, z klasycznym łzawym akcentem z wyżyn. Billy’emu obilo się gdzieś o uszy, że to zwyciężczyni ostatniej edycji *Amerykańskiego Idola*, i jak wszystkie Amerykańskie Idolki, kurdupłowate czy nie, los obdarzył ją ustami ogromnymi niczym główna nawa w katedrze.

CSSSSSSSSOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOOO

tak

DUUUUUUUUMMMMMMNNNNNIIIIIIIEEEEEEEEEEEEEEE

Billy wciąż salutuje. Postanowił sobie, że będzie myśleć o Grzybasie, o Lake’u, o palącej czerwonej plamie, którą był tamten straszliwy dzień, ale ponieważ jest młody i ma jeszcze pewne nadzieje na przyszłe życie, stara się wypatrzeć Faison tam daleko, w dole, na linii bocznej. Systematycznie przemieszcza wzrok z czirliderki na czirliderkę, nie, nie, nie, nie, naście razy nie, a potem *tak* i w głowie zaczyna się wir, jak samochód na lodzie, tylko *ziuuu* i śmignie w bok, budząc oczywiście mdłości, panikę, totalny zacisk pośladków, zapraszamy do wagonika rollercoastera prosto w otchłań. W końcu jednak oczy przestają mu wyłazić z orbit, celują prosto w Faison, krępą włochatą piłeczkę kobiecej obfitości, tę grzywę bursztynowych włosów niczym potok lawy. Faison trzyma przy sercu prawą dłoń z pomponem. Śpiewa, Billy nawet tu, z góry, widzi, jak poruszają się jej usta, a łącząca ich więź jest tak silna, że aż pochyła się ku niej o parę cali. *Facet, ona na ciebie leci*. Ten śpiew wywołuje w jego wnętrzu cichą detonację, rozpalone kawałki Billy’ego rozlatują się na wszystkie strony, w uszach dzwoni mu od fali uderzeniowej wybuchu, który tylko on usłyszał, ale czymże jest *Gwiazdzisty Sztandar*, jeśli nie pieśnią o miłości?

w
zmie-
e-
e-
e-
e-
rzchu
ostat-
nim

brzas-

ku

Musi sobie przypominać o oddychaniu. Czuje się zarazem spokojny i podekscytowany, a świadomość własnego istnienia ma podkreconą do tak opętańczego poziomu, że chyba lada moment trzaśnie mu czaszka, więc jęczy, nie potrafi utrzymać tego wszystkiego w sobie. Babka od nieruchomości zerka w jego stronę i odpowiada współczującym jękiem. W następnej chwili podchodzi do Billy'ego, obejmuje go w pasie i stoją tak razem, Billy saltuje, spocony, wyprostowany jak strzała, babka od nieruchomości śpiewa, prawą dłoń trzymając na sercu, lewa przywiera do biodra Billy'ego.

Pnad

SZAAAAAÑÑÑÑ-

cmi

patrzy-

liśmy

Och, ma kobieta parę w płucach. Po policzkach ciekną jej łzy jak fasola, ale to wojna robi z ludźmi takie rzeczy. Wzmacnia doznania, kondensuje czas, pobudza namiętności, i choć jedna sesja niedoseksu to może trochę wąła podstawa do budowania związku na całe życie, Billy chętnie by uwierzył, że tak właśnie nakazywałaby logika sytuacji. Sprawił, że Faison zadrzała, że doszła, to chyba musi coś znaczyć? Biorąc pod uwagę wszystkie zmienne parametry bytu, szaleństwem byłoby planować czy mieć nadzieję, że dojdzie do określonego, szczególnego wydarzenia, a jednak jakimś cudem codziennie świat wciąż istnieje. Więc jeśli nie to, cóż miałyby się zdarzyć? No i czemu nie to, czego by pragnął?

DOOOOWÓÓÓÓD DAWAAAAAŁY

przez noc

CAAAAAAŁĄ

Babka od nieruchomości przygarnia go bliżej. Billy nie wyczuwa w tym żadnych podtekstów erotycznych, to zbyt delikatny uchwyt, coś jakby kleiła się do niego osoba współzależniona, albo ścisła matka, a to spokojnie da radę znieść. W ramach bycia żołnierzem człowiek musi oswoić się z tym, że nie on decyduje o własnym ciele.

Szta-ha-haaaandaaar

wcio-haż

poooo-hooooo-

wieeeeewaaaaa

Naaadzie-miąąąą Luuuu-hu-dziiii Wooooooool-NYYYYYYYYYYYYYCH

Tu pauza, zatrzymanie się na samym skraju urwiska, i wokół pikuje w dół:

I ho-oooooj-

czyyyyyyyyz-

no-ho-hą

Kiedy Amerykanie świętują zakończenie hymnu państwowego, naprawdę łatwo byłoby ich wziąć za bandę pijaczyn. Kiedy wciąż jeszcze rozbrzmiewają nietrzeźwe brawa i bełkotliwe wiwaty, do Billy'ego ściąga paręnaście kobiet w średnim wieku. Przez chwilę wydaje się, że zaraz rozedrą go na sztuki, w ich oczach wirują światełka obłędu, one dla Ameryki zrobiłyby wszystko, tortury, atomówki, cały świat jako wkalkulowane straty, dla Boga i ojczyzny wchodzi w każdy układ.

– To takie cudowne, prawda? – krzyczy macherka od nieruchomości, ściskając go mocno. – Czy można tego nie kochać? Aż przecież rozpiera, taka wielka duma!

Akurat w tym momencie to najchętniej by się rozpląkał, tak rozpaczliwie dumnie się czuje. Czy to by się liczyło? Czy w ogóle posługujemy się tym samym językiem? Dumny, pewnie, myśli sobie o Grzybasie, o Lake'u, o wszystkich krwawych prawdach tamtego dnia i zaczyna prywatną burzę mózgu, wywodzi z teorii kwantowej dowody dumy. Tak, psze pani, dumnie, Bravo osiągnęli już taką moc dumy, że są w stanie przenosić góry, zmieniać fazy Księżyca, ale błagam, dlaczego w ogóle gra się przed meczami hymn? I Dallas Cowboys, i Chicago Bears należą do prywatnych właścicieli, to korporacje działające dla zysku, na boisko wchodzi ich pracownicy. Równie dobrze moglibyśmy odtwarzać hymn na początku każdej reklamy, przed każdym posiedzeniem zarządu, przy każdej wpłacie czy wypłacie bankowej!

Billy nie poddaje się jednak:

– Jestem pełen – mówi, a kobiety podnoszą rwetes, zaczyna się taki puszysty młyn, mnóstwo uścisków i dotykania, rozliczne zdjęcia trzaskane komórkami, trzy czy cztery konwersacje naraz, niejedna z pań zalewa się autentycznymi łzami. Ciężka sprawa taka Chwila w Grupie, Billy'emu prawie puszczają nerwy, ale wreszcie wszystko się

kończy, więc opuszcza głowę i schodzi na niższy poziom, bo to trochę jak w bitwie pod Little Big Horn, generał Custer też nie bardzo miał się gdzie wycofać. Kiedy przebija się przez tłum, ludzie ślą mu uśmiechy, witają go, ktoś wyciąga ku niemu drinka, więc Billy przyjmuje szklanke, potem dopiero uświadomi sobie, że tamten chciał go tym gestem tylko pozdrowić. Dociera do krawędzi sektora z fotelami i rusza schodami w dół. W najniższym rzędzie przycupnęło trzech innych żołnierzy Bravo, znaleźli sobie schronienie, małą redutę wśród tego tłumy niebezpiecznie rozemocjonowanych cywilów.

– Jezu Chryste – mówi Billy, siadając ciężko.

Pozostali Bravo pomrukują. Bycie bohaterem strasznie męczący.

– Bears wygrali rzut monetą – oznajmia A-bort. – Już jestem pięć dych do przodu, panowie.

Holliday prycha.

– No, A-bort, jesteś mistrz. To żeś pokazał, że się znasz na futbolu, jak to obstawiałeś. – Obraca się do Billy'ego. – Gdzie Lodis?

– Został na górze.

– Rżnie głupa?

– Nie, jest dobrze. Coś mówili, co będzie w przerwie?

Pozostali Bravo ponuro kręcą głowami. Wszyscy czują to samo, nie tylko standardową treść, ale wspólny żołnierzom, wewnętrzny lęk przed karmicznym odwetem. Zaliczyli dwa tygodnie występów praktycznie bez wpadek, więc być może normalnym, czy wręcz niezbędnym zwieńczeniem Tournée Zwycięstwa – jakby na to się oszczędzali! – będzie centralne spierdolenie wszystkiego, co się da, w ogólnokrajowej transmisji telewizyjnej.

Cowboys wykopują, Bears przejmują. Sędziowie zaliczają odłożenie. Bears zaczynają z linii dwudziestu jardów, wywijają się obronie i zyskują trzy, środkiem boiska kolejne dwa, podanie na słabsze skrzydło i dają radę pociągnąć jeszcze cztery jardy, ale chorągiewka idzie w górę. Między zagraniami nie ma nic do roboty, można tylko oglądać durne reklamy na telebimie i martwić się, co będzie w przerwie.

– Nie myślicie, że to niegrzeczne z naszej strony? – odzywa się Mango.

Wszyscy na niego patrzą.

– Bo tak siedzimy tu sami. Do nikogo nie podchodzimy ani nic.

– W chuj niegrzeczne – stwierdza Day.

– Wystawmy tabliczkę – proponuje A-bort. – „Aspołeczni weterani, nie podchodzić”.

Oglądają parę zagrywek. Mango ciągle wzdycha, wierci się.

– Futbol to nuda – oznajmia w końcu. – Ludzie, nie zauważyliście tego jeszcze? Normalnie nic, tylko start, stop, start, stop, może z pięć sekund gry na minutę stania i czekania. Kurwa, ależ nuda.

– Możesz wyjść – mówi mu Holliday. – Nikt ci nie każe tu siedzieć.

– Nie, Day, kazali i muszę. Muszę być tam, gdzie mi każe wojo, i dziś wypadło, że mam być tu.

Bearsi mają wykop. Drużyna Cowboys wraca na dwudziesty szósty jard. Dłuższy czas mija na ustawianiu łańcuchów, wymianie piłki. Napad i obrona truchtem wybiegają na murawę. Napastnicy zbijają się w gromadkę, obrona kręci się dokoła, sapią, dyszą, opierając dłonie na biodrach. Jasny gwint, myśli sobie Billy, Mango miał rację. Między zagraniami równie dobrze można by siedzieć w kościele. Gdyby nie piekielny ryk telebimu, każdy zwinąłby się i zasnął. Podchodzi jeden z filipińskich kelnerów, pyta, czy nie mieliby na coś ochoty. Bravo rozglądają się, nie widzą, żeby gdzieś się czaił Dime, więc idzie zamówienie na danielsa z colą dla każdego. Billy szybko doi swoją omyłkowo zdobytą żurawinówkę i z przyjemnością wodzi wzrokiem za Faison. Nadchodzą drinki. Dzięki nim już trochę słabnie klimat nabożeństwa. Cowboys docierają na linię czterdziestu dwóch jardów na połowie Bears, ale potem tracą szesnaście, kiedy Henson ląduje na trawie, zanim zdąży podać, i Billy zaczyna rozumieć, jak bardzo bezcelowe jest zajmowanie terytorium, którego nie umie się utrzymać.

– Proszę, powiedzcie mi, że w tych kubkach nie ma wody – warczy Dime. Bravo aż się podrywają. Dime siada ciężko na foteliku obok Billy’ego, z karku dynda mu na pasku lornetka.

– Tyle co nic – mówi A-bort. – Właśnie mieliśmy się poskarżyć.

– Ej, ludzie, no przecież mówiłem wam...

– Elo, Dime – wbija się Day – Mango mówi, że futbol jest nudny.

– Cooo? – Dime z miejsca wsiada na Mango. – Że niby, kurwa, jakim cudem futbol ma być nudny, futbol jest boski, futbol sra na wszystkie inne sporty, futbol to jest, kurwa, szczyt szczytów sportowego świata. Że co chcesz mi tu powiedzieć, że wolałbyś oglądać piłkę nożną? Bandę pedałów ganiających po boisku w krótkich gaciach i podkolanówkach? Grają przez dziewięćdziesiąt minut i nikt nie strzeli gola,

no tak, zajebista zabawa, wybór każdego pacjenta w sypialce wegetatywnej. Nie no, pewnie, jak chcesz sobie oglądać FIUT-bola, Mango, to weź już zaraz wypierdalaj z powrotem do Mehiko.

– Jestem z Arizony – odpowiada mu spokojnie Mango. – Tam się naprawdę urodziłem, sierzancie. Przecież pan wie.

– A bądź sobie i z Koziej Pyty w Idaho, co mnie to. Futbol to gra strategiczna, liczy się tu taktyka, to gra dla myślących ludzi, a na dodatek czysta poezja w akcji. Ale z ciebie ewidentnie jest głupi chuj, który nie potrafi tego docenić.

– Tak właśnie musi być – mówi Mango. – Pewnie trzeba geniusza...

– Stul PYSK! Montoya, jaki ty jesteś beznadziejny, przynosisz wstyd meksykańskiej sprawie. Pewnie to takie smętne fiuty jak ty przepieprzyły Alamo.

Mango się chichra.

– Panie sierzancie, chyba coś się panu deczko poplątało. To nie...

– Ryj! Żeby już więcej nie słyszał żadnych pedalskich reinterpretacji historii, więc morda w kubel.

Mango odczekuje parę chwil.

– Wie pan, mówią, że gdyby w Alamo były tylne drzwi, Teksas nigdy by...

– RYJ!

Bravo pokwikuja jak gromadka harcerzyków. Cowboys mają wykop, ale jest kara, więc muszą wybić piłkę jeszcze raz, a potem wszyscy schodzą z boiska, bo jest przerwa reklamowa w telewizji. Dime unosi lornetkę do oczu.

– Która to? – mówi pod nosem, świadom, że to sprawa osobista, ba, wręcz świętość.

– Po lewej – odpowiada półgłosem Billy – tak koło dwudziestego jarda. Włosy takie blond, trochę rudawe.

Dime obraca tors w lewo. Czirliderki wykonują właśnie hiphopowo-rockowy układ, dużo kręcenia tyłkami, całkiem zgrabne widowisko dla zabicia czasu. Dime obserwuje je przez chwilę, po czym nie odrywając lornetki od oczu, podaje Billy'emu dłoń.

– Gratulacje.

Ściskają ręce.

– Zawodowa laska.

– Dzięki, panie sierzancie.

Dime wciąż patrzy.

– Serio poszedłeś z nią w ślinę?

– Naprawdę. Daję słowo, panie sierzancie.

– Co ty z tym słowem. A jak się nazywa?

– Faison.

– To imię czy nazwisko?

– Ee, imię. – Billy uświadamia sobie, że nie zna jej nazwiska.

– Uch. Jasny gwint. – Dime chichocze pod nosem. – Nasz młody Billy ma wiele ukrytych talentów. Kto by pomyślał.

Gdy Dime odchodzi, Billy pyta go, czy mógłby pożyczyć lornetkę, a sierżant wielce poważnie, w milczeniu zakłada mu pasek na kark, jakby dekorował mistrza olimpijskiego. Billy ma z lornetki wiele radochy. Najczęściej obserwuje przez nią Faison, śledzi wykonywane przez nią układy taneczne, wytężone potrząsanie pomponami, machanie do widzów, żeby pobudzić ich do dopingu. W lornetce materia świata przeobraża się magicznie, zyskuje niezwykłą, delikatną klarowność, detale i barwy widać ze szczegółami, trochę jak w domku dla lalek. Na takim tle wszystko, co robi Faison, wydaje się cudowne. Tu rzuca włosami jak żreback grzywą, tam leniwie podgina nogę, postukuje palcami stopy w murawę, rozprawiając z siostrzycami w pomponiarstwie. W Billym rodzi się niemal gorączkowa tkliwość względem tej dziewczyny, a z nią słodko-kwaśna kotłowanina nostalgii i utraty, poczucie, że ogląda ją z daleka w sensie nie tylko odległości, ale i dzielącego ich czasu. A co znaczy owa melancholia, ten smętny wyciek z duszy: że się zakochał? Co za kurewstwo, że nie ma czasu na ułożenie sobie tego w głowie. Musi pogadać z Faison – potrzebuje jej numeru telefonu! No i adresu mailowego. Nazwisko też nie zawadzi.

– Ej. – Mango go szturcha. – Uderzamy do bufetu. Idziesz z nami?

Nie, mówi Billy. Woli siedzieć tu z lornetką i patrzeć na wszystko. Mecz wcale go nie obchodzi, ale ludzie i owszem, na przykład to, jak od zawodników bije para, niczym smród w kreskówkach. Trener Tuttle krąży przy linii autowej z durną miną gościa, który nie pamięta, gdzie zaparkował samochód. Przy oglądaniu kibiców zstępuje na Billy'ego relaksujące poczucie wszechwiedzy, takie kliniczne zaabsorbowanie tym, jak jedzą, piją, ziewają, dłubią w nosach, prężą się, wiercą, tulą dzieci, to znów je odtrącają – że świata poza tym nie widzi. Oczywiście każdą seksowną babkę ogląda uważniej, naliczył też co najmniej sześć osób przebranych za indyki. Czasem widzi ludzi zagapionych gdzieś w kosmos, rozluźnione twarze, żadnej

czujności – ale prawie zaniepokojeni, spowici mgłą totalnego zagubienia w życiu. Och, Amerykanie. Ludu, mój ludu. Potem wraca spojrzeniem do Faison i z narządów wewnętrznych robi mu się dżem. Powiedzieć, że jest sexy, to nic nie powiedzieć, ona jest jak z „Maxima”, jak modelka Victoria’s Secret, laska klasy światowej, więc będzie musiał wykombinować jakiś plan, żeby byli razem. Taka dziewczyna wymaga finansów...

– Tu jest mój Teksaszczyk!

Billy unosi wzrok. W jego stronę zmierza March Hawey, sunie bokiem między rzędami krzesłek. Billy chce wstać, ale Hawey kładzie dłoń na jego ramieniu i sprowadza go znów do siadu. Sadowi się obok, opiera stopy na barierce, a Billy z miejsca dostaje chcicy na jego kowbojki ze strusiej skóry, lśniące, zielone jak morska toń, z filigranowymi srebrnymi okuciami na noskach.

– I co słyhać?

– Wszystko dobrze. A co u pana?

– Też nieźle, choć wolałbym, żeby nasze chłopaki wzięły się wreszcie do galopu.

Billy się śmieje. Jest tylko odrobinę zdenerwowany, znacznie mniej, niżby przypuszczał, skoro siedzi obok człowieka, który odmienił historię. Facet od kutrów rzecznych. Billy zastanawia się, czy grzecznie byłoby poruszyć ten temat – nie to, żeby w ogóle jakoś dużo o nim wiedział. Cóż, jest jeszcze inna kwestia: po co w ogóle usiadł przy Billym?

– Ktoś powiedział, że jesteś ze Stovall.

– Zgadza się.

– No, macie tam świetne tereny do polowań na gołębie. Rośnie tam u was takie zielsko... gęsieniec? Kaczajka? Wielkie takie, wysokie łodygi, żółte, z takimi długimi strączkami nasion, wszystkie ptaki do tego leżą, a gołębie uwielbiają te nasiona. Wiesz, o co mi chodzi?

– Nie bardzo.

– Nie polujesz?

– Nie, proszę pana.

– Cóż, naprawdę świetnie się nam tam polowało. Mówię ci, natłukliśmy tego masę.

Hawey pyta, czy Billy użyczy mu „lurnetki”. Raz-dwa demonstruje cały wachlarz uroczych tików właściwych starszym ludziom – pociąganie nosem, prostowanie rąk, aż błyskają mankiety, ciche pomlaskiwanie o podniebienie. Pachnie talkiem i czystą, wykrochmaloną bawełną, a na prawej dłoni nosi pierścień z ułożonymi w podkowę

diamencikami. Wiotkie siwe włosy opadają mu na czoło w kędzierzawej grzywce w stylu Hucka Finna.

– Postawiłeś coś na ten mecz? – Wciąż manipuluje pokrętem ostrości, w tę i z powrotem.

– Nie. Ale niektórzy koledzy i owszem.

– Nie obstawiasz meczów?

– Nie, proszę pana.

Hawey na niego zerka.

– Bystry z ciebie chłopak. Za ciężko pracujemy na nasze pieniądze, żeby je tak trwonić. – Kiedy Billy pyta go, w jakiej jest branży, uśmiecha się. – O, tyle tego – mówi, oddając lornetkę. – Głównie robimy w energetyce, produkcja i przesył, rurociągi, w tym jesteśmy już prawie czterdzieści lat. Do tego trochę w nieruchomościach, nieco w funduszach hedgingowych, arbitraż, co tylko się da. – Śmieje się przez chwilę. – A czasami, kiedy zobaczymy coś, co się nam spodoba, robimy inwazję. A co, chcesz robić interesy?

– Jeszcze nie wiem. Może. Po wojsku. Ale jeśli miałbym przy tym zdychać z nudów, to nie.

Hawey prostuje się z radosnym okrzykiem, klepie Billy'ego w kolano.

– Chłopie, jakbyś mi to z ust wyjął. Po co robić coś, co człowieka nie cieszy? Z doświadczenia powiedziałbym, że większość ludzi, którzy odnieśli sukces, naprawdę kocha swoje zajęcie, i to samo mówię młodym, którzy proszą mnie o poradę. Jeśli chcecie zarobić, znajdźcie coś, co lubicie robić, i harujcie przy tym jak koń pociągowy.

– Wygląda mi to na słuszną filozofię – zbiera się na odwagę Billy.

– Cóż, pasuje do mojego charakteru. Na szczęście znalazłem sobie pracę, którą lubię, udało mi się również odnieść w niej pewne sukcesy. Wiesz, to po trosze jak gra. – Urywa, kiedy Cowboys próbują zagrać skrzydłem. Skrzydłowy wyciąga się do podania, koniuszkami palców zatrzymuje piłkę, ale ta wypada mu z dłoni na aut. – Tak naprawdę wszystko sprowadza się do prognozowania przyszłości, to właśnie jest klucz do robienia biznesu. Zobaczyć, co się szykuje, i wyprzedzić wszystkich innych, ale trzeba idealnie wybrać moment. To trochę jak układanka z tysiąca ruchomych elementów.

Billy kiwa głową. To akurat brzmi naprawdę ciekawie.

– Więc jak pan to robi? – pyta śmiało, myśląc sobie: „A, do diabła, czemu nie”. – Jak udaje się panu wyprzedzić wszystkich innych, którzy przecież starają się robić

dokładnie to samo?

Hawey znów śmieje się dobrodusznie.

– Ha, dobre pytanie. – Opiera się wygodniej, duma przez chwilę. – Cóż, powiedziałbym chyba, że sekret tkwi w niezależnym myśleniu. I w spokoju ducha.

Billy się uśmiecha. Podejrzewa, że Hawey trochę go nabiera.

– Spokój ducha... – mówi dalej starszy pan. – Musisz wiedzieć, kim jesteś i czego chcesz od życia. Musisz myśleć sam za siebie, a do tego lepiej wiedzieć, kim jesteś, mało, że wiedzieć, musisz być tego pewny, musisz być ze sobą w zgodzie. Do tego trzeba mieć dyscyplinę. Kondycję. A i szczęście nie zawadzi, oczywiście. Odrobina szczęścia daje bardzo wiele, licząc już nawet tego naszego fantastycznego farta, że urodziliśmy się w najlepszym systemie gospodarczym, jaki kiedykolwiek wymyślono. Bynajmniej nie jest to system idealny, ale ogólnie rzecz biorąc, to dzięki niemu ludzkość doświadczyła olbrzymiego postępu. W samym tylko ostatnim stuleciu widzieliśmy, jak standard życia poprawił się bodajże siedmiokrotnie. Nie mówię, że nie mamy problemów, problemów mamy od licha i trochę, ale tu właśnie widać, jak genialny jest wolny rynek, tyle impetu, talentów i energii idzie na rozwiązywanie tych problemów. Popatrz no tylko na ten stadion, na to wszystko, na kibiców, na mecz. – Hawey wiedzie dłonią od lewej do prawej, potem wskazuje niebo i wiszący we wczesnozimowym półmroku sterowiec reklamowy Goodyear. – Masz tutaj wszystko, rozumiesz, o co mi chodzi? Nie chcę być jak ten facet, co chodzi i powtarza, że chciwość jest dobra, ale niech mnie licho, jeśli czasem nie jest siłą, która wiedzie ku dobrym rzeczom. Interes własny to w stosunkach międzyludzkich potężna motywacja i jak dla mnie to właśnie jest najpiękniejsze w kapitalizmie, że przeobraża on w cnotę coś, co jest wrodzoną wadą ludzkości. To właśnie dlatego będzie ci się żyło lepiej niż twoim rodzicom, a twoim dzieciom lepiej niż tobie, ich dzieci zaś będą miały jeszcze lepiej i tak dalej, bo dzięki naszemu systemowi wciąż będziemy znajdowali nowe sposoby, lepsze i łatwiejsze metody rozwiązywania problemów życiowych, dokonamy tylu rzeczy, o których nawet się nam nie śniło.

Billy kiwa głową. Nigdy przedtem nie pojmował Ameryki tak dobrze jak właśnie w tej chwili. To naprawdę, bez wątpienia jest wyjątkowy kraj. Podobnie jak przy udanych startach raket NASA z próbnikami, może się cieszyć z tego osiągnięcia, czuć nawet odrobinę dumy ze współuczestnictwa, ale jednocześnie świetnie rozumie, że to, co się dzieje, zupełnie go nie dotyczy.

– Cóż – ciągnie Hawey – akurat teraz trafił się nam sakramencko trudny okres. Dwie wojny, gospodarka zasadniczo zdechła, nastroje w całym kraju dołują. Ale

przetrzymamy to. Przewyciężymy. Nasz system od ponad dwustu lat dowodzi swej wytrzymałości, a wy, młodzi, wy możecie spodziewać się w przyszłości wspaniałych rzeczy. Myślę, że będzie to dla was czas wielu okazji. Gdybym mógł być w twoim wieku... a ile ty masz lat?

– Dziewiętnaście.

Hawey już otworzył usta, by mówić dalej, ale go zatkało. Patrzy na Billy’ego, jakby zdziwiony – nie zadziwiony, ale chwilowo zbity z tropu.

– Dziewiętnaście. Zachowujesz się jak starszy, słowo daję.

– Dziękuję panu.

– Kurczę, tak nad sobą panujesz, że dałbym słowo, że rozmawiam z dwudziestosześcioletnim prawnikiem.

– Dziękuję panu. Miło mi to słyszeć.

Hawey znów patrzy na mecz. Wydaje się, że zgubił tok myśli, ale po chwili obraca się z powrotem do Billy’ego.

– To prawda, że zgłosili cię do Medalu Honoru?

– Tak jest, dowódca oddziału mnie zgłosił.

– I co się stało?

– Nie wiem. Gdzieś na górze spuścili to w klopie, tyle się dowiedziałem. – Billy wzrusza ramionami. Jeśli czuje w związku z tym jakieś rozgoryczenie, to raczej cudze.

– Widzisz, ja nigdy nie przeszedłem takiej próby. Na drugą wojnę światową byłem za młody, choć pamiętam ją bardzo dobrze. Cóż, Korea... – Hawey odchrząkuje, daje wątkowi umrzeć własną śmiercią. – Poznałeś sprawy, o których większość innych ludzi nigdy się nie dowie. Doświadczyłeś, i ty sam, i twoi koledzy... – I znów nie kończy myśli. Billy wie, co to oznacza, te falstarty, zacięcia duszy, które sprawiają, że pewien typ rozmów w trakcie Tournée Zwycięstwa kończy się raptownie. Starsi panowie borykają się z tym, a on nie może im pomóc. Cokolwiek by powiedział, nic nie zmieni. Nauczył się już, że najlepiej jest zachowywać się tak, jak gdyby nigdy nic. – No cóż – mówi Hawey z wysiłonym entuzjazmem, jak człowiek, który zbywa złe wieści – po prostu jestem dumny, że mogę spędzić z tobą tych kilka chwil. Dziewiętnaście lat, do licha, w tym wieku nie wiedziałem, gdzie mam przód, a gdzie tył. – Żałuje, że nie ma tu jego wnuków, bo i one mogłyby poznać Billy’ego, zobaczyć, jaki z niego wspaniały wzór do naśladowania itepe, itede, chwalcze lanie wody, bardzo miłe i w ogóle, ale Billy wolałby słuchać czegoś użytecznego, dowiadywać się nowych rzeczy albo na przykład dostać ofertę pracy, bynajmniej by nie pogardził. *Chodź pracować dla mnie!*

Zrobimy majątek! Pokażę ci, jak to się robi! Hawey wciąż smęci o swoich wnukach, kiedy na telebimie pojawia się Faison, wielka jak prezydenckie oblicza wyrzeźbione w zboczu góry Rushmore, pochylająca się do kamery, uśmiechnięta, rzucająca włosami, wymachująca tymi fantastycznymi pomponami prosto w twarz Billy'ego, i weź coś tu poradź – Billy z jękiem osuwa się w foteliku. Hawey w mgnieniu oka pojmuje, co jest grane.

– Ho, ho, proszę, zdrowa dziewczyna. – Chichocze, poklepuje Billy'ego po kolanie, dobrze wie, że młodym mężczyznom pewne rzeczy są niezbędne do przetrwania. – A niech mnie, spójrzże tylko na to. Norm ma trochę tych klaczek do popisów, prawda.

Billy i Mango idą się przejść

Z końcem pierwszej kwarty proszą ich o opuszczenie apartamentu. Ma się zjawić ambasador Meksyku z pokaźną świtą, a tutaj jest już tylu ludzi, na ilu pozwalają przepisy przeciwpożarowe, więc ktoś musi wyjść. Norm przeprasza. Wydaje się, że naprawdę jest mu przykro.

– Zobaczylibyście tylko, z jaką ochroną prowadzi się ten typ – kręci głową, tłumacząc to Bravo. – Pewnie tak trzeba, jest wojna przeciwko narkotykom, ale mimo wszystko. My też mamy tutaj niezgorszą ochronę.

– A do tego macie tutaj nas – wytyka Sykes.

– Otóż to! To prawda! Mamy tutaj najwspanialszych żołnierzy świata! Ożeż, gdyby tylko dało się znaleźć jakiś sposób, żebyście mogli tu zostać...

Bravo nie robią z tego dramatu. Bravo zasadniczo mają na to wyjebane. Po serdecznych pożegnaniach i ostatnich brawach Josh prowadzi ich z powrotem na miejsca. Zaraz wyciągają telefony komórkowe, iPody, kubeczki na ślinę i tytoń do żucia. Pada, przynajmniej tak jakby, z powietrza wytrąca się taka nawisająca, smętna jak zwis impotenty żonka, w którą co rusz ludzie podnoszą parasole, a potem je opuszczają, góra, dół, góra, dół, taka strasznie ospała wersja meksykańskiej fali.

– Ożeż, zdobyli jakieś punkty. – Mango skinieniem głowy wskazuje telebim. Cowboys–Bears, siedem zero. – Coś przegapiliśmy!

Billy wzrusza ramionami. Nie jest mu zimno, co nie znaczy, że narzekałby, gdyby znalazł się w jakimś cieplejszym miejscu. Na komórce widzi dwa nowe esemesy. Kathryn: *Gdzie masz miejsce?* Pastor Rick: *Modlimy się dziś za ciebie w ten spec dzień dziękczynienia. Musimy pogadać zanim wylecisz.* Pastor Rick, opalony, dobrze odżywiony założyciel jednego z największych megakościołów Ameryki, wygłaszał suplikację na wiecu z udziałem Bravo w Centrum Konferencyjnym w Anaheim. W przystępie... słabości? Delirium?... Billy odszukał go po wiecu z prośbą o ratunkową poradę duchową. Coś w suplikacji trafiło do Billy'ego, zabrzmiało prawdziwie, więc kiedy pozostali Bravo rozdawali autografy i pozowali do zdjęć, on siadł na zapleczu z pastorem Rickiem i rozmawiali o śmierci Grzybasa. Jak Grzybu leżał ranny. Jak usiadł. Jak Grzybas osunął się na uda Billy'ego, a potem jego oczy zogniskowały się na oczach Billy'ego tak nagłąco, jakby miał mnóstwo niezmiernie

pilnych wieści, ale potem zgasły, jego dusza opuściła ciało, *szuuu*, jak gdyby siły życiowe były substancją wysoce lotną, przechowywaną pod ciśnieniem.

„Kiedy umarł, to było tak, że i ja chciałem umrzeć”. Ale to nie było do końca tak. „Kiedy on umarł, czułem się tak, jakbym umarł i ja”. Też nie to. „W pewnym sensie to było tak, jak gdyby umarł cały świat”. A jeszcze trudniej było opisać to uczucie, że śmierć Grzybasa być może zabiła w nim potencjał do kochania innych ludzi, bo w tej chwili, kiedy on umarł, co nie? kiedy poczułem, że jego dusza przechodzi przeze mnie? W tamtej właśnie chwili poczułem do niego taką miłość, że wątpię, czy kiedykolwiek byłbym w stanie tak mocno pokochać jakąś inną osobę. Więc czy ma sens żenienie się, płodzenie dzieci, wychowywanie ich, jeśli na starcie wie się już, że nie potrafi się dać im najsilniejszej miłości, na jaką cię stać?

Billy się rozpłakał. Modlili się potem. Popłakał jeszcze trochę. Przez parę godzin czuł się lepiej, ale kiedy zmrok pochłonął światło dnia i nadszedł wieczór, Billy zorientował się, że nie zostało mu w głowie nic uchwytne. Co takiego właściwie pastor mówił? Billy zapamiętał tylko dźwięk jego słów, werbalną watę, plumkanie i brzdąkanie, coś jak jazz w odmianie easy listening. Dzwonił do pastora jeszcze parę razy, ale to też nie przyniosło niczego użytecznego, a na dodatek pastor Rick nie chce się teraz od niego odczepić. Wciąż dzwoni, esemesuje, wysyła maile i linki. Billy kuma, o co facetowi chodzi – dla kaznodziei to niezły szpan móc się pochwalić, że żołnierz z jednostki frontowej szukał u niego „przewodnictwa duchowego”, od razu nabija sobie punkty do reputacji, modnie jest też być blisko aktualnych problemów. Billy może sobie wyobrazić, jak dobrodziej Rick zaczyna niedzielne kazanie od ekstraktu z jego duszy, żeby miało większego kopa: „Jakiś czas temu zdarzyło mi się skontaktować z jednym z naszych wspaniałych, młodych żołnierzów służących w Iraku, i rozmawialiśmy o sru tu tu...”.

Billy wysyła odpowiedź do Kathryn, esa od pastora Ricka kasuje. Po jego prawej Mango nie może sobie znaleźć wygodnej pozycji. Kuli się, prostuje, zerka na prawo i lewo, obraca się na krzeselku, żeby łypnąć do tyłu.

- No do diabła – mówi mu Billy – siedź spokojnie. Denerwujesz mnie.
- To się nie denerwuj.
- Szukasz czegoś?
- Aha, twojej starej.
- Chuja tam, mojej starej. Moja stara to zakonnica.

Mango się śmieje, siada wygodniej. Billy spogląda na zegar na tablicy wyników i jęczy. Bycie obiektem uhonorowania wydaje się bardzo przypominać pracę na etacie, a tu, przy przejściu, to już w ogóle tragedia, kiedy człowiek robi za stacjonarny interfejs między Bravo a obywatelami. Tak jest, proszę pana, bardzo panu dziękuję. Tak jest, proszę pani, bardzo nam tu przyjemnie, oczywiście. Billy puszcza przez rząd programy meczu, żeby wszyscy się na nich podpisali, a potem musi podtrzymywać rozmowę, póki autografy nie dotrą z powrotem. *Już się tam poprawia, nieprawdaż? Było warto, nieprawdaż? Musieliśmy to zrobić, nieprawdaż?* Chciałby, żeby choć raz i tutaj ktoś nazwał go mordercą dzieci, ale tutaj najwyraźniej nikomu nie przychodzi do głowy, że tam giną maluchy. Zamiast tego nic, tylko *demokracja, rozwój, brońmasowejzagłady*. Jak oni bardzo chcą w to wierzyć, tyle jest gotów im przyznać, są zapamiętali niczym dzieci upierające się, że Święty Mikołaj istnieje, bo kiedy przestanie się wierzyć, to co? Może przestanie przychodzić?

W co więc naprawdę wierzysz? Billy nawet nie tyle zastanawia się nad tym pytaniem, ile czuje, że zostało mu ono narzucone. Ha, ha, tak, no dobra. W Jezusa? Powiedzmy. Buddę? Hm. A flaga państwowa? No pewnie. A co powiecie na... rzeczywistość. Billy dochodzi do wniosku, że wojna zrobiła z niego zagorzałego neofitę w Kościele Tego, Co Jest, módlmy się więc, bracia Amerykanie, przyłączcie się do mnie w modlitwie, proszę. Módlmy się za te mnogie tysiące ludzi, którzy już odeszli, i tysiące tych, co dopiero zginą. Módlmy się za Lake'a i jego kikuty. Módlmy się za erkaem A-borta, oby nigdy nie zaciął się w boju. Módlmy się za Cheney'a, Bush'a i Rumsfelda, ojca, syna i ducha świętego, jakoż i wszystkie anioły Centralnego Dowództwa i Komitetu Szefów Sztabu. Módlmy się o pancerz na hummerach. Módlmy się za Grzybasa, który ma życie wieczne w niebiesiech, albo i go nie ma, ale tu, na Ziemi, jest zdecydowanie w chuj martwy.

Billy prostuje się na krzeselku. Chyba troszkę odlatywał. Wychyla się, żeby zobaczyć, czy Faison jest przy linii bocznej, ale siedzi zbyt blisko boiska i jego kąt widzenia nie obejmuje tego rejonu. Przez parę minut próbuje skupić się na meczu, ale ten strasznie się wlecze, coś jakby jechać windą, która zatrzymuje się na każdym piętrze. Zresztą i tak od widzów nie oczekuje się, że będą obserwowali graczy na boisku, skądże, patrzy się na telebim, gdzie wyświetlany jest nie tylko sam mecz, w czasie rzeczywistym i w powtórkach, ale i nieustające reklamowe zapchajdziury, nawała przeciążająca zmysły, a czasowo zdecydowanie dłuższa niż same zagrania. Czyżby to reklamy były rzeczywistą treścią tego wydarzenia? Może sam mecz jest tylko reklamą dla reklam. Zresztą w ogóle ludzie zbyt wiele sobie obiecują. Mecz musi

udźwignąć tak kosmiczne brzemie: tyle dolarów z reklam, te ogromne pensje, gigantyczne nakłady na samą budowlę i infrastrukturę, że niemal słycać, jak sport trzeszczy pod tym ciężarem, i ta myśl potężnie Billy'ego stresuje, przez ten niewiarygodny brak równowagi zaczyna go ścisnąć w brzuchu, jakby w pierwszych, mdlących spazmach totalnej rozsypki. Billy wraca myślami do tamtej Chwili w magazynie ze sprzętem, gdzie próbowały go przygnieść te tony dóbr, a Ennis serwował komentarz do jego zgonu, paplał o rozmiarach – fasonach – kolorach – modelach – ilościach, wszystko to skompresowane do dziesięciu minut, wydawało się, że wygarnięte na jednym wdechu, i Billy nawet teraz czuje, jak zapiera mu to dech.

Dochodzi do wniosku, że Ennis to szajbus, ale komu by nie odwaliło, jakby miał zmieścić we łbie cały ten inwentarz. Billy miewa czasami takie wizje, przelotne wejrzenia na Amerykę jako koszmar nadmiaru obfitości, ale generalnie życie w wojsku, a zwłaszcza wojna uczyniły go przeczulonym na punkcie ilości. Choć to żadna zaawansowana algebra. W grę nie wchodzi żadne skomplikowane działania, bo wojna to czyste i absolutne władztwo durnych liczb. Kto potrafi wyprodukować więcej trupów? Helou, to nie rachunek różniczkowy, działamy tu na prostej arytmetyce dla debili, zadania z zajęć wyrównawczych: ile pocisków na minutę, stopień destrukcji wyposażenia, zabici i ranni w arkuszach kalkulacyjnych Excela. Jeśli mierzyć tą miarą, wojsko Stanów Zjednoczonych to najpiękniejsze siły zbrojne w dziejach świata. Kiedy po raz pierwszy zobaczył demonstrację tego faktu na własne piękne oczy, wpędziło go to w coś na kształt szoku, a może to właśnie mają na myśli ludzie, kiedy mówią o bojaźni? Ktoś pykał do nich gdzieś z góry z broni ręcznej, z rzadka, niecelnie, ale i tak mógł zabić. W końcu namierzyli typa – był w głębi ulicy, w czterokondygnacyjnym bloku mieszkalnym. Doniczki w oknach, z parapetów zwieszało się pranie. „Wywołaj”, poradził kapitan Tripp przez radio porucznikowi, więc porucznik wywołał artylerię, dwa pociski burzące 155 milimetrów, i cały budynek, lepiej, pół kwartału wali się w gruzy, *bam*, problem rozwiązany jedną chmurą ognia i dymu. Więc jebać wszystkie te supertechniczne, precyzyjnie sterowane gadżety, nad którymi onanizują się media, jedyny naprawdę skuteczny patent na inwazję na obcy kraj to rozpirzyć go w cholereę.

– Spadajmy stąd – mruczy Billy do Mango, i zaraz ruszają, kicają w górę po dwa stopnie naraz.

– Gdzie idziemy?

– Zobaczyć się z moją dziewczyną.

Mango pryca. Na zapleczu wbijają się po piwo do Papa John's i zaraz idą dalej.

– Więc gdzie ta dziewczyna?

- Zobaczysz. Zamknij dziób i pij.
- Nigdy nie mówiłeś, że masz laskę, łosiu.
- No więc teraz ci mówię, łosiu.
- Jak ma na imię?
- Zobaczysz.
- Szprycha?
- Zobaczysz.
- Jest tutaj?
- Nie, w Arizonie. Pewnie, że tu jest, debilu, jak inaczej miałbym się z nią spotkać?

Na zapleczu roi się od kibiców. Tubylcy nie mogą usiedzieć na tyłkach. Jak na razie mecz idzie nie po ich myśli, więc zagłuszają frustrację, wydając pieniądze. Na szczęście gdziekolwiek spojrzeć, tam handel, więc tłum nie cierpi na brak podaży, i wygląda to dokładnie tak samo wszędzie tam, gdzie byli Bravo: na lotniskach, w hotelach, na stadionach i w centrach konferencyjnych, czy to w sercu miasta, czy na przedmieściach, całym krajem rządzi handel detaliczny. Gdzieś, kiedyś Ameryka stała się gigantycznym centrum handlowym, do którego doklejone jest państwo.

Odbijają od głównego placu w tunel do sekcji numer 30 i prują zejściem na dół, przedzierając się przez to ludzkie morze zadów w krzeselkach.

- Billy, gdzie my idziemy?
- Ona jest tam, na dole. – Billy wciąga głębokie hausty powietrza, żeby natlenić krew i zredukować efekty działania alkoholu. Boże, żeby tylko dziewczyna, jeszcze zupełnie nowa, nie wzięła go za pijaka.
- Billy, weź, co do chuja.
- Mówię ci, ona jest tam, na dole.
- Billy, łosiu, no weź. Odjechało ci, facet.
- E, nie, ona naprawdę tam jest. To czirliderka.

Mango autentycznie wrzeszczy z wrażenia, przez co efekt jest jeszcze lepszy, bo Faison aż troszkę podskakuje i woła Billy'ego po imieniu. Od przejścia przed pierwszym rzędem do poziomu boiska wciąż są jeszcze ze trzy metry – Billy wychyla się nad poręczą i woła do dziewczyny.

- Teraz to chyba marzniesz!
- Ona uśmiecha się szeroko i kręci głową, a włosy latają gdzie bądź.
- Nie, jest super! A mówią, że spadnie śnieg!

– To mój kumpel, Marc Montoya.

– Cześć, Marc!

– *No powiedz jej cześć, matole.*

– Cześć!

– Strasznie się cieszę, że przyszlście mnie zobaczyć! – woła Faison. – Dobrze się bawicie?

– Świetnie się bawimy! Ej, byłaś w telewizji! Pokazali cię na telebimie!

Kiedy widzi, jak ją to cieszy, trochę go to miazdzy. Żywotna część jej energii idzie właśnie w to, w ten na poły mistyczny, wszechpochłaniający zapieprz o widzialność i uwagę, grunt to pozytywne myślenie, a nadejdzie ten cudowny moment w porze najlepszej oglądalności, a po nim szansa na wielki sukces. Faison chce być w telewizji. Chce być gwiazdą. Więc jak niby prosty trep miałby rywalizować z czymś takim...

– Świetnie wyglądałaś – mówi jej, a ona promienieje. – I ten fajowy kroczek – ciągnie, i zaraz zaczyna męski wariant jej układu z pomponami, a to już jest śmieszne, amerykański piechur w mundurze galowym, który robi krok w bok, dostawia drugą stopę, biodro w dół i jedziemy.

Faison się śmieje, Mango też, prawie zawinął się wokół balustrady, tak rzy. Billy nigdy dotąd nie zaznał takiego szczęścia, i co z tego, że za plecami gapią się na niego tysiące kibiców. Niech cały świat będzie świadkiem jego miłości... Tyle że zaraz podchodzą dwaj ochroniarze i mówią chłopakom z Bravo, że mają się zwijać.

– Co, nie podoba się, jak tańczę? – pyta Billy, ale oni tylko się gapią, tacy w chuj twardzi i wypierdalać, dwaj pulchni biali faceci w średnim wieku, w nylonowych pilotkach z napisem CORVINGTON SECURITY, każdy ma przy pasie kaburę ze służbową trzydziestką ósemką. Billy się śmieje. To tylko pogarsza sprawę. Podejrzewa, że to gliniarze z jakiegoś zadupia dorabiają sobie po godzinach, bo bije od nich to, co najgorsze z obu światów: wsiowe rozleniwienie i wielkemiejska podłość.

– Nie jesteśmy terrorystami – mówi z pokerową miną, przeciąga strunę.

– Zjazd stąd – odpowiada jeden z tamtych. – Już.

– My tylko rozmawiamy z przyjaciółką, tam, na dole.

– A choćbyś gadał z samym prezydentem, tu nie wolno stać.

– Zasłaniasz widok tym ludziom – dodaje drugi, pokazując na pierwszy rząd krzesłek. – Oni zapłacili za te miejsca dobre pieniądze.

– A jeśli zapłacili złymi pieniędzmi? – Mango wczuł się w sytuację, ale gliny obracają się ku niemu z taką czujnością, że w powietrzu aż furczą same nieciekawe opcje. Billy chętnie od razu spuściłby im łomot, poszłoby szybko, pełen spust adrenaliny, mózg wytresowany do błyskawicznego działania w każdej sytuacji, i to by dopiero było, myśli sobie Billy, gdyby zdemolował im pyski, całemu światu pokazał, jaki naprawdę jest. Niech tylko się ruszą... ale się nie ruszają, i Billy'emu przechodzi chęć na jatkę. Woła przez balustradę do Faison:

– Ci tutaj mówią, że mamy się zwijać.

Ona podeszła bliżej, stoi zaraz pod nimi.

– Chyba tak będzie lepiej. – Martwi się, uświadamia sobie Billy. Boi się, że będzie chryja.

– No to do widzenia! – woła na dół.

– W połowie meczu! – Faison posyła mu zabójczy uśmiech. – Będę cię szukała na boisku!

Nie rozumie, o co jej chodzi, ale kiwa głową. No pewnie, na boisku, na trybunach, w Brazylii, jeden pies. Ma wrażenie, że zna ją całe życie, a kocha nawet dłużej. Bravo jeszcze jeden, ostatni raz robią do ochroniarzy kozackie miny, po czym kierują się na zaplecze. Mango zatacza się, jakby dostał gazem pieprzowym.

– Billy – jęczy – Billy, Billy, czirliderka? O Jezu, Billy, ja pierdołę, jaka ona piękna, Billy, jak ci się udało ją wyrwać?

Tak się ślini, że Billy jeszcze bardziej docenia uczucie Faison.

– Sam nie wiem. Spotkaliśmy się na konferencji prasowej, zaczęła się gadka i poszło.

Mango łapie nastrój.

– Ona cię naprawdę lubi, facet. Wystarczyło widzieć, jak na ciebie patrzyła, taka ciepłutka, mięciutka i w ogóle.

Billy aż ma chęć zawrócić i zaraz znów się z nią spotkać. Może moment niedoseksu był anomalią pogodową, ale to drugie spotkanie coś mu udowodniło. Może jednak jest jakaś nadzieja dla jego życia uczuciowego. Może nie zginęło ono razem z Grzybasem.

– Facet, musisz się z nią ustawić, zanim wyjedziemy – mówi Mango.

– Nie wiem jak. Na dwudziestą drugą mamy być w bazie. A na dodatek ona jest wierząca.

– Kurwa, jaja se robisz? *Vato*, chrześcijanki rzną się jak króliki. Jeśli chcesz się wyrzec grzechu, musisz najpierw nagrzeszyć, kumasz? Więc lepiej uderzaj teraz, bo kiedy wrócimy, nie będzie chciała na ciebie patrzeć. Będzie się dymać z jakimś rozprowadzającym, a ty będziesz „jaki znowu Billy?”.

– Dzięki, bucu.

– Mówię ci, jak jest! Lepiej ją puknij, póki jest zajarana. Dobra rada, nic więcej.

Komórka Billy’ego zaczyna dzwonić. Zerka na ekranik. A-bort.

– No?

– Ej, kurwa, gdzieście poleźli? Dime się wkurwił.

– Poszliśmy na spacer. Już wracamy.

– Poszli na spacer – mówi A-bort komuś obok. – Już wracają. – Billy słyszy szczerk odpowiedzi Dime’a.

– Mówi, że macie tu być, kurwa, natychmiast. – A-bort znów słucha czegoś innego. – Chwila, mówią nam, co mamy robić w połowie meczu. – Znowu przerwa. – No do chuja. Mówią, że... yyy... – Przerwa. – O Jezu. – Kolejna, dłuższa przerwa, po czym A-bort kontynuuje półgłosem: – Facet, nawet nie chcesz wiedzieć, co dla nas wymyślili.

Zgwałceni przez anioły

Billy wie, że mają gruntownie przejebane, kiedy Lodis szczyrzy się do niego krzywo i pochyła bliżej, jakby chciał się z nim podzielić jakąś wstrząsającą wiedzą.

– Billy – mamrocze. – *Bii-jii*.

– Co.

– *Bii-jii*. – Lodis jest tak zgruzowany, że memła jak Kaczor Donald. – Facet, gdzie my jesteśmy?

Boże drogi.

– Lodis – mamrocze Billy – jesteśmy na boisku. Będzie trochę musztry, kumasz?

Lodis wyszczerza zęby, łeb mu się kiwa. Zaraz się zaślini.

– Ile drinków walnąłeś tam na górze?

– Fsale nie sa duszo!

Day zerka nad ramieniem Cracka.

– A temu co znowu?

– Najebał się – mówi Billy.

Crack rży.

– Ale będzie jazda. Przecież nawet na trzeźwo musztra wychodzi mu chujowo.

– Jach zapeszysz, to na pewno mi nie wyjsie!

– Nie bój nic, Load. I bez mojej pomocy jesteś denny.

Chryste Jezu. Billy mówi Lodisowi, żeby robił to co on. Pilnuj się mojego ramienia, rób dokładnie to co ja, i tyle. Najchętniej powiedziała by Dime'owi, że muszą odwołać popisy, ale Dime jest dokładnie na drugim końcu szyku, tak, wielkie dzięki, na dobitkę podzielili jeszcze Bravo na połowy, żeby uszczęśliwić jakiegoś kapelmistrza-faszystę z fetyszem symetrii. Holliday, Crack, Billy i Lodis stoją w szeregu na linii bocznej gospodarzy. Z tyłu i po bokach ustawia się orkiestra marszowa Akademii Rolniczo-Technicznej Prairie View. Mogliby się szykować do nocnego natarcia, rozbrzmiewałyby takie same nerwowe szelesty odzieży i sprzętu, dyskretne potupywanie w murawę. Gdzieś tam samotny werblista wybija pałeczkami tempo, lewa, prawa, lewa, prawa, tyk, tyk, tyk.

– Load, odetchnij parę razy. Przejaśni ci się.

Hrrrrrglyg. Hrrrrrglyg.

– Co on tam, zdycha? – pyta Crack.

– Żymno!

– No kurwa raczej, że zimno. Przeżyjesz, kutafonie.

Plus jeden, tak poinformował ich niewidzialny głos w tunelu, a kiedy wyszli na boisko, przywitała ich kąśliwa, lodowata mgiełka, roje zamarzniętych mikrokropelek jak polarne meszki. Rzędy młodych dziewczyn z flagami stały dzielnie na tym mrozie, buzie ściągnięte i blade, gołe nogi pierzchnące i pokryte gęsią skórką, głowy lśniły od osiadającej mgły. Jak owieczki na rzeź, pomyślał Billy, jakby naprawdę ustawiali się w bitewnym szyku. Dalej w milczących szeregach stały orkiestry licealne, rząd za rzędem rumianych, dzieciennych twarzy, a każda pod czakiem z pióropuszem taka zeszywniała i skupiona, tak poważnie pochłonięta oczekującym je zadaniem. Billy zazdrościł tym dzieciakom ich młodzieńczego zaangażowania, uładzonego uczniowskiego życia: lekcje, apele, w sobotę rano można pospać dłużej. Wyglądali na strasznie bystrych! Budzili w nim przemożną czułość i nostalgię. I wrażenie, że się zestarzał jak wszyscy diabli.

Sekcja perkusyjna z Prairie View ustawia się na linii środkowej, przewodzi jej potężny czarnoskóry tamburmajor, który wygląda jak czarnoksiężnik, odstawiony w najwyższej klasy tamburmajorowskie nache: peleryna, cholewniki, złote sznury i epolety, pióropusz na przypiętym do głowy czaku niczym kłęb dymu. Pozostali czterej Bravo są gdzieś z lewej, a między obiema sekcjami stoi Zespół Reprezentacyjny Wojsk Lądowych Stanów Zjednoczonych z Fort Myer w stanie Maryland, dwudziestu trepów od musztry w nienaganych granatowych mundurach galowych, którzy potrafią wyczyniać ze swoimi springfieldami z założonymi bagnetami niewiarygodne rzeczy: podrzuty, przerzuty, rotacje, młynki wokół pasa, ósemki wokół ramienia, kozackie wymiany w locie w zespołach po czterech, a jakby dostali taki rozkaz, to pewnie okazałoby się, że i *moonwalk* umieją. Za tą pierwszą linią złożoną z Bravo i Repry jest grupa podchorążych z przysposobienia studenckiego, tupią i sapią jak stado bizonów.

– *Yyyy rrrsssss, waaaa, szyyyyy, szteryyy* – warczy czarnoksiężnik i wybucha dynamiczna kanonada bębnowa, *tatta-totta tatta-totta brrrrt brrrrt badadum-buum*, poruszająca wariacja na temat pulsowania ludzkiego serca, kiedy emocje biorą górę. Potem trąbki. Dęciaki to wielka ucieczka, wszyscy chodu, mosiądz instrumentów rozkołysany w wojskowym kontrapunkcie, kiedy z boku wślizgują się trzy smukłe dziewczyny, zajmując pozycję przed trepami z Repry, dokładnie pośrodku. To One. Billy ma moment oderwania się od ciała. Kobiety stoją plecami do żołnierzy, ale mimo

to, a może szczególnie od tyłu, nie ma nawet cienia wątpliwości, że oto zjawiły się Destiny's Child, obecne niekwestionowane mistrzyni świata w popie dla masowego odbiorcy, kategoria Ciemnoskóre Dziewczyny. Beyoncé zajmuje pozycję gwiazdorską w centrum, a Michelle i Kelly (która jest która?) rozmieszczają się na skrzydłach. Mają na sobie opięte biodrówki, szpilki na bardzo wysokim obcasie, fikuśne, odsłaniające pępek bluzki z długimi koronkowymi rękawami, a ich pozy dowodzą niewiarygodnego panowania nad ciałem: wyrzut biodra, w pełni sprzężony z torsem i nogami, a plecy krzepkie, ale giętkie, niczym napięte łuki. Tak upozowane, zastygają. Muzyka urywa się w pół taktu. Wokół piosenek krążą w przykucu kamerzyści, witamy w telewizji na żywo, aż wreszcie dziewczyny unoszą mikrofony do warg i cicho, jakby strzepywało się na noc kołdrę, zaczynają zaśpiew, polifonicznie, *a cappella*:

O^o_oO^o_o

O^o_oO^o_o

O^o_oO^o_o

kroi się powtórka hymnu państwowego, wystarczy jedno dotknięcie, a tak się stanie, ale ich głosy rozkwitają w coś delikatniejszego, słodsze, jakby o uszy obijał się deszcz lukrowanych płatków róż

Czy

dasz

dziś

radę

dooooooproo-

wadzić

mnie taaaam

Na drugiej linii bocznej zmontowano scenę, roziskrzoną trójpoziomową konstrukcją, mającą w tle coś jakby puzzle z wielobarwnych paneli, jak gdyby próbowano uzyskać efekt modernistycznego witraża. Na poszczególnych poziomach zastygły grupy tancerzy, faceci w połyskujących białych dresach, obwieszeni masywną biżuterią, dziewczyny mają opięte spodnie albo szorty, a na górę starannie zmaltretowane bluzy Cowboys, jedne porwane, inne przycięte, z wyrwanymi rękawami, każda inna. Po prawej od Billy'ego Lodis zdaje się dławić własnymi smarkami. Destiny's Child powtarzają

refrenowe *doprowadzisz mnie tam*, po czym rozbrzmiewają bębny i to jest sygnał także dla nich, cała formacja rusza naprzód. Kamerzyści idą na wstecznym, zupełnie na czuja. Daleko z przodu werbliści się rozdzielają, jedni w prawo, drudzy w lewo, odsłaniając drogę ku scenie. Później, oglądając ten występ na YouTube, Billy zacznie się orientować w niewiarygodnej skali całego przedsięwzięcia: co najmniej pięć orkiestr marszowych, jedne wchodziły na boisko, inne z niego schodziły, i tak w kółko; gorączkowy choreograficzny *peep-show* na scenie; od jednej strefy punktowej do drugiej pełno dziewczyn z flagami, zespołów musztry, do tego podchorążacy, Bravo, trepy z Repry, Destiny's Child. Jak to mówią, wielotysięczna obsada. Ktoś napisze, że była to produkcja godna broadwayowskiego musicalu, i choć Billy nigdy nie postawił nogi w Nowym Jorku, a co dopiero mówić o oglądaniu musicali, w sumie pasowałby mu ten opis, ale kiedy to wszystko się dzieje, po prostu próbuje nadążyć. Obok przemyka rozpląsana mażoretka, rozmazana plama skóry i wirującego chromu. Licealne zespoły musztry w jednoczęściowych trykotach mają układ obejmujący dużo wypinania tyłków i kręcenia nimi, najwyraźniej ćwiczą się na striptizerki. Linie werblistów zachodzą łukami, oskrzydlaając kolumnę żołnierzy, przez ich trasę zygzakami przemykają lotne szwadrony dziewczyn z flagami, ale Destiny's Child prują przez to wszystko dumnym, seksownym krokiem, który z punktu widzenia Billy'ego wydaje się trochę jednak niemożliwy, ciała odgięte do tyłu, biodra mocno chodzą na boki, więc to chyba jakaś magiczna kombinacja gwiazdorskiej mistyki i ud do perfekcji wyćwiczonych na przyrządach sprawia, że są w stanie utrzymać się w pionie, kiedy zwykły śmiertelnik już dawno wyłożyłby się na dupę. Daleko z przodu po obu stronach sceny ustawiają się grupy tancerzy, faceci w luźnych koszulach i spodniach, z pelerynkami na grzbietach, laski w srebrzystych sportowych biustonoszach i rajtkach w kolorze królewskiego błękitu. Już teraz mózg jest obciążony tym wszystkim, a tu nagle ruszają dyskotekowe światła, rzędy błękitnych i białych stroboskopów między poziomami sceny, ale jest ich więcej, na całym szkielecie ze stalowych rur, wszystko rozbłyskuje jednocześnie, elektrowizualny impuls poraża, witaj, padaczko, będą blizny na siatkówce, płyty czołowe mózgu rozjebane w pyłki dmuchawca...

Tak wygląda twój mózg na amfie! Lodis się kuli, wciąż weksluje w bok ten swój biedny łeb, ale nagle zaczynają się wybuchy i teraz już wszyscy się kulą, *bam bam bam bam*, gdzieś zza sceny strzelają pociski oświetlające, potem dymne, eksplodujące z suchym chrzęstem bomb kulkowych rozrywających się nad polem pszenicy. Głęboko w gardle Lodisa pomąłu rodzi się wycie.

– Jest dobrze – mamrocze Billy – jest git, jest git, to tylko fajerwerki. – Lodis zaczyna się śmiać, rozpaczliwie próbując złapać oddech. Crack, maszerujący z drugiej strony Billy’ego, wygląda na zlanego potem, minę ma srogą. Jeśli istnieje jakiś szybki trik na wywołanie zespołu stresu pourazowego, to chyba musiałby wyglądać raczej podobnie, ale na szczęście dla Norma, dla widzów, dla Ameryki, dla ponadczterdziestomilionowej widowni przed telewizorami Bravo dadzą radę, a jak! Źrenice jak spodki, tętno i ciśnienie krwi gdzieś w kosmosie, kończyny drżą od wywołanego stresem zrzutu kortyzolu, ale jest dobrze, jest git, nikomu nie odpierdoli, drużyna Bravo nie pęka, to nie weterani z Wietnamu! Można kazać im maszerować w samo piekło pokazu „światło i dźwięk” i dadzą radę, ale – no jasny gwint – to jednak święństwo zmuszać ich do czegoś takiego.

Cała formacja idzie krokiem defiladowym, zgodnie z rytmem, *bada-Bum bada-Bum bada-bad-bad-BUM*, przy werblach aż się człowiek czuje dumny z tego, że jest żołnierzem. I to nie żart, uświadamia sobie Billy. Zbyt wiele pieniędzy wydano, zbyt wiele wysiłku włożono w ten pokaz w przerwie, żeby był on rozmyślnie idiotyczny, co nie znaczy, że rzeczy wielkie i kosztowne nie mogą być głupie. Titanic był durny. Enron, durnota. Hitler atakujący Rosję, debilizm. *Bum-tata bum-tata bum-badda-tat-BUM*, tak grzeją bębny z Prairie View, niczym dzwonki wiatrowe przed burzą. Lodis wpada na Billy’ego, wraca do pionu.

– Sorka, Bijji. – Przy znaku w północnym narożniku wszyscy żołnierze mają zrobić w tył zwrot i pomaszerować na południe, tymczasem Destiny’s Child pójdą dalej, ku scenie. Billy czeka na swój znak, usiłując nie wpaść w hiperwentylację. *Bum-tata bum-tata tata-tata BUM*. Dyskotekowe stroboskopy, kręcenie tyłkami, flary i pociski oświetlające, orkiestry marszowe trzymające tempo, maszerując w miejscu jak przy zmianie warty, a przez cały ten totalny rozpiżdziel dzielnie brnie żołnierz Billy, zamykając wszystko w sobie, zawziął się, że podoła.

– Paaa-nieeee iii paaaaanoowiiiiieeee – dudni spiker z głośników kornym zaśpiewem *basso profundo*, niczym naganiacz, który nie wie nawet, że jest idiotą,

Pooowi-taaajmy prooooszę

Kelly

Michelle

lii...

BIII-JON-SEJ

seen-saaaa-cyjne gwiazdy estrady

DESTINY'S CHILD

Wali się na nich taka szatańska nawała dźwięku, że Billy ma wrażenie, że zaraz zmiecie go z nóg. Jakby runęła tama, waliły się mosty w godzinie szczytu, fale tsunami pełne zabójczej piany i szczątków wielkości głazów narzutowych przerysowywały kontury wybrzeży znanego nam świata. *Po prostu załóżcie, że zginiecie*, takie instrukcje otrzymali na tydzień przed wylotem do Iraku. Przyjąłem! Potwierdzam! Tak jest! Czeka nas jatka, myśmy są ci, co nie zostaną ocaleni, nieszczęśni smętni zatraceni szlachetnie wyruchani frontowcy, którzy będą walczyć z nimi tam, żeby nie trzeba było walczyć z nimi tutaj! Straszna nowina dla każdego młodego człowieka, ale to część edukacji każdego młodzieńca na tym świecie, muszą się dowiedzieć, że nikt nie wyjawi im każdego zagrożenia, jakie na nich czyha, póki się nie zdeklarują. Destiny's Child wkładają w ten swój krok mnóstwo energii, jakby brodziły po pas w wodzie wezbranej po burzy, *jasna cholera*, myśli sobie Billy, patrząc na ich rzuty biodrami, *no jasna cholera*, jak on ma wracać do Iraku z takimi obrazami przed oczyma? To kwestia dni, ba, nawet godzin, Bravo zaraz wracają do syfu, a Billy już czeka, kiedy znów to usłyszy, lęka się tego, ale te szorstkie słowa muszą paść: *zginiecie*, no weźcie powiedzcie to i cześć, ale nie, nikt tego nie zrobi, zamiast tego możemy się ślinić nad dupą Beyoncé!

Może to wcale nie musi mieć sensu. Czy raczej, duma Billy, nie dla ciebie, bo jesteś gu-uupi chuj. A potem robią zwrot, Billy przestrzelił linię kreskową o pół kroku: trepy z Repry trzymają się równo jak pod laser, a Bravo majtają się niczym rozwiązane sznurowadło.

– Równaj-krok-marsz! – szczeka Dime półgłosem: jako dowódca pododdziału odpowiada za to, żeby przetrwali przerwę w meczu bez nieodwracalnego uszczerbku na godności, a teraz trzyma tempo z trepami z Repry, próbuje wymusić równy krok na Bravo. „Lewa, lewa”, ta mantra uspokaja myśli Billy'ego, nogi też zaczynają nadążać, choć z bronią w rękach byłoby łatwiej. Zaraz przed nimi są chłopaki z przysposobienia studenckiego, banda szurających szczawi z wielkimi dupami – na pewno niejednen z nich jest starszy od Billy'ego, a jednak z tyłu wyglądają tak młodo. Ich miękkie, mięsiste, pulchne jak u niemowląt karki aż się proszą, i to głośno, by spadła na nie siekiera ofiarnika.

– W lewo... zwrot! – niegłośno warczy Dime. Dotarli do linii bocznej. Bravo robią siedem kroków, znów w lewo zwrot, *stój*. Na razie mają stać obok Repry i ładnie wyglądać. Obok przemykają licealistki w trykotach, wywijają długimi kręconymi wstęgami umocowanymi do sześciostopowych drążków. Bębniarze z Prairie View

zebrali się na linii środkowej, znów w szyku, przemieszczają się krokiem dostawnym do urywanego rytmu salw werbli, wygląda na to, że poza Bravo wszyscy są w ruchu – całe boisko przeobraziło się w olbrzymi miks hiphopowej choreografii i orkiestr marszowych w zwartych czworobokach. Sceniczna maszyna rzyga jęzorami ognia i fajerwerkami, kiedy na podest sprężystym krokiem gwiazd estrady wkraczają Destiny's Child. Tancerze na scenie w najlepsze symulują seks, to jak najbardziej obleśne klipy na MTV, a Beyoncé i jej towarzyszki unoszą mikrofony do ust.

Mówisz, że mnie tam doprowadzisz

śpiewają, odymając wargi do tryli jak kicie z plakatów,

Mówisz, że wiesz, czego mi trzeba

Pokaż, jak ci zależy, żebyśmy razem wstąpili do nieba

Trepy z Repry robią swoje, wywijają springfieldami w estradowej wersji musztry pododdziału. *Chlap, chlap, chlap*, plaśnięcia dłoni w łoża karabinów to bardzo wysokobiałkowy dźwięk, kto wie, być może wyszkolony słuchacz zdołałby odtworzyć te wyczyny tylko na podstawie rytmu? Tu, na uboczu, Billy, widzi je tylko kątem oka, karabiny śmigają na obrzeżu jego pola widzenia niczym tasowane i przekładane karty.

Myślisz, że ruchy to już wszystko,

Czy łóżko to miejsce dla robota?

W ten sposób niewiele zdziałasz

Gdy dojrzałej kobiecie przyjdzie ochota

Beyoncé zsuwa jedną dłoń po wewnętrznej stronie uda, po czym podciąga ją wzwyż, niezupełnie jednak gładząc się po punkcie krytycznym: oto chwyt za krocze w wersji od dwunastego roku życia, do obejrzenia dla całej rodziny. Dziewczyny ze wstęgami przemykają obok w podskokach, jakby te ich chude nogi kryły sprężyny. Stroboskopy strasznie ryją Billy'emu głowę. Mruży oczy i wszystko się rozmazuje, przeobraża w tężcowe majaki w malignie: żołnierze, orkiestry marszowe, lawiny ocierających się i zderzających ciał, sapnięcia fajerwerków, szeregi werblistów łomoczących: dawać-nasi-dawać. Destiny's Child! Trepy z Repry! Żołnierzyki i seksy, wszystko zmiksowane w jeden wielki koktajl ku pokrzepieniu serc. Ileż dziesiątków razy Billy oglądał z Crackiem jego filmy o Conanie na DVD, chyba setki, każdą linijkę tekstu znają na pamięć – teraz spośród wszystkich wątków i dygresji, przerabianych w przeciążonym mózgu, Billy wyłapuje scenę orgii w pałacu: James Earl Jones jako król węży zasiada na tronie, a wokół na podłodze wiją się jego naćpani poddani, mlaszcza, wylizują, dymają się w ekstazie, z zaszklonymi oczami. Dostaje dreszczy, kiedy tamta obleśna scena nakłada mu się na to, co widzi teraz przed sobą, bo nie dość, że to widowisko w połowie meczu jest totalnie, kompletnie od czapy, to jeszcze

najwyraźniej wszystkim to pasuje. Trybuny są nabite, kibice stoją, wszyscy się drą, wszystko ich dzisiaj cieszy. A Billy na to, proszę bardzo, cieszcie się. Mogą sobie wiwatować, wyć, drzeć się ile wlezie, ale to wszystko nic, to całe widowisko to tylko piana, wypełniacz pozbawiony wszelkiego związku z Billym i z faktem, że musi on wrócić na wojnę.

*Ja się nie boję, ja się nie poddam,
Ja się nie boję, ja się nie boję,
Hej, mistrzu, nie poradzisz sobie
z tymi pysznościami, które ci oddaję?*

Na trybunach za sceną pojawia się ogromna amerykańska flaga, kartoniada, każdy z dwudziestu tysięcy kibiców jako jeden piksel w tym staroświeckim efekcie specjalnym. Kartony się obracają, flaga ma teraz wyglądać tak, jakby łopotała na wietrze, ale na drugi rzut oka przypomina raczej źle wyprasowaną, zmarszczki i zagięcia zniekształcają wzór. Przez kilka chwil oczy Billy'ego mają z tym obrazem zabawę, przestawiają perspektywę to w jedną, to w drugą stronę, w końcu jednak buntuje się ucho środkowe, wydaje się, że to ziemia się przechyliła, z szarpnięciem ustawia Billy'ego w innym miejscu. Nagle pojawia się myśl: A może jednak się mylił? Może to widowisko w przerwie meczu jest dokładnie tak samo realne jak wszystko inne, może żyje w nim jakaś moc czy czynnik sprawczy? Czyli to nie widowisko, ale środek wiodący do jakiegoś celu, czegoś, co może być nadane czy przyzwane. Ceremonia. Coś religijnego, o ile „religijność” da się rozciągnąć na tak zimnokrwiste koncepcje jak przemoc, przypadek, zbuntowana natura. Billy czuje przyciąganie wyższej rzeczywistości, która przebija nawet prawdy doświadczane przez żołnierzy w polu: krew na rękach, ogień w płucach, smród własnych niemytych stóp. Na samą myśl o tym zaczyna go łupać w czaszce, to nie ten dotychczasowy ból głowy, ale cięższe pulsowanie, jak sygnały sonaru głęboko u nasady mózgu. I bardzo wyraźnie pojawia się myśl: *oto gdzie to mieszka*. Ten bóg w twojej głowie, wszyscy bogowie... Czyżby właśnie to się tutaj stało? Billy jest zbyt świadom własnych myśli i zanadto niechętny kościołom, żeby przystać na zupełnie naiwną ideę boga, więc może tak: związki chemiczne, hormony, potrzeby i popędy, wszystko to, co w nas tak mocarne i przerażające, że musimy nazwać to boskim.

*Czekaj, wyłożę ci to jeszcze raz, bo to łatwizna,
Nie zachowuj się jak szczeniak, wstań i bądź mężczyzną,
Aż żal, kiedy wciqż mówisz o miłości, o czułości,
Zaliczysz swoje, mnie zostawiasz same obgryzione kości.*

Billy stygnie tam, gdzie jego ciało powinno być najbardziej rozgrzane, jak gdyby naturalną kolejną rzeczy sens widowiska najpierw dotarł do najwrażliwszego aparatu, którym dysponuje, a mianowicie do jaj. Jest przerażony. Wie, że znalazł się w okropnym miejscu. Ci ludzie uwielbiają gadać o Bogu i ojczyźnie, ale w ofercie mają tylko diabła, wszystkie te pracowite biochemiczne diabełki seksu, śmierci, wojny, które bulgocą u podstawy czaszki, podbijcie im temperaturę o parę stopni, a wykipią, wyleją się uszami. Czy oni w ogóle zdają sobie z tego sprawę? – zastanawia się. Może nawet nie wiedzą, co wiedzą, zważywszy na fakt, że to, co się dzieje tu, przed nim, jest tak przypadkowe, tak idealne, to jest *soft porno* do nieprzytomności nakurwione militariami. Nie da się wymyślić lepszego widowiska do podkreślenia temperatury, chyba że składanie żywych ofiar albo autentyczny seks na boisku.

– W lewo... zwrot! szczeka Dime półgłosem, i ruszają. – W prawo... zwrot!

I idą przez boisko prosto w paszczę bestii, Lodis w ślad za Billym, Billy w ślad za Crackiem, Crack w ślad za Dayem, a ten depcze po piętach formacji bębniarzy z Prairie View przez kłębowisko fantazyjnych uniformów i obnażonych części ciała. Z łoskotu wybijają się pojedyncze dźwięki, niczym buczenie gitar czy wielorybie wokalizy. Czas redukuje obroty, płynie wolniej. Błyski stroboskopów to przeciągłe, jarzeniowe rozmazy. Billy wie, dokąd powinni dotrzeć, ale sam proces trochę mu umyka. Każdy kolejny Bravo, przechodząc przez linię boczną, robi w lewo zwrot, po czym gnani są pomiędzy szpalerami zestresowanych pomagierów aż do zagrody dla personelu na tyłach sceny, gdzie panuje totalne zamieszanie. Wysoka szczupła babka w sięgającej kolan ciepłej kurtce wyciąga ich na ubocze. Ładna jest, przynajmniej sądząc po tej części twarzy, którą widać spomiędzy klap uszanki.

– No dobra – drze się jak marynarz podczas sztormu, zgarniając Bravo w gromadkę – najpierw doprowadzimy was na miejsce za kulisami, chłopaki, a potem, jak będzie sygnał, wychodzicie stamtąd, schodami w dół, na środkowy poziom. Będziecie maszerować, jasne? W sensie, że tak? – Naśladuje wojskowy krok. – Na środkowej platformie skręćcie w lewo i idziecie tam dalej, wzdłuż sceny. Szukajcie fioletowych krzyżyków, po jednym dla każdego z was, taki macie znak. Każdy zatrzymuje się na swoim, obraca się w stronę boiska i staje na baczność.

Bravo przytakują. Żaden się nie odzywa. Wszystkim dyskretnie odpierdala.

– Będzie się tu działo, że hej, ale wy się nie ruszacie, chłopaki. To całe wasze zadanie, po prostu macie tu stać. Prościzna, co nie? – Babka się uśmiecha, lekko szturcha Daya w ramię. – Wszystko dobrze?

Bravo przytakują. Nawet Day wygląda na zestresowanego, szyja mu nabrzmiała, jakby nałykał się zbyt dużo powietrza. Crack patrzy na ziemię i mamrocze coś do siebie.

– Chłopaki, dajcie spokój, wyluzujcie, macie naprawdę najłatwiejszą fuchę. – Babka się śmieje, lekko zirytowana tym, że są aż tak spięci. – Kiedy już każdy stanie na swoim znaku, macie tam po prostu stać, aż koncert się skończy, podejść i dam wam znać, kiedy będziecie mogli się zwijać.

– Będzie z tego durnota – marudzi Lodis, ale ich instruktorka udaje, że tego nie słyszy.

Bravo dadzą sobie radę, jasna sprawa, choć akurat w tej chwili żaden z nich nie wygląda najlepiej. Zbyt wielu ludzi gania tu dokoła, za dużo oczu wytrzeszczonych w popłochu, wszystkie smaki i zapachy zasadzki, a nie można się zrelaksować, wyzwalając morderczą agresję. Ekipy od fajerwerków po prawej i po lewej wciąż odpalają paskudne rakietki, które syczą i skwierczą jak pociski z ergiepepanca. Na najwyższy poziom sceny prowadzą przenośne metalowe schody, Bravo są pojedynczo rozmieszczani na ich szczytach. Od kulisy sceny dzieli ich tylko wąska kładka i Billy stoi sobie właśnie o stopień poniżej tej kładki, kiedy przez kulisy przebija się jak bomba wspaniała okaz płci żeńskiej, ma przejście przesłonięte jakby pionowymi żaluzjami, wychodzi zza niego i zaraz obskakuje ją kilka osób z obsługi. Jedna odbiera mikrofon, druga podaje butelkę Evian, trzecia wręcza jakiś kusy ciuch z futerkiem, który ta kobieta zaraz zaczyna zakładać przez głowę. Beyoncé. Billy, gdyby zechciał, mógłby wyciągnąć dłoń i dotknąć jej uda. Jej włosy wystrzelują z kołnierza pulowera niczym korona słoneczna, a z miejsca, w którym stoi Billy, o stopień pod kładką, dziewczyna piętrzy się, majestatyczna niczym Góry Skaliste. Z bliska jej skóra ma miodowy odcień brązu, jak powidła jabłkowe, pokryta warstewką potu, w której zatrzymuje się światło. Michelle i Kelly są obsługiwane przez własnych opiekunów, dalej na kładce. Nikt się nie odzywa. Ci ludzie od szołbiznesu są totalnie rzeczowi, cisi i zabójczy jak grupa snajperów. Beyoncé wypycha dłonie z rękawów kurteczki, kusego, odsłaniającego ramiona ciuszka z satyny z kołnierzem obszytym futerkiem, a gdy mości się wewnątrz ubrania, jej oczy napotykają spojrzenie Billy'ego. Przepraszam, chciałby jej powiedzieć, rób swoje, nie przeszkadzaj sobie, ale jest tak skupiona, tak rozogniona chwilą, że wstydziłby się nawet tak nieznacznie zaprzętać jej uwagę. Przewodzenie występowi dla czterdziestu milionów widzów czyni z niej członkinię ścisłej elity istot ludzkich na ziemi, bo jakiejże wytrzymałości nerwowej to wymaga, jakiego wynaturzonego zogniskowania ducha i energii. Nawet nie jest zdyszana! Równowagę

umysłu i ciała zachowuje niczym mistrz jogi. Zamieszkuje jakiś bardzo odległy wymiar astralny, a jednak coś się dzieje w jej oczach, kiedy ich spojrzenia się spotykają, jakby na chwilę go zauważyła. W tym ułamku sekundy Billy szuka czegoś w jej wzroku – nie miłosierdzia, nie całkiem, współczucie też byłoby czymś zbyt wielkim, może po prostu zwykłego potwierdzenia, że oboje należą do rodzaju ludzkiego, ale ona już się odwraca, bierze mikrofon, jeden z opiekunów rzuca *daj im popalić*, a ona wchodzi w szczelinę i znika.

Ktoś wypycha Billy'ego na kładkę, zatrzymuje go zaraz przed otworem. Hałas dobiegający ze sceny jest po prostu obezwładniający. Billy zerka w prawo i widzi kolejnych Bravo rozmieszczanych w podobnej pozycji, i w tej chwili nagle tęskni za wojną. Tam przynajmniej z grubsza wiedział, co robi, jeśli potrzebował wskazówek, mógł się odwołać do szkolenia, nie było tak, cholera, że cały kraj patrzył, czy czegoś nie spieprzy, a tu? Tutaj to wszystko trzyma się na słowo honoru. *Środkowy poziom*, wrzeszczy mu ktoś do ucha, *skręć w lewo i szukaj fioletowego krzyżyka*. Muzyka raptownie wytraca tempo, teraz to rytm jak przy mieleniu mięsa, *pa-dunga, pa-dunga*, albo jakby do zgniatarki do śmieci wrzucono tak dużą porcję, że maszyna nie może się z nią uporać. Na najniższym poziomie sceny Destiny's Child stoją przed trójką bębniarzy z Prairie View, przejęły pałeczki i wybijają rytm, miotając łokciami, wychylone do przodu niczym kobiety w modnych ciuchach usiłujące podnieść samochód na lewarku. Billy już prawie zapomniał o oddychaniu, kiedy wreszcie wypychają go na scenę. Zupełnie jakby wszedł w rozświetlony słońcem cumulus, wszędzie wokół ciała tylko olśniewający blask, jakby uwięziony w wacie, a pod nogami nic, tylko powietrze. Rusza na prawo skosem ku schodom pośrodku i pomniejszym cudem dociera tam zaraz po pozostałych trzech Bravo, co więcej, wszyscy idą z grubsza w nogę. Billy słyszy w głowie szum i niewiele ponad to. Dokładnie na wprost sceny trepy z Repry wykonują podrzuty karabinów z przewrotem nad głową – i to z założonymi bagnetami, no kurwa, przecież mogą się pozabijać, to dopiero by była chujnia w programie na żywo w telewizji skończyć z własnym bagnetem w oku!

Trzeba mi wojaka, chłopaka wojaka

Gdzie oni są, gdzie oni są

Billy zamyka kolumnę, więc przypada mu fioletowy iks najbliższej środka sceny. W prawo zwrot, stać. Reszta Bravo znalazła się już jakimś cudem na najniższym poziomie, Dime, Sykes, Mango, A-bort, wszyscy w równym rzędku. *Wojak będzie wierny mi*, śpiewa Beyoncé, a Michelle i Kelly skandują linię basu,

*Wojak będzie wierny mi,
Będzie tak, będzie tak
Wojak będzie dla mnie silny
Będzie tak, będzie tak*

Śpiewają to jak serenadę dla Bravo na najniższym poziomie, wijąc się i prężąc na zgrabnych, kocich nóżkach, pomiaukując w molowych trelach o niedolach chcicy. Cała scena przeobraziła się w pokaz akrobatycznej gry wstępnej w powiększeniu: falliczne rakiety, pornoteatryk cieni, uda i tyłki pracują jak frezarki, tu, na drugim poziomie, tancerki twerkują przed Bravo, i co, do diabła, możesz zrobić, nic nie zrobisz, stoisz na bacność, a czterdzieści milionów ludzi patrzy, jak oglądasz taniec na rurze. Tak nie powinno być. Nikt nie mówił, że tak będzie. W normalnych okolicznościach mogłoby to być po prostu żenujące, ale telewizja sprawia, że staje się obsceniczne i nieprzyjazne. Billy'ego szlag trafia na myśl, że jego matka i siostry to oglądają, a tutaj jeden z koleś zaczyna tańczyć trochę zbyt blisko, popisuje się przed Billym, tu obrót, tam przysiad. Jasne, debil, marzę o tym, żeby oglądać twoją pytę! Billy spogląda na niego ostro, tamten uśmiecha się kpiąco i wbija się w resztę. Potem jednak wraca, więc Billy mówi mu, wkładając w to tyle uczucia, ile się da z zaciśniętymi zębami:

Wypierdalaj.

Typ śmieje się i znów znika. Rytm przyspiesza, gdy schodami maszeruje w dół tyraliera bębniarzy z Prairie View, *bum-Taka-Taka-Taka bum-Taka-Taka-Taka*. Tropy z Repry wykonują salut królowej Anny, podrzut karabinów, broń za plecy, przykłek, ręka na sercu, a szwadrony uśmiechniętych tancerzy zdobią skrzydła, prezentując zamaszyste ruchy kung-fu. Na najniższym poziomie stoi Sykes i płacze. Billy z jakiegoś powodu nie jest nawet zaskoczony, ma tylko nadzieję, że to całe widowisko dobiegnie końca, zanim wszyscy Bravo będą się nadawali do czubków. Destiny's Child zwierają szyki pośrodku sceny, a wzbierająca nawałnica świateł i fajerwerków zwiastuje, że nadchodzi kulminacja. Plecy Sykesa to rozedrgana pantomima łkania, ale chłop twardo stoi na bacność, broda do góry, pierś wypięta, i jeszcze nigdy nie wydawał się Billy'emu tak odważny i tak drogi jego sercu jak właśnie w tej chwili.

*Ja się nie boję, ja się nie poddaję,
Ja się nie boję, ja się nie boję,
Hej, twardzielu, nie dźwignąłeś tej super miłości, którą ci oddaję?*

Daleko po drugiej stronie pola czirliderki Cowboys ustawiły się w linii do kankana, ale nawet z tej odległości, przez woal marznącego deszczu i dymu fajerwerków, wzrok Billy'ego kieruje się prosto na Faison, jego jęk to ledwie kropla w oceanie dźwięków. Destiny's Child idą schodami w górę, zatrzymując się co kilka kroków, by rzucać przez

ramię wyzywające spojrzenia, szczują cycem i tyłkiem, niech telewizyjne kamery się nasycą. Billy nawet nie spogląda w ich stronę, kiedy zatrzymują się na jego podeście, choć u boku buzuje mu ich zwierzęce gorąco. Jak długo dziewczyny przybierają pozy, on nie ruszy choćby palcem, ale ledwie odejdą, unosi oczy ku niebu, potem zadziera całą twarz o kilka stopni, by w pełni odczuć działanie pogody.

Lodowaty deszcz siecze, ale Billy nawet nie mrugnie. A niech pada, lód w sprayu, jakby sypał się na niego miliard igieł, a po chwili jest tak, jak gdyby deszcz zawisł, a Billy wyleciał między krople, pędził ku jakiemuś nienazwanemu, ale obiecującemu celowi. Wszystko inne zostaje w tyle, a on jest szczęśliwy, swobodny, to klucie w oczach to tylko szybkość i wznoszenie. Czuje się tak, jakby osiągnął prędkość ucieczki. Jakby był w przyszłości. Wciąż jeszcze tak stoi, pędzi jak rakieta ku przyszłemu obrazowi świata, kiedy Day klepie go w ramię i mówi, że przerwa już się skończyła.

Jeżeli w przyszłości powiesz mi, że to miłość, nie sprawię ci zawodu

Nikt po nich nie przychodzi. Zbierają się wokół Sykesa i czekają, zgodnie z instrukcjami, na babkę w rosyjskiej uszance, najwyraźniej jednak Bravo wpadli w dziurę w kolektywnym umyśle zarządu, bo stoją tak, bez opieki, choć po scenie uwijają się już techniczni, a na głowach osiada im popiół ze sztucznych ogni. Przetrzykali traumę widowiska światowej klasy, ale teraz potrzebują chwili, żeby minęły nerwy. No, powiedzmy, że tak z sześć lat by wystarczyło. Bravo są zmięci, zżuci i gotowi do wyplucia, a może i już wypluci, a przynajmniej Sykes, który usiadł na najniższym schodku i łka, toczy strumyki szybkich, drobnych, beznadziejnych łez.

– Nie wiem, kurwa, czemu płaczę! – skrzeczy, zapytany przez Lodisa. – Po prostu płaczę, cholera! Płaczę i już!

– Macie się stąd zwijać, ludzie – warczy na Bravo szef technicznych.

– Tobie też chuj w dupę – mamrocze za nim Mango, kiedy tamten odchodzi z marsem na czole, i Bravo nigdzie się nie ruszają.

Day i A-bort siadają po obu stronach Sykesa, a reszta snuje się wokół, czują się rozdarci, sponiewierani, rozlatane dłonie wpychają w kieszenie.

– Chłopaki, wreszcie zobaczyliśmy Beyoncé – zauważa Crack.

– Oho, wielka rzecz.

– No dobra, ale widzieliśmy ją z bliska.

– Yhy, seksowna babka i w ogóle, ale miałem lepsze.

Przynajmniej z tego udaje im się chwilkę pośmiać. Billy zauważa, że znalazł się obok Dime'a, i zwierza mu się:

– Panie sierżancie, niedobrze mi.

Dime taksuje go spojrzeniem.

– Na moje oko wyglądasz dobrze.

– Znaczy, nie żeby mnie brało na rzygi. Raczej taki jestem trafiony. Jak ujarany. – Klepie się po skroni. – To, co było w przerwie, trochę mnie rozwaliło.

Dime się śmieje, *ra-ra-ra*, jakby gdzieś wysoko w jego gardle terkotał kaem.

– Synu, spróbuj może spojrzeć na to od tej strony: to tylko kolejny normalny, amerykański dzień.

Na to „synu” serce Billy’ego aż trochę mięknie. Scena znika wokół nich jak fatalnie trafiony okręt osuwający się pod wodę.

– Już chyba sam nie wiem, co jest normalne, a co nie.

– Wszystko z tobą dobrze, Billy, wszystko dobrze. Ze mną wszystko dobrze, z tobą wszystko dobrze, z każdym wszystko jest dobrze. Z nim też. – Dime skinieniem głowy wskazuje Sykesa. – Wszystko jest super.

Billy spogląda na Sykesa i już chce spytać, właśnie, no to co mamy z nim zrobić?, ale znów podbija do nich szef technicznych, rzuca się do Bravo, że mają się zabierać z jego sceny.

– No to gdzie mamy iść? – odcina się Crack. – Nikt nam nie powiedział, gdzie mamy się zwinąć.

Tamten się zatrzymuje, znajduje w zagonieniu chwilę, żeby się im przyjrzeć. Ma dobrze ponad metr osiemdziesiąt pięć, jest brodaty, barczysty, o twarzy obwisłej i pomarszczonej jak odpalona poduszka powietrzna, ale w oczach iskrzy mu jakiś chemiczny woltaż, wieloletni techniczni tak wyglądają, jak jebnięci drwale. Z sekundę patrzy na Sykesa, wciąż w totalnej rozsypce.

– Słuchaj, nie mam, kurwa, pojęcia, gdzie powinniście iść, ale tu nie możecie zostać.

– To może tak, ojciec – odpowiada mu Crack. – Zbieramy się stąd, jak tylko obessiesz mi pałę. Co ty na to?

Później, wracając do tej chwili we wspomnieniach, Billy ze zdziwieniem skonstatuje, że nie zauważył, by ktokolwiek zadał tu jakiś cios. Chryja nie trwa długo – dziesięć, może piętnaście sekund? Choć jak to zwykle bywa w takich wypadkach, wydaje się ciągnąć godzinami. Najpierw szef technicznych próbuje podnieść Cracka, jakby myślał, że po prostu zrzuci go ze sceny, no bo i jest od żołnierza większy, ale nie aż taki duży, i to dopiero musi być dla niego kicha, kiedy ten młody byczek zatrzymuje go w klinczu. Na chwilę obaj praktycznie zastygają w bezruchu. Tylko wytrzeszczone oczy i nabrzmiące karki zdradzają, że mierzą się tony sił, ale w końcu jest obrót, drugi, trzeci, i już wirują w samym środku chaotycznego młyna ciał, który zjeżdża ze sceny na boisko. Ludzie się przepychają, napierają na siebie torsami, taka szarpanina na pół gwizdka, zdławione gardłowanie, kto tu komu nawrzucał, kto gdzie przegiął, no i oczywiście stop orkiestra, szwagra biją. Burda, można by powiedzieć.

Bijatyka. Ale nie do końca jednak regularna jatka na świętej murawie Texas Stadium. Billy'ego niesie czysta adrenalina, obok śmigają tylko ramiona, ręce, twarze, kiedy nagle widzi, że obok przedziera się Dime, jakby wiosłował przez bystrzyny, przebija się przez ludzi, żeby wyciągnąć Cracka. Któryś techniczny próbuje złapać sierżanta za plecy, ale Billy chwyta typa za kołnierz, gość obraca się z szałem w oczach, Billy myśli sobie, No kurwa, to teraz nie puszczaj. Facet się zatacza, a Billy dosiada go od tyłu, jedzie, jedzie, wolałby, żeby nie wyglądało to zupełnie tak, jakby gościa posuwał, ale trzyma się go, póki wreszcie nie wpadają w to wszystko gliny, a wtedy wystarczy jedno słowo Dime'a, żeby Bravo wycofali się z walki – „jak sfera doskonałych psów myśliwskich”, lubi mawiać sierżant o swojej drużynie.

Straty? Nieznaczące. Crack dostał z łokcia w oko, Lodis ma rozbitą, krwawiącą wargę, Mango obolałe ucho po tym, jak techniczny założył mu klamrę na głowę. Gliniarze sprowadzają Bravo do linii bocznej, wysłuchują ich relacji.

– Tam będzie ktoś, kto będzie wiedział, gdzie macie iść – mówią, więc jak niedobitki jakiegoś zaginionego przed laty w dżungli patrolu Bravo brną na przełaj przez boisko.

Właśnie mijają pierwszą linię kreskową, kiedy Billy unosi wzrok i widzi, o matko miłosierdzia, wychodzącą im na spotkanie Faison, przechylającą pytająco głowę, z zatroskaną miną. Billy widzi, że dziewczyna jest nabuzowana. Kręcą ją takie dramaty.

– Co się stało? – Unosi ku niemu głowę, kiedy się spotykają, dotyka jego ramienia. Pozostali Bravo zachowują milczenie, pełni czci.

– Głupota, głupia sprawa, drobiazg. Trochę jakby się tam ścięliśmy z technicznymi.

– Pobiliście się? Bo nie wiedziałyśmy, czy to bójka, czy się wygłupiacie.

– W sumie chyba bójka, choć to raczej za duże słowo.

– Zapytaliśmy tylko, czy możemy pomóc! – mówi A-bort, i wszyscy rżą, poza Sykesem, który znów się rozkleja.

– Pobili cię? – pyta Faison Billy'ego, a po chwili zwraca się do wszystkich Bravo: – Ktoś ucierpiał? O Boże, co ci się stało w wargę! – krzyczy na widok Lodisa. – Kto miał się wami zajmować? – Kiedy dowiaduje się, że Bravo zostali bez opieki, jest wzburzona. – No dobra – zawraca, gestem poleca Bravo, żeby szli za nią – wszyscy za mną, dowiemy się, co i jak. W głowie się nie mieści, że was tam zostawili, my naprawdę i inaczej traktujemy tutaj gości.

Bravo zbijają się wokół niej w luźne stadko, dziękują półgłosem.

– No bo wiecie, z tymi technicznymi, tak? – mówi im. – Już były z tymi typami problemy. Parę tygodni temu prawie się rzucili na Lyle’a Lovetta, normalnie darli się: „Won ze sceny! Won ze sceny i to JUŻ!”. A Lyle i jego zespół mieli tam cały sprzęt, no przecież nie mogą tak sobie zejść i wszystkiego zostawić. Na szczęście ochrona była na miejscu, bo mogło się porobić.

– Oni chyba coś wciągają – mówi Mango.

– No, zachowują się tak, że można podejrzewać. Tacy są, jakby coś brali. Ktoś powinien porozmawiać o nich z zarządem.

Na spotkanie wychodzą im kolejne czirliderki, do Bravo dociera, że to jeszcze może się nieźle skończyć. Wzdłuż linii bocznej po stronie gospodarzy robi się mały wieczorek zapoznawczy, Bravo i czirliderki rozmawiają sobie, ktoś też bombarduje szefów telefonami w sprawie porzuconych żołnierzy. Dzięki burdzie mają temat do pogawędek: z początku czirliderki są wstrząśnięte, potem, kiedy już się osłuchały, oburzone, co na dodatek owocuje wzmożoną sympatią do Bravo. Znajduje się łód na oko Cracka i wargę Lodisa. Para czirliderek delikatnie obmacuje obtarte ucho Mango.

– A temu co się stało? – pyta Faison, kiwając głową w stronę Sykesa. Stoi z Billym trochę na uboczu od pozostałych.

– A, to tylko Sykes.

– Jego też pobili?

Billy przygląda się Sykesowi, który przycupnął za przenośnym składzikiem na sprzęt i cicho łka.

– Tęskni za żoną.

– O kurde. – Faison chyba jest pod wrażeniem. – Serio?

– Taki trochę jest uczuciowy.

Faison wciąż zerka na Sykesa, jakby zafascynowana, czy może po prostu zaniepokojona, że nikt się nim nie zajmie.

– Czy on ma dzieci?

– Jedno w terenie, drugie w drodze.

– Boże drogi, nawet sobie nie wyobrażam. Słuchaj, może powinnam tam podejść i z nim pogadać?

– Myślę, że akurat teraz woli być sam.

– Chyba masz rację. Kurka, ludzie, ależ wy się poświęćcie! To ile tam jeszcze będziecie, jak mówiłeś?

– Aż do końca października w przyszłym roku, chyba że znów wypadnie nam przedłużona tura.

– Och, Boże. – To *och, Boże* wydobywa się z niej w takim jakby grzechotliwym jęku, jak gdyby jechała na rolkach po żwirówce. – A jak długo już tam byliście?

– Przerzucili nas dwunastego sierpnia.

– Ojej. O mój Boże. Pewnie nie chcesz nawet myśleć o powrocie.

– Trochę tak. Chyba. – Jakoś tak się stało, że ich twarze dzieli raptem kilka centymetrów i wydaje się, że to najnaturalniejsza sytuacja pod słońcem, coś tak elementarnego jak wiatr, pływy, magnetyczna północ. – Cóż, jest, jak jest, w sumie. Ale będziemy wszyscy razem, a to już coś. Tak serio to naprawdę dużo znaczy.

– Chyba wiem, co masz na myśli. Kiedy przed całą grupą staje przeszkoda, to od razu tworzy się taka więź. – Kiedy ona mówi, Billy stara się zapisać w pamięci jej twarz: na przykład absolutną doskonałość delikatnego klipsa z motylkiem na grzbiecie jej nosa i piegi, którymi oprószone jest jej czoło u szczytu, a których karotenowy, imbirowy odcień idealnie pasuje do barwy jej włosów. Nachodzi go pragnienie, by rozciągnąć szeroko wargi, powiedzmy aż tak, jak potrafi to lew, i przez chwilę delikatnie potrzymać między nimi jej perfekcyjną twarz.

– Czasami zastanawiam się, czy aby to wszystko nie jest jakaś pomyłka. W sensie uważam, że powinniśmy zwalczać terrorizm i w ogóle, ale rozumiesz, co nie, pogoniliśmy Saddama, więc może trzeba już zabrać naszych do domu i niech Irakijczycy sami sobie radzą.

– My czasem też tak myślimy – mówi Billy, wspominając, co kiedyś powiedział Grzybu: *Może światelko jest na drugim końcu tego tunelu.*

– Ha, ha, na pewno. – Faison zerka nad jego ramieniem. – Za minutę zaczyna się druga połowa – mówi, po czym odsuwa się nieco i spogląda Billy’emu w oczy. – Słuchaj, mogę ci zadać osobiste pytanie?

– Jasne.

– Spotykasz się z kimś?

– Bynajmniej – przyznaje śmiało, beztrósco zrezygnowany. Co z tego, że będzie wiedziała, że on nie kręci z dziewczynami.

– Ja też nie. Więc co ty na to, żebyśmy byli w kontakcie?

– Ta-um – mówi, prawie się na tym krztusi, więc znów: – *tak.* Tak, myślę, że to dobry pomysł.

– Świetnie. – Nagle jest cała skupiona, rzeczowa. – Masz telefon? Wyciągnij komórkę, dam ci namiary na siebie, wtedy do mnie zadzwonisz i zostawisz wiadomość, żebym miała numer do ciebie. Bo, szczerze mówiąc, nie chciałabym cię stracić.

Mówi to ot, tak sobie, takie beztróskie stwierdzenie, od którego trzęsie się ziemia, oszałamiający fakt. On, Billy, staje się osobą, której ktoś nie chce stracić! Życie stało się dla niego czymś cudownym. Może od razu powinien pójść na całość i poprosić ją o rękę?

– Jak masz na nazwisko? – Wyjął już telefon.

– Zorn.

Billy odchrząkuje.

– No wiem, wszystkim się wydaje, że to śmieszne.

Billy milczy.

– Zorn znaczy „gniew” po niemiecku.

– Tak jest, przyjąłem – kwituje z kamienną twarzą.

– Przestań! Jaki ty jesteś zabawny.

Stoi przy nim, prawie stykają się głowami, i patrzy, jak Billy wpisuje sobie numer do niej. Telefon daje im dopuszczalny socjalnie pretekst, by stali tak blisko siebie, i dobrze, bo robią to na oczach tysięcy ludzi. Billy oddycha głęboko, wciąga jej czystą woń ze świeżego powietrza, ostrą waniliową nutę śniegu i zimowego wichru. Zupełnie jakby nasiąkła najśłodszymi zapachami, które może zaoferować ta pora roku.

– A Kathryn to kto?

Billy przewija w telefonie historię połączeń.

– Moja siostra.

– Dzwoniła do ciebie.

– Wiem. – Podświetla następne imię. – A to moja druga siostra.

– Starsze, młodsze?

– Ja jestem najmłodszy. A tu mama.

– Denise? Nie „Mama”?

– No, tak ma na imię.

Faison się śmieje.

– A gdzie masz tatę?

– Tata jest inwalidą. Nie ma własnej komórki.

- Ojej!
- Parę lat temu miał podwójny udar, został problem z mówieniem.
- Jak mi przykro.
- Mówi się trudno. Takie życie.

Trzyma go za ramię tuż nad łokciem, jej dłoni nie widać pod kłębem pomponów. – Zobaczysz się jeszcze z nimi przed wyjazdem?

Billy nagle ma ściśnięte gardło.

- Ee, nie. – Przełyka. Już dobrze. – Pożegnaliśmy się wczoraj.
- Co za kanał. – Faison przysuwa się jeszcze o parę milimetrów bliżej.
- Tu jesteś. – Przewinął listę numerów aż na sam koniec.
- Zorn. U wszystkich jestem ostatnia na liście.
- Zmienię cię na Gniew, to będziesz wyżej.

Faison się śmieje, ogląda przez ramię. Czirlidarki przechodzą w stronę wyjścia z tunelu, żeby powitać zawodników na murawie.

– Muszę już lecieć, słonko – mówi i ściska jego ramię. Jej dłoń odskakuje jak porażona prądem, ale zaraz znów ściska, a potem obmacuje go od łokcia po bark.

- *Mój Boże*, ależ ty masz wspaniałe ciało. Jest tu choć gram tłuszczu?
- No, chyba nie za wiele.

– *No, chyba nie za wiele* – powtarza za nim mrukiwie, śmieje się. Wciąż bada palcami jego ramię. – Nawet nie wiesz, jaki jesteś wspaniały, co? Coraz lepiej, słowo daję! – oznajmia, niemal pomlaskując z entuzjazmem, po czym ściska go, szybko, mocno, jakby chwyciła się boi, żeby nie porwał jej sztorm. Billy niemal wali się z nóg, zamroczony ekstazą. Jakie to cudowne, absolutnie błogosławione: być docenianym tylko za to, kim się naprawdę jest, dawać się dotykać, głaskać, obściskiwac, macać, generalnie stanowić obiekt apetytu. – Dobra, muszę śmigać – mówi Faison, wypuszczając go z uścisku. – Podejdz do mnie potem na dwudziesty, w to samo miejsce.

Billy mówi, że tak robi, a Faison truchcikiem biegnie po linii autowej, śladem pozostałych czirliderek. Bravo wodzą za nią głowami, ich oczy niezdolne oderwać się od jej pośladków, hasających w tych niby-szortach, tak kusych, że chyba wzorowali je na knajpianych tackach na kubki. Billy wybiera jej numer i czeka przez sześć dzwonek, patrząc, jak Faison zajmuje pozycję przy wylocie tunelu. Pierwsi zawodnicy wybiegają truchtem na boisko, niczym nosorożce na spacerze. Z telebimu

ryczy gitarowe solo Guns N' Roses, czirliderki stają na palcach i wysoko machają pomponami, a po trybunach przetacza się fala braw, jakby grzmot szedł po górach.

„Hej, dodzwoniłeś się do Faison! Nie mogę teraz odebrać...”

To dziwne uczucie widzieć ją na własne oczy w niezbyt dużej odległości, jednocześnie trzymając przy uchu jej odcieleśniony głos. Tworzy to kłamrę wokół tej sytuacji, dając jej ostrość i perspektywę. Sprawia, że Billy staje się świadom tego, że jest siebie świadom, i to dopiero zagadka, nad którą warto się zastanowić: dlaczego takie spiętrzenie świadomości miałoby być w ogóle istotne. W tej chwili Billy wie tylko, że jest w tym pewien ład, przyjemne poczucie stabilizacji czy mentalnego uporządkowania. Coś w rodzaju wiedzy, czy może mostu do wiedzy – jakby byt nie musiał sprowadzać się do debilnego zataczania się od jednego cholerstwa do drugiego, i tak bez końca? Jakby można się było postarać o to, żeby w życiu był jakiś kontekst – choć Billy kojarzy taki stan rzeczy z dorosłością. I wtedy rozbrzmiewa *biiip* i musi coś powiedzieć. Zostawia Faison zabawną, krótką wiadomość – dwie sekundy po zakończeniu połączenia nie pamięta już, co mówił.

Tymczasowa przytomność umysłu

Ostatnich kilku piłkarzy wyłazi pojedynczo z tunelu, a wraz z nimi, proszę bardzo, truchta Josh, wygląda tak, jakby zszedł z planu reklamy Ralpha Laurena. Jak on to robi? Każdy włos, każdy szew, każde zaprasowanie i plisa na swoim miejscu, jakby go zalaminowano w warstwę pizdusiowatej perfekcji.

– Moja wina, moja wina, moja wina – recytuje zaciętym, równym tonem – strasznie mi przykro, chłopaki, spieprzyliśmy, no, spieprzyliśmy, w życiu nie wolno nam było tak was zapodziać. – I tu zaczyna szczegółowe wyjaśnienie logistyczne chwil po przerwie meczu, z którego w skrócie wynika, że przez ostatnie dwadzieścia minut czekał na nich w ustalonym wcześniej punkcie iks.

– Czyli mówisz, że któraś z panien ze sztywnikami miała nas tam ściągnąć – upewnia się Dime.

– Zasadniczo tak.

– To w jakim sensie to twoja wina?

Josh już otwiera usta, żeby spróbować się tłumaczyć, ale Bravo oszczędzają mu zachodu zbiorowym aplauzem. Dżoooooosz! Nasz Joshman. *Jash*. Chłopak jest tak miły, że to dla niego aż niezdrowe, i dlatego Bravo uwielbiają tego głąba.

– Elo, Josh, a słyszałeś, że mieliśmy tu dym?

– Zaraz, chwila. Jaki dym?

– No zadymę tu mieliśmy, przed chwilą. – Crack się szczyrzy, pokazuje pakiet z lodem.

– No właśnie, Josh, to też twoja wina – dorzuca Day.

– Chwila moment, czekajcie. Jaja sobie robicie. Kurwa, chłopaki, co się...

– *Jash*, wyluzuj. Jest dobrze.

– No pewnie, Josh. Lubimy walczyć. W sensie taki fach.

– Pamiętaj, facet, generalnie to my jesteśmy stado goryli.

Day pyta o afterek, czyli według jego definicji o bieżące koordynaty Beyoncé i jej dziewczyn, bo sam też chciałby już tam być. Bravo dają mu jednogłośnie poparcie, ale Josh mówi, że Destiny's Child chyba już się zawinęły ze stadionu. Billy'ego męczy wieczne dopominanie się o *advil*, więc teraz już nawet nie próbuje. Winda towarową zjeżdżają na zaplecze na parterze.

Crack, Mango i Lodis kierują się do toalety, żeby popracować nad doznanymi obrażeniami. Reszta Bravo kręci się po zapleczu, dzwonią do domów. *I co, patrzyliście na mnie? Jak wyglądałem?* Billy dochodzi do wniosku, że tak właśnie wygląda afterek dla trepów: dzwoni się po rodzinach. Wyciąga komórkę i wybiera numer Kathryn, ale odbiera Patty.

– Halloooo, młody – ćwierka jak pijany słowik, rozjeżdżającym się, mdląco słodkim głosem. – Ależ przystojny byłeś w telewizji! Wszyscy jesteśmy z ciebie strasznie dumni, brat.

– Dzięki.

– No tooooo – przerwa na łyk drinka – jaka ona jest?

– Kto jaki jest?

– Beyoncé, baranie! – Billy słyszy w tle jęk mamy: *Nie nazywaj brata baranem, proszę.*

– A, ta. – Billy symuluje ziewnięcie. – No, obleci. Trochę gruba w biodrach.

Patty przebija go rżącym *Ha!*

– Ale spotkałeś ją, tak w ogóle?

– Nie było szansy.

– Ale przecież byliście zaraz tam na scenie!

– No, i na tym się skończyło. I wyglądało na to, że moment nie był najlepszy...

Patty pyta, czy spotkał jeszcze jakichś celebrytów. Billy'ego dołuje trochę gadanie o takich ludziach, ale może z tym żyć. Była ta aktorka ze *Strażnika Teksasu*, ta blondynka, co grała dziarską panią prokurator. Senator Cornish, obdarzony największą głową, jaką kiedykolwiek widział Billy. Jimmer Lee Flatley, gwiazdor muzyki country, ale żadna tam ekstraklasa, no i Lex, ciacho z Fort Worth, który w *Rzykantach* przetrzymał do ostatniej rundy. Billy rzuca jeszcze parę nazwisk, jak resztę z dolara.

– Słuchaj, a to, co ty tam robiłeś na końcu, co to było? Bo wszyscy się zastanawialiśmy.

Ale co takiego?

– No na samym końcu, kiedy patrzyłeś w niebo. Jakbyś się modlił, czy coś.

– Pokazali to?

– No, jakby tak. – Patty wybucha śmiechem, słysząc, że się przejął.

– Tak na zbliżeniu?

– Nie tak zupełnie z bliska, ale pokazali. Przez chwilę na ekranie byłeś praktycznie tylko ty.

Billy łapie na tę wieść ciśnienie, choć nawet nie wie dlaczego.

– No, na pewno się nie modliłem. – Przez chwilę dręczy się tym w milczeniu. – Wyglądałem dziwnie?

– Nie – śmieje się Pat – wyglądało *słodko*. Byłeś śliczny. Naprawdę jesteśmy z ciebie dumni.

– Zupełnie tego nie pamiętam – mówi Billy, choć świetnie pamięta tamtą chwilę. – Tam, na scenie, było gorąco, światła i w ogóle. – Może po prostu próbowałem złapać trochę powietrza.

Pat znów zaczyna z tym, jak to przystojnie wyglądał, jak dzielnie, ale Kathryn zabiera jej telefon.

– Hejka.

– No hej.

– Czyli obeszło się bez Beyoncé, co?

– Niestety.

– Może i lepiej, pewnie totalna z niej suka. Chwila moment... – Otwierają się i zamykają drzwi, giną domowe hałasy, zamiast nich jest przestronna, bezdenna cisza. Kathryn wyszła na dwór.

– Chryste Panie!

– Co jest?

– Ależ tu, na dworze, zimno jak smok. Oj, nie chciałabym być dzisiaj dzikim zwierzęciem. Nie marzniesz tam?

– Daję radę.

Opowiada mu, jak to tego popołudnia spędziła kilka godzin, bawiąc się w śniegu z Brianem. Naskrobali tyle, że dało się ulepić kurduplowatego bałwana.

– Teraz padł i kima w twoim pokoju, chyba urobiłam mu nóżki do kikutków. Nagraliśmy przerwę meczu, będzie mógł ją sobie potem obejrzeć. Ale, no, posłuchaj – ścisza głos. – Patty powiedziała mi, co mówiłeś, no, w temacie Briana. Żeby zabronić mu wstępowania do wojska.

Billy zamyka oczy, klnie w myślach.

– I myślę, że nie powinieneś tam wracać.

– Kathryn.

– Tylko posłuchaj, dobra? Po prostu daj mi powiedzieć. Spiknęłam się z takimi ludźmi, no, z tymi, co ci mówiłam. Tymi z Austin.

– Naprawdę nie mam ochoty o tym rozmawiać.

– Tylko posłuchaj, Billy, proszę, posłuchaj mnie przez minutę. Rozmawiałam z nimi dwa razy, to dobrzy ludzie, ogarnięci. Mają prawników, mają środki, to nie jest banda świrów. I naprawdę chcą ci pomóc. Mieli nadzieję, że skontaktuje się z nimi ktoś taki jak ty.

– Ktoś taki jak ja.

– Bohater wojenny. Ktoś, wokół kogo mógłby się zmobilizować większy ruch.

– O Chryste.

– Ale posłuchaj tylko! Jeden z tych gości, z tej grupy, ma własne ranczo, chyba z dziesięć tysięcy akrów, mógłbyś tam mieszkać. Mówię ci, facet, to są ludzie z konkretną kasą. Mogą wysłać kogoś po ciebie na stadion, zawiozą cię na lotnisko, dziś wieczorem poleciałbyś na to ranczo prywatnym samolotem. Po prostu zniknąłbyś na parę tygodni, póki prawnicy wszystkiego nie zorganizują.

– To jest dezercja, Kathryn. Za takie rzeczy się idzie pod ścianę.

– Przecież nie ty, nie po tym, co przeżyłeś. Billy, ci prawnicy wiedzą, co robią, mają najróżniejsze strategie na takie sprawy jak twoja. Wezmą też do tego firmę od *public relations*, to naprawdę są zawodowcy. Wyobrażasz sobie, jak chujowo wyglądałby rząd, gdyby próbowali szcuć cię prokuratorem? Po tym, jak cały jebany kraj widział w telewizji, co zrobiłeś?

– Nie wiem, jaki plan mają ci prawnicy, ale nie jestem czubkiem, więc o tym mogą zapomnieć.

– No pewnie, że nie jesteś czubkiem, tylko wariat chciałby wrócić tam, na wojnę. Może załatwimy tak, że adwokaci ogłoszą, że tymczasowo odzyskałeś trzeźwość umysłu, co ty na to? Jesteś zbyt zdrowy umysłowo, żeby wrócić na wojnę, Billy Lynn oprzytomniał. To reszta kraju oszalała, skoro chcą wysłać go tam z powrotem.

– Ale, Kathryn.

– Ale, Billy.

– Ja trochę tak jakby chcę tam wrócić.

Kathryn wrzeszczy. Billy ma wrażenie, że słyszy echo tego krzyku, niosące się od drzew za domem.

– Nie, w życiu, nie chcę tego słyszeć. To niemożliwe, żebyś chciał wrócić tam, do Iraku.

– Ale chcę. Nie mogę tu zostać, jeśli reszta mojej drużyny leci z powrotem. Skoro oni mają tam być i wystawiać się na kule, to i ja chcę tam być.

– Więc może wszyscy Bravo powinni tu zostać, co ty na to? Bush każdemu z was przypiął medal, nikt nie powie, że stchórzyliście, skoro nie chcecie tam wracać.

– Ale nie o to chodzi.

– No to mnie oświeć. O co tu chodzi?

– No, podpisałem kontrakt.

– Pod przymusem! Przeze mnie! Bo to mnie się zjebało!

– Nie, sam zdecydowałem. Właśnie to chciałem zrobić. No i wiedziałem, że pewnie wyślą mnie do Iraku. Nikt mnie nie okłamał, nic z tych rzeczy.

Kathryn aż jęczy.

– Billy, przecież te ciule nic innego nie robią, tylko kłamią. Myślisz, że gdyby powiedzieli ludziom choć pół prawdy, mielibyśmy tę jebaną wojnę? Wiesz, co sobie myślę? Myślę, że nie zasługujemy, żebyście za nas ginęli. Żaden kraj, który pozwala, by jego przywódcy tak kłamali, nie zasługuje, by zginął zań choć jeden żołnierz.

Łamie się, zaczyna płakać. Okropny dźwięk, jakby szpadel szorował po piaskowcu.

– Kathryn – odzywa się Billy, potem czeka minutę. – Kathryn – próbuje znowu. – Kat. Jest dobrze. Nic mi nie będzie.

– Przepraszam. – Jej głos jest niewyraźny jak bulgocące błoto. – No kurwa. A obiecałam sobie, że się przy tej rozmowie nie poryczę. Po prostu wszystko jest takie... a, nieważne. Cała ta sprawa jest do dupy.

– No, taka prawda.

– Słuchaj, nie gniewaj się na mnie. Ale dałam tym ludziom numer do ciebie.

Billy zgrzyta zębami, ale milczy. Grunt to zadbać, żeby znów się nie rozplakała.

– Po prostu pogadaj z nimi, Billy, dobra? Proszę. Posłuchaj, co mają do powiedzenia. To dobrzy ludzie, mogą wszystko dla ciebie załatwić.

Billy nie mówi tak, nie mówi też nie. Kathryn wraca do domu, żeby przekazać telefon Denise, a Billy, czekając, próbuje sobie wyobrazić, jak by to z nimi było, gdyby nie wrócił z Iraku. Wie, że Kathryn by to przetrzymała, furia zatriumfowałaby nad poczuciem winy. Patty też, ma Briana. Ale mama? Mniejsza o ego, dla niej byłby to

okropny cios, może nawet zabójczy, choć nie natychmiastowo. Billy przewiduje długi proces wewnętrznego odrętwienia, które w jego myślach obleka się w postać pogody, istną plagę okrutnie zimnych dni z wiatrem, marznącym deszczem, gdy całodzienna szarówka powoli gęstnieje w mrok. Zupełnie jak dziś, prawdę mówiąc.

W tej chwili jednak jest z nią dobrze, złapała ciśnienie przez pokaz w przerwie.

– To było oburzające – peroruje Billy’emu. – Takie lubieżne pozy, jakby się oglądało rozbierane pokazy na regionalnych dożynkach. Nie pojmuję, jakim prawem takie świństwa pokazuje się w telewizji.

– Bez dwóch zdań, mamó. To nie był mój pomysł.

– Zupełnie jak tamta kobieta, która obnażyła się podczas Super Bowl, pamiętasz? Jeśli tak ma to wyglądać, ludzie zaczną wyłączać telewizory. Niejednemu już się przejadło. Widziałeś to? Przecież tego nawet nie da się nazwać tańcem...

– Mamó, przecież przy tym byłem. – Najwyraźniej strzeliła sobie lampkę wina, albo i ze trzy. I bardzo dobrze, mamó, jeszcze sobie dolej. Przyda się kobiecie relaks, Bóg wie jak bardzo.

– ...pamiętam, że kiedy trenerem był Tom Landry, nie widywało się takich rzeczy. Wtedy mieli jakieś standardy. On trzymał tę drużynę silną ręką. Nie wiem, czy to od czasu, kiedy klub kupił Norman Oglesby, czy to ten trener, którego zatrudnił, czy ktoś inny z jego ekipy...

Im dłużej mówi, tym bardziej jójczy, dostaje religijnego wzmożenia, za to mniej martwi się o siebie. Billy ogranicza się do potakujących mruknięć, czekając, aż ten mamolog dobiegnie końca.

– Słyszałem, że szykujesz tam ucztę nie z tej ziemi.

– No cóż. Tak samo jak co roku.

– Czyli będzie super. Tylko się nie przemęczaj.

– Nie, nic mi nie będzie, dziewczyny pomagają. Obchodziliście Dziękczynienie?

– No pewnie, nakarmili nas jak trzeba. Zabrali nas do klubu tu, na stadionie.

– O, to miło.

I znów uderza go, jak nędzne stałoby się jej życie, gdyby dostał w czapę, już nawet nie patrząc na ego. Mąż kaleka, syn martwy, zwały rachunków za leczenie... Myśli, czy nie powinien czasem podnieść kwoty ubezpieczenia wojskowego, ale zaraz się zastanawia, czy w ogóle objęte są nim szpitale.

– A co u taty?

– Jest dobrze. Siedzi w swoim pokoju, jest z nim Pete, oglądają razem mecz.

– O, i to jest wesoła parka!

– Myślę, że jakoś się dogadują.

Biedna mama, zaszufładowana jako pierwsza naiwna własnego życiorysu.

– Gdzie teraz jesteś?

– Na zapleczu. Chyba zaraz będą nas prowadzić z powrotem na miejsca.

– Ciepło ci?

– Idealnie, mammo.

– Bo widziałam, że nie włożyłeś kurtki ani nic.

– Jest dobrze. Tu, na stadionie, jest całkiem ciepło.

– To ja już nie przeszkadzam, pewnie jesteś bardzo zajęty.

– Wcale nie – odpowiada poirytowany. Może to ich ostatnia rozmowa (*tylko bez robienia dramatów!*) a ona kończy, jakby się paliło, własnego syna tak spławia. Choć Billy wie, że to nic nie znaczy. Po prostu przez całe życie przyzwyczała się wszystko miarkować, wręcz musi wszystko glajchsztalować, żeby było rutynowe, skromne, letnie i powszednie. Billy rozumie ideę wyznaczania sobie granic, ale są chwile, kiedy ta jej pasja normalizowania świata staje się toksyczna.

I może dlatego mógłby spróbować czegoś nowego.

– Dobra, mammo, pozdrów wszystkich ode mnie. Całuję.

– *Tak cześć dzięki miłego dnia* – odpowiada mu na jednym wydechu i Billy nic nie może na to poradzić, śmieje się trochę.

Niech jej będzie, myśli sobie. Niech jej będzie i już. Próby wyciśnięcia z niej czegoś autentycznego wydają się teraz wręcz okrucieństwem. Billy się rozłącza i chwyta go spazm smutku, tak mocny, że nieco uginają się pod nim kolana. Ręką trafia na mur, musi sam siebie upomnieć, że przecież wcale nie jest powiedziane, że zginie w Iraku. Choćby patrząc na statystyki, ma wręcz całkiem niezłe szanse, by wrócić nawet bez, jak to się mówi, draśnięcia, nie licząc otarć i ran po odłamkach, które już zaliczył, kiedy trafili na minę na Drodze Nieżywej Dziewczyny, i wie, że jeśli uda mu się wrócić, to będzie najlepszy. Najlepszy dla mamy, najlepszy dla rodziny. A już przynajmniej dla Faison. Czuje, jak to w nim wzbiera, takie potężne, choć nie całkiem wyartykułowane wycucie tego, jak wieść solidne i dobre życie. Nie to, żeby człowiek naprawdę mógł się dowiedzieć, jak się to robi, inaczej niż przez doświadczenie, wkładanie w to całych lat – a może istnieje zbawienie dostępne wyłącznie dla

żołnierzy frontowych, takie wywodzące się z poznania namiętności dla spraw codziennych? Tak przynajmniej podejrzewa Billy. Tak mu się to widzi. A w każdym razie ucieszyłby się, gdyby dostał szansę, żeby się o tym przekonać.

Za obiad zabije wampira

Bravo znowu wędrują. Na zapleczu cisną się kibice, chętni na chwilę skryć się przed niepogodą, niejeden zresztą już kieruje się do wyjścia. Ludzie wołają do Bravo, podchodzą, by ścisnąć im dłonie, ale już nie tylu co przedtem. Major Mac siedział na posterunku w siódmym rzędzie, samotny wartownik w ich ciągu oblodzonych krzesełek. Billy lądzuje przy przejściu, norma, prawda, Mango siada po jego lewej, a kiedy schodzi z nich adrenalina po bijatyce i czirliderkach, Bravo zaczynają sobie uświadamiać, w jak przejebanym są położeniu. Siedzą tu, wystawieni na siekący lód i marznącą mżawkę, oglądają nudny jak skurwysyn mecz – w trzeciej kwarcie remis 7:7 – a za dwa dni wylatują z powrotem na wojnę. Kanał! Mango pojękuje, kuli się.

– Najchętniej, łosiu – mówi do Billy’ego – to bym tu kimnął.

– Yhy. Jak tam ucho?

– Boli jak skurwysyn. – Mija sekunda i obaj stwierdzają, że to jednak prześmieszne.

– Co on, chciał ci je urwać?

– Nic nie chciał, tylko ważył chyba ze sto czterdzieści kilo. Rzuciłbym go na glebę, ale girę miał taką grubą, że nie dałem rady jej objąć. Aż chciałem go spytać, facet, nie słyszałeś nigdy o cukrzycy? Zrzuciłbyś trochę, na jakiś czas darował sobie zestawy powiększone.

Próbują oglądać mecz, ale wlecze się tak, że nie ma to sensu. Kibice dokoła kryją się pod kocami, parasolami, ten i ów pod workiem na śmieci – tylko Bravo siedzą jak bydło na pastwisku, wystawieni na niełaskę pogody. Billy wyciąga komórkę, wpatruje się w numer Faison. Korci go, żeby zadzwonić tylko po to, żeby usłyszeć jej nagranie z poczty głosowej, gdzie ma bardziej południowy akcent niż w realu, samogłoski krągłejsze, twarde podniebienie nie rezonuje: wokalny odpowiednik porządnego puchowego materaca.

– Wiesz, łosiu, chyba się zakochałem.

Mango się śmieje.

– Dopiero by było pedalsko, jakbyś się nie zakochał. Przecież widziałem, jak się tam obściskiwaliście na boisku. Kiedy laski robią takie rzeczy, to już coś znaczy, kumasz? Dziewczyna cię nie dotknie, jeśli jej nie jarasz.

Billy gapi się na telefon.

– Masz jej numer?

Z powagą kiwa głową.

– No kurwa, to już na bank cię lubi. Trochę chujowo, że trafiło się na sam koniec imprezy.

Billy aż jęczy, tyle w tym przyjemności i cierpienia, w tych gwałtownych, a przeciwstawnych siłach, które fizycznie lepią zeń coś nowego. Na telebimie znów ukazuje się obrazek z Amerykańskimi Bohaterami, a po nim jak z katarynki leci ogłuszający cykl reklam, wciąż te same klipy w niezmiennym porządku, od którego można się wściec. PICK-UPY FORDA SOLIDNA ROBOTA! TOYOTA! nissan! TOYOTA! nissan! WSZYSTKO, CZEGO POTRZEBUJESZ OD BANKUUUUU DUM-DII-DIIDUMMMMM!

A tu Sykes zaczyna wyć tym swoim upiornym falsetem, *Jak nie umiesz zrobić tak, żebym ja zrobiła aaa!*, po czym robi przerwę, by powiadomić kibiców przed i za sobą, jak bardzo ich kocha, jak bardzo kocha wszystkich Amerykanów na całym świecie, i zaraz znów śpiewa:

Aaa miii!OOOść co do tego ma, co do tego maaa,

Booo miii!OOOść to uczucie używaaaa-nee

Z końca rzędu niesie się wieść, że tak ze dwadzieścia minut temu Dime nakarmił Sykesa grubą pigułą valium i chłopak jest już najszczęśliwszą dziewczuchą od morza do morza.

Gdy odzywa się komórka, Billy jest tak zaskoczony, że prawie ją upuszcza. Patrzy na ekranik.

– To ona? – pyta Mango.

Billy kręci głową. Nie kojarzy tego numeru. Dzwonek cichnie, po minucie rozbrzmiewa tylko ćwierknięcie sygnału o nagraniu na pocztę głosowej. Billy wpatruje się w telefon. Chciałby, żeby telefon wyjaśnił mu, czego właściwie Billy chce. Łączy się z pocztą głosową, słucha wiadomości, po czym opiera się wygodniej i zamyka oczy. Co by zrobił Grzybas? Grzybu wróciłby na wojnę, bez dwóch zdań, ale to było jego przeznaczeniem w tym cyklu egzystencji, musiał dopełnić wcielenia się w wojownika, dopiero potem mógł przejść do kolejnego etapu. „To na którym etapie jestem ja?” – spytał go Billy, trochę żartem, ale Grzybu się nie zaśmiał. Nie dowiesz się, póki nad tym nie popracujesz, odparł. Nauka, medytacja, kontemplacja, skupienie. Jeśli będziesz tylko płynął z prądem przez cały swój czas, nie dowiesz się niczego. Więc wciąż nie otwierając oczu, Billy próbuje sobie wyobrazić, jak by to było na ranczu. *Bardzo bezpieczne, na odludziu*, mówił głos w telefonie. *To dobre miejsce.*

Zadbamy, żeby niczego panu nie brakowało. W wyobraźni Billy idzie ścieżką. Ma na sobie dżinsy, buty Timberland, flanelową koszulę i sztruksową kurtkę. Ścieżka wiedzie przez jakiś laszek, niedaleko jest rzeka. Billy słyszy *szuuu* bystrzyn, czasami pomiędzy drzewami błysnie mu woda, ale wizja się zawiesza, haczy, aż wreszcie u jego boku pojawia się Faison, i wtedy wszystko już idzie w full HD, ucztą dla oczu, Billy i Faison mieszkają w bezpiecznym schronieniu, kochają się, pieprzą osiem albo i dziewięć razy dziennie, gotują, oglądają filmy, wychodzą na spacer z psami. Bo będą tam psy. I mnóstwo książek, gdzie spojrzeć, tam stos. Billy przysiądzie fałdów, jak kontynuator tradycji Grzybasa, będzie się uczył, żeby wiedzieć jak najwięcej, kiedy w końcu jebnie młot. A wtedy – kiedy przyjdzie czas, by zaprezentować swoje stanowisko? Po jego stronie będzie Faison, prawnicy, Srebrna Gwiazda. Da radę. Może dawać oświadczenia do mediów. Szlus z uczeniem się życia pod kulami.

Rrrrrroooooooooo-ksaaaaaaaaaannn, drze się Sykes, ile pary w płucach, *już nie musisz*, i zaraz obraca się i zaczyna nawijać do kibiców w ósmym rządzie, jak bardzo kocha kumpli z Bravo, a tak, cholera, kocha tych chłopaków jak braci, może jest tylko durnym białym bidokiem z Coon Cove na Florydzie, ale przynajmniej dba o niego wojsko, tajest! A po tej stronie Lodis półyży w krzeselku, śpi jak zabity. Na jego barkach i ramionach zbierają się kolejne grudki zamrożonego deszczu, jak w parodii reklamy szamponu przeciwłupieżowego. Z rozciętej wargi wyziera strzęp żywego mięsa. Ta miła burżujka przed nimi przypadkiem zauważa śpiącego żołnierza – widok tak magnetyzujący, że kobieta obraca się zupełnie tyłem do boiska, żeby się lepiej przyjrzeć.

– Słodziak, co nie? – mówi Mango.

– Jakim cudem on potrafi spać przy takiej pogodzie? – przeżywa burżujka.

– Technicznie rzecz biorąc, nie śpi – informuje ją Crack. – Stracił przytomność.

Kobieta się śmieje. Fajna z niej burżujka. Jej mąż i przyjaciele też chichoczą.

– Ale przecież tu jest okropnie – protestuje. – Nie powinien mieć przynajmniej jakiegoś koca czy coś? W wojsku nie wydają wam kurtek?

– Ach, proszę pani, niech się pani o niego nie martwi – pociesza ją Crack. – Jesteśmy z piechoty, to trochę tak, jakby być psem czy mułem, jesteśmy za głupi, żeby pogoda nam przeszkadzała. Nic mu nie będzie, daję słowo, chłopak nic nie czuje.

– Ale może tu zamarznąć!

– Nie, pszepani – dokładnie swoje Mango. – Od czasu do czasu któryś z nas go walnie, żeby krew mu się nie zastała. O, tak. – I mocno lutowe Lodisa w biceps. Lodis

warczy, macha ramionami, ale wszystko to, nie otwierając oczu. – Widzi pani? – promienieje Mango. – Zdrów jak ryba. I szczęśliwy. Facet jest jak karakan, nie do zabicia!

Kobieta szpera w plecaczku, w końcu klęka na krzeselku tyłem do boiska i okrywa Lodisa kocem, takim polarowym półszlafrokiem z wszytymi rękawami, jakie reklamowane są późną nocą w telezakupach dla idiotów. Niedługo później Bravo wtykają mu pod brodę zaimprovizowaną tabliczkę. BEZDOMNY WETERAN – ZA OBIAD ZABIJE WAMPIRA. A niżej NIECH WAM BÓG BŁOGOSŁAWI. I smajlik. Kibice się ożywiają, kiedy skrzydłowy Cowboys przechwytuje upuszczoną piłkę przeciwnika i zataczając się, ślizgając i sunąc, dociera aż na linię trzech jardów na połowie Bears. Wtedy jednak do roboty biorą się sędziowie, zbierają się przy linii bocznej wokół sprzętu do weryfikacji wideo i dyskutują, przyglądają się, pokazują, znów dyskutują, jak grupa przyszlých noblistów dopracowująca przełomowy lek na raka. W końcu jest decyzja. *Po rozważeniu sytuacji...* Upuszczona piłka zostaje przekwalifikowana na niecelne podanie i burżujów trafia szlag, zaczynają się pakować. Mango przypomina miłej pani o jej kocyku.

– Ależ nie mogłabym – odpowiada mu, uśmiechając się z góry do Lodisa, który siedzi tak zakutany po uszy, krople zamarznętego deszczu perlą mu się na rzęsach, a strzępek wargi zwisa niczym rozdeptany robal. – Wygląda na to, że dobrze mu z tym kocem. Niech go zatrzyma. Powiedzcie mu, że to prezent ode mnie.

Bravo wybuchają:

– Niiieeeee!

– Rozpieści go pani!

– Chłopak wychował się w bruździe, on nawet nie wie, kiedy mu zimno!

– To jak dać świni rolexa, proszę pani, ten typ nie docenia uroków życia.

Pani śmieje się i macha na pożegnanie.

– Dziękujemy! – wołają Bravo, kiedy ona wyprowadza swoich panów z ich rzędu. – Dziękujemy za wsparcie dla żołnierzy!

– Miła babka – stwierdza Mango, sadowiąc się z powrotem.

Billy przytakuje. Patrzą na Lodisa i rżą, a po chwili Mango dygocze. Kuli się, wciska dłonie między uda.

– Wyglądasz, jakby lać ci się chciało.

– Bo trochę jakby się chce. – Mango się krzywi, drży, ale siedzi kamieniem. – Spotkasz się z Faison, zanim wyjedziemy?

- Mam nadzieję.
- Facet, musi być jakiś sposób, żebyście się spiknęli.
- Nie sądzę. Sam nie wiem. Nie chcę się narzucać.

Mango się śmieje.

– Nie, serio mówię. W sensie gdyby to był normalny układ, to teraz myślałbym tylko o tym, dokąd zabrać ją na randkę. Ale żeby ją puknąć, no weź, daj spokój. Ile ja ją znam, cztery godziny?

– Billy, nie wiem, czy zauważyłeś, ale to nie jest normalny układ. Co, myślisz, że będzie cię lubiła przez bity rok, kiedy ty będziesz kiblował milion mil od niej i wysyłał ciulatte maile? *Kochana Faison co u ciebie u mnie super dziś rozpiździliśmy jeden dom i zabiliśmy kupę chujów tyłu ilu tylko się dało.* Takie pierdoły szybko męczą, łośiu, ja jebię, jak szybko zaczynają męczyć. Nawet własna matka w końcu nie chce o tym słuchać.

– Ja pierdołę, jak ty potrafisz człowieka zdołować, wiesz?

– Mówię, jak jest! Weź, łośiu, lepszej okazji nie będzie. Bliżej nie będziesz, więc dawaj do mety. Jeśli to miła dziewczyna i chce wesprzeć żołnierza...

– Debil.

Mango się śmieje. Komórka Billy'ego znów dzwoni.

– To ona?

– Nie – mówi Billy, sprawdzwszy ekranik. – Moja siostra.

– Nie odbierzesz?

Billy wzrusza ramionami. Dzwonek w końcu cichnie. Po minucie przychodzi esemes.

Nie jedź proszę

Bądź bohaterem 2gi raz

ODDZWOŃ DO NIEGO

Proszę

Kocham cię siostra

Billy znów odnajduje nagraną wiadomość, tym razem wsłuchuje się nie tyle w to, co ten facet mówi, ile raczej w dźwięk jego głosu, wyszukuje informacje zakodowane w barwie i tonie. Mówi biały mężczyzna, wykształcony, w średnim wieku, Teksańczyk, ale z wielkomięską zwięzłością w mowie. Silny. Asertywny. Z empatią. *Synu, jeśli rozważasz zmianę kierunku, w którym zmierza twoje życie, na bank możemy ci w tym pomóc.* To dobry głos. Billy chętnie posłuchałby go raz jeszcze, ale nie – Dime napiera

wzdłuż rzędu, forsownie pokonuje tor przeszkód ze stóp i kolan Bravo. Dociera do przejścia na górę, wyciąga komórkę, kuca przy siedzeniu Billy'ego.

– Przez Sykesa zaraz mnie chuj strzeli – mówi, sprawdzając wiadomości.

– Na chemii żyje się ludziom lepiej, weselej, co nie, panie sierżancie? – odzywa się Mango.

– No, wiecie, wybór był taki: albo prochy, albo gnoja zaknebluję. Będzie z nim dobrze – mówi Dime, choć o to akurat nikt nie pytał. – Będzie z nim dobrze, kiedy tylko znów stanie na posterunku. To ta cała reszta... – Urywa. Billy odchrząkuje.

– Panie sierżancie, gdyby miał pan wybór, wróciłby pan? Znaczy, do Iraku.

Dime unosi głowę. Nie jest zadowolony.

– Ale nie mam wyboru, tak? Zatem twoje pytanie jest nieistotne.

– Ale gdyby miał pan wybór.

– Ale nie mam.

– Ale gdyby pan miał.

– Ale nie mam!

– Ale gdyby pan miał!

– Zamknij ryj!

– Ja tylko...

– RYJ!

Billy zamyka ryj, Mango patrzy na niego, w oczach ma KURWACO? Dime prycha, kręci głowę.

– Jeśli dobrze rozumiem, wolałbyś, żebyśmy mieli taki wybór, tak?

– No... – Billy rozumie, że przegiął. – Ale nie mamy.

– Zgadza się, Billy, nie mamy. Wracamy tam i wszyscy wiemy, do czego wracamy, i dlatego właśnie musimy być w chuj ogarnięci i pilnować jeden drugiego dwadzieścia cztery na dobę, siedem dni w tygodniu. Ale powiem jedno. – Przerywa, telefon mu dzwoni. – Gdybym już do końca życia nie zaliczył ani jednej wymiany ognia, byłbym zadowolony. Hej. – Przykłada telefon do ucha. – Aha. Aha. Ciekawe. To może tak: a wszedłby w to, gdyby Swank dała mu polizać?

Billy i Mango patrzą po sobie. Znów ten cholerny film.

– Więc albo to, albo... – Dime zerka na ekran z wynikiem. – Albert, kończy się nam czas.

Mango się odwraca, syczy coś cicho, a wściekle po hiszpańsku. Dalej w głębi rzędu

Sykes zaczął skandować starą koszarową rymowaną: *Pozbierajcie swoich rannych, pozbierajcie trupy...*

– Jest tu przy mnie – mówi Dime, zerkając na Billy’ego. Słucha przez chwilę, po czym pyta go: – Masz wolną chwilę, żeby pójść na spotkanie?

Billy się śmieje.

– Że co mam mieć? No pewnie. Kiedy?

– Teraz. Z Normem. Josh po nas przyjdzie.

W gardle Billy’ego staje gula.

– Dobra.

– Tak, jest wolny – mówi Dime w komórkę. – Jeszcze ktoś? – Chwilę słucha, potem mruczy coś i się rozłącza. Przez kilka chwil tylko gapi się na boisko, wciąż przykucnięty.

– Panie sierżancie, wszystko dobrze?

Dime się otrząsa.

– Tak tylko sobie myślałem, że bogacze to czubki. – Obraca się do Billy’ego i dodaje z uczuciem: – I żebyś mi o tym przenigdy nie zapomniał.

– Przyjąłem, bez odbioru, panie sierżancie.

Pieniądze sprawiają, że jesteśmy prawdziwi

W korytarzu pod apartamentem Norma spotykają Alberta: stoi oparty plecami o ścianę, ze spuszczoną głową, i coś rzeźbi po blackberry srebrnym sztyftem. Kiedy wychodzą zza rogu, rozpromienia się.

– Ej, chłopaki! Jak leci?

– Po łuku i w dół – odpowiada Dime.

– Pogadajmy tu chwilę, sprzedam wam najświeższe nowiny. – Tu zwraca się do Josha z przyjazną, wymowną miną.

– Pójdę do pana Oglesby’ego, powiem mu, że już jesteśmy – mówi Josh.

– Doskonały pomysł. – Albert prowadzi Dime’a i Billy’ego jak swoją trzódkę w głąb korytarza, nieco dalej od apartamentu. – Świetnie wyglądaliście w przerwie, chłopaki, na medal. Spotkaliście się z Beyoncé i jej dziewczynami?

– Gdzie tam, kurwa – warczy Dime.

– Co? Nie? Ale kiła. Więc co się tam potem działo na boisku? Bo wyglądało jak flash mob czy coś. Albo sceny z czarnego piątku pod hipermarketem gdzieś w New Jersey. Nie szło zrozumieć, co się tam porobiło.

– Nic takiego – odpowiada Dime. – Chłopaki lubią poszaleć.

– Ktoś się do was przypieprzał?

Dime spogląda na Billy’ego.

– Przypieprzał się do nas ktoś?

– Relatywnie rzecz ujmując, to nie – odpowiada Billy.

– Chłopak daleko zajdzie – mówi Albert do Dime’a. – No dobra, ludzie, już wam mówię, na czym stoimy. – Przerywa, by uśmiechnąć się do przechodzącej obok pary, czeka, aż szelest futra i kaszmiru ucichnie w oddali. – Norm wchodzi w ten interes. Chce zmontować grupę inwestycyjną, żeby nakręcić nasz film, ale to nie koniec. Jest natchniony, ujmijmy to w ten sposób, natchnęliście go, chłopaki, żeby dziś myśleć śmiało. Postanowił założyć własną firmę produkcyjną i zabrać się do robienia filmów.

– Może i dobrze. Bo drużynę ma zdecydowanie chujową – kwituje Dime.

Albert parska śmiechem, rozgląda się po korytarzu.

– Wygląda na to, że już od jakiegoś czasu to rozkminiał, ale kiedy my się tu zjawiliśmy, uznał, że to znak od Boga, że pora działać. Szczerze mówiąc, czemu nie:

studia produkcyjne łapią się każdej szansy, żeby przerzucić ryzyko. Facet, który wchodzi w ten interes z własnym produktem i własnymi pieniędzmi, to w dzisiejszym Hollywood bardzo pożądanym towarem.

Znów przerywa, gdy obok przechodzą kolejne pary. Jeden z mężczyzn strzela palcami w kierunku Dime'a.

– Hej, świetny pokaz w przerwie!

Dime odpowiada mu tym samym.

– Hej, nawzajem!

Albert czeka, aż tamci pójdą.

– Dla nas to lepiej, że Norm idzie na całość, dzięki temu nasza oferta znacznie zyskuje na wiarygodności. Kiedy próbuje się pchnąć tylko jeden film, wygląda się trochę frajersko, ale jeśli studia wiedzą, że to długoterminowy układ... To dla niego tym lepszy powód, żeby tym filmem coś zaznaczyć. No, w każdym razie, jeśli idzie o nasz biznes, to kiedy tylko on założy tę firmę, ja przepiszę na nią moje prawa, a kiedy już zbierzemy wszystko, co trzeba, firma z tych praw skorzysta, wy dostaniecie jakieś pieniądze i zacznie się kręcenie.

– Super – mówi Dime.

– Więc potrzebna mi wasza zgoda, chłopaki, na przepisanie praw.

Dime się namyśla.

– Ale wciąż będziesz naszym producentem.

– No raczej.

– A co w kwestii Swank?

– Norm wciąż ma w jej kwestii kij w dupie, ale z tym sobie poradzimy. To się da załatwić, nie tak, to inaczej. Słowo daję, jak długo ona jest w tym temacie, my jesteśmy do przodu. Ale słuchajcie... – Albert odkasłuje w pięść. – Zanim tam wejdziemy, musicie wiedzieć, że Norm ma pewien problem ze stawką za prawa.

– Jaki znowu problem.

– Kwotowy. Sto tysięcy na każdego w Bravo, razy dziesięć, znaczy, że na dzień dobry jest gruba piguła do przełknięcia. Musimy już liczyć pół miliona za scenariusz, potem znaleźć do pierwszoplanowej kogoś kalibru Hilary czy Clooneya, i już robi się mnóstwo milionów.

Dime zwraca się do Billy'ego:

– I tu zostajemy wyruchani.

– Nie! – krzyczy Albert. – Nie, nie, nie, nie, Dave, trochę zaufania, proszę! Tak daleko razem zaszliśmy, myślicie, że teraz miałbym was wyrzucić rekinom na pożarcie? Dave, Dave, ludzie, wy jesteście ze mną. Albo dobijemy targu razem, albo razem nas spuszcza. To samo im tam powiedziałem, ale nie będę wam ściemniał, Norm to nie Święty Mikołaj, nie wyda ani grosza więcej, niż naprawdę musi. On, oni, żaden z jego ludzi... zrozumcie, to są biznesmeni, tak? Goście, którzy już z definicji myślą bardzo prymitywnie, tak? Puścili nawet pomysł, żeby załatwić ten deal tylko z wami dwoma, bo wasze historie widzą jako te podstawowe elementy, a cała reszta, cóż, robi za tło. Powiedziałem, że wam o tym wspomnę, ale...

– Nie.

– No ba, z czym do ludzi, to samo im powiedziałem. Bravo mają żołnierski honor, tak im powiedziałem. W życiu nie zostawią któregoś ze swoich na lodzie.

– Ale żeby w ogóle...

– No przecież wiem! Ale musicie zrozumieć, że ci goście tak właśnie kombinują. Upraszczenie procesów, zwrot z inwestycji, całe to pierdolenie prosto ze studiów MBA, ale chyba jednak do nich dotarło. Albo wszyscy Bravo, albo nikogo, żadnych kompromisów.

– Kurwa raczej – szczeka Dime tak donośnie, że kelnerzy w głębi korytarza zaczynają się chichrać.

– David, wyluzuj.

– Jestem centralnie wyluzowany. Billy też się wyluzował, co nie, Billy?

– Centralnie, panie sierżancie.

– Więc trzymajcie ze mną, chłopaki, razem dojedziemy do mety. Na ten moment ich oferta jest taka: no, musicie odpuścić część zaliczki w gotówce na rzecz udziału w zysku netto z filmu. Kiedy producenci podejmą prawo do realizacji, dostajecie pierwszą zaliczkę, druga działka spłynie, kiedy zacznie się sama produkcja...

– Ile?

– ...David, proszę, daj mi skończyć. Słuchajcie, na razie mówimy tylko zgrubnie, ale jeśli sukces będzie choćby w miarę przyzwoity, na tej skali, o której myślę, każdy z was skończy, wyjmując dobrze ponad sto tysięcy, ale musicie wytrzymać, cierpliwie czekać na swoje. Kiedy układałem nasz plan z zaliczką te dwa tygodnie temu, myślałem, że któreś studio wyskoczy z tej kasy, ale jeśli mamy to kręcić na niezalu, sprawa wygląda zupełnie inaczej. Tu wszyscy robią za mniejsze pieniądze, z reguły za

udział w zyskach, a nie za gotówkę. Nawet gwiazdy idą na udział, jeśli taki projekt naprawdę leży im na sercu.

– Dobra, słyszę. No to ile.

– No cóż, z początku jest mocno skromnie. Pięć i pół tysiąca na poczet zysku, kiedy podejmą prawa...

Z gardła Dime'a zaczyna się wydobywać bulgot.

– ...ale będzie ta druga zaliczka, kiedy ruszy produkcja...

– Ja pierdołę, pięć i pół kafla?

– Wiem, że nie na to liczyliśmy...

– Kurwa raczej!

– ...ale potem będzie ta druga zaliczka...

– Ile?

– No, nad tym jeszcze pracujemy, ale z reguły proporcjonalnie do wielkości budżetu. Im większy budżet, tym większa zaliczka...

– Inaczej się umawialiśmy, Albert. Sto tysięcy z góry, mówiłeś.

– Tak mówiłem, bo naprawdę widzę w waszej historii wielką rzecz, i wciąż sądzę, że wyjdziemy na tym fantastycznie. Słuchajcie, dwa tygodnie temu myślałem, że naprawdę mamy szansę na aukcję ofert od studiów, taki był wokół was kosmiczny szum, kiedy tu przylecieliście. Ale paru nam odmówiło, a kiedy Russell Crowe nas zbył, to nam mocno zaszkodziło. Nie trzeba dużo, żeby z szumu zrobił się szelest, no i muszę przyznać, że może trochę z początku przesadzałem, nakręciłem wszystkich, że spodziewali się nie wiadomo czego, i teraz wszyscy musimy to trochę przerachować. Dodajmy do tego fakt, że przez wojnę z wyników *box office* zrobiła się trochę loteria, wspominałem chyba, że to może być problem? Więc i z tym musimy się szarpać. Wiem, że pięć i pół tysiąca to brzmi raczej słabo w porównaniu z tym, o czym mówiliśmy, ale dla takich młodych ludzi jak wy, młodych żołnierzy na żołdzie, to nie są grosze, prawda?

– Albert, nawet nie zaczynaj do mnie z takimi tekstami.

– Dave, ja tylko próbuję pokazać ci, jak to wygląda w dłuższej perspektywie. Macie udziały, myśl o tym jak o akcjach, opcjach na akcje, wymieniacie kupę kasy zaliczkowo na szansę na większe pieniądze w późniejszym czasie. No i pomożecie też coś zbudować, o to właśnie chodzi w udziałach. Jeśli firma zarobi, to i wy zarobicie, w tym biznesie będziecie równoprawnymi współnikami w Legends...

– Chwila: że w czym?

– W Legends. Taką nazwę Norm chce nadać firmie.

– Chryste Jezu. Facet ma już nawet nazwę? Ja pierdolę.

– No oczywiście, że ma już nazwę, i super, nie obchodzi mnie wchodzenie w interesy z gościem, który tylko drapie się po jajach, i wy też powinniście tak na to patrzeć. Norm jest gotów do startu, chce pociągnąć za spust, do jasnej cholery... ludzie, wy w ogóle rozumiecie, ile to jest warte? Jaka to, ja walę, rzadkość w moim świecie? W tym biznesie zabijają cię odroczonym „nie”: *to my się odezwiemy, to my się odezwiemy, to my się odezwiemy*, wszyscy tak się boją, że coś spieprzą, że woleliby oddać nerkę, niż podjąć faktyczną decyzję biznesową. Więc jesteśmy tu, w Dallas, spotykamy się z tym gościem, a on ocenia sytuację i wio, chce ruszać. Nie mówię, że macie go pokochać, ale musicie uszanować tę moc.

Billy niemal słyszy, jak Bravo wyją: *chuja se uszanuj*. Dime kiwa głową na boki, jakby zbolały.

– Tylko, Albert...

– No?

– Mówiłeś, że nas tam kochają.

– To prawda, David, ale to było dwa tygodnie temu. Ludzie przechodzą do innych rzeczy, zmienia się im optyka.

– Czyli mówisz, że lepszej oferty nie dostaniemy?

– Ja ci mówię, Dave, że innej nie dostaniemy.

– A Norm o tym wie?

Albert wzrusza ramionami.

– Wie, że rozmawialiśmy o tym z innymi.

– Czyli zasadniczo oferuje nam pięć i pół pattyka na głowę. I tylko na tyle się podpisze. Bez gwarancji, że kiedykolwiek dostaniemy coś więcej.

– Jak chcesz gwarancję, Dave, kup sobie mikrofalę. W moim świecie nie ma gwarancji, chyba że jesteś Tom Cruise.

Dime wzdycha – i ku dojmującemu przerażeniu Billy’ego zwraca się ku niemu z pytaniem:

– A ty jak uważasz? – Lecz nim Billy zdąży odpowiedzieć, uchylają się nieoznakowane drzwi pomiędzy nimi a wejściem do apartamentu, wychyla się pan Jones.

– Panie Ratner, zaraz kończy się trzecia kwarta.

– Dzięki. Już idziemy.

Pan Jones znika, drzwi zostawiając jednak otwarte. Albert obraca się do Dime'a i Billy'ego, ścisza głos.

– Panowie, mówcie, czego chcecie. Czy wchodzimy tam i gadamy z gościem, czy mam tylko wrzasnąć przez te drzwi, że dzięki, ale nie.

– Nie – odzywa się Dime.

– Co: nie?

– Ale chujnia – mówi Dime do Billy'ego.

Albert uśmiecha się do nich szeroko.

– Jak zawsze, chłopaki, jak zawsze, to tylko kwestia skali. Cieszcie się, że nie ma krwawienia z odbytu.

– A co się stanie z całą resztą, jeśli się nie zgodzimy? Co z wielką firmą producencką, z tymi filmami, które by chciał zrobić?

Albert gasi uśmiech.

– Myślę, że zamierza iść z tym dalej. Wygląda na to, że się zdecydował.

– A ty w to wchodzisz?

Wargi Alberta ściągają się w ciasny ryjek.

– Byłbym durniem, prawda, gdybym ot, tak nie wykorzystał nadarzającej się okazji.

– Albert, ale z ciebie ciul.

Producent nawet się nie marszczy.

– Dave, załatwiłem dla ciebie ofertę. Jeśli myślisz, że dasz radę zorganizować coś lepszego, chodźmy tam, sam z gościem pogadasz.

– A chuj z tym. Chodźmy do apartamentu, porozmawiamy.

Billy mówi, że w zupełności urządza go, jeśli zaczeka tu, w korytarzu. Dime traktuje go jednak tak ognistym wzrokiem, że ze wstydu dołącza do pozostałych. Pan Jones stoi zaraz za drzwiami, zamyka je za wchodzącymi, przekręca klucz w zamku. Po kilku stopniach schodzą do ciemnego, ciasnego pomieszczenia o niskim suficie, urządzonego na chybcika, jak poczekalnia w automyjni. To superprywatny aneks do oficjalnego apartamentu właściciela drużyny, po sąsiedzku, męski rewir, gdzie trzyma się mocna mieszanka gryzących woni potu, przypalonej kawy, zamierzchnego dymu z papierosów, a do tego jeszcze bulgoczących pierdów – może to mięsa z lunchu wciąż są trawione. Wszyscy obracają się ku żołnierzom, uśmiechają się do nich.

– Panowie! Witajcie w kwaterze polowej! – woła ktoś, zachęcają ich, by weszli dalej, podsuwają im fotele, proponują napitki.

Zainstalowane na ścianach telewizory pokazują transmisję meczu, komentatorzy klepią coś jak papugi w klatce. W jednym narożniku pokoju jest bar, ale pusty. Przy kontuarze, ciągnącym się przez całą długość przeszklonego frontu pokoju, siedzi Norm z synami. Na blacie chaotycznie leżą laptopy, tabele, kołonoratniki, butelki z wodą i napojami izotonicznymi – kiedy oczy Billy’ego oswoją się już z półmrokiem, zauważy, że w zasięgu wzroku nie ma ani kropli alkoholu. Wokół krążą dwaj członkowie zarządu drużyny, duzi, krzepcy faceci, z zamaszystym krokiem i manierą podciągania spodni właściwą tym, którzy przeszli drogę od paleciaka do kierownika. Pan Jones usadowił się na hokerze przy barze, wciąż nie rozpinając marynarki. Wszyscy inni poluzowali już krawaty, podwinęli rękawy, jeszcze tylko Josh robi za manekina w głębi pokoju.

Dime prosi o kawę. Billy mówi, że dla niego to samo. Norm na powitanie obrócił się do nich w fotelu marki Aeron, teraz trze oczy, obraca się z powrotem, żeby ostatni raz spojrzeć na tablicę wyników, skoro kwarta już dogorywa.

– Wybaczcie brak świateł – mówi, skinieniem głowy wskazując sufit. – Wyłączamy je podczas meczu, bo inaczej byłoby tu jak w akwarium. To jednak cholernie drażni, kiedy człowiek spojrzy w telewizor i widzi siebie samego gapiącego się na kamerę.

– Albo jak cię przyłapią na rzucaniu mięsem – odzywa się jeden z menedżerów. – Choć do czegoś takiego oczywiście nigdy tu nie doszło.

Norm kręci głową, kiedy reszta towarzystwa się śmieje.

– Staramy się, żeby to, co się tutaj dzieje, było dozwolone przynajmniej od lat osiemnastu.

– Mało kto może wejść do tego pokoju – mówi inny menago, Jim, jak się przedstawił. – To jest nasze sanktuarium, chłopaki. Wielu ludzi oddałoby lewą rękę, żeby usiąść tu, gdzie wy teraz siedzicie.

– Powinniście sprzedawać bilety – odpowiada Dime i wszyscy wybuchają śmiechem. Poza nim.

– Dziś chyba nic by się nie sprzedało – mówi Norm. – Przykro mówić, ale to nie był olśniewający występ z naszej strony. Naprawdę miałem nadzieję, że damy wam, chłopaki, porządne widowisko. Może w czwartej kwarcie los się odmieni.

– Byłoby fajnie, gdyby Stenhausser przejął czasem jakieś podanie – mówi rzut mięsem, budząc kwaśne śmieszki. Norm obraca się do jednego z synów.

– Skip, ile prób zaliczył dziś Riddick?

Skip sprawdza na laptopie.

– Dziewiętnaście. W sumie trzydzieści cztery jardy.

Z kilku punktów sali rozbrzmiewają jęki.

– Już po nim, szefie – mówi Jim. – Dajmy szansę Bucknerowi, przynajmniej nie zmęczył jeszcze nóg.

– Co za różnica, i tak nie znajdzie szpary w tej obronie – kwituje to ten od rzutów mięsem. – Musimy wypychać więcej ludzi do przodu.

Norm marszczy brwi, upija łyk wody z Fidzi. Skip podaje mu świeżo wydrukowaną kartkę, z której Norm zaczyna głośno czytać statystyki trzeciej kwarty. Boczными drzwiami wchodzi kelner, dając chwilowy wgląd do apartamentu. Trwa tam niezgorsza imprezka, a tu – nadgodziny w biurze. Billy odbiera kawę, upija kilka łyków. Podoba mu się tutaj. Ciasnota pomieszczenia budzi prymitywne poczucie bezpieczeństwa, bliskości, jakby przycupnęli wokół ogniska – wydaje się, że to zdecydowanie samcze odczucie. Oto z dawna szukane miejsce dające absolutną wolność od zagrożeń, tym lepsze, że podobne do jaskini, pomaga też aura zakumplowania wśród wybrańców. Billy z przyjemnością wymazałby sobie z mózgu wojnę, choćby na chwilę, pławiąc się w luksusie udawania, że zostanie tu na dobre.

– Tak mocnej obrony jeszcze w tym sezonie nie spotkaliśmy – mówi Norm, może ćwicz przed konferencją prasową po meczu. Odkłada wydruk i ponad głowami żołnierzy odzywa się do Alberta, który wybrał sobie takie miejsce, żeby Bravo nie widzieli jego twarzy.

– Albert, wyjaśniłeś naszym młodemu przyjacielom, jakie mamy plany wobec filmu o nich?

– No jasne! – Albert nieco przesadza z entuzjazmem.

– Gratulacje z okazji założenia firmy producenckiej – mówi Dime. – Brzmi mocno.

– Dziękuję, sierżancie, bardzo serdecznie dziękuję. Nosiliśmy się z tym pomysłem już od jakiegoś czasu, a teraz bardzo się cieszymy, że ruszamy z robotą, niewiarygodnie się cieszymy. Na pewno czekają nas wyzwania, ale skoro Albert do nas dołączył, myślę, że mamy bardzo duże szanse. A już szczególnie cieszę się z tego, że to waszą historię przeniesiemy na ekran, i chciałbym od razu zobowiązać się wobec was do jednego, chcę to podkreślić tak mocno, jak tylko się da: pójdziemy na całość. Wszyscy tutaj potwierdzą wam, że jeśli już się zdecyduję, że coś robię, to nie na pół gwizdka.

– Norm uwielbia swoją pracę – mówi menago od rzutu mięsem.

Wszyscy się śmieją, dołącza się i Norm z chłopięcym chichotem, nie boli go ta wrzutka na temat jego reputacji pracoholika. Billy jest pod wrażeniem głębi, jaką odnajduje w wodniście błękitnych oczach Norma, szczerości, wyraźnego pragnienia kompromisu i kontaktu. Kiedy patrzy się na niego z bliska, aż trudno uwierzyć, że typ jest tak wredny, jak o nim mówią.

– Ja wierzę w potencjał waszej historii – mówi im Norm, tylko przelotnie zerknąwszy na boisko – wierzę też, że robi ona w naszej ojczyźnie wiele dobrego. To historia pełna odwagi, nadziei, optymizmu, umiłowania wolności, wszystkiego tego, co natchnęło was, młodzi ludzie, do tych dokonań, i uważam, że ten film doda wiele świeżej energii naszemu zaangażowaniu w tę wojnę. Spójrzmy prawdzie w oczy: wielu ludzi już się zniechęciło. Bojownicy odnoszą pewne sukcesy, rośnie liczba ofiar, rośnie też koszt finansowy wojny, to naturalne, że ten i ów zacznie pękać. Ludzie zapominają, po co w ogóle tam weszliśmy... Po co walczymy. Zapominają, że są sprawy, o które faktycznie warto walczyć, i tu właśnie jest miejsce dla waszej historii, dla historii o Bravo. A jeśli typki z Hollywood nie chcą wejść na ten ring, cóż, ja ich z przyjemnością zastąpię, z wielką przyjemnością. Ten obowiązek biorę na siebie bardzo chętnie.

Syn Skip wsiąkł w ekran komputera. Drugi syn Norma – Todd? Trey? – obrócił fotel, żeby słuchać ojca, ale w tej chwili wystukuje esemesa na klawiaturze komórki. Jim nalewa sobie przy barze napój gazowany. Typ od rzutu mięsem oparł się o ścianę, przeżuwa kanapkę i kiwa głową do rytmu mówki szefa.

– Zresztą co do Hollywood i tak mam wątpliwości – mówi Norm. – Jak stoją politycznie, generalnie jakie tam mają podejście do kultury. A te pomysły, z którymi czasami wyskakują? Choćby ta sprawa z Hilary Swank... Słuchajcie, ja wiem, świetna aktorka, na pewno doskonale by się spisała. Ale kobieta w głównej roli dawałaby tu, moim zdaniem, niewłaściwy przekaz. Ta historia jest o mężczyznach. O mężczyznach - broniących swojej ojczyzny, no i przykro mi bardzo, tak już jest.

– Ale Hilary wciąż nie jest wykluczona – odzywa się Albert i wszyscy się śmieją.

– Nie jest, nie jest – przyznaje Norm z szerokim uśmiechem. – Nie mówię, że jest. I jeśli obsadzenie jej okaże się dla naszego filmu najkorzystniejsze, tak właśnie zrobimy. Nie interesuje mnie zrobienie dobrego filmu, ja chcę zrobić coś świetnego, coś, co ludzie będą oglądać jeszcze za sto lat. Chcę filmu, który mógłby rywalizować z najlepszymi amerykańskimi produkcjami wszech czasów.

I wszystko wydaje się już ugadane i ugładzone, aż tu nagle odzywa się Dime i robi trzodę na całego.

– A skąd pomysł, że się panu uda? – pyta, prowokując, drwiąc, unosząc podbródek, jakby odtrącał coś ze wzgardą.

Ktoś łapie powietrze, a przynajmniej tak później Billy wspomina te chwile. Todd przeszywa ich spojrzeniem, jego palce zastygają nad klawiaturą telefonu. Menago od rzutu mięsem przestał żuć w pół kęsa.

– Co proszę? – Twarz Norma ze zbaraniałym uśmiechem wygląda jak miska budyniu.

– Czy da pan radę, czy zdoła to pan sfinalizować. Chce pan kupić naszą historię za pięć pięćset, no, dla mnie to brzmi jak grosze. Za taką cenę moglibyśmy ją sprzedać praktycznie każdemu: do diabła, moja babcia dzwignęłaby taki deal, musiałaby tylko podjechać do bankomatu. Z całym szacunkiem, panie Oglesby, niech nam pan pokaże, że pan w to wchodzi na serio. Że jest pan poważnym graczem.

Wciąż z tym przetrąconym, koślawym uśmiechem Norm odchyła się w fotelu, starannie krzyżuje ramiona. Obraca się do swoich synów, potem do obu menedżerów, i jakby na jakiś niewiadomy sygnał, wszyscy naraz wybuchają śmiechem.

– Rozejrzyj no się dokoła, synu – mówi Norm, patrząc na Dime’a ciepło, z politowaniem. – Popatrz wokół siebie i pomyśl przez chwilę o wszystkim, co widzisz. A potem powiedz mi: jestem poważnym graczem?

Billy wie, że gdyby to on decydował, spasowałby tu i teraz. Czarna magia, którą władają ci bogaci i potężni mężczyźni, mający jeszcze atut gry na własnym boisku, to dla niego przemożna siła, a już szczególnie mocarny jest Norm, Norm o łagodnych, błękitnych oczach, ojcowskiej cierpliwości, paraliżującym polu siłowym hipnotyzującego narcyzmu. Billy pragnie, żeby odezwał się Albert, cofnął ich znad przepaści, ale Dime nie ustaje:

– Proszę pana, mogę mówić szczerze?

Norm uśmiecha się, prezentuje wnętrza dłoni:

– A czemu miałbyś przestać?

Chórek znów rechocze. U podstawy pleców Billy’ego zebrało się już bajorko potu. Czy Dime robi plany na takie sytuacje, czy leci improwizacją? *Improwizuje*, uznaje Billy w nagłym porywie dumy. Poszedłby za swoim sierżantem w czterdzieści piekieł.

– Mówiono mi, że na realizację naszego filmu niezbędny będzie budżet około osiemdziesięciu milionów dolarów... zgadza się, Albert?

– W idealnych okolicznościach – rozlega się zaśpiew Alberta, gdzieś za plecami żołnierzy. – Sześćdziesiąt do osiemdziesięciu milionów, na film wojenny pierwszej

klasy.

– Kupa kasy – mówi Dime, zwracając się z powrotem do Norma.

– To prawda – zgadza się Norm.

– Więc skąd się to wszystko weźmie?

– Ha – chichocze Norm, spogląda na syna: – Skip, przypomnij mi jeszcze raz, skąd się biorą pieniądze?

– Z rynków kapitałowych – odpowiada żwawo Skip, tylko odrobinę protekcyjnie, kiedy zwraca się do Dime'a. – Banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, fundusze hedgingowe, emerytalne, zawsze jest mnóstwo środków, które szukają dobrych inwestycji. Przy założeniu, że gospodarka pójdzie nam na rękę, sądzimy, że uda się w pełni sfinansować Legends do poziomu około trzystu, trzystu pięćdziesięciu milionów w serii emisji prywatnych obligacji, wypuszczanych w okresie, powiedzmy, osiemnastu miesięcy. Później dodatkowe fundusze będą zbierane stosownie do potrzeb, może na poszczególne projekty.

– GE Capital już nas błagało o możliwość zainwestowania – mówi Todd.

– No właśnie. A jeszcze nawet nie wspomnieliśmy o prywatnych inwestorach. Założę się, że tylko wśród naszych przyjaciół za ścianą – Skip kiwa głową ku głównemu apartamentowi – wystarczyłoby, żeby tata do nich podszedł i przed końcem meczu miałby już oferty na dwadzieścia, trzydzieści milionów.

– Mamy dostęp – cierpliwie tłumaczy Dime'owi Norm. – Mamy pokaźne doświadczenie w zbieraniu funduszy. Myślę, że mógłbyś nawet nazwać nas... – zawiesza głos, uśmiecha się – poważnymi graczami.

– Tak jest, proszę pana, ja to wszystko rozumiem. Mówi pan o całkiem pokaźnych liczbach, ale z całym należnym szacunkiem, proszę pana: pięć i pół tysiąca dla każdego z moich Bravo wygląda trochę... nędznie.

– Albert, oni rozumieją, jak musimy ustawić ten interes, prawda?

– Tłumaczyłem im – odpowiada Albert starannie bezstronnym tonem.

– Zatem wiecie – Norm obraca się z powrotem do żołnierzy – że te pięć i pół tysiąca to tylko zaliczka, zgadza się? Oczywiście moglibyśmy was spłacić jedną dużą kwotą, ale to tylko utrudniłoby nam zrobienie tego filmu. Żeby poskładać tę produkcję, potrzebujemy maksymalnej elastyczności, więc chcielibyśmy, byłoby to bardzo przydatne, gdybyście wnieśli taki aport jako wasz udział. W zamian za prawa do waszej historii będziecie mieli zagwarantowaną partycypację w projekcie, co oznacza, że wraz z nami podzielicie się zyskami...

– Albo stratami – wtrąca Dime.

– Tak, jasne, stratami również. Takie jest ryzyko, jak przy każdej inwestycji. Jednak nie będzie ono dla was większe niż dla innych inwestorów, włącznie ze mną.

– Panie Oglesby, z całym szacunkiem, proszę pana. Jesteśmy żołnierzami. Naszym zdaniem i bez tego mamy pod dostatkiem ryzyka w życiu.

– Naturalnie, jestem tego świadom, ale tu mówimy o zupełnie innej dziedzinie. Jeśli mamy sprzedać ten projekt potencjalnym inwestorom, musimy mieć dla nich kompletną propozycję. Nie możemy sobie pozwolić na faworyzowanie kogokolwiek.

Norm obraca fotel, żeby spojrzeć na boisko, a Billy uświadamia sobie, że ich gospodarz miał nadzieję dobić targu przed rozpoczęciem czwartej kwarty. Za późno, zawodnicy wychodzą już na murawę.

– Rozumiecie, jak ufam – odzywa się Norm, obracając się z powrotem do żołnierzy – że tu chodzi o znacznie więcej niż tylko o pieniądze. Nasza ojczyzna potrzebuje tego filmu, i to bardzo. Naprawdę nie sądzę, żebyście chcieli być tymi, przez których ten film nie zostanie nakręcony, nie teraz, kiedy gra idzie o tak wysoką stawkę. Ja na pewno nie chciałbym być kimś takim.

– Rozumiemy, proszę pana. I mogę pana zapewnić, że jeśli zdarzy się coś strasznego, Bravo są gotowi ponieść pełną odpowiedzialność.

Norm zerka na swoich menedżerów. Billy zauważa, że facet prawie się uśmiecha. Bawi go to. Tę sytuację cechuje ogromna asymetria, której jednak Billy nie potrafi do końca sobie zdefiniować, choć jest ona wielka niczym słoń, który sra na wszystko w tym pokoju.

– Panie sierżancie – podejmuje Norm – tak wygląda nasza propozycja. Z tego, co słyszałem, innych ofert nie macie, a teraz... cóż, teraz wracacie do Iraku. Nie chcielibyście dostać czegoś przed wyjazdem? Jakiegoś dowodu, że rzeczywiście ciężko pracowaliście, poświęcaliście się, wspaniale służyliście ojczyźnie? Może nie na tyle liczyliście, ale niejeden chyba się zgodzi, że lepsze coś niż nic.

– Miło byłoby coś dostać – mówi Dime. – Wspaniale byłoby coś dostać. Ale to... – Urywa, sapie, jakby się dusił. – To jest, proszę pana, nawet nie wiem, to jest po prostu takie smętne. Myśleliśmy, że pan nas lubi, czy coś.

– Ależ uwielbiam was! – woła Norm, podrywając się w fotelu. – Ja naprawdę was lubię! Mam o was absolutnie najlepsze zdanie, zuchy!

Dime składa dłonie na sercu.

– Widzisz? – z zachwytem zwraca się do Billy’ego. – On nas naprawdę lubi! Tak bardzo nas lubi, że chce dać nam posać pałę!

Jedna chwila i Albert jest już na nogach, z promiennym uśmiechem furiata wysadza obu żołnierzy z foteli, pytając Norma, czy jest jakieś miejsce, gdzie mógłby pogadać z „chłopakami”, i choć ekipa Oglesby’ego nie wygląda na szczególnie zbulwersowaną, jasne jest, że Dime ich uraził. Wykroczył poza granice oglady. Bardzo oschły pan Jones prowadzi ich w głąb korytarza do małego pokoju bez okien, za to z przyległą toaletą z brodzikiem, jakby, jak się wydaje Billy’emu, salką do masażu i rozluźnienia, gdzie z mebli jest nie za szerokie, zasypane poduszkami łóżko (powiedziałyby, że „we francuskim stylu”), parę foteli ze stalowych rurek i skóry, stół do masażu i gruby perski dywan. Oczywiście wysoko w narożniku musi być telewizor, pierwszy niewłączony, jaki dziś widzą. Pan Jones zagląda do toalety, coś sprawdza, po czym robi kółko wokół stołu do masażu. Wygląda to tak, jakby przeprowadzał kontrolę bezpieczeństwa, czy coś.

– Halo, panie Jones, jest tu podsłuch? – pyta go Dime. – Znaczący, nie ma sprawy, jest czy nie ma, tak tylko pytam. Jak myślicie, mają tu pluskwy? – ciągnie, zwracając się do Alberta i Billy’ego, bo pan Jones wychodzi bez słowa. – Założę się, że tak, do diabła, na stówę mają nawet podgląd. Na bank to tutaj Norm puka swoje kurewki z dziennej zmiany...

– David, uspokój się.

– Ajajaj, no weźcie zobaczcie, jakie to fajne. – Dime maca łóżko, potem sprawdza tyłkiem, czy sprężynuje. – Sam dałbym radę posunąć tu jakąś babkę z wyższej półki. Założę się, o co chcecie, że ma tu rejestrację wideo...

– Dave, uspokój się, błagam...

– ...zawsze jest tak, że to miliarderzy są największymi zwyrolami...

– ...mógłbyś się już zamknąć, Dave, proszę, błagam, weź się, do kurwy nędzy, zamknij, co? Proszę? Dasz radę? Tak? Dziękuję!

David sadowi się na krawędzi łóżka, elegancko zakłada nogę na nogę, spogląda na Billy’ego i śmieje się w głos. Albert zerka na Billy’ego, przewraca oczami. Billy siadł na skórzanym fotelu przy drzwiach do toalety, jak najdalej od linii ognia.

– Jesteś w jego ekipie? – warczy Dime.

Albert jakby się nastroszył, niczym grizzly.

– A tak, do diabła, jeśli inaczej nie da się zrobić waszego filmu.

– Ale to buc.

– I to niby ma znaczenie? To biznes, każdy telefon, który odbierasz, jest od buca. Przestań myśleć jak ćwok, zacznij grać z głową.

– Ojejku, Albert, jakże mi przykro, że popsuliśmy ci takie nowiutkie porozumienie.

– David, powiedz mi jedno: wydaje ci się może, że ty jesteś poważnym graczem? Jeśli chciałbyś być, lepiej się naucz nie pyskować. To, z czym tam wyskoczyłeś... Słuchaj, nie możesz sobie pozwolić na robienie z emocji dramatu, chyba że nie zależy ci na zawarciu umowy. Możesz jojczyć, możesz się ciskać, kłócić, co tylko chcesz, ale nie wolno ci rozwalać wszystkiego tylko dlatego, że się wkurzyłeś.

– Tak jakbyśmy nie słyszeli, jak sam wyskakujesz z chorymi tekstami.

– To co innego, ja wiem, jak daleko mogę się posunąć. No i w studiach filmowych są tacy, co lubią obrywać po uszach. Ale tutaj to trochę ci się pomyliły kategorie wagowe. Norm nie będzie słuchał twojego pierdolenia.

– Norm może mi ewentualnie wylizać rowa do połysku.

– Ach, pięknie. Cudownie. Widzę, że słuchasz mnie uważnie. Wiesz co, może to Billy powinien tam działać w imieniu waszej drużyny. Co ty na to, David, ty zostaniesz tutaj, może trochę mózgu ci przybędzie, a Billy i ja pójdziemy tam reprezentować was wszystkich.

– Ja tam nie wracam – mówi Billy, nie to, żeby ktoś go słuchał.

Dime unosi dłoń.

– No dobra, dobra, okej, rozejm. Dobra. – Bierze wdech. – Albert, ale wyjaśnij mi jedno: czy Norm tylko tak leci z nami w chuja? Czy naprawdę musi nas tak gnoić, czy też robi za kutasa w gajerze tylko dlatego, że mu wolno?

Albert opiera się o stół do masażu, zasysa wargę, дума.

– Pewnie i jedno, i drugie. Moim zdaniem, co tu kryć, zdecydowanie mógłby być dla was szczerzejszy. Pięć i pół patyka to straszna lipa. Ale mielibyście udziały.

– Tyle że kiedy na niego patrzę, to widzę, że i z tym próbowałyby nas wyruchać. Jeśli dyma nas na wejściu, to i na wyjściu będzie nas dymał. Dla niego to kwestia etyki.

– Przyznaję, że sakramencko twardy z niego typ. Jeśli masz się z nim bić, lepiej załóż ochraniacz na jajka, ale słuchajcie, tak ostatecznie to on chce w to wejść, dokładnie tak samo jak i my. Musimy więc rozmawiać z nim tak długo, jak będzie trzeba. Kiedy się zmęczy, ustąpi.

– Nie ustąpi, jeśli nas przetrzyma. Sam słyszałeś, on wie, na czym stoimy. Nie mamy do dyspozycji nie wiadomo ile czasu.

– Cóż, dla mnie wasz wyjazd zawsze był takim raczej sztucznym terminem. Podpisy da się przesłać faksem. Albo mailem.

– Jeśli zginiemy, to nie.

Albert opuszcza ręce, ponuro patrzy na swoje buty. Nagle nachodzi Billy'ego niespodziewana wizja: Albert, stary, ale jary, stoi gdzieś w deszczu na polu, ze spuszczoną głową, przygarbiony, z rękami w kieszeniach, i łka. Nigdy dotąd nie przyszło mu do głowy, że ich producent może być zdolny do prawdziwego płaczu.

– A co ty na to... – zaczyna Dime – co ty na to, żebyśmy przystawili mu pistolet do skroni?

– David, o nie, nawet tak nie mów.

– Tak jest, do diabła, weterani pod presją, kochany! Każdego kiedyś szlag trafi!

– On tylko tak żartuje – mówi Billy Albertowi, dla pewności spoglądając na Dime'a.

– Każdy wspiera żołnierzy – warczy Dime – wsparcie dla żołnierzy, wspieramy żołnierzy, no do diabła, wszyscy jesteśmy tacy kurwa *DUMNI* z naszych żołnierzy, ale co innego, jeśli chodzi o pieniądze. W sensie, że ktoś miałby coś żołnierzom *zafundować*? To nagle i niespodziewanie budżet robi się w chuj ciasny. Ja wiem, gadanie nic nie kosztuje, ale weźcie się odpierdolcie. Gadanie nic nie kosztuje, za to kasa jest najgłośniejsza, witajcie w ojczyźnie, chłopaki. Więc ja się boję o nasz kraj i myślę, że wszyscy powinniśmy się o niego bać.

Albert mruga, nie wie, czy te ostatnie słowa powinien brać tak zupełnie serio.

– Dave, mogę ci powiedzieć jedno: jeśli chcemy mieć ten film, jedyne wyjście to rozmawiać z Normem. On przedstawił swoją ofertę. Jeśli się wam nie podoba, dajemy kontrpropozycję i zobaczymy, co z tego wyniknie, tak to działa. Ale nie mieszaj do tego emocji, skup się tylko na biznesie, dobra? Tylko w ten sposób wyciągniesz jakieś pieniądze dla swoich ludzi.

– Muszę do nich zadzwonić – mówi Dime, wyciągając komórkę.

– No to dzwoń. Ja idę się odlać.

Kiedy tylko Albert wchodzi do łazienki, Billy przesiada się na drugi fotel, żeby nie musieć słuchać, jak szcza producent filmowy. Dime dzwoni do Daya – w trakcie rozmowy zdarzają się chwile, kiedy Billy słyszy opinię Daya równie dobrze jak słowa Dime'a. *Co do chuja?* było zupełnie wyraźne, podobnie jak *chuj z tym, jebał ich pies*, oraz *chuj im w dupę i wagon szkła*. Dime prosi, żeby Day zapytał o zdanie pozostałych – ich odpowiedź dudni jak ryk bydła wiedzonego na rzeź. Billy wyciąga

własną komórkę, włącza ją. Ominął go telefon od Kathryn i od nieznanego numeru, dostał też od Kathryn esemesa:

*Wysyłają po ciebie auto na stadion
ZADZWONŃ DO NICH umów się.
PO PROSTU JEDŹ Z NIMI.*

Dime się rozłącza.

– Odmówili.

– Słyszałem.

Dime chowa telefon do kieszeni.

– Twoje zdanie, Billy. Jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

Billy zamyka oczy, próbuje trzeźwo przemyśleć wszystko to, co się dziś zdarzyło. Skupienie i spokój giną w ryku spłuczki.

– On nie ma racji.

– Kto taki?

Billy otwiera oczy.

– Norm. Pamięta pan, co on tam powiedział, w sensie, no, chłopaki, powinniście brać, co wam dają, bo nic innego nie dostaniecie, a lepsze coś niż nic? Moim zdaniem jest inaczej. Myślę, że czasami lepsze nic niż coś. Znaczy, wolałbym zostać z niczym niż pozwolić, żeby ten typ się mną podtarł. No i – Billy rozgląda się wokół i ścisza głos, jakby faktycznie były w tym pokoju pluskwy – w sumie to skurwysyna nienawidzę, sam nie wiem czemu.

Z jakiegoś powodu nagle strasznie ich to bawi. Albert wychodzi z łazienki, a obaj Bravo wyją jak pawiany.

– Wybacz, brachu – mówi mu Dime – ale pięć i pół patyka to za mało. W tej kwestii wszyscy Bravo mają to samo zdanie.

Albert robi pokerową minę.

– Dobra, to ile by wystarczyło?

– Sto tysięcy z góry i Norm ma nas z bani. A te swoje wspaniałe udziały może sobie zatrzymać.

– Chłopaki, wydaje mi się, że będziecie musieli deczko ustąpić. A co, gdybyśmy... chwila. – Jego komórka brzęczy. – O wilku mowa. Dajcie mi... Tak, Norm.

Billy wciąż siedzi na fotelu, Dime na łóżku. Słuchają.

– Żartujesz sobie.

– Nie mówisz poważnie.

– W ogóle możesz coś takiego zrobić? Na jakiej podstawie... – Albert się śmieje, ale nie ze szczęścia. – Że jakiego bezpieczeństwa? Mówisz serio? W życiu nie słyszałem... Chryste, Norm, przynajmniej daj nam jakąś szansę. Mógłbyś chociaż wysłuchać naszej odpowiedzi.

– Pięć minut? – Albert obraca się do żołnierzy. – Chłopaki, kojarzycie, kto to jest generał Ruthven? – Zanim jednak zdążą odpowiedzieć, znów przywiera do telefonu.

– Norm, naprawdę nie sądzę, żeby to było konieczne. Gdybyś tylko...

– Oczywiście, że wiem, że tu nie chodzi tylko o pieniądze. Nie musisz mi o tym mówić, ani moim chłopakom. Oni narażają swoje życie dzień w...

– No dobra. Pewnie tak. Pewnie się przekonamy.

Albert rozłącza się, wsuwa telefon w kieszonkę blezera. Obraca się do żołnierzy, a patrzy na nich tak, z góry, jakby już leżeli w trumnach, a on oglądał ich po raz ostatni, zanim zakryje ich wieko.

– No co – mówi Dime.

Albert mruży oczy: wygląda na zaskoczonego tym, że Dime się odezwał.

– To aż niewiarygodne – mówi. – Wciągnęli w to waszą hierarchię. Wygląda na to, że Norm kumpluje się z jakimś zastępcą zastępcy sekretarza obrony, coś w ten deseń, no i namówił tego typu, żeby przekręcił do waszych przełożonych w Fort Hood. Mówi, że ten jego znajomy rozmawiał z generałem... Ruthvenem? Więc generał ma tu zadzwonić za parę minut, żeby z wami porozmawiać. – Albert kręci głową, głos mu drży. – Myślę, że będą chcieli was zmusić do podpisania tej umowy. – Patrzy na nich. – To w ogóle możliwe?

Bravo świetnie wiedzą, że jak wojsko czegoś chce, to robi, a wszelkie prawa, na jakie mogliby się powołać, zostaną zrewokowane do pojemnej kategorii „spraw ubocznych”, czyli takich, na których załatwienie przyjdzie kolej, kiedy już będzie po herbacie. Przychodzi pan Jones, żeby zaprowadzić ich z powrotem do kwatery polowej; witają tam żołnierzy przyzwyczajeni, niemalże gorąco, częstują napojami. Czekają na nich te same dwa fotele.

– No, to mleko się rozlało – mówi Todd, wskazując na tablicę wyników, 17:7 dla Bears. – Przejęcie i wypuszczenie, w dwie minuty dziesięć punktów.

Menago od rzutu mięsem prychnął:

– Po meczu musimy przeczesać stadion, Vinny bez pomocy własnej dupy nie znajdzie.

Nagradza go gorzki śmiech.

– Po cholerę George wciąż wystawia tam Brandta? Co on, myśli, że jemu uda się kogoś zablokować?

– Ostatni raz widziałem, że Brandt kogoś zablokował, na wiosennym obozie szkoleniowym.

– Chyba w dwa tysiące pierwszym.

Znów rechot. Norm odkłada słuchawki na bok, obraca się do żołnierzy.

– Mamy zły dzień – mówi ze znużonym uśmiechem.

– To prawda – odpowiada sztywno Dime.

– Nie cierpię przegrywać, chyba najbardziej ze wszystkiego na świecie. Moja żona mówi, że wygrywanie to mój nałóg, i chyba ma rację, od trzydziestu ośmiu lat stara się mnie ustatkować. Ale nie potrafię, muszę mieć tego kopa. Wolałbym odciąć sobie mały palec, niż przegrać.

– Już w czerwcu czuliśmy, że to będzie ciężki sezon – mówi Jim. – Skoro odpadł nam Emmitt, Moose, Jay, musieliśmy zapełnić wielkie dziury. Kiedy tak traci się podstawę drużyny... – Tu urywa, uświadamiając sobie, że nikt go nie słucha.

– No, chłopaki, pewnie jesteście teraz na mnie trochę źli – mówi Norm, a Dime i Billy tytułem odpowiedzi milczą. Norm wpatruje się w nich przez dłuższą chwilę, kiwa głową. Wygląda na to, że jest pod wrażeniem ich kamiennego milczenia. – Nie mam do was pretensji – ciągnie. – Wiem, że zagrywam tu trochę brutalnie, ale instynkt mi mówi, że musimy to zrobić. Ten film trzeba nakręcić, i to teraz, o powodach już rozmawialiśmy. A jeśli wszystko wyjdzie tak, jak sądzę, to będziecie, chłopaki, pierwszorzędnie ustawieni. Myślę, że jakoś tak już niedługo będziecie mi dziękować...

Gdzieś w pokoju dzwoni telefon. Pan Jones podnosi słuchawkę, mówi przez chwilę, przynosi ją Normowi. To generał. Dime patrzy prosto przed siebie, chyba gdzieś w dal. Billy słyszy, jak sierżant bierze głębokie, miarowe wdechy, zatrzymuje je w płucach na kilka chwil, a potem wypuszcza powietrze nosem, starannie ujednoliconymi strumieniami. Tymczasem Norm gawędzi sobie z generałem, jak to szycha z szychą, dziękuje za poświęcony mu czas, życzy miłego Świąta Dziękczynienia, zaprasza na jakiś niesprecyzowany mecz w przyszłości. No jasne, ha, ha, zrobimy, co się da, żeby dla pana było zwycięstwo. Dime wstaje, jakby generał we własnej osobie wszedł do pokoju. Norm podnosi wzrok, zauważywszy ten dziwny ruch – ba, Billy lęka się, czy Dime nie planuje czasem jakiegoś ekstremalnego posunięcia, ale sierżant stoi tylko i emanuje żołnierską dyscypliną, aż wreszcie Norm wyciąga ku niemu słuchawkę.

– Sierzancie Dime. – Uśmiech Norma jest podkreślony o kilka poziomów ponad uprzejmą minę. Jest triumfalny, można by rzec. Imperatorski. Łaskawy. – Generał Ruthven chciałby teraz z panem porozmawiać.

Dime bierze słuchawkę, kieruje się w cień w głębi pokoju. Josh odsuwa się cicho, robi mu miejsce. Po chwili Billy wstaje z fotela i również przechodzi w głąb pokoju, po prostu żeby być przy sierzancie, nic innego. Ustawia się obok Josha, który popatruje na niego z gorączkowym współczuciem. Wszyscy obecni, chciał nie chciał, zamieniają się w słuch.

– Tak jest – mówi słuźbiście Dime.

– Tak jest.

– Nie, panie generale.

– Rozumiem, panie generale.

Przez bitą minutę Dime nie odzywa się ani słowem, a tymczasem Bears znów zdobywają punkty. Skip i Todd ciskają długopisami, ale z szacunku dla generała nikt nie odzywa się choćby słowem.

– Tak jest, panie generale – mówi w końcu Dime. – Tego nie wiedziałem, panie generale.

– Tak jest.

– Chyba tak, panie generale, tak jest.

– Dziękuję, panie generale. Tak zrobię, panie generale. To wszystko.

Dime robi w tył zwrot i posyła telefon niespiesznym lobem w stronę pana Jonesa.

– Chodźmy, Billy – mówi i bez słowa wyjaśnienia opuszcza pokój, po czym łomocząc butami, żwawo maszeruje korytarzem. Billy musi podbiec, żeby go dogonić.

– Panie sierzancie, dokąd idziemy?

– Na swoje miejsca.

– Co się stało? W sensie, nie powinniśmy czasem...

– Jest dobrze, Billy. Jest git.

– Serio?

Dime kiwa głową.

– Powiedział, że nie musimy...?

– Nie wprost. – Przez kilka kroków Dime milczy. – Billy, wiesz, że generał Ruthven urodził się w Youngstown w Ohio?

– Ee, szczerze, to nie.

– Ja też nie wiedziałem, aż do teraz. – Przez chwilę Dime wygląda na pogrążonego w namyśle. – To tuż obok granicy stanowej z Pensylwanią.

Billy zaczyna podejrzewać, że Dime'owi jednak odbiło.

– W pobliżu Pittsburgha – ciągnie sierżant. – Zawzięcie kibicuje Steelersom. Steelersom, Billy, czaisz? Co z definicji oznacza, że ma totalną kosę z Cowboysami.

– Ej, chłopaki! – woła ktoś, więc się obracają. To Josh za nimi goni. – Dokąd idziecie?

– Na swoje miejsca – odpowiada Billy.

Josh zwalnia na moment, spogląda przez ramię, po czym znów przyspiesza.

– Zaczekajcie, pójdę z wami. – Pod jedną pachą ma pęk kartonowych teczek, drugą ręką sięga do kieszeni marynarki. Spomiędzy palców błyska mu coś białego.

– Billy – woła, wyciągając dłoń z małą białą fiolką. – Mam dla ciebie advil.

Dumne pożegnanie

Ale po co w ogóle robić ten film? Wydaje się, że bez sensu jest zadawać sobie tyle trudu, skoro oryginał wisi w sieci, każdy może go sobie obejrzeć, wystarczy wklepać w wyszukiwarce „kanał Al-Ansakar”, „snuff movie Bravo”, „Ameryka wszystkich sprawiedliwie wychuja” czy którąś z kilkudziesięciu jeszcze podobnych fraz, po których da się znaleźć materiał nakręcony dla Fox News, trzy minuty i czterdzieści trzy sekundy bardzo intensywnej walki, widzianej z rozhuśtanej perspektywy „własnymi oczami to oglądam”, a odgłosy bitwy za tło mają chrapliwe, ciężkie dyszenie i wypikane bluzgi śmiałych kamerzystów. Rzecz tak autentyczna, że wygląda sztucznie – zbyt pokazowo, zbyt dynamicznie i filmowo, bezczelna czy wręcz przeciwnie, zachowawcza gra, jaką filmy klasy B prowadzą z podręcznikowymi granicami kiczu. Aż się człowiek zastanawia, czy staranniej wykonany produkt zadziałałby tu lepiej: dać jakiś wątek fabularny, solidną porcję ewolucji postaci, sprytne oświetlenie, ujęcia z wielu kamer, plus jeszcze ścieżkę dźwiękową, żeby naprowadzała na właściwe emocje. Ponoć nic nie wygląda tak prawdziwie jak lipa, choć od kiedy Billy sam zobaczył to nagranie, wciąż zadziwia go fakt, że zupełnie nie przypominało ono żadnej walki, w której brał udział. Tak oto mamy rzecz prawdziwą, która wygląda fałszywie od dwóch stron: rzecz prawdziwą, która wygląda tak realistycznie, że zdaje się udawana, i tę, która wcale nie przypomina rzeczywistości, a zatem pewnie jest lipą. Więc może jednak trzeba wszystkich talentów i trików Hollywood, żeby znów wyszło to prawdziwie?

Jednocześnie wszyscy zawsze twierdzą, że materiał z Fox News wygląda zupełnie jak film. Jak *Rambo*, mówią. *Pierwsza krew*. Albo, jak to ujęła jedna z ich nowych sąsiadek z szóstego rzędu, dziarska, gadatliwa dwudziestoparoletnia blondynka, która przyszła tam z mężem i jeszcze jedną młodą parą:

– To było zupełnie jak drugi dynastyrześnia. Siedziałam sobie, przełączyłam na wiadomości, a czułam się tak, jakbym oglądała film z kablówki. Niesamowite!

– Jesteście super, chłopaki – dodał jej mąż, przystojny, wysportowany typ w ciepłej kurtce marki Patagonia i kowbojkach tak dobrej roboty, że pewnie będzie mógł je zapisać w spadku dzieciom. – Naprawdę, psiakrew, miło było patrzeć, jak wreszcie nasi spuszczaają tamtym manto.

Drugie młode małżeństwo przytakuje tym uczuciowym wyznaniom. Obie pary nie są dużo starsze od Billy'ego, ot, młodzi ludzie, którzy zawitali tu z wyższego sektora, żeby w najgorszym okresie meczu przekonać się, jak to jest siedzieć na drogich miejscach. Kojarzą się Billy'emu z pewnym typem dzieciaków, z którymi chodził do liceum, synami i córkami małomiasteczkowych elit, wyższej klasy średniej, nieodwracalnie skazanymi na studia uniwersyteckie: ci tutaj mają jakieś dwadzieścia pięć lat, licencjaty porobione w terminie, ślub odhaczony, dorosłe życie rozpoczęte zgodnie z planem. Młode pary aż się palą, by poznać teksańskiego Bravo, ale kiedy już widzą go we własnej osobie, przez chwilę nie wiedzą, z której strony go ugryźć.

– Jesteś jeszcze prawie dzieciak! – woła jedna z żon, przełamując lody, i już po chwili przedstawiają się, dziękują mu za służbę ojczyźnie, obie panie zapowietrzone i czułe, mężowie serwują uściski dłoni typowe dla bractw studenckich, z chwytem drugą dłonią za biceps.

– Genialne – mówią – fantastyczne.

Albo:

– To zaszczyt pana poznać. – I tak dalej, a ich słowa chlupią wokół mózgu Billy'ego jak miękkie kostki lodu:

uodwaga

honor

ofiary

dzielni

dumni

i jeszcze

Skopać Dupska!

Billy wraca na swoje miejsce przy schodkach. Wokół siecze zamrażający deszcz, niczym nawała drobnych ziarenek nawozu sztucznego.

– Nici z umowy? – pyta Mango, a Billy kręci głową.

– No to co się tam stało?

Lodis i A-bort nachylają się bliżej, też chcą usłyszeć.

– Norm to chyba po prostu skąpy chuj, co mam wam powiedzieć.

– Myśleliśmy, że Day pierdoli głupoty, kiedy powiedział, jaka jest oferta. Pięć i pół

tysiąca...

– To już kurewstwo – wtrąca się A-bort. – Facet miał tyle hajsu, ale dla nas nie może znaleźć nic więcej? Przecież typ siedzi na milionach.

– Może właśnie dlatego ma te miliony – wytyka Mango. – Pilnuje własnej kasy.

– Też bym kasy pilnował, jakbym miał – mówi Lodis, a jego rozklepana warga trzęsie się niczym wielki, soczysty glut z nosa albo pętla trzewi zwieszająca się z rany brzucha.

Wzdłuż rzędu idzie Josh, wywołuje żołnierzy po imieniu i wręcza im kartonowe teczki. Każdy Bravo znajduje w swojej teczce zestaw fantów od Dallas Cowboys: opaski na głowę i na nadgarstek, breloczek z otwieraczem do butelek, zestaw kalkomanii, kalendarz na przyszły rok z fotosami czirliderek, błyszczącą fotkę siebie z Normem przy uścisku dłoni, format dwadzieścia na dwadzieścia pięć, z imiennym autografem samego szefa, a do tego kilka zdjęć danego żołnierza pozującego z przydzieloną mu trójką czirliderek z tego zbiegowiska po konferencji prasowej, również z imiennymi autografami od każdej dziewczyny. Przejrzawszy te pakiety, Bravo coś jakby wzruszają ramionami. Otwarta wzgarda byłaby poniżej ich godności. Komórka Billy'ego brzęczy – przyszedł esemes od Faison.

Spotkanie po meczu?

Tak, odpowiada, a miłość otula jego serce niczym gruby plaster roztopiającego się cheddara. *Gdzie będziesz?* dodaje, po czym czeka z telefonem w garści, a fantazje o życiu na ranchu ryją mu beret. Jest szansa, myśli sobie, rozważając możliwości. - Faison czuła coś do Billy'ego. Billy ją *podniecał*. Wizja skitrania się z nią gdzieś na ranchu wcale nie wydawała się dużo bardziej ekstremalna od tego wszystkiego, co się ostatnio działo. Billy przewija listę rozmów, chcąc się cofnąć do nieznanego numeru i powęszyć, czy jego widok nie wzbudzi w nim jakichś sygnałów, ale przerywa mu dźwięk przychodzącego połączenia. Odbiera.

– Billy?

– No cześć, Albert.

– To gdzie jesteście?

– Z powrotem na miejscach.

– A jest tam Dime?

– Aha, jest tu.

– Bo nie odbiera. Powiedz mu, niech odbierze, kiedy dzwonię.

Billy woła nad fotelami, że Albert chce rozmawiać. Dime kręci głową.

– Mówi, że nie teraz. – Przez chwilę obaj milczą. – Więc generał...

– Jest dobrze, Billy. Niczego wam nie rozkażą.

– A co na to Norm?

Albert ma chwilę wahania.

– No, trochę go to wzięło. Tak jak powiedział, wygrywanie to jego nałóg. – Albert pozwala sobie na cichuteńki, drwiący śmieszek. – Jest dobrze. Akurat takim ludziom jak on przydałoby się w życiu trochę pokory.

– Czyli się wkurwił – podsumowuje Billy.

– Tak troszeczkę.

– A ty?

– Czy jestem wkurwiony? Nie, Billy, mogę szczerze powiedzieć, że wcale nie. Za bardzo was kocham, chłopaki.

– Aha. No dobra. Dzięki.

Albert chichocze.

– No wiesz, nie ma za co.

– I co teraz?

– No, akurat teraz ja jestem w głównym salonie, Norm wrócił do swojej jamy. Może kiedyś stamtąd wylezie z nową propozycją. Poczekamy, zobaczymy.

– Jasne. Ee, Albert, mogę cię o coś zapytać?

– Oczywiście, Billy.

– Kiedy wyślizgałeś się od Wietnamu, no wiesz, znaczy, załatwiłeś sobie odroczenie i w ogóle... jak się wtedy czułeś?

Albert wydaje z siebie coś jak stłumione szczeknięcie, coś jak kojot, który zdołał wyślizgnąć się z paści.

– Jak się wtedy czułem?

– No, w sensie, czy było ci z tym ciężko. Czy czułeś, że tak trzeba było zrobić. Znaczy, tak właściwie to chyba chciałbym wiedzieć, co teraz o tym myślisz.

– Wiesz, Billy, to nie jest temat, o którym jakoś dużo myślę. Nie powiem, żebym się bardzo chlubił tym, co wtedy zrobiłem, ale wcale się też tego nie wstydzę. Czasy były strasznie pojebane. Cała masa ludzi naprawdę biła się wtedy z myślami.

– Myślisz, że wtedy sytuacja była bardziej pojebana niż teraz?

– Hm. Cóż. Dobre pytanie, wiesz? – Albert duma. – Pewnie dałoby się całkiem dobrze uzasadnić tezę, że przez ostatnie czterdzieści lat stopień pojebania utrzymuje się na stałym poziomie. A czemu pytasz?

– Sam nie wiem. Chyba tak tylko się zastanawiałem. Czemu ludzie robią różne rzeczy.

– Billy, filozof z ciebie.

– A skąd. Zwykły trep.

Albert się śmieje.

– A może jedno i drugie. Dobra, chłopie, trzymaj się ciepło. I powiedz Dime'owi, żeby zadzwonił.

Billy obiecuje, że przekaże, po czym się rozłącza. Na sucho połyka jeszcze dwa advile – ten ból głowy to pancerne bydlę, po pierwszych trzech tabletkach ani drgnął. Mango też chce, więc w końcu Billy puszcza fiolkę wzdłuż rzędu, i tyle ją widzieli. Równy strumień kibiców pnie się w górę, do wyjścia, jednocześnie zaś mniejsze grupki przedzierają się na dół, żeby do końca meczu przycupnąć na krzysia w lepszych sektorach. Pięciu czy sześciu kolesi wbija się w rząd szósty – to chyba znajomi tych młodych małżeństw, zjawiają się wśród śmiechów i docinków i zaraz wyciągają połówki burbona Wild Turkey.

– Brachu! – skrzeczy jeden z nich do Lodisa. – Daj się zszyć, będziesz żyć!

Ich wygląd, schludny, anglosaski, bez odpałów, musi być bardzo kojący dla ich szefów i klientów, idealnie dopasowany do kariery w bankowości, zarządzaniu, kancelariach prawniczych, gdzie tylko da się znaleźć pieniądze. Ten, który usiadł przed Crackiem, obraca się tyłem do płyty stadionu i pyta:

– Facet, co ci się stało w oko?

– Od zawsze tak wyglądało – odpowiada Crack. – Ale co ci się stało w twarz, gościu?

Brahahaha, nawet kumple tego typu rzą w głos.

– Ej, to jest Bravo – odzywa się jeden z młodych mężów. – Nie zaczepiajcie ich.

– Że kto? – drze się nowy kumpel Cracka. – Że kurwa co? A tak tak tak, słyszałem o was, chłopaki, kurde, tak, jesteście słynni. Hej, weź powiedz mi jedno: co sądzisz o całym tym układzie z gejami, *Don't ask, don't tell*?

– Travis, przestań! – karci go jedna z młodych żon. – Zachowujesz się jak buc.

– Ależ skądże, żadna bucera, naprawdę chciałbym się dowiedzieć! Facet jest żołnierzem, a mnie to po prostu interesuje, co sądzi o gejach w wojsku.

– Szanuję ich bardziej niż gejów poza wojskiem – odpowiada Crack. – Mieli jaja, że poszli w kamasze.

Imprezowi znów w ryk.

– No, brachu, święta racja, święta racja – śmieje się Travis. – Służba ojczyźnie i w ogóle, bardzo się chwali. Ale jak dla mnie to jednak troszkę porypane, no bo, powiedzmy, siedzisz nocą w okopie, a tu wbija ci się jakaś ciota i co jej powiesz? Żeby kolesie obciążali sobie nawzajem w okopach, to jakoś mi nie pasi. Może to właśnie przez takie sytuacje dostajemy tam, w Iraku, po dupie, wiesz?

– To może tak – mówi Crack – weź się zaciągnij, to się dowiesz. Jak trafisz ze mną do jednego okopu, zobaczymy, co się stanie.

Travis się uśmiecha:

– Chciałbyś, co, facet?

Billy marzy o tym, żeby Crack po prostu lutnął głąba i skończył temat, ale Bravo ograniczają się do spacyfikowania go wzrokiem. Może jednej burdy wystarczy na Dziękczynienie. Billy sprawdza komórkę. Nic od Faison. Jeszcze nic. Pozwala sobie na kolejny odcinek fantazji, tym razem jednak, kiedy uprawiają z Faison seks dziesięć razy na dobę, wciąż myśli o Bravo, z powrotem w wysuniętej bazie operacyjnej „Żmija”, gdzie każdy wypad za druty to napierdalanka. Umieszcza więc w swoich rojeniach także ten element, jak bardzo będzie mu brak kolegów z drużyny, jak będzie za nimi w żałobie, choć wciąż jeszcze żyją, oddychają. To jego chłopaki, jego bracia. Bravo są gotowi oddać życie jeden za drugiego. To najprawdziwsi przyjaciele, jakich kiedykolwiek będzie miał, i zdechnie ze smutku i poczucia winy, że nie jest u ich boku.

Wydaje się więc, że i wojna jest popierdolona, i jego fantazje. Billy wysyła do Faison kolejnego esemesa. *Chcę cię spotkać po meczu, pożegnać się. Da radę?* Odpowiedź przychodzi niemal natychmiast: *TAK!*, ale kiedy Billy pyta o miejsce i czas, nic. Dime przechodzi wzdłuż rzędu, przykłęka obok krzeselka Billy’ego.

– Co mówił Albert?

– No, że nie jest na nas zły.

– Nie, Billy, co mówił o Ruthvenie.

– A. Że wszystko git. Ruthven zrobił dokładnie tak, jak pan mówił.

Dime się uśmiecha.

- Trzeba będzie mu wysłać jakieś kwiaty!
- Albert mówi, że Norm wróci może do nas z inną ofertą...
- Chuj z nim, nie wchodzę z tym typem w żadne układy, za żadne pieniądze. Choćby dawał po milionie na głowę.

Billy i Mango patrzą po sobie.

- Milion dolców... – próbuje Mango, ale Dime zaraz mu przerywa.
- Spójrzcie na to od tej strony: powiedzmy, że pójdziemy na taki układ i Norm zrobi swój film o Bravo, w chuj wielki. Wszyscy znów będą zajarani wojną. I co wtedy? Moim zdaniem to wtedy, że będą nam wydłużać turę do usranej śmierci, póki nie zginiemy albo nie będziemy za starzy, żeby zapieprzać z plecakiem. Chuj z tym. Niepotrzebny mi taki układ.

Dime się obraca i gna w górę po schodach. Bears znów zdobyli kilka punktów, obecnie wynik to 31:7, oficjalny pogrom. Jeden z rozrywkowych w rzędzie szóstym upuszcza butelkę – brzęk tłuczonego szkła sprawia, że jego kumple histerycznie rżą.

- Buce – mruczy Mango, a Billy przyznaje mu rację. Zbyt pijani, zbyt głośni, zanadto zadowoleni z siebie... kolejna grupa ludzi, którym w życiu przydałoby się trochę pokory?

Komórka Billy'ego ćwierka, zawiadamia o nowym esemesie. Rzut oka na ekranik.

- Faison? – pyta z nadzieją Mango.
- Siostra. – Billy czeka z otwarciem klapki, póki Mango się nie odwróci.

DZWOŃ DO NIEGO.

Są gotowi.

Czekają na ciebie.

O Chryste. O Grzybasie. Co by zrobił Grzybu? Lepiej spytać, co by zrobił, gdyby był Billym, bo w ten sposób sprawa obraca się wokół najgłębszych, najbardziej dojmujących kwestii: duszy, samookreślenia, ostatecznego celu życia. Pada strzał ostrzegający, że zostały już tylko dwie minuty czasu gry, czyli bomba, Billy ma jakieś sto dwadzieścia sekund na rozkminę, co właściwie porabia tu, na ziemi. Och, Grzybasie, Grzybasie, Wszechmocny Grzybasie Zagłady, któryś przepowiedział własną śmierć na polu bitwy, jakże doradziłybyś teraz Billy'emu na koniec Tournée Zwycięstwa? Billy potrzebuje Grzyba, żeby ten ogarnął całą sytuację, spacyfikował zamęt wśród jego neuronów, ale na telebimie puszczają właśnie animację z Amerykańskimi Bohaterami i kolesie z szóstego rzędu zaczynają się drzeć

i wiwatować, klaszczą, tupią, młode pary próbują uciszyć przyjaciół, ale ci nie dają sobie popsuć zabawy.

– Bra-voooooo!

– Na-pie-raaaać!

– Juhuuuuuu!

– Jednoosobowa armia, panowie!

– Widzisz? – Travis obraca się na krzeselku w stronę Cracka, susząc zęby. – My tu wszyscy jesteśmy zajebiści patrioci, totalnie wspieramy wojsko.

– Kurna pewnie – drze się jeden z jego kumpli.

– Kurna pewnie – szczeka Travis. – Słuchaj, ja to totalnie popieram, *Don't ask, don't tell*. Jebie mnie, czy jesteście geje, bi, trans, czy dymacie małpy lesbijki, wszystko mi jedno, jak dla mnie i tak jesteście ogiery. Prawdziwi amerykańscy bohaterowie.

Unosi rękę, żeby przybić pionę, ale Crack tylko obcina go wzrokiem, niech sobie typ macha.

– Nie? – Travis uśmiecha się przelotnie. – Nie? Spoko, jest dobrze. Ja i tak wspieram wojsko.

Śmieje się, odwraca z powrotem w stronę boiska, sięga po flaszkę pod krzeselkiem. Kiedy się prostuje, Crack pochyla się do przodu i metodycznie, wydawałoby się: niemal pieszczotliwie, blokuje ramiona wokół jego szyi i przystępuje do podduszania. Wszyscy żołnierze uczą się tego na unitarce, jak docisnąć ramieniem tętnicę szyjną, żeby odciąć dopływ krwi do mózgu, tak że ofiara w ciągu paru sekund traci przytomność. Travis trochę się szamoce, ale co to za walka. Próbuje złapać ręce Cracka, wierzga w krzeselko przed sobą, ale wtedy Crack napiera trochę mocniej i Travis więdnie. Paru rozrywkowych chciałoby wstać, lecz Crack zniechęca ich ostrzegawczym sapnięciem.

– Co on mu robi? – syczy jedna z młodych żon. – Powiedzcie mu, żeby przestał. Niech ktoś mu powie, żeby przestał.

Crack jednak tylko się uśmiecha.

– Mógłbym chujkowi skrócić kark – oznajmia i nieco zmienia uchwyt, na próbę zaczyna obroty. Travis spazmatycznie kopie, ale jego koledzy są w stanie tylko patrzeć. Jakby zrozumieli, że oni tu nic nie pomogą.

– Crack – odzywa się Day – już dość. Puść kutafona.

Crack chichocze.

– Tylko się trochę pobawię. – Wygląda to nieco onanistycznie, kiedy tak kręci Travisem to w jedną, to w drugą stronę, zaciśnie, popuści, zaciśnie, popuści, jakby szukał punktu, po którym w fizjologii zajdą już nieodwracalne zmiany. Twarz Trávisa nabiegła ciemną czerwienią, zaczyna wpadać w fiolet. Pełne zaciśnięcie tętnicy powoduje zgon w ciągu paru minut.

– Jasny gwint, Crack – mruczy Mango. – Weź gnoja nie zabij.

– Powstrzymajcie go – błaga któraś z żon. – Powiedzcie mu coś.

Billy myśli, że może zaraz się zrzygać, ale też po części pragnie, żeby Crack wziął i typa załatwił, żeby cały świat zobaczył, jakie to wszystko spierdalone. W końcu jednak Crack odpuszcza: jakby się znudził, uwalnia Trávisa z pożegnalnym, beztroskim liściem na potylicę, a Travis siedzi bezwładnie na swoim krzeselku jak popsuty manekin do crash testów. Raz-dwa kolesie decydują, że czas się zwijać. Wspierając półprzytomnego kolegę, gęsiego opuszczają swój rząd, starannie unikając kontaktu wzrokowego z Bravo.

– Jesteście pojebani – mruczy jeden z nich, sunąc obok, na co Sykes wrzeszczy:

– No kurwa, pewnie, odjechało nam po całości! – I dokłada bulgoczący rechot, jak po barbituranach, który rzeczywiście brzmi całkiem wariacko.

Dime wraca w samą porę, by zobaczyć, jak ekipa imprezowa co prędzej gramoli się po schodach. Pociera podbródek, przygląda się podejrzanie milczącym podwładnym.

– Stało się coś, o czym powinienem wiedzieć?

Bravo zdobywają się na wątle *ee tam*.

– Pyszczyl taki jeden kutafon – mówi Day. – Więc Crack go trochę, no, przeszkolił.

Crack wzrusza ramionami, sili się na uśmiech. Wygląda, jakby spotulniał, ale zarazem sycił się głęboką satysfakcją.

– Nie zrobiłem mu krzywdy, panie sierżancie – wyznaje nader skromnie. – Tylko takie małe rycie beretu.

W dole, na boisku, od wznowienia zaczęły się ostatnie dwie minuty czasu gry. Dime spogląda na zegarek, potem na tablicę z wynikami, wreszcie poświęca chwilę na obserwację burzowego nieba.

– Panowie – mówi, obróciwszy się z powrotem ku Bravo – moim zdaniem zrobiliśmy, co było do zrobienia. Czas spadać.

Drużyna wznosi ospały, czy może sarkastyczny wiwat. Josh mówi, że limuzyna powinna czekać na nich na podjeździe od zachodu, że pokaże im, jak tam dojść. Po raz ostatni Bravo truchtają w górę po schodach, Billy walczy z zasysającą go potworną kubaturą stadionu. Gdy tylko docierają na plac, wyciąga komórkę i wysyła do Faison esa:

Dasz radę podejść do limuzyn, zachodni podjazd? Szukaj białego hummera

Billy dogania szereg i idzie przez plac za Joshem. Tylko Sykes i Lodis wciąż mają piłki z autografami, reszcie Bravo zostały tylko pakiety fantów, cenne głównie ze względu na kalendarze z czirliderkami, pełne fotek pucharowych dekoltów. W Iraku spędzą długie, samotne jedenaście miesięcy, przy czym „długie i samotne” to ten optymistyczny wariant. Podczas tego ostatniego przemarszu przez stadion nikt się już nie zatrzymuje, by podziękować Bravo za ofiarność i odwagę, sępic o autografy czy fotki z komórki. Plemię Cowboys myśli już tylko o odwrocie: zmarznięci, zmoknięci, znużeni, sponiewierani, zrobią wszystko, by jak najprędzej wrócić do domów, pies trącał geostrategię i obronę swobód.

Ludu, mój ludu. Kiedy już widzą bramę, Josh sprowadza ich na skraj placu, poza strumień wychodzących.

– Mamy tu poczekać – wyjaśnia ludziom z Bravo. – Przyjdą tu się z wami pożegnać.

Kto taki?

Josh się śmieje.

– Nie wiem!

Bravo patrzą po sobie. A pies z tym. Nagle na już zapchany plac wbija się jeszcze więcej ludzi, z czego Bravo wyciągają wniosek, że mecz się skończył. Kibice wzburzoną masą prą ku wyjściu, a przez swą liczbę i wymuszony szurający krok wydają się nabierać alegorycznej wagi, jakby ich ponury nastrój, atmosfera sponiewierania i siedmiu nieszczęść miały przywoływać ducha każdego ludu, jaki kiedykolwiek postanowił opuścić jedno miejsce, by osiąść w innym w nadziei na mniej parszywy los. Innymi słowy, zdaniem Billy’ego, przypominają uchodźców. Jego komórka brzęczy – Billy obraca się do ściany, nim odważy się spojrzeć na ekranik. To esemes od Faison, całe dwa słowa.

Idę. Czekaj.

Oczy Billy’ego się zamykają, jego głowa opada do przodu i bęc w mur, nieme dziękuję wyrywa się z ust ze wstrzymywanym wydechem. I nagle biorą go nerwy. Nie wie, co ma zrobić. Nie szkolili go na takie rzeczy, nie musztrowali, nie ma się na czym

oprzeć. Może sobie wyobrazić życie z Faison na ranczu, ale samo przejście stąd tam, osiągnięcie tego celu – tego umysł mu nie pokazuje. A może gdyby tak faktycznie rąbnął czołem w ścianę? Nagle pojawiają się Albert i pan Jones, raptownie, wręcz jak w kreskówce wynurzają się z tłumu.

– Aha! – drze się Dime głosem Willa Ferrella. – Oto i on, jak pies wraca do własnych wymiocin!

Albert uśmiecha się szeroko, jakby takie powitanie absolutnie mu pasowało, choć pilnuje, żeby nie zbliżyć się zanadto do Dime'a. *Albert, Albert, Albert*, poszczekują Bravo, robią z tego coś jakby piosenkę.

– Co z naszym filmem? – wrzeszczy Sykes.

– Staralem się, chłopaki. Uwierzcie, starałem się jak wszyscy diabli i dalej będę się starał, możecie na to liczyć. Jeśli kiedykolwiek istniała historia w sam raz na film, to właśnie wasza, ludzie, i jestem gotów zrobić wszystko, żeby do tego doszło.

– Ej, facet, ale...

– No wiem, wiem, wielkie rozczarowanie, naprawdę chciałem zamknąć sprawę, póki wciąż jesteście w kraju. Co mam wam powiedzieć? Staraliśmy się, jak mogliśmy, ale to jeszcze nie koniec, nie, psiakrew. Będę pracował nad tym tematem, aż do skutku, obiecuję.

Bravo odpowiadają mrukliwie, niczym zakonnicy: *dziękidziękidzięki*. Na Alberta czeka już samochód, żeby zabrać go na lotnisko – facet wieczorem leci już z powrotem do Los Angeles. Choć podpisali z nim opcję na całe dwa lata, wydaje się, że coś się jednak skończyło, a jak to zwykle przy zakończeniach, przychodzi nostalgia, melancholia. Albert mówi, że odprowadzi ich do limuzyny – pan Jones najwyraźniej także zamierza dotrzymać im towarzystwa, chyba po to, żeby upewnić się, że przed odjazdem Bravo nie zaszargają jeszcze bardziej marki Cowboys. Dołączają do znużonych tłumów cisnących się do wyjścia. Gdzieś z przodu rozbrzmiewa coś jakby buczenie, niczym najniższe tony do wydobycia z wibrafonu – kiedy się zbliżają, Billy uświadamia sobie, że to z samej bramy. To przeciągły jęk kolejnych kibiców, którzy wychodzą na parking, chłostane wiatrem pustkowie ze złodowaciałego betonu. Stąd do kręgu polarnego są tylko tysiące kilometrów rozległych równin. Bravo klną, opuszczają głowy, wbijają dłonie w kieszenie. Marznący deszcz siecze ich twarze i karki, zostawiając mikrokratery. Josh przywołuje żołnierzy do siebie, odlicza, po czym prowadzi ich przez plac ku podjazdowi dla limuzyn, linia pojazdów ciągnie się jak okiem sięgnąć, ginie w mroku, i – Boże drogi – tylko wśród tych kilkunastu widocznych Billy naliczył już cztery śnieżnobiałe hummery.

– Billy. – Albert wyrównał z nim krok, idzie obok. – Wasz sierżant chyba jest na mnie wściekły.

– Cóż, miewa humory. – Billy wolałby, żeby Albert szedł z drugiej strony, byłby wiatrochronem.

– Słuchaj, masz mojego maila, nie? A ja twojego. Będziemy w kontakcie.

– Pewnie. – Billy omiata wzrokiem sznur limuzyn. Jak Faison ma go tu znaleźć...

– Jestem pełen podziwu dla Dave'a, ale czasem nie wiem, czy to na pewno poważny człowiek. Więc może tak: jeśli nie będę mógł się z nim skontaktować, uderzę do ciebie. Będziesz moim człowiekiem w drużynie.

– Spoko. – Billy unosi ramię od nawietrznej, wtula brodę w klatkę piersiową. Wiatr tnie po placu jak zerwane z uwięzi ostrze gilotyny.

– Słuchaj – Albert ścisza głos – masz najlepiej poukładane w głowie z tych wszystkich gości, ty i Dime. Ufam ci. Robi się z ciebie autentyczny lider. Wiem, że mogę na ciebie liczyć, że zadbasz o to, żeby utrzymać produktywny kontakt.

– Jasne. – Billy myśli sobie, że jeśli Faison nie pojawi się tu, nim przyjdzie pora odjazdu Bravo, to on wysiada, zdezerteruje tu i teraz. Powie, że musi się odlać czy coś, wyskoczy z limuzyny i już właściwie nie będzie miał odwrotu, a już szczególnie potem, kiedy namierzy Faison i ze wszystkiego się jej wypowiada.

– A co do tego biznesu, to mówiłem szczerze – ciągnie Albert. – Wciąż będę nad tym pracował. Prędzej czy później zrobimy ten film, ten materiał to taka bomba, że musi się udać.

Billy spogląda na niego.

– Poważnie?

– Jasne, że poważnie. Skoro Hilary praktycznie w to wchodzi, to już tylko kwestia czasu.

Parking jest oświetlony jak więzienny spaceriak, same olśniewające białe światła i szpiczaste cienie. Billy rozgląda się po placu, szukając Faison, i niemal od razu zauważa w tłumie pewną zmianę, jakby w jego stronę kierowała się falka czy odprysk nurtu. Chwila otumanienia, a potem Billy otwiera usta, wie, co się stanie, już na chwilę przed tym, niż wyartykułuje to umysł. Krzyczy już więc, kiedy techniczni wychodzą spośród cizby, a potem wie tylko tyle, że leży na ziemi, skulony jak płód, a na jego plecy walą się ciosy z siłą młota. Uświadamia sobie, że to z jego ust po każdym uderzeniu wyrывa się stęknienie – nie żeby bolało, to jak ucisk, dziwnie oderwany od cierpienia, i mniej więcej w tym samym momencie, kiedy zdaje sobie sprawę, że ktoś

go kopie, w zasięg światła wchodzi pan Jones. Teraz czas nie tyle spowalnia, ile raczej tężeje w ciąg ząbających się klocków. Tutaj pan Jones stoi prosto, wyciąga spod marynarki pistolet, dalej jakiś potężny typ wpada mu na plecy, pan Jones zaznacza fazę lotu, a broń – w stopklatce Billy widzi wyraźnie, że to beretta Px4 – z wielkim impetem wylatuje mu z dłoni. Śmiga jak łyżwa po lodzie, wirując po betonie, przemyka tuż poza zasięgiem dłoni Billy’ego i w dal, Billy obraca się mimo buta obrabiającego mu żebra, bo musi zobaczyć, dokąd trafi...

Jak się okazuje, prosto do majora Maca. Z wyczuciem momentu i oszczędnością ruchów godną bramkarza weterana major unosi czubek buta o parę cali i blokuje broń pod podeszwą. Podnosi berettę, sprawdza bezpiecznik, przeładowuje, celując w dół i z dala od ciała, po czym z elegancją zrodzoną z wielu godzin praktyki unosi rękę i strzela pionowo w górę,

BAM.

Wśród wszystkich obszernych materiałów o meczu, które następnego dnia pojawią się w mediach – od prostych relacji w wiadomościach, przez michałki „z życia ludzi” po otępiający bełkot komentatorów z radia i telewizji – nie padnie ani słowo o pomeczowym wystrzale. Bravo zgodnie stwierdzą, że to bardzo dziwne. Przecież na pewno tysiące ludzi słyszały huk: bez wątpienia setki tłoczące się na placu, ci, którzy na dźwięk strzału kulili się, wrzeszczeli, zasłaniali głowy, nakrywali dzieci własnymi ciałami czy rzucili się do ucieczki, no i ten, kto ładował w Billy’ego kopniaki, też raptownie przestał. Przez parę chwil Billy po prostu leży sobie i napawa się bezmiernym wewnętrznym spokojem, który bierze się z tego, że już nie zbiera z buta. Przechyla głowę, żeby krew nie spływała mu do oczu, i obserwuje majora Maca, gdy ten zabezpiecza pistolet i ostrożnie odkłada go na ziemię. Potem major prostuje się, rozkłada szeroko ramiona: nie zgina ich w łokciach, nie zakłada na tył głowy, to zanadto przypominałoby poddanie się. Nie, on tylko stoi z rękami wyprostowanymi na boki, żeby po prostu pokazać nacierającym policjantom, że nie jest już uzbrojony.

– Major Mac rządzi – mruczy pod nosem Billy. Mówi tak głównie po to, żeby usłyszeć własny głos, przekonać się, że zasadniczo nic mu nie jest.

Mija nieco czasu, nim policja zdoła opanować sytuację. Wygląda na to, że mnogość obecnych formacji policyjnych tylko komplikuje sprawy. W końcu udaje się zlokalizować i ściągnąć limuzynę Bravo, zagonić żołnierzy do środka, gdy tymczasem opodal na parkingu wciąż toczą się debaty. Są tam Albert i Dime, także Josh, wszyscy naradzają się z ekipą policyjnych szarż. Major Mac stoi nieco na uboczu, niezupełnie aresztowany, choć wymownie oskrzydłony przez mundurowych. Grupa zatrzymanych

do tej chwili technicznych zbiła się w żalosne stadko, wszyscy skuci, z opuszczonymi głowami, ustawiają się plecami do wiatru.

Jakiś policjant wtyka głowę przez otwarte tylne drzwi limuzyny.

– Komuś tutaj przydałby się szpital?

Żołnierze kręcą głowami. E, nieeeeeee.

Policjant się waha. Prawie każdy w Bravo ma zakrwawioną twarz czy głowę. Techniczni rzucili się na nich z francuzami, rurkami, łomami, Bóg wie czym jeszcze.

– Tak tylko pytam – mówi w końcu i się wycofuje.

W apteczce limuzyny znajdują dwa pakiety chłodzące, które zaraz idą w ruch. Mango ma rozcięcie nad lewym okiem. Crack stracił dwa zęby. Na czole Daya wyrasta guz jak gęsie jajo. Sykes krwawi z nosa, Lodis gdzieś spomiędzy włosów. Billy ma rozcięty policzek, pięciocentymetrowa rana wzdłuż kości – to chyba właśnie tym ciosem go rozłożyli. Ciało pulsuje głuchym, skotłowanym bólem, niby nic wielkiego, ale to ściema i Billy o tym wie. Wie też, że jutro będzie go rwało jak skurwysyn.

Dime włązi do środka, siada, podaje Dayowi sztywnik i długopis.

– Gliny chcą nazwiska i namiary na nas wszystkich.

– Wylądujemy w więzieniu, panie sierżancie? – pyta Mango.

– Coś ty, łosiu, to my jesteśmy ofiarami.

– A major Mac? – dopytuje się Lodis.

– Major Mac, cholera, to skarb narodowy. Jego nikt nie wsadzi za kratki.

– Panie sierżancie – odzywa się A-bort – bo nam się widzi, że to spisek. Norm poszczuł technicznych na nas, bo nie poszliśmy z nim na układ.

– Wspomnę o tym policji – odpowiada Dime, bez uśmiechu. To żart.

Komórka Billy'ego buczy – esemes od Faison, *który biały hummer*, więc wyskakuje z limuzyny, zanim jeszcze skończy wybierać jej numer. Jeden z gliniarzy sapie „A ty dokąd się wybierasz?”, ale Billy jest tak skupiony, całym jestestwem zestrojony z tą jedną prawdziwą rzeczą na świecie, że otacza go coś jakby niebiańska aura, po której spływa zaczepka policjanta.

Komórka Faison ledwie daje pierwszy sygnał, a ona już odbiera.

– Hej!

– Widzisz te koguty, tłum gliniarzy?

– Mm, aha?

– Tam jesteśmy. Stoję obok auta.

– Zostań tam – odpowiada. – Idę do ciebie. – I zaraz: – Widzę cię! Stój tam, widzę cię, widzę...

Billy też ją widzi: przedziera się przez tłum, spod ciemnego płaszcza migają białe botki, a jej włosy, matowosrebrne w tym koszmarowym więziennym świetle, opadają wszędzie: na jej ramiona, plecy, na piersi. Wygląda tak fantastycznie, że Billy czuje, jak wszystko z niego uchodzi: zero oddechu, zero bólu, zero myśli, zero przeszłości, całe jego życie wydestylowało się w widok Faison kroczącej ku niemu, migoczącej od marznącego deszczu jak od cekinów. Musiał ruszyć w jej stronę, bo gdy się już zetknęli, to z zadowolającym impetem. Przez kilka chwil nie potrafią zrobić nic innego, jak tylko ścisnąć się nawzajem. Tłum rozdziela się wokół nich, przewala się tędy tyle ludzi, że sama ich mnogość jest jak czar, dający tej parze pewną prywatność.

– Co ci się stało w twarz? – woła Faison, odchylając się nieco. Dotyka jego policzka. – Bożeboże, ty krwawisz. – Zerka nad jego ramieniem na gliniarzy, migające światła.

– Ci sami goście co w przerwie meczu, techniczni. Wsiedli na nas. – Billy się śmieje. – Pewnie wciąż mieli żal.

– O Boże. Mój Boże, przecież jesteś ranny. – Przygląda się jego policzkowi, palcami muska krawędź rozcięcia. – Chyba kłopoty to wasza specjalność.

Całują się, mocno. Nie mogą przestać się obściskiwać. „Co za kanał”, mruczy zaraz Faison i odsuwa się nieco, tylko na tyle, żeby rozpiąć guziki płaszcza, jeden szybki ruch dłonią w dół i poły się rozchylają, otulają Billy’ego. Faison przygarnia go, jęczy, kiedy ich piersi się stykają. Wciąż ma na sobie uniform czirliderki. Billy manipuluje pod jej płaszczem, chwytając ją za biodra. Faison drży, po czym wspina się na palce, miednicą usiłując dosięść tego, co wyrzuciło się w jego spodniach, ustami wpita w Billy’ego tak mocno, że wargi mu drętwieją. „Śmiało, dzieciaki”, mówi im ktoś, przeciskając się obok. Inny przechodzień radzi, żeby poszli jednak do hotelu. Mijają minuty, może godziny, aż w końcu Faison opada na pięty, osuwa się na Billy’ego.

– Mój Boże. Dlaczego musisz wyjechać?

– Wrócę na przepustkę. Pewnie wiosną.

Unosi głowę.

– Serio?

– Serio. – *Jeśli tylko wciąż będę trzymał pion*, dodaje w myślach.

– No to musisz znaleźć wtedy dla mnie czas.

– Na sto procent.

– Serio, poważnie mówię. A gdybyś zamieszkał u mnie?

Billy nie może się odezwać. Ledwie jest w stanie oddychać. A ona spogląda mu to w lewe oko, to w prawe, raz tu, raz tam, raz tu, raz tam, zawsze dwoje jej oczu na jedno jego.

– Wiem, że to obłąd, ale mamy wojnę, nie? Więc myślę tylko o jednym, że to słuszne, że po prostu czuję, że to słuszne. Chcę każdej sekundy, którą mogę z tobą spędzić. – Faison drży, kręci głową. – Nie jestem z tych, co za kimś szaleją, nie w ten sposób. Do nikogo jeszcze nie czułam czegoś takiego.

Billy przygarnia ją do siebie, jej głowa opada na jego pierś.

– Ja też – mruczy, a dźwięk jego głosu wibruje w ich ciałach. – Dziewczyno, z tobą normalnie mógłbym stąd zwać.

Ona unosi głowę, a jemu wystarczy jedno spojrzenie, żeby pojąć, że nic z tego. Jej dezorientacja, ten przebłysk niepokoju w oczach wyznaczają decyzję, którą musi podjąć Billy. *O czym on mówi?* Tak bardzo boi się ją utracić, że spaja się w jedno z bohaterem, którym musi być.

Faison dotyka jego policzka.

– Kochany, nigdzie nie musimy uciekać. Po prostu wróć do domu i będzie nam tutaj jak w niebie.

Billy nie stawia oporu, do stracenia ma po prostu zbyt wiele. Nie podejmie większego ryzyka, pójdzie na mniejsze, choć to mniejsze – jakie to śmieszne, śmieszne! – to właśnie ono może posłać go do grobu. Opuszcza więc twarz w jej włosy i bierze głęboki wdech, próbuje zmagazynować tyle jej woni, żeby wystarczyło na wieki wieków.

EEEE BRAAAVVOOOOOO niesie się grzmot nad placem, musztrowy ryk sierżanta Dime’a. OOOOD-JAAAAAZD! ZBIEEEEEERAĆ SIĘĘĘ!

– To na mnie – szepcze Billy.

Faison jęczy i znów zwierają się w takim pocałunku, po którym zostają sińce. Jest gwałtowny moment, kiedy próbują się rozczepić – chwytają się nawzajem, szarpiają, dźgają w ubrania i części ciała, płonie w nich jakaś niewiadoma furia, której nie potrafią tak do końca poskromić. Nagle twarz Faison mnie się, dziewczyna przywiera do niego z impetem.

BRAAAVVOOOOO! JUŻ!

Billy całuje jej wargi i odsuwa się, czuje się tak, jak gdyby w życiu nie miał już zrobić niczego innego.

– Uważaj na siebie! – woła za nim Faison, a on unosi pięść, potwierdzając, że usłyszał. – Będę się za ciebie modlić! – Jej krzyk jest tym razem głośniejszy, ale sprawia tylko, że Billy czuje się beznadziejnie.

On tu kona, umiera, a przez tego stwora w gaciach aż ciężko iść, bolec jego nierozdziewiczzonego członka jest twardy jak kamień, nijak nie chce opaść na spocznij. Trąca go nadgarstkiem, grzbietem dłoni, próbuje bydlaka zepchnąć w dół, zanim cały świat zobaczy, aż tu nagle, no kurwa, dopadli go, siedmioro czy ośmioro kibiców, chcą autografy na programie meczu. *Bardzo wdzięczni*, mówią. *Bardzo dumni. Niesamowite. Fantastyczne*. Trwa to tylko parę chwil, ale kiedy tak gryzmoli swoje imię, Billy uświadamia sobie, że to właśnie ci uśmiechnięci obywatele z zerowym pojęciem o świecie tutaj rządzą. Przez ostatnie dwa tygodnie czuł swoją wyższość, czuł się taki mądry, bo wojna tyle go nauczyła, ale gdzie tam, to oni mają władzę, ci frajerzy, niewiniątka, to ich sen o ojczyźnie jest dominującą siłą. Jego rzeczywistość to zero wobec ich rzeczywistości – ich niewiedza jest potężniejsza niż wszystko to, czego on się dowiedział, a jednak Billy przeżył swoje i wie, co wie, tylko co to znaczy? Podejrzewa, że coś okropnego, być może zabójczego. Skoro nauczył się tego, czego musiał się na wojnie nauczyć, zrobił to, co musiał robić... czy to znaczy, że stał się wrogiem wszystkich tych, którzy go na tę wojnę posłali?

Ich rzeczywistość jest tą dominującą, ale z jednym zastrzeżeniem: życia ci nie ocali. Nie zatrzyma bomby ani kuli. Billy się zastanawia, czy istnieje jakiś punkt przesylenia, liczba zabitych, która wreszcie rozniesie na strzępy sen o kraju ojczystym. Jak wiele rzeczywistości może zdzierżyć nierzeczywistość? Billy jest nieco oszołomiony, kiedy oddaje ostatni program i rusza ku krawężnikowi, z dłońmi zaciśniętymi w pięści w kieszeniach – może w ten sposób zdoła zamaskować tę obłądną erekcję. *Dziękujemy!* – wołają za nim dobrzy ludzie. *Dziękujemy za dzielną służbę!* Marznący deszcz siecze go po oczach, ale Billy już prawie tego nie czuje. Gliniarze się rozstępują, kiedy podchodzi do limuzyny, odsłaniają Josha i Alberta stojących przy tylnych drzwiach, Albert szczerzy się, poganiamy go gestem.

– Szybciej! – woła żartobliwie. – Ruchy! Już odjeżdżają!

Jak gdyby nie wolno mu było spóźnić się na ten odjazd, jakby od tego zależało jego życie. Albert przytula Billy'ego na chwilę, kiedy ten przesuwa się obok. Josh życzy powodzenia i ściska jego ramię, i już zaraz Billy schodzi z krawężnika, niemal pada na tylną kanapę limuzyny. Albert zatrząskuje za nim drzwiami, po raz ostatni do nich macha.

– Jesteśmy gotowi – woła Dime do kierowcy. – Ruszajmy.

– Słusznie, wypierdalajmy stąd w cholere – mówi Sykes.

– Zanim nas zatłuką – popiera go Crack. – Zabierzcie nas w bezpieczne miejsce. Z powrotem na wojnę.

– Wszyscy zapiąć pasy – rozkazuje Dime drużynie, więc Bravo macają fotele, ustalają, kto ma czyją kłamrę. Dime zauważa namiot w kroczu Billy’ego.

– Flaga na maszt, żołnierzu – mruczy, tak tylko między nimi.

– Czasem nie da się nic poradzić, panie sierżancie.

Dime chichocze.

– Było pożegnanie z dziewczyną?

Billy kiwa głową, obraca się do okna. Wie, że już nigdy nie ujrzy Faison, ale skąd może to wiedzieć? Jak to jest, że w ogóle ludzie cokolwiek wiedzą – przeszłość to mgła, z której co rusz wychynie jakiś duch, teraźniejszość to rajd autostradą, sto pięćdziesiąt na blacie, co znaczy, że przyszłość to w kategorii próżnych domysłów totalna czarna dziura. A jednak Billy wie, a przynajmniej wydaje mu się, że wie, czuje, że załęgło się to w najczystszej pewności oczekującego go smutku, kiedy odnajduje własny pas i wpina kłamrę w zaczep, i ów *klik* jest jak ostatni zatrzasujący się zamek ogromnego, złożonego systemu. Siedzi w tym. Jedzie na wojnę. Do widzenia, do widzenia, dobranoc, kocham was wszystkich. Siada wygodniej, zamyka oczy i próbuje o niczym nie myśleć, a limuzyna niesie ich w dal.

Podziękowania

Podziękowania należą się Fundacji Ucross i Fundacji Whiting, które wspierały mnie podczas pisania tej powieści, więc z radością składam im je. Za wskazówki dotyczące życia w wojsku jestem wdzięczny Gary'emu Downeyowi, Evanowi Maierowi, Bethany Niebauer i Ericowi Reedowi. Szczególne podziękowania dla Heather Schroder i Lee Boudreauxa, bo nie tracili wiary. Na koniec zaś najszczerze dzięki dla mojej żony Sharie, bez której, mówiąc wprost, przepadłbym z kretesem.

B.F.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kollataja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl

dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl

edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl

magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017

Wydanie I